

ZWIADOWCY



WCZESNE LATA



BITWA
NA WRZOSOWISKACH

JOHN FLANAGAN

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

WCZESNE LATA

KSIĘGA DRUGA

BITWA NA WRZOSOWISKACH



Tłumaczenie
Małgorzata Kaczarowska



Tytuł oryginału: *Ranger's Apprentice. The Early Years. The Battle of Hackham Heath*
First published by Random House Australia 2016
This edition published by arrangement with Random House Australia Pty Ltd
Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Copyright © John Flanagan 2016
All rights reserved.

Redakcja: Anna Pawłowicz, Ewa Holewińska
Korekta: Elżbieta Śmigielńska
Skład i łamanie: Ekart

ISBN 978-83-7686-532-4

Cover illustration by Jeremy Retson
Cover design ©by www.blacksheep-uk.com
Map by Mathematics

Copyright for the Polish edition © 2016 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników 11+

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104
02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
youtube.com/wydawnictwojaguar
instagram.com/wydawnictwojaguar
facebook.com/wydawnictwojaguar
snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2016

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Mapa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

Epilog

Polecamy

Dla Leonie – ponownie

ARALUEN, PICTA I CELTIA





W tunelu było ciemno, duszno i wilgotno.

Chociaż Halt nie był wysoki, musiał się garbić podczas marszu, a jego ramiona zaczepiały o surowe ściany z nieoszalowanej gliny. Migocząca lampa trzymana przez prowadzącego ich górnika świeciła słabym żółtym światłem, które rzucało groteskowe cienie.

– Jak głęboko pod ziemią jesteśmy? – zapytał idący z tyłu Crowley. Gęste i ciężkie powietrze w tunelu wydawało się tłumić jego głos, Halt słyszał w nim jednak nerwową nutę. Crowley, podobnie jak Halt, nie lubił ciasnych, zamkniętych przestrzeni, takich jak ta, wołał czyste powietrze lasów i pól na powierzchni ziemi. Nie potrafił pojąć, jak górnicy mogą pracować w takich warunkach.

Górnik odwrócił się do nich.

– Jakies pięć metrów – powiedział. – Schodzimy w dół od wejścia do tunelu. Już niedaleko.

Jego słowa sprawiły, że Halt poczuł przytłaczający ciężar ziemi i gliny nad sobą.

Pierś zacisnęła mu się, miał trudności z oddychaniem. Poczł, że serce zaczęło mu bić szybko, więc zwolnił, oddychając powoli i gęboko, żeby zmusić spięte kończyny i ciało do odprężenia się. Im szybciej się stąd wydostaną, tym lepiej dla niego. Crowley, który nie zauważył, że Halt się zatrzymał, wpadł na niego od tyłu i mruknął przeprosiny.

– Uważajcie na szalunek – powiedział szorstko górnik, wskazując drewniane podpory, które podtrzymywały ściany i sklepienie korytarza. – Jeśli przewrócicie którąś z tych belek, wszystko może nam spaść na głowy.

Dwaj zwiadowcy ruszyli dalej, aż do przesady pilnując, by nie potraćić żadnej drewnianej belki. Haltowi wydawało się, że w oddali słyszy ciche stukanie metalu o skałę. Przez chwilę myślał, że to tylko jego wyobraźnia, ale górnik potwierdził jego przypuszczenia.

– Chłopcy pracują – powiedział. – Słyszycie to? Poszerzają komorę pod murami.

Ruszył dalej, a oni pospiesznie podążyli za nim, by nie pozostać poza niewielkim kręgiem światła lampy. Stukanie stało się głośniejsze. Nie brzmiało to jednak, jakby ktoś przykładał się energicznie do pracy, i Halt wspomnił coś o tym.

Górniki roześmiał się ponuro.

– Nie można tak po prostu walić kilofem – oznajmił – bo spowoduje się osunięcie ziemi. Pracujemy powoli i równo.

Halt dostrzegł mały krąg żółtego światła. W miarę jak szli, światło stawało się coraz większe i jaśniejsze. W końcu znaleźli się w poszerzonej komorze, której ściany rozchodziły się pod kątem prostym do tunelu. Była gęsto podparta drewnianym szalunkiem i ciągnęła się jakieś cztery do pięciu metrów w każdą stronę, tworząc rozgałęzienie w kształcie litery T.

Sklepienie było tu wyższe, co najmniej na metr ponad głową Halta. Odetchnął z ulgą i wyprostował się, rozciągając przykurczone mięśnie pleców i ramion. Usłyszał, że Crowley robi to samo.

– Jesteśmy pod murami? – zapytał dowódca zwiadowców.

Górniki skinął głową i wskazał potężny granitowy blok widoczny w glinianym sklepieniu jednego z bocznych tuneli. Głaz był wyrównany i widać było, że został ociosany ludzką ręką. Wokół i pod spodem ustawiono podpierające go belki.

– To część fundamentów – powiedział mężczyzna. Podniósł lampę wyżej i zobaczyli, że rząd ociosanych gładów ciągnie się wzdłuż komory, w której stali. Kolejne belki podtrzymywały je na miejscu.

Stukanie, które stało się wyraźnie głośniejsze, od kiedy weszli do komory, ucichło teraz i z cienia po lewej stronie wyłoniła się przygarbiona sylwetka. Halt pomyślał, że nie ma powodów, by się tu garbić. Mieli mnóstwo miejsca nad głowami. Ale być może było to przyzwyczajenie płynące z długiej praktyki i wielu lat spędzonych pod ziemią w kopalniach i tunelach.

Nowo przybyły zatrzymał się i skinął ich przewodnikowi na powitanie. Potem poświęcił kilka sekund, by przyjrzeć się z ciekawością dwóm zwiadowcom. Wiedział, kim są – wiedzieli to wszyscy górnicy – ale pod ziemią był raczej przyzwyczajony do widoku innych górników i kopaczy, ubranych w skórzane fartuchy i kaptury, chroniące ich ubrania przed błotem i ziemią. Ci dwaj, w szaro-zielonych cętkowanych pelerynach, z bronią przypiętą do pasa, stanowili tu na dole nie lada atrakcję.

– Dzień dobry, Alwyn – powiedział. – Witam z rana, zwiadowcy.

Halt i Crowley wymamrotali odpowiedź, chociaż Halt nie miał pojęcia, jak ktokolwiek mógł zdawać sobie sprawę z upływu czasu i pory dnia w takim miejscu.

– Dzień dobry, Dafydzie. Skończyliście? – upewnił się przewodnik.

Zapytany skinął kilka razy głową.

– Już kończymy. Jeszcze trochę kopania i szalowania, jakieś piętnaście minut. Potem zaczniemy przynosić opał.

Komora, w której się znajdowali, miała znacznie więcej podpór niż tunel, którym tutaj doszli. Halt założył, że to dlatego, iż sam tunel był niski i wąski, a poza tym owalny w kształcie, co czyniło ściany naturalnie mocniejsze. Tutaj, gdzie otwarta przestrzeń była większa, potrzebne było więcej belek i podpór, by podtrzymywać sufit i potężne głazy w fundamentach murów ponad nimi. Górnicy odsłonili je wzdłuż komory. Gdy się nad tym zastanawiał, poczuł ucisk w piersiach i na moment ogarnął go irracjonalny lęk. Wiedział, że jeśli szybko nie zapanuje nad tym uczuciem, zmieni się ono w panikę – ślepą, osłabiającą go panikę. Ponownie zmusił spięte ciało, by się odprężyło, zaczynając od palców, dłoni i ramion, a następnie pozwalając, by uczucie relaksu rozprzestrzeniło się po jego ciele. Odetchnął głęboko i zwolnił tempo oddychania. Czuł, że serce zaczyna odrobinę mniej łomotać mu w piersi.

– Nie mam pojęcia, jak można do tego przywyknąć – mruknął do Crowleya.

Alwyn prychnął krótkim śmiechem.

– Spędzisz życie w kopalniach, to przestaniesz się tym przejmować. – Wskazał komorę, w której stali. – Zacząłem schodzić pod ziemię, kiedy miałem dziesięć lat – wyjaśnił. – To miejsce jest dla mnie jak wielka łąka.

– Też mi łąka – mruknął pod nosem Crowley, potrząsając głową.

Alwyn uniósł brwi. Wiedział, że większość ludzi odczuwa lęk w tunelach, ale on i jego koledzy byli do nich przyzwyczajeni. Jeśli tylko tunel został prawidłowo wykopany i dobrze podparty, nie istniało żadne niebezpieczeństwo. Wskazał swoim towarzyszom fundamenty.

– Spiętrzymy tutaj chrust i drewno opałowe – wyjaśnił. – Potem podpalimy i w ten sposób zniszczymy szalunek i podpory. A wtedy siły natury wystarczą, żeby część muru bezpośrednio nad tym miejscem zawałiła się do tunelu. Kiedy to się stanie, otaczająca zniszczony mur konstrukcja także runie.

– Kto zapali ogień? – zapytał Crowley. On i Halt otrzymali zadanie zniszczenia

Zamku Gorlan, ale miał nadzieję, że ta odpowiedzialność nie nakłada na niego obowiązku osobistego rozniecania ognia. Alwyn szybko rozwiązał jego obawy.

– Najlepiej będzie, jeśli ja to zrobię – powiedział. – Kiedy ogień zacznie płonąć, pojawi się mnóstwo dymu. Łatwo zgubić drogę i zabłądzić. Ja jestem do tego przyzwyczajony, więc ja się tym zajmę.

– To dobrze – oznajmił Crowley, a ulga w jego głosie była aż za dobrze słyszalna.

– To będzie bardzo widowiskowe – oświadczył Alwyn. – Oczywiście przez dłuższą chwilę będzie się wydawać, że nic się nie dzieje. Potem mury zaczną osiadać, w zaprawie pojawią się szczeliny i wszystko runie.

– Chyba wolałbym być na powierzchni, gdy to nastąpi – powiedział Halt.

Alwyn spojrzał na niego bez cienia rozbawienia.

– Zdecydowanie tam należy wtedy być. A teraz przestańmy przeszkadzać i pozwólmy, by chłopcy przynieśli i rozmieścili chrust oraz drewno.

Halt i Crowley wymienili spojrzenia. Zrozumieli, że ci ludzie znają się na swojej robocie. Nie miało sensu, żeby zostawali tutaj i obserwowali podkładanie chrustu. W takich przypadkach należało zostawić robotę innym.

– Wracajmy na powierzchnię – powiedział Halt, a Crowley gestem poprosił Alwyna, by ich poprowadził.



Kilka minut później wyszli na jasne światło słońca, otrząsając z peleryn wilgotną glinę i ziemię i mrużąc oczy nieprzyzwyczajone do takiego blasku po ciemnościach w tunelu.

Świeże leśne powietrze stanowiło miłą odmianę po parnym, pylistym powietrzu, jakim oddychali pod ziemią: przesyconym wonią mokrej gliny i świeżej ziemi, a także cuchnącym dymem z lamp olejowych.

Crowley popatrzył w lewo, a następnie w prawo, wypatrując miejsc, gdzie zostały wykopane dwa pozostałe tunele.

– Czy powinniśmy obejrzeć także tamte tunele?

Alwyn potrząsnął głową.

– Nie różnią się od tego.

Crowleyowi wyraźnie ulżyło.

– A co z wieżą? – zapytał, wskazując smukłą i wysoką basztę, otoczoną zamkowymi murami. – Czy zostanie potraktowana tak samo?

– Nie ma potrzeby kopać tam tunelu – wyjaśnił Alwyn. – Podłożymy w niej ogień i zostawimy, żeby się palił. Gdy spłoną belki podtrzymujące sufity i podłogi, konstrukcja zostanie osłabiona. – Odwrócił się i wskazał stojącą dwadzieścia metrów

za nimi katapultę, przycupniętą jak złowrogie pradawne zwierzę. Jej długie ramie miotające wznosiło się ponad nimi.

– Potem strzelimy kilka razy z tej piekielnej maszyny. Parę solidnych głazów uderzających w osłabioną konstrukcję powinno ją elegancko zawalić.

– Elegancko? Dziwny dobór słów. – Crowley popatrzył na zamek z lekkim smutkiem. – To piękna budowla – powiedział cicho. – Prawdziwa szkoda, że trzeba ją zniszczyć.

Kiedy Morgarath, dawny baron lenna Gorlan wycofał się na południe po nieudanej próbie przejęcia władzy w królestwie, książę Duncan nakazał zburzenie jego zamku, by zbuntowany baron nie miał oczekującej na niego siedziby.

– Nie jest piękna – odparł Halt. – To złowrogie miejsce, w którym działy się złe rzeczy. Z przyjemnością zobaczą, jak zostaje zniszczone. Oddajecie nam przysługę – dodał, zwracając się do Alwyna.

Górnicy wzruszyli ramionami. On i jego koledzy zostali wypożyczeni Duncanowi przez króla ościennej Celtii, gdzie wiodli pełne trudu życie, wydzierając z głębin ziemi srebro i cynę.

– Praca to praca – powiedział. – Ucieszymy się, jak już będziemy mogli wracać do domów. – Odwrócił głowę i spojrzał na wyloty dwóch pozostałych tuneli. – Wygląda na to, że oni także szykują się do podłożenia ognia.

Zwiadowcy spojrzeli w tę samą stronę. U wylotu obu tuneli zobaczyli mężczyzn, którzy ubrani w poplamione błotem skórzane ubrania, jakie nosili wszyscy górnicy, transportowali pod ziemię wiązki szczap i chrustu. Tuż obok trzecia grupa zaczęła wnosić podobne wiązki do tunelu, z którego właśnie wyszli zwiadowcy.

– Dajcie nam godzinę, żeby wszystko przygotować – powiedział Alwyn. – Potem podłożymy ogień.

Zachowywał się dość chłodno. Zgodnie z poleceniem zaprowadził wysoko postawionych gości do tunelu. Zmarnował na to dobrą godzinę, więc teraz nie mógł się doczekać, żeby wziąć się znowu do pracy, zwalić mury Zamku Gorlan i wracać do domu.

– W takim razie możemy coś zjeść – stwierdził Crowley, ruchem głowy wskazując małe obozowisko, które on i Halt rozłożyli poprzedniego dnia.

– Proszę bardzo – powiedział Alwyn. – Ja zajmę się przygotowaniami do podpalenia wieży.

Obaj zwiadowcy skierowali się do obozowiska. Kiedy tam szli, Crowley machinalnie strzepnął zaschniętą glinę, która przyczepiła mu się do peleryny na ramieniu.

– Chyba trzeba mieć szczególne cechy charakteru, by zostać górnikiem – stwierdził, nadal myśląc o ciemnym, dusznym tunelu, w którym dopiero co byli.

Halt uśmiechnął się ponuro.

– Podejrzewam, że to samo mówi się o zwiadowcach.





Dwaj zwiadowcy siedzieli przed małymi jednoosobowymi namiotami i przeszukiwali swoje zapasy. Był wśród nich świeży bochenek chleba, który dostali od kucharza górników rano, i reszta kurczaka, którego jedli poprzedniego wieczoru. Ognisko nadal się paliło – rano dorzucili do niego węgle, aby nie zgasło. Halt przebudził je za pomocą kilku gałązek i drobnych szczap, a potem postawił poobijany dzbanek do kawy na żarze koło ognia, by zagotować wodę.

Gdy woda już wesoło bulgotała, wrzucił do dzbanka kilka garści kawy i odsunął go od ognia, żeby się zaparzyła. Tymczasem Crowley szybko pociął kurczaka saksą, rozkładając kawałki na dwa drewniane talerze.

– Chciałbyś nóżkę? – zapytał.

Halt skinął głową. To był jego ulubiony kawałek kurczaka.

– To masz pecha. Została jedna i to ja ją wezmę.

Halt spojrział na niego z ciekawością.

– W takim razie po co pytałeś?

Crowley wzruszył ramionami.

– Istniała szansa, że odmówisz, a wtedy będę się wydawał wspaniałomyślny.

Halt potrząsnął głową.

– To mało prawdopodobne. – Wziął talerz, który podał mu Crowley, pełen kawałków z piersi i udzka kurczaka. Crowley podniósł pojedynczą nóżkę ze swojego talerza i wbił w nią zęby.

– Nóżka to najsmaczniejsza część kurczaka – oznajmił radośnie.

Halt spiorunował go wzrokiem.

– Nie musisz się tak przechwalać – powiedział. Szczerze mówiąc, mięso kurczaka, które właśnie jadł, było przepyszne. Idealnie upieczone, wilgotne i soczyste. Ale miałby ochotę na nóżkę. Oderwał kawałek chleba i owinał nim gruby pasek mięsa z piersi. Zjadł kilka dużych kęsów, a potem nalał sobie kawy, dodając szczerze miodu do ciemnego, aromatycznego napoju. Wypił łyk i westchnął.

– To dopiero życie – powiedział. – Dobre jedzenie, piękna pogoda, a my możemy siedzieć na słońcu i patrzeć, jak inni ciężko pracują.

– Tak, to ma swój urok – przyznał Crowley. – Powiedziałbym, że zdarzały nam się cięższe czasy.

Halt skinął głową. Ostatni rok był trudny, a niebezpieczeństwo groziło im ze wszystkich stron. Jego kulminacją była konfrontacja w tym miejscu, pod Zamkiem Gorlan, w której Duncan w końcu zdołał poskromić ambicje Morgaratha. Halt rozglądał się teraz po spokojnej okolicy, nasłuchiwał brzęczenia pszczół w kwiatach i lekkiego wiatru szeleszczącego w koronach drzew.

Pomyślał, że pokój to czas, który należy cenić i którym należy się cieszyć. Potem zmarszczył brwi, przypominając sobie, że ten pokój zostanie lada moment zniszczony, gdy tylko Morgarath odbuduje swoją armię. Po ucieczce z Zamku Gorlan, w którym był oblegany przez Duncana i grupę lojalnych wobec władcy baronów, Czarny Lord lenna Gorlan zniknął w Górach Deszczu i Nocy, które strzegły urwistego, nieprzyjaznego i niedostępnego płaskowyżu na południowo-wschodnim krańcu królestwa. Na płaskowyż prowadził wąski i zdradliwy szlak przez Wąwóz Trzech Kroków. To przejście zostało zablokowane przez ludzi Morgaratha, tak że Aralueńczycy nie mieli pojęcia, co on planuje.

– Jak myślisz, kiedy Morgarath wykona następny ruch? – zapytał Halt.

Crowley przerwał jedzenie i spojrzał na zwiadowcę.

– A zamierza wykonać następny ruch?

– Ludzie tacy jak Morgarath zawsze wykonują następny ruch. Nie zadowolili się siedzeniem w górach przez resztę życia. Nienawidzi Duncana. I mnie. I ciebie.

– Ma ogromny talent do nienawidzenia ludzi. Ale wydaje mi się, że przez jakiś czas będzie siedział cicho. Po konfrontacji z Duncanem stracił poparcie większości pozostałych baronów. Może by się z tego wyłgał, ale to, że wycofał się do zamku,

a potem uciekł, podważyło jego wiarygodność w oczach sprzymierzeńców.

– Nadal są tacy, którzy chcieliby go widzieć na tronie – przypomniał ponuro Halt. – I zdecydowanie zbyt wielu takich, którzy się wahają i czekają, żeby zobaczyć, kto ostatecznie będzie górą.

Crowley skrzywił się, zgadzając się z tym stwierdzeniem, a potem podniósł wzrok.

– Cóż, wygląda na to, że już prawie skończyliśmy – powiedział, wskazując na pół ogryzioną nóżkę kurczaka wylot tunelu, przy którym stał Alwyn i machał do nich. – Wydaje się, że Alwyn może już podkładać ogień.

Wyrzucił nóżkę kurczaka w krzaki i wstał, wycierając dłonie o przód kurtki.

Halt powiódł zbolałym wzrokiem za rzuconą kością.

– Tam było jeszcze mnóstwo mięsa – zauważył.

Crowley wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Możesz się poczęstować i je dokończyć.

– Po tym, jak ty je przeżuwałeś? Dziękuję, nie.

Crowley uniósł dłonie w geście poddania.

– Cóż, jeśli nie chcesz, to nie narzekaj.

Halt wstał i potrząsnął głową.

– Chodzi o to, że jeśli zabierasz ostatnią nóżkę kurczaka, twoim świętym obowiązkiem jest zjeść ją. Do końca.

Uśmiech jego przyjaciela zrobił się szerszy.

– Życie jest ciężkie – powiedział bez cienia skruchy.

Halt prychnął i obaj skierowali się do wejścia tunelu, gdzie czekał na nich Alwyn.

– Szybko wam poszło – powiedział Crowley. Czekali niecałą godzinę.

Alwyn wydał wargi.

– Pracujemy szybciej, jeśli nie musimy niańczyć zwiedzających.

Zwiadowcy wymienili rozbawione spojrzenia. Z pewnością to oni byli zwiedzającymi, o których mówił.

– Takt najwyraźniej nie jest cnotą rozpowszechnioną w kopalniach – odparował Halt.

Alwyn popatrzył na niego spokojnie.

– Nie mamy czasu na takt. Zajmujemy się pracą. Tacy właśnie jesteśmy.

– Bardzo słusznie – odparł Crowley. Wskazał wejście do tunelu po prawej. – Jak rozumiem, czerwona flaga oznacza, że są gotowi?

Alwyn skinął głową. Trzy tunele biegły do narożników muru. Oni stali przy środkowym, więc widzieli pozostałe dwa. Przy obu widać było czerwoną flagę, wbity w ziemię koło wejścia.

– Niedługo podpalimy tunele – powiedział górnik. – Najpierw podłożymy ogień w wieży.

– To rozsądne – przyznał Halt. – Nie chciałbyś być wewnątrz murów, które mogą się

zawalić w każdej chwili.

Alwyn mruknął coś, a potem włożył palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. Brama była otwarta, a most zwodzony opuszczony, więc zwiadowcy widzieli dolną część wieży warownej. Czekają tam kilku górników z zapalonymi pochodniami. Na sygnał Alwyna wbiegli do budynku. Po kilku minutach wyłonili się ze środka i pobiegli w stronę bramy. W wieży przez pewien czas nic nie było widać, ale potem dym zaczął się wydobywać przez okna i otwory strzelnicze.

Za sobą usłyszeli skrzypienie kół i trzask batów. Odwrócili się i zobaczyli, że zaprzęg wołów ciągnie w stronę murów zamku katapultę. Przywieziono ją z lenna Araluen kilka dni przed ich przyjazdem. Obsługujący ją artylerzyści zatrzymali maszynę w odpowiednim miejscu i zaczęli wyprzęgać woły. Zablockowali koła platformy i obciążyli podstawę katapulty workami z piaskiem, by uzyskać większą stabilność. Potem zaczęli obracać kołowrót, ściągając koniec ramienia miotającego w dół za pomocą napiętych lin.

– Jeszcze trochę potrwa, zanim będziemy tego potrzebować. – Alwyn wyciągnął czerwoną flagę wbiją w ziemię przy wejściu do tunelu i pomachał nią nad głową, aż górnicy przy pozostałych tunelach odpowiedzieli podobnym gestem. Wtedy jeden z jego ludzi wręczył mu zapaloną pochodnię, a Alwyn skierował się do tunelu. Zatrzymał się jeszcze i obejrzał się na dwóch zwiadowców. Na jego twarzy malował się drwiący uśmiech.

– Na pewno nie chcecie iść ze mną?

– Nie. Jako zwiedzający nie chcielibyśmy ci znów przeszkadzać – zapewnił go Crowley, a górnik odwrócił się i zagłębił w tunelu. Migoczące światło pochodni szybko zniknęło w schodzącym pod ziemię korytarzu.

Halt zobaczył, że przy pozostałych tunelach górnicy kładą czerwoną flagę, a potem znikają w głębi ziemi z pochodnią. Rozejrzał się, zobaczył wygodny pień i usiadł na nim.

– Nie ma sensu stać – powiedział. – Zakładam, że to trochę potrwa.

Miał rację. Alwyn nie wracał przez ponad dwadzieścia minut. Zwiadowcy wiedzieli, że dojdzie tunelem do komory, w której zgromadzono drewno na podpałkę, zajmowało siedem do ośmiu minut.

Halt popatrzył w lewo i zobaczył górnika wynurzającego się z tunelu. Mężczyzna znowu wbił czerwoną flagę pionowo, sygnalizując, że skończył pracę. Po kilku minutach ze środkowego tunelu wyszedł kaszlący Alwyn, za którym ciągnęło się pasmo rzadkiego dymu. Popatrzył na flagę łopoczącą przy drugim tunelu i mruknął z zadowoleniem. Wbił własną flagę i wszyscy odwrócili się, żeby obserwować trzeci tunel. Po minucie czy dwóch wyłoniła się z niego sylwetka górnika, a czerwona flaga została wbita na swoje miejsce.

– Teraz poczekamy – oznajmił Alwyn.

Przez jakiś czas wydawało się, że na murach nic się nie dzieje. Co innego w wieży. Ogień buzował teraz z pełną mocą, a płomienie i kłęby dymu buchały przez drzwi i okna.

W końcu Halt zauważył dym wydobywający się spod ziemi w wielu miejscach pomiędzy nimi a zamkiem.

– Otwory wentylacyjne – wyjaśnił Alwyn, który zauważył, na co patrzy zwiadowca. W tym momencie z tunelu po lewej zaczęły buchać kłęby dymu, a po kilku minutach to samo nastąpiło w pozostałych tunelach.

– Ile jeszcze czasu? – zapytał Halt.

Górnik wzruszył ramionami.

– Jeszcze trochę – odparł, co było kompletnie bezużyteczną informacją.

Halt zaczął niecierpliwie spacerować na widok dymu – po chwili jednak usiadł pieńku. Crowley siedział na miękkiej trawie, oparty plecami o młode drzewko.

Dym wydostawał się z tunelu, z każdą minutą coraz gęstszy. Wewnątrz murów zamku pożar ogarnął całą wieżę, przybierając na sile i gwałtowności.

– Przynajmniej tam jest na co popatrzeć – stwierdził Crowley. Mimo ostrzeżeń Alwyna spodziewał się czegoś bardziej widowiskowego w przypadku murów – nie tylko dymu lecącego z tunelu i otworów wentylacyjnych. Przynajmniej po wieży było jasno widać, że coś jest niszczone, że coś w ogóle się dzieje.

– No dalej – mruknął dowódca zwiadowców.

Alwyn spojrzał na niego.

– Bycie górnikiem wymaga cierpliwości – zauważył.

Crowley z irytacją potrząsnął głową.

– Nie jestem górnikiem i nie mam cierpliwości. Chciałbym zobaczyć, jak te mury się walą.

To właśnie nastąpiło, gdy wypowiedział te słowa.

Pod ziemią rozległ się głuchy pomruk. Poczuli go na powierzchni. Potem na murze pojawiła się ogromna szczelina, od nasady do blanków na szczycie, a część ściany zapadła się i zawałiła, gdy fundamenty straciły oparcie.

Szczelina poszerzyła się, mur po obu stronach zaczął się wyginać, pękając najpierw na dwa ogromne kawały, a potem na wiele mniejszych.

Z ogłuszającym łoskotem mur poleciał na zewnątrz, rozsypując się w stertę kamieni. Z przeciwległego rogu usłyszeli donośny trzask i w murze pojawiła się kolejna szczelina. Gdy następny fragment się zawałił, dym z otworów wentylacyjnych zaczął się wydobywać ze zdwojoną siłą.

W tym momencie mur ponad trzecim tunelem zapadł się, popękał i pochylił się na zewnątrz, by runąć z łoskotem przypominającym trzęsienie ziemi. Jeszcze więcej dymu poleciało z tunelu i otworów wentylacyjnych.

W przeciągu kilku minut trzy z czterech ścian muru Zamku Gorlan runęły, rozbijając

się na drobne kawałki.

Nad zniszczonym zamkiem, niegdyś ozdobą królestwa, unosiły się chmury pyłu i dymu. W jednej chwili stał przed nimi, potężny i niewzruszony. W następnej runął w gruzy na ich oczach.

– Cóż – powiedział Crowley. – Chyba już po wszystkim.





Wielka sala w Zamku Araluen pulsowała morzem kolorów, światła i dźwięków. W ogromnym pomieszczeniu płonęły liczne świece, w kinkietach na ścianach, w świecznikach na stołach i w zwisających z sufitu sześciu kandelabrach. Światło było rozszczepiane i odbijane przez wisiorki z kryształowego szkła, zwieszające się z kandelabrów.

W sali musiało być jakieś dwieście osób. Przybyli wszyscy baronowie popierający Duncana, wraz ze swoimi żonami, a także świąt rycerzy, dostojników i towarzyszących im dam.

Przez ostatni rok królestwo Araluen niewiele miało okazji do świętowania. Mimo że Morgarath uciekł przed ramieniem sprawiedliwości i ukrył się w górach, skutki jego intryg rzucały cień na cały kraj. Ojciec Duncana, Oswald, nie odzyskał zdrowia po tym, jak był więziony i głodzony przez Morgaratha. Po ustąpieniu z tronu żył jeszcze dość długo, by doczekać ślubu swojego jedyne go syna. Wesele Duncana z lady Rosalind Serenne było jednak skromną uroczystością z powodu pogarszającego się stanu

zdrowia Oswalda, a nie wspianiałym świętem, jakie zazwyczaj organizowano z takiej okazji. Na początku roku, w uciążliwym okresie zimna, gdy śnieg na długie tygodnie pokrył kraj, Oswald przegrał walkę z chorobą. Królestwo było pogrążone w żałobie przez ostatnie dwa miesiące, a na Zamku Araluen panowała atmosfera powagi, gdy kolejni baronowie przyjeżdżali, by składać kondolencje.

Teraz jednak nadeszła wiosna i wydawało się, że kolory i życie nareszcie powróciły do Araluenu. Duncan zarządził święto i zaprosił baronów na ucztę, podczas której miało zostać ogłoszone ważne obwieszczenie.

Uroczystości zaczęły się wcześniej, pod zamkiem, na rozciągających się pod murami błoniach, gdzie zgromadziły się setki mieszkańców lenna Araluen – wieśniaków, handlarzy i rzemieślników.

Oficjalna część była krótka. Duncan wygłosił zwięzłą, ale szczerą mowę, z całego serca dziękując poddanym za wsparcie i uczucie, jakim go darzyli. Były one doskonale słyszalne w wiwatach, jakie się rozległy, gdy królowa Rosalind stanęła u boku męża. Młoda królowa była prześliczna, miała dobre serce, a poddani ją uwielbiali. Rosalind miała długie czarne włosy i ciemnobrązowe oczy, w których zawsze kryły się psotne lub rozbawione iskierki. Twarz miała idealnie owalną, z wysokimi kośćmi policzkowymi i pełnymi wargami. U boku Duncana wydawała się drobna – smukła i pełna wdzięku.

Kiedy tłum ucichł, Duncan ogłosił powód do świętowania: królowa Rosalind była w ciąży i królestwo mogło się spodziewać narodzin następcy tronu. Baron Arald z lenna Redmont, jeden z najwierniejszych popleczników króla, dał sygnał do trzech wiwatów dla uczczenia faktu, iż związek Duncana i Rosalind został pobłogosławiony. Zebrany tłum wiwatował tak donośnie, że wypłoszył gnieźdzące się w murach obronnych gawrony, które z krakaniem zaczęły krążyć nad zamkiem.

Po powitaniu okolicznych mieszkańców, którzy przybyli na uroczystość, Duncan i Rosalind obeszlą błonia i poprowadzili rycerzy, dostojników i ich damy przez potężną bramę na końcu mostu zwodzonego do wnętrza zamku, gdzie w wielkiej sali przygotowano ucztę.

Gdy dostojni goście zniknęli w zamku, na błoniach postawiono stoły, przytoczono beczki piwa, a nad ogromnymi ogniskami zaczęły się obracać woły i całe prosiaki. Uczta na zewnątrz mogła rywalizować z tą w zamku, jeśli chodziło o doskonałe humory, i z pewnością przewyższała ją pod względem hałasu.

Świąteczny nastrój pozwalał wszystkim odpocząć chwilę i radować się, zaś damy wykorzystały okazję, by zaprezentować swoje kreacje. Suknie tworzyły olśniewającą mieszankę żółci, niebieskiego, czerwieni i zieleni. Bizuteria odbijała światło świec i lśniła na palcach dam, a także na ich szyjach, w postaci wisiorów i naszyjników.

Mężczyźni niewiele im ustępowali przepychem strojów. Baronowie i rycerze nosili paradne zbroje, wypolerowane do blasku, z kolorowymi płaszczami ozdobionymi

herbami rodowymi. W barwnym tłumie krążyli służący z tacami zastawionymi pucharami pełnymi wina lub piwa, a także owocowych sorbetów dla tych, którzy nie mieli ochoty na alkohol.

W miarę opróżniania kolejnych pucharów hałas narastał i kumulował się. Im trudniej było usłyszeć sąsiada, tym głośniej ludzie mówili – co sprawiało, że jeszcze trudniej było usłyszeć, co mówili inni, i wymuszało dalsze podnoszenie głosu. Zakładano się, czy pierworodny potomek króla będzie dziewczynką, czy chłopcem. Każde z nich mogło kiedyś zasiąść na tronie, ponieważ Araluen nie miało praw zakazujących kobietom dziedziczenia korony.

Duncan i Rosalind spacerowali w tłumie gości, witając się z tymi, których znali, i kiwając głowami pozostałym, potrząsając dłońmi i przyjmując życzenia pomyślności od swoich poddanych. Duncan był popularnym królem.

Jego matka, królowa Deborah, z uśmiechem na twarzy obserwowała uroczystość z tronu na podeście. Była zadowolona z Rosalind, prześlicznej kobiety o złotym sercu, będącej doskonałą towarzyszką dla jej syna. Królowa matka była też uszczęśliwiona, że ludzie przejrżeli kłamstwa Morgaratha i oskarżenia rzucone przeciwko Duncanowi. Deborah nie mogła odżałować – i wiedziała, że jej mąż przed śmiercią czuł to samo – że pozwoliła baronowi Morgarathowi zatruć królestwo i zwrócić poddanych przeciwko jej synowi. Sama wolała spokojny, surowy zameczek myśliwski niż intrygi i przepych na dworze królewskim i nie zauważyła konsekwencji rosnącej popularności Morgaratha, dopóki nie było za późno.

Halt i Crowley stali pod ścianą w cieniu. W naturze zwiadowców nie leżało szukanie poklasku czy znajdowanie się w centrum uwagi. Zwiadowcy woleli pozostawać w tle, obserwować i nie być obserwowanymi. Zrezygnowali ze swoich peleryn, ubrani byli w szare spodnie, wysokie buty i skórzane kurtki. Podczas gdy rycerze i baronowie mieli paradne miecze, z rękojeściami lśniącymi od klejnotów i ozdobionymi złotym i srebrnym drutem, zwiadowcom wystarczyły zwykłe saksy i noże do rzucania, przyczepione do szerokich skórzanych pasów.

Crowley przyglądał się kolorowo zdobionym, niemal pstrokatym strojom otaczających ich gości, a potem popatrzył na swoje nierzucające się w oczy ubranie.

– Może powinniśmy wymyślić jakieś mundury galowe – zastanowił się.

Halt popatrzył na przyjaciela i uniósł brew.

– Po co? – zapytał. Nie interesowały go eleganckie stroje. Jeśli o niego chodziło, ubranie musiało być funkcjonalne. W czasie zimna powinno być ciepłe i wodoodporne. W upały zaś lekkie i przewiewne. Jaskrawe kolory sprawiały, że człowiek stawał się bardziej widoczny, co nigdy nie było dobrym pomysłem. Człowiek widoczny to człowiek będący łatwym celem.

Crowley machnął swobodnie ręką, wskazując uroczystość, na której się znajdowali – czerwone, spocone twarze, głośne głosy, muzykę płynącą z galeryjki nad salą. Na

ogół, podobnie jak jego przyjaciel, wolał nie rzucać się w oczy. Ale miał poczucie, że w niektórych przypadkach zwiadowcy powinni być lepiej widoczni.

– Cóż, na oficjalne okazje, takie jak ta – powiedział. – Wyglądamy jak para wron wśród pawi.

Halt prychnął.

– Pawie są zdecydowanie przeceniane – powiedział. – Są głupie i wydają ohydne, hałaśliwe dźwięki. – Wskazał gestem gości wokół nich. – Właściwie to tak, jak oni.

Crowley uśmiechnął się do przyjaciela.

– Czy zaliczasz do tej kategorii barona Aralda? – zapytał, wskazując masywną sylwetkę Aralda, który przedzierał się do nich przez tłum z uśmiechem na twarzy. Baron był w swoich barwach – błękit i żółć – z łbem dzika wyhaftowanym po prawej stronie na piersi. Miał bardzo prostą metodę manewrowania w tłumie. Nie skręcał na prawo ani na lewo, po prostu parł do przodu, torując sobie drogę szerokimi barami. Tuż za nim utworzonym w ten sposób przejściem podążała jego prześliczna żona, lady Sandra, także ubrana na żółto i błękitno. Na Araldzie te kolory wyglądały wojskowo i dostojnie. Jego żona sprawiała, że były kobiece i olśniewające. Podobnie jak mąż, uśmiechała się do obu zwiadowców.

Jednak Halt rzucił tylko okiem na barona i jego żonę, a potem nie odrywał już spojrzenia od ich towarzyszki, która przemykała się z wdziękiem przez tłum kawałek za dostojną parą. Panna Pauline DuLacy wyglądała prześlicznie w prostej srebrzystej sukni, która migotała na jej smukłej sylwetce. Jasne włosy ozdobiła wieniec białych kwiatów.

– Crowley, Halt, miło was widzieć! Miło was widzieć! – zawołał baron z entuzjazmem. Jego grzmiący głos sprawił, że najbliżsi goście odwrócili się na ten dźwięk – i na te słowa. Większość ludzi nie zauważyła dwóch zwiadowców stojących pomiędzy nimi i teraz rozległy się pospieszne szepty, w których dominowały imiona „Halt” i „Crowley”. Dwaj zwiadowcy zdobyli pewną sławę w królestwie, ponieważ to dzięki nim Duncan odzyskał pozycję następcy tronu, a królewskie plany Morgaratha zostały pokrzyżowane. Była to jednak pierwsza okazja, kiedy wielu poddanych Duncana mogło zobaczyć słynną dwójkę zwiadowców na własne oczy.

Pauline usłyszała wygłoszony szeptem komentarz: *Myślałem, że są wyżsi* – i uśmiechnęła się do siebie.

Arald potrząsał teraz dłońmi zwiadowców i gestem przywoływał żonę, aby także się z nimi przywitała.

– Cieszę się, że was widzę, Halt, Crowley – powiedziała Sandra.

– My również się cieszymy, pani – odparł Crowley.

Lady Sandra dygnęła lekko, uginając kolana, podczas gdy reszta jej ciała pozostała wyprostowana i pełna gracji. Obaj zwiadowcy jednocześnie się skłonili. Obserwujący Halta kątem oka Crowley był lekko zdziwiony tym, jak swobodnie Halt wykonał ten

gest. Nie miał pojęcia, że jego przyjaciel wychowywał się na królewskim dworze Dun Kilty w Clonmelu.

– Znacie oczywiście Pauline DuLacy – rzekł Arald. – To moja nowa naczelną dyplomatka w Redmont.

Pauline także wykonała wdzięczne dygnięcie, a Halt i Crowley się skłonili. Crowley już otwierał usta, by się przywitać, lecz Halt zdążył go ubiec.

– Bardzo dawno się nie widzieliśmy, panno DuLacy. Naprawdę się cieszę, że znowu panią spotykam. – Dało się zauważyć, że jego hibernijski akcent był odrobinę mocniejszy niż zwykle. Pauline obdarzyła go olśniewającym uśmiechem, który sprawił, że serce Halta drgnęło mocniej.

– Cała przyjemność po mojej stronie, zwiadowco Halt – przywitała się, wyciągając rękę. Crowley ponownie przeżył zaskoczenie, gdy zobaczył, że Halt ujmuje jej dłoń i unosi ją do ust. Nie wiedział, że jego przyjaciel przygotowywał się psychicznie na tę chwilę od półtora dnia.

– Niezwykle się cieszę, że mamy okazję się spotkać – powiedział Crowley. Jemu nigdy nie brakowało słów w towarzystwie pięknych kobiet.

– Tak... cieszę się – odparła z roztargnieniem Pauline, nie odrywając od Halta spojrzenia oczu lśniących radością z ponownego spotkania.

Crowley uśmiechnął się w duchu. Było oczywiste, że Pauline i Halt są sobą zauroczeni, a on cieszył się szczęściem przyjaciela. Jego serce do nikogo nie ciągnęło i nie spieszyło mu się z tym. Miał jednak poczucie, że Halt, z natury ponury i poważny, mógł tylko skorzystać na towarzystwie pogodnej, radosnej i bystrej kurierki. To oczywiście nie oznaczało, że nie zamierzał trochę namieszać i drażnić się z Haltem i Pauline, gdyby nadarzyła się okazja.

Uświadomił sobie, że Arald coś mówi, i szybko skoncentrował na nim uwagę.

– Ilu teraz macie? – zapytał Arald.

Crowley zmarszczył brwi. Zakładał, że baron mówi o jego wysiłkach, mających na celu przywrócenie Korpusu Zwiadowców do dawnej siły. Było to zadanie, które pochłaniało Crowleya niemal cały czas przez ostatnie miesiące, ponieważ zwiadowcy, oskarżeni przez Morgaratha i skazani na wygnanie, zaczęli wracać do kraju, gdy dotarły do nich wieści o najnowszych wydarzeniach.

– Osiemnastu – powiedział i zobaczył, że prawidłowo odgadł pytanie Aralda. – Dwudziestu, wliczając Halta i mnie.

– Hmm. Czyli prawie połowa dawnego stanu – stwierdził Arald. Korpus Zwiadowców powinien liczyć pięćdziesięciu członków, po jednym na każde lenno.

– Tak. To prawdziwe utrapienie, ustalić, które lenna najbardziej w tym momencie potrzebują zwiadowcy. Niektórzy muszą mieć pod opieką jednocześnie dwa mniejsze lenna – odparł Crowley.

– Prawdziwa szkoda, że Farrel musiał się wycofać z czynnej służby – zauważył

Arald. Farrel był zwiadowcą przydzielonym do lenna Redmont. Za zgodą Aralda dołączył do Halta i Crowleya, by stawić czoło Morgarathowi. Gdy Morgarath uciekł z Zamku Gorlan, Farrel prowadził oddział żołnierzy ścigających rebeliantów. Jego koń potknął się na króliczej norze, a Farrel spadł ciężko na ziemię, łamiąc nogę w dwóch miejscach. Znajdował się pod opieką uzdrowicieli na Zamku Araluen, ale obrażenia okazały się ciężkie i miały jeszcze minąć miesiące, zanim będzie zdolny powrócić do służby. Crowley obecnie wykorzystywał go do pomocy w pracach administracyjnych – czego obaj nienawidzili. Jednak dzięki temu Farrel zyskał zajęcie i nie miał czasu użalać się nad sobą.

– Tak, nie jestem pewien, kogo przydzielić na jego miejsce – odparł Crowley. Redmont było ważnym lennem, ustępującym tylko Araluenowi, szczególnie teraz, gdy Gorlan zostało zlikwidowane, a jego ziemie podzielone pomiędzy dwa sąsiednie lenna.

– Miałem nadzieję, że może dasz nam Halta – powiedział Arald.

Crowley został zaskoczony tym pomysłem. Przez ostatni rok on i Halt ściśle ze sobą współpracowali i nie przyszło mu do głowy, by wysłać go poza lenno Araluen. Jednak teraz, gdy się nad tym zastanawiał, to miało sens. Ponieważ Korpus był o połowę słabszy niż zwykle, nie mógł sobie pozwolić na luksus zatrzymywania dwóch zwiadowców w pojedynczym lennie. Halt był jednym z najlepszych zwiadowców, Redmont było ważnym lennem, zaś Arald należał do najważniejszych członków rady królewskiej Duncana. Mieszkając w Redmont, Halt będzie tak samo jak dotąd przydatny jako zastępca Crowleya.

– Moim zdaniem to świetny pomysł – powiedział szybko Halt, zanim Crowley zdążył odpowiedzieć. Bez odwracania głowy Crowley wiedział, że jego przyjaciel wpatruje się w Pauline.

– Czemu nie – rzekł, ustępując. Będzie mu brakowało obecności Halta, a także okazji do grania mu na nerwach. Ale to było najlepsze rozwiązanie problemu. Obejrzał się teraz i zobaczył, że Pauline rozpromieniła się z zadowolenia.

Położyła dłoń na przedramieniu Halta.

– Może dla uczczenia tego zaprosisz mnie do tańca?

Halt odchrząknął, skrzepowany.

– Nie jestem aż takim dobrym tancerzem – powiedział niepewnie.

Crowley poczuł przypływ złośliwości i pomyślał, że to ostatnia okazja, by zagrać przyjacielowi na nerwach. Skłonił się grzecznie przed Pauline.

– Ja z przyjemnością z panią zatańczę, panno Pauline.

Halt spiorunował go wzrokiem.

– Z drugiej strony nie jestem aż tak złym tancerzem – oznajmił, wziął Pauline za rękę i poprowadził ją na parkiet.

Arald uśmiechnął się do Crowleya.

– Zrobiłeś to specjalnie.

Dowódca zwiadowców wzruszył ramionami.

– Czasem trzeba go szturchnąć, żeby zrobił to, czego sam chce – powiedział.





4 ROZDZIAŁ

Następne miesiące mijały Haltowi szybko. Przyzwyczął się do życia zwiadowcy w lennie Redmont.

Podobała mu się swoboda życia zwiadowcy. Był jednym z wyższych rangą urzędników w Redmont i zaufanym doradcą barona. Jednakże nie wprowadził się do zamku, wolał mieszkać w małej chacie z bali, wzniesionej wśród drzew u stóp potężnych murów z czerwonego syderytu, od których Redmont wzięło swoją nazwę. Wiedział, że zwiadowcy powinni pozostawać przynajmniej częściowo niezależni od baronów, aby nie znaleźć się pod ich całkowitym wpływem.

Na szczęście Arald doskonale rozumiał rolę zwiadowcy w lennie i nie próbował bez powodu naciskać na Halta. Nie zdarzyło się też, by Halt doszedł do wniosku, że baron niewłaściwie wypełnia swoje obowiązki. Arald był wiernym poddanym króla, a także sprawiedliwym i uczciwym władcą na swoich ziemiach. Traktował Halta jako ważnego, lecz niezależnego współpracownika. Cenił jego zdanie i nieraz zasięgał jego opinii w sprawach dotyczących zarządzania lennem i Zamkiem Redmont. Nie robił tego

wyłącznie z grzeczności, często postępował zgodnie z propozycją zwiadowcy.

Dlatego też ich współpraca układała się gładko i harmonijnie, a Halt starał się przynajmniej raz w tygodniu jeść obiad z baronem i jego żoną. Zazwyczaj towarzyszyła im Pauline, chyba że była zajęta swoimi obowiązkami, co zdarzało się dość często.

Niebawem po przybyciu Halta do Redmont panna Pauline została mianowana kurierem pierwszej klasy i zwracano się teraz do niej lady Pauline. Stała się równą rangą starszym rycerzom, takim jak sir Rodney, dowódca Szkoły Rycerskiej w Redmont, w której kształcono nowych wojowników do armii królewskiej. Arald niezwykle poważał jej wiedzę i liczył się z jej zdaniem. W odróżnieniu od wielu sobie współczesnych, nie uważał, by płeć sprawiała, iż jej opinie są mniej wartościowe. Często mawiał, że Pauline jest najbardziej inteligentna i najbardziej przydatna ze wszystkich jego poddanych.

W miarę upływu czasu zacieśniała się także znajomość Halta i Pauline. Lubili swoje towarzystwo i spędzali razem tyle czasu, na ile pozwalały im obowiązki, czyli mniej, niż można by się spodziewać. Halt mógł zostać w każdej chwili wezwany, by zająć się jakimś problemem w odległym zakątku lenna – bandą rabusiów atakujących podróżnych lub dzikimi zwierzętami niszczącymi zbiory i napadającymi na trzode wieśniaków. Natomiast Pauline często podróżowała do innych lenn, a nawet innych krajów, takich jak Celtia. Oficjalnie te wyjazdy miały na celu spotkania z innymi kurierami, ale służyły także zbieraniu informacji i dbaniu o bezpieczeństwo poszczególnych lenn i całego królestwa. Tytuł kuriera celowo był mylący. Praca Pauline polegała przede wszystkim na zbieraniu informacji, a czasem także na szpiegostwie. Służba kurierska, udająca korpus dyplomatyczny, ukradkiem miała oko na lojalność – lub też nie – arystokracji w królestwie.

Czasem Halt i Pauline podróżowali razem, gdy towarzyszyli Araldowi, udającemu się do Zamku Araluen na jedno z regularnych spotkań z królem Duncanem. Wtedy Halt i Crowley znikali w gabinecie dowódcy zwiadowców i naradzali się. Crowley informował Halta o najnowszych postępach w jego kampanii, mającej na celu przywrócenie dawnej świetności Korpusowi Zwiadowców.

– Przyjrzałem się potencjalnym kandydatom – powiedział ostatnio, a było to cztery miesiące po tym, jak Halt został zwiadowcą lenna Redmont. – Wybrałem sześciu do dalszego szkolenia. – Spojrzał bystro na przyjaciela. Uświadomił sobie jakiś czas temu, że nie wszystkich zwiadowców, którzy zostali rozproszeni i wygnani przez Morgaratha, uda się sprowadzić z powrotem do Araluenu. Jeśli Korpus ma powrócić do dawnej liczebności, będzie to możliwe tylko dzięki rekrutacji i wyszkoleniu nowych zwiadowców.

– Mam nadzieję, że nie planujesz mi przydzielić ucznia – powiedział Halt, uprzedzając propozycję, jaką zamierzał mu złożyć Crowley.

Crowley popatrzył na niego nieprzeniknionym wzrokiem.

- Nie potrafię sobie wyobrazić młodzika, który zasługiwałby na tak koszmarny los.
- Dam ci znać, kiedy będę gotów, by kogoś przyjąć. Sam nadal szukam swojej drogi.

Crowley w głębi duszy był rozczarowany, ale akceptował stanowisko Halt. Jego przyjaciel był tak uzdolniony, tak skuteczny, że czasem trudno było pamiętać, iż sam oficjalnie nie był uczniem i nie przeszedł szkolenia. Oczywiście Pritchard przekazał mu umiejętności potrzebne zwiadowcy, ale do pewnego stopnia Halt wciąż zgłębiał tajniki tego zawodu. Miał dobry instynkt, pozwalający mu wypełniać obowiązki, ale potrzebował więcej doświadczenia.

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu Crowleya weszła Pauline.

- Król wzywa wszystkich – powiedziała wprost. – Arald będzie na nas czekać.

Crowley i Halt wstali i wyszli za nią na zewnątrz.

Halt wiedział, że Pauline właśnie odbyła długą podróż po zachodniej części królestwa, oceniając tamtejszych baronów. Lojalność jednego z nich nadal stała pod znakiem zapytania, a kilku innych zdecydowanie byłoby skłonnych do zawarcia przymierza z Morgarathem – gdyby chodzący w czerni były baron kiedykolwiek opuścił dziki płaskowyż Gór Deszczu i Nocy.

Ostatnie miesiące były okresem pokoju i względnego dobrobytu w całym Araluenie. Królestwo przyzwyczajało się do młodego króla. Duncan był lubianym władcą, znanym ze sprawiedliwych rządów: nie faworyzował nikogo ani też nie próbował wkupywać się w łaski żadnej grupy. Ale na horyzoncie nadal wisiały czarne chmury. Morgaratha nie widziano i nie słyszano, od kiedy wymknął się z Zamku Gorlan, obleganego przez króla, ale nadal był ważną osobistością z punktu widzenia królestwa. Dodatkowo niepokojące było to, że tak niewiele wiadano o jego obecnych działaniach.

Crowley i pozostała trójka gości spotkali się z królem w jego gabinecie. Towarzyszył mu sekretarz robiący notatki z narady.

- Jak się czuje królowa, wasza wysokość? – zapytała Pauline zaraz po powitaniu.

Duncan zmarszczył brwi.

- Nie najlepiej – przyznał. – Jest bardzo słaba. Cięża bardzo nadweręża jej siły.

Trójka gości wymieniła zaniepokojone spojrzenia. Słyszeli podczas poprzednich wizyt w Araluenie, że stan zdrowia królowej Rosalindy się pogorszył. Nie mieli jednak pojęcia, że sytuacja jest tak poważna.

– Większość czasu spędza w swojej komnacie – ciągnął Duncan. – Bardzo się o nią martwię.

Z trudem przerwał temat zdrowia swojej żony.

– Zajmijmy się teraz innymi sprawami. Czy którekolwiek z was ma jakiś pomysł, co też Morgarath robi w górach? – Warto zauważyć, że najpierw spojrzał na Pauline. Ale cała czwórka potrzęsła głowami.

– Nikomu z moich ludzi nie udało się przedostać na płaskowyż, wasza wysokość – powiedziała przepraszająco kurierka.

– Wiem, że on sam wymknął się kilka razy przez Wąwóz Trzech Kroków – zdradził Duncan, gdy usiedli wokół wielkiego stołu narad w jego gabinecie. – Kompania piechoty stacjonuje u stóp tych gór, żeby mieć na niego oko. Widzieli, jak opuszcza wąwóz, ale potem gubili jego trop. Straciliśmy pół tuzina żołnierzy, próbując go śledzić.

– Co on kombinuje? – zapytał Crowley.

To Arad udzielił odpowiedzi:

– Kontaktuje się z tymi, którzy się wahają – powiedział. Chociaż wszyscy baronowie przysięgli wierność Duncanowi, niektórzy zrobili to z mniejszym entuzjazmem niż pozostali. Morgarath był lubianym i szanowanym członkiem Rady Baronów. Był mistrzem rycerzy i niezwykle utalentowanym wojownikiem. Był także biegły w sztuce schlebiana tym, których uznał za podatnych na jego urok osobisty. Wszyscy baronowie wiedzieli, że sprawa z Morgarathem nie jest jeszcze zakończona, i niektórzy – choć trzeba przyznać, że mniejszość – byli skłonni grać na czas i zobaczyć, jak potoczy się konfrontacja pomiędzy królem a zbuntowanym baronem.

Arald gestem zachęcił Pauline, by się odezwała.

– Pauline, czego dowiedziałaś się podczas podróży?

Pełna wdzięku kurierka spojrzała na plik kartek przed sobą i rozłożyła kilka z nich. Zmarszczyła brwi, skupiwszy się, zanim zaczęła mówić.

– Nie wydaje mi się, by można było ufać baronowi Pellerowi, wasza wysokość – powiedziała. – Rozmawiałam z moimi informatorami w jego lennie i wiem, że Morgarath z pewnością odwiedził Pellerą sześć tygodni temu. Wszystko wskazuje na to, że został przyjęty z otwartymi ramionami.

– Peller to nadęty idiota – jęknął głośno Duncan. – Zawsze taki był. Należy do tych, którzy nabiorą się na gładkie słówka Morgaratha. Jest słaby i podatny na wpływy.

– A mimo to sam jest też wpływowy – zauważył Arald. – Kilku innych baronów jest mu winnych pieniądze. Od lat uzupełnia fortuny tych, którzy nie potrafią rozsądnie zarządzać własnymi wydatkami.

– Czy wie o tym, że wypytywałaś o niego w lennie? – zapytał król.

Pauline pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

– Byłam w przebraniu, wasza wysokość, udawałam prostą dziewczynę.

– A co z Meagherem i Cordellem? – zapytał Crowley. Obok Pellerą ci dwaj należeli do najbardziej zagorzałych stronników Morgaratha podczas turnieju.

– Wydaje mi się, że w ich przypadku Morgarath spalił za sobą mosty – oznajmiła kurierka. – Okłamał ich, gdy powiedział, że wasza wysokość rabował wieś za granicą, i został przyłapany na tym kłamstwie. Oszukał ich także w sprawie starego króla.

Morgarath ogłosił, że król Oswald, ojciec Duncana, jest gotów wydziedziczyć syna i wskazać Morgaratha jako oficjalnego następcę tronu. Ale Pritchard, stary zwiadowca, będący nauczycielem zarówno Crowleya, jak i Halta, uwolnił króla z wieży, w której

uwięził go Morgarath. Król pojawił się na turnieju w kluczowym momencie i zaprzeczył twierdzeniom Morgaratha.

– Tacy ludzie nie lubią być okłamywani – ciągnęła Pauline.

Arald uśmiechnął się ponuro.

– Nie lubią także, gdy robi się z nich głupców – zauważył. – To najprawdopodobniej zwróciło ich przeciwko Morgarathowi szybciej niż jego kłamstwa.

Lady Pauline skinęła głową.

– O ile wiem, gdy Morgarath pojawił się w ich zamkach, odesłali go z kwitkiem. To wskazywałoby, że nie zamierzają dłużej go popierać.

Duncan zmarszczył brwi.

– Odesłali go z kwitkiem – powtórzył. – Ale nie próbowali go uwięzić ani też nie donieśli mi o tych wizytach.

– Istnieje różnica – wtrącił Arald – pomiędzy odrzuceniem oferty Morgaratha a bezwarunkowym poparciem ciebie, wasza wysokość. Odesłali go do diabła, ponieważ przez niego wyszli na głupców. Ale nie popierają interesów korony.

– Zgadza się, że trzeba ich będzie obserwować – przyznał Duncan.

– Mam na miejscu agentów, którzy się tym zajmują, wasza wysokość – zapewniła Pauline. – Będą mi przysyłać regularne raporty.

Halt z zainteresowaniem przyglądał się spokojnej i opanowanej kurierce. Taka młoda, tak niezwykle piękna, taka skuteczna – myślał. Jej wygląd miał niezaprzeczone zalety. Wielu mężczyzn było skłonnych lekceważyć piękną kobietę jako kogoś będącego zaledwie ozdobą, osobą do towarzystwa. Im piękniejsza była, tym mniej zwracali uwagę na jej inteligencję lub zdolności. Pomyślał, że to ogromny błąd.

– Dziękuję, lady Pauline. Informuj mnie na bieżąco – odezwał się Duncan.

– Jest jeszcze jedna sprawa, wasza wysokość. – W głosie Pauline zabrzmiała niepewność, kontrastująca z jej wcześniejszą spokojną, niemal obojętną pewnością siebie.

Duncan przechylił głowę i czekał, co ma do powiedzenia. Halt zauważył, że Arald także wydawał się zainteresowany. Najwyraźniej było to coś, czym się z nim jeszcze nie podzieliła.

Pauline popatrzyła na zebranych przy stole.

– Czy którykolwiek z was słyszał o rasie istot zwanych wargalami?

Cisza i całkowicie zaskoczone spojrzenia odpowiedziały na jej pytanie, więc mówiła dalej:

– Słyszałam niepotwierdzone plotki, że Morgarath zwerbował plemię tych istot jako swoją armię.

Pozostali wymienili spojrzenia.

– Co to właściwie za istoty? – zapytał Duncan.

Pauline rozłożyła ręce.

– Niewiele wiem na ten temat. Jak mówiłam, to tylko plotki, pozbawione szczegółów. Możliwe, że są całkowicie bezpodstawne. Starłam się dowiedzieć czegoś o tych wargalach, ale napisano o nich bardzo niewiele, a większość z tego można by uznać za mity. Dowiedziałam się, że jest to prymitywna rasa półludzkich bestii. To praktycznie zwierzęta, niektórzy twierdzą, że są skrzyżowaniem goryla i niedźwiedzia. Jednakże podobno są obdarzone inteligencją.

– Skrzyżowanie goryla i niedźwiedzia – zastanowił się Crowley. – Taka istota byłaby niezwykle silna.

– Nie chcielibyśmy widzieć czegoś podobnego w roli żołnierzy Morgaratha – zgodził się Duncan. Halt nic nie powiedział, ale zastanawiał się intensywnie.

– To by mogło wyjaśniać, dlaczego Morgarath siedzi tak cicho od miesiący – powiedział Arald. – Jeśli rekrutuje i szkoli tych... – zawahał się i spojrzał na Pauline – wargalów? – Skinęła głową. – To może oznaczać, że ma pełne ręce roboty.

– Problem polega na tym – zaczął Crowley – że jeśli się tym zajmuje, robi to w tych przeklętych górach, a my nie mamy szans dowiedzieć się, co on knuje.

– Jest tam bezpieczny – stwierdził Duncan. – Wąwóz Trzech Kroków to przeszkoda nie do przejścia. Do jego obrony wystarczy niespełna dwudziestu żołnierzy. Nie ma sposobu, by ktokolwiek dostał się tam i sprawdził, co się dzieje.

– Myślę, że ja mógłbym spróbować – oznajmił Halt.





Halt i dowódca oddziału obserwowali Wąwóz Trzech Kroków, przycupnąwszy na krawędzi lasu, w pobliżu ukrytego punktu obserwacyjnego. Stacjonował tam oddział, który miał za zadanie pilnować przejścia przez wąwóz. Za drzewami rozciągało się sto metrów otwartej przestrzeni, aż do surowego urwiska – granicy Gór Deszczu i Nocy. Urwisko, skaliste i imponujące, wznosiło się po obu stronach ciemnej szczeliny o szerokości zaledwie trzech metrów, przedzielającej skały aż do podnóża. Jednakże głęboki cień uniemożliwiał mężczyznom zobaczenie czegokolwiek poza samym wejściem.

– Czyli to jest słynny Wąwóz Trzech Kroków – powiedział Halt.

Dowódca oddziału skinął głową.

– Za wejściem zaczyna się stroma ścieżka, która pnie się pomiędzy skałami na sam szczyt. – Umilkł na chwilę. – W każdym razie podobno tak jest. Nigdy nie zapuściłem się dalej niż na pięćdziesiąt metrów od wejścia.

Halt spojrzał na niego.

– A dlaczego?

Dowódca odwzajemnił spojrzenie.

– Ponieważ cenię swoje życie – odparł. – Morgarath zbudował umocnienia w poprzek wąwozu i obsadził je swoimi ludźmi, żeby uniemożliwić komukolwiek przejście. W ostatnich miesiącach zastąpił ludzi jakimiś dziwnymi dzikimi bestiami. Przypuszczam, że to półludzie, i muszę przyznać, że mnie przerażają.

– Co to za jedni? – zapytał Halt. Pamiętał słowa Pauline o bestiach nazywanych wargalami.

Dowódca wzdrygnął się bezwiednie.

– Nie udało mi się dokładniej im przyjrzeć. W wąwozie było ciemno, a po pierwszym spotkaniu z nimi byłem zbyt zajęty uciekaniem. Chodzą na dwóch nogach, ale trochę przypominają goryle. Mają długie pazury i ogromne kły, wyglądają jak zjawy z koszmarnego snu. Są mniej więcej wzrostu mężczyzny, ale o wiele mocniej zbudowani. Pokryci są ciemnym futrem i mają przeciwstawne kciuki, tak jak ludzie, więc mogą trzymać przedmioty. Dwa miesiące temu wybrałem się z patrolem, żeby sprawdzić umocnienia, i natrafiliśmy na pół tuzina takich bestii. Straciłem dwóch ludzi, a reszta z nas cudem wydostała się z wąwozu.

Halt z namysłem podrapał się po podbródku. Przyglądał się mrocznemu wejściu do wąwozu i niedostępnym skalnym ścianom, wznoszącym się po obu jego stronach.

– Nie ma innej drogi na górę? – zapytał.

Dowódca potrząsnął głową.

– No nie. Ale zawsze możesz wspiąć się na urwisko i życzę ci szczęścia, jeśli chcesz tego spróbować.

Halt przez chwilę się nie odzywał. Skały były granitowe – twarde i nieustępliwe, odporne na próby wiercenia lub wyrąbania uchwyty bądź stopni. Osłonił oczy i przymrużył je, by przyjrzeć się dokładniej.

Ściana nie była gładka. Miała mnóstwo występów i pomniejszych szczelin, które mógł wykorzystać dobry wspinacz. Halt zaś należał do najlepszych.

Dowódca wskazał wejście do wąwozu.

– Ta szczelina wije się przez góry, a dno wąwozu wznosi się wraz z nią. Sam wąwóz ma niemal wszędzie głębokość dziesięciu-dwunastu metrów. Ale jego ściany są gładkie i śliskie, przynajmniej w tej części, którą widziałem. Przypuszczam, że zostały ukształtowane w taki sposób, żeby nie można było wejść do wąwozu inną drogą.

– Hmm – powiedział z namysłem Halt. – I nie masz pojęcia, co mogę znaleźć na górze?

Dowódca potrząsnął głową.

– Najmniejszego. Spodziewam się, że może tam być jakaś strażnica, w której mieszkają pilnujący wąwozu ludzie i te... stwory.

– Czy po pierwszej barykadzie są też dalsze?

– Możemy tylko zgadywać, ale powiedziałbym, że pewnie tak. Miałoby sens wzniesienie serii barykad, żeby odeprzeć atakujących. W ten sposób gdyby jedna upadła, obrońcy mogą się wycofać za kolejną.

– Tak, to miałoby sens – przyznał Halt. Zmarszczył brwi. Zbyt wiele by oczekiwał, zakładając, że może ominąć pierwsze umocnienia, a potem zejść do wąwozu i pójść dalej, niezatrzymywany przez nikogo. Najwyraźniej będzie musiał wspiąć się na samą górę po urwisku.

– No cóż, dziękuję za informacje – powiedział.

– Niewiele mogłem ci pomóc – skrzywił się dowódca. – Co zamierzasz?

Halt raz jeszcze przyjrzał się wysokim ścianom, zanim odpowiedział. Na samym szczycie zaśnity błyskawica i rozległ się głuchy łoskot pioruna.

– To miejsce ma własny klimat – zauważył kwaśno dowódca. – I pogoda najwyraźniej zawsze jest okropna.

Halt pozwolił sobie na uśmiech, który rozjaśnił jego twarz.

– Nie nazwano tego miejsca Górą Deszczu i Nocy dlatego, że jest słonecznym rajem – stwierdził.

– Więc co zamierzasz? – powtórzył dowódca.

Halt wskazał na zachód.

– Pojadę wzdłuż podnóża urwiska tak daleko, żeby znaleźć się poza zasięgiem wzroku jakichkolwiek obserwatorów stamtąd – wskazał mroczny przesmyk. – Potem spróbuję się wspiąć na górę i sprawdzę, co uda mi się zobaczyć.

Dowódca przez kilka sekund wpatrywał się w niedostępne ściany, próbując sobie wyobrazić zwiadowcę w szarej pelerynie, wspinającego się po nich. Z jakichś powodów wizja zawsze kończyła się obrazem Halta spadającego w dół.

– To nie będzie łatwe – oznajmił z przekonaniem.

Halt poklepał go lekko po ramieniu.

– Nigdy nie jest.



Wrócił do miejsca, w którym zostawił Abelarda, czekającego teraz wraz z resztą żołnierzy. Nie było potrzeby przywiązywania konika, który został wyszkolony dla zwiadowców. Nigdy nie oddaliłby się bez pozwolenia. Halt pożegnał się z dowódcą i jego ludźmi, a potem dosiadł krępego, niedużego zwierzęcia i ruszył kłusem, oddalając się od obozowiska.

– Nie zazdroszczę im tej pracy – powiedział do Abelarda. – Siedzą tutaj niezależnie od pogody i wypatrują tych niedźwiedziowatych istot, które zwerbował Morgarath. Przez większość czasu nudzą się śmiertelnie, a potem bez uprzedzenia muszą się

zmierzyć z niebezpieczeństwem.

Abelard potrząsnął łbem i grzywą, jak to mają w zwyczaju konie.

Jestem pewien, że woleliby być z tobą, wspinać się po tych urwiskach, czepiając się ściany rękami i nogami, a przy tym nie wiedząc, co czeka ich na szczycie.

– Bardzo mnie pocieszasz – odparł Halt.

Staram się.

Halt uświadomił sobie, że jak zwykle nie ma szans przegadać własnego konia, więc nie kontynuował tematu. Gdy oddalili się od wąwozu i zmniejszyło się ryzyko, że są obserwowani, skierował Abelarda na otwartą przestrzeń pod urwiskiem, wypatrując miejsca, w którym mógłby rozpocząć wspinaczkę. Urwisko wydawało się beznadziejnie strome i gładkie.

Zamierzasz mnie zabrać ze sobą?

– Konie nie umieją się wspinać. – Halt ruchem głowy wskazał granitową ścianę koło nich.

Wydawało mu się, że Abelard prychnął z rozbawieniem.

Mógłbyś mnie nieść. Nie jestem aż taki ciężki.

– Możesz poczekać u podnóża urwiska – powiedział Halt. Po chwili dodał cicho: – Chwila, a to co?

„To” było wąską szczeliną, zygzakującą pionowo w górę. Halt zsiadł z konia i podszedł bliżej. Szczelina była dość głęboka i odrobinę szersza od jego dłoni. Złapał jej krawędzie, a potem zaklinował w niej prawą stopę i na próbę podciągnął się. Twarda skała zapewniała mu pewne oparcie, więc wspiął się kawałek po ścianie. Odchylił się, by spojrzeć w górę.

– Wydaje mi się, że ta szczelina dochodzi do czegoś, co jest jakieś trzydzieści metrów nad nami – ocenił. – To może być półka skalna.

Owszem, na przykład tak wąska, że zostaniesz tam uwięziony bez żadnej możliwości manewru.

– Jesteś prawdziwym optymistą.

Wskazuję tylko oczywistą rzecz.

Halt rozejrzał się i kilka metrów dalej zobaczył kępę drzew. Gdy zaprowadził tam Abelarda, był zadowolony z tego, co zastał na miejscu. Koń będzie tu dobrze ukryty i niedostrzegalny nawet dla ludzi przechodzących w pobliżu. Halt zaczął się rozglądać, nagle usłyszał ciurkanie wody, a idąc za tym dźwiękiem, znalazł małe źródło, wypływające spomiędzy skał jakieś dwa metry nad ziemią. Woda spadała do naturalnego kamiennego basenu.

– Idealnie – uznał. – Myślałem, że będę musiał ci zostawić wodę w wiadrze. – Woził ze sobą przy siodle składane skórzane wiadro, właśnie na takie okazje. Podczas szkolenia Abelarda nauczono pić tylko tyle, ile potrzebuje. – Myślę, że nie będzie mnie jakieś trzy dni. Jeden dzień na wspinaczkę do góry, jeden, żeby się tam rozejrzeć,

i jeden, żeby wrócić na dół. Będziesz miał tu mnóstwo wody i trawy przez ten czas.

Tym razem Abelard nic nie powiedział. Halt rozsiadł go, położył siodło na pniu zwałonego drzewa i wytarł konia. Rano zamierzał go ponownie osiodłać, ale nie podciągać popręgu. Być może będzie musiał odjechać w pośpiechu i nie chciał tracić wtedy czasu na siodłanie konia. Abelardowi przez kilka dni będzie dostatecznie wygodnie z luźnym siodłem. Rozwinął koce i rozłożył je na miękkiej trawie. Zaczynało się zmierzchać, a on nie zamierzał wspinać się po urwisku w ciemnościach. W dzień będzie to wystarczająco trudne.

Zrezygnował z pomysłu rozpalania ognia, chociaż jego ciało tęskniło za smakiem kawy. Zamiast tego zjadł skromny posiłek złożony z podpłomyka, w który zawinął kilka kawałków wędzonej wołowiny, układając ją obficie pikłami. Popił jedzenie czystą wodą z manierki, a potem napełnił butelkę wodą ze źródła w skałach. Abelard przyglądał mu się, pasąc się spokojnie i miarowo chrupiąc potężnymi zębami trzonowymi.

– Strasznie głośno jesz – zauważył Halt.

Koń przestał chrupać na kilka sekund.

Powinieneś mnie słyszeć, jak otworzę pysk.

Następnie wznowił miarowe chrupanie.

To dziwne, ale Haltowi ten dźwięk wydawał się uspokajający. Jak długo Abelard pasł się na świeżej, zielonej trawie, było oczywiste, że nie zbliża się żadne niebezpieczeństwo.

– Jutro będzie ciężki dzień – powiedział Halt i przetoczył się na koc, przykrywając się drugim i jeszcze peleryną. Nie chodziło tylko o dodatkowe ciepło, chociaż to także brał pod uwagę. Kiedy wyciągnął się na ziemi pod peleryną, wtapiał się pomiędzy krzewy i trawę, stając się praktycznie niewidzialny.

Abelard przestał się paść. Kiedy zobaczył, że Halt położył się do snu, obszedł wszystkie cztery strony kępy drzew, za każdym razem zatrzymując się i nastawiając uszu.

Nasłuchiwał dźwięków nocy, a jego uszy drgały, by wychwytywać je skuteczniej. Zawęszył badawczo na wietrze, poszukując obcych zapachów, które mogłyby sygnalizować bliskość wroga. Gdy sprawdził wszystkie cztery strony świata, wrócił na środek kępy drzew i opuścił łeb, by paść się dalej. Trawa była tu dobra, soczysta i smaczna, a Abelard nauczył się, by jeść, gdy tylko nadarza się okazja.

Ostatecznie koń nie mógł nigdy wiedzieć, kiedy będzie musiał obejść się bez jedzenia.

Halt zasnął przy przyjemnym, uspokajającym dźwięku potężnych zębów chrupiących trawę.

Obudził się tuż przed świtem. W jednej chwili spał, a w następnej był całkowicie rozbudzony, ale nie towarzyszył temu żaden dźwięk, żaden widoczny znak. Otworzył

oczy i był to jedyny ruch, na jaki sobie pozwolił.

Widział ciemny cień konia stojącego kilka metrów od niego i śpiącego na stojąco. Przez kilka minut leżał w ciszy, nasłuchując dźwięków z szarawego przedświt. Słyszał ptaki, rozpoczynające poranny chór. To było krzepiące, bo gdyby w pobliżu czaiło się niebezpieczeństwo, nie zachowywałyby się tak swobodnie. Lekki wiatr szeleścił w wyższych partiach drzew.

Dłoń Halta przez całą noc spoczywała na rękojeści saksy. Teraz, pewien tego, że on i Abelard są sami, rozluźnił uchwyt i usiadł, odsuwając koc i pelerynę. Ranek był chłodny, więc zadrżał, a potem potarł twarz obiema rękami, by odgonić z oczu sen.

Abelard zrobił kilka kroków i stanął nad nim, a potem opuścił łeb i dmuchnął ciepłym oddechem w twarz Halta.

– Czas ruszać na tę ścianę – powiedział zwiadowca.





Po skromnym posiłku – takim samym jak poprzedniego wieczoru – Halt zaczął przygotowywać sprzęt do wspinaczki. Miał duży zwój lekkiej i wytrzymałej liny. Wiedział, że w razie potrzeby wytrzyma jego ciężar, więc położył ją na ziemi. Następnie z torby przy siodle wyjął skórzany worek z żelaznymi hakami i umieścił go obok liny. W ślad za tym poszedł drewniany młotek, obciążony ołowiem i owinięty kilkoma warstwami płótna, by tłumić dźwięk. Jeśli miał wbijać haki w szczeliny skalnej ściany, nie chciał robić przy tym hałasu słyszalnego w promieniu pół kilometra.

Założył cięciwę na łuk i zamocował go bezpiecznie na prawym ramieniu, na pelerynie. Następnie zarzucił na ramię zwój liny i zawiesił młotek na rzemieniu na szyi, poklepał Abelarda po pysku, zgodnie z planem założył mu siodło i podszedł do urwiska.

Uważaj na siebie.

– Zamierzam – odpowiedział. Stał u stóp urwiska i spojrzał w górę. Szczyt skalnej ściany był niewidoczny z tak bliska. Wydawało się, że znika w mglistym świetle

wczesnego poranka. Halt nie musiał widzieć szczytu, by wiedzieć, że czeka go długa i trudna wspinaczka. Poprawił ekwipunek, a potem sięgnął prawą ręką do wąskiej szczeliny w skale i złapał ostrą krawędź.

Szczelina nie biegła pionowo, ale pod kątem, z lewa w prawo, więc miał jakieś oparcie pod spodem, a także z boku, kiedy zaklinał dłoń na jej krawędzi. Wsunął w szczelinę prawą stopę, przekręcając ją tak, by zmieściła się w środku, a potem płynnym ruchem podciągnął się, wykorzystując mięśnie ręki i nogi. Jego lewa ręka ślizgała się po skalnej ścianie, aż wymacał nierówny występ, który umożliwił mu pewny uchwyt. Podciągnął się trochę wyżej, włożył lewą stopę w szczelinę i znalazł oparcie, znów ustawiając ją tak, by zaklinała się pomiędzy skałami. Dłonie, ramiona i nogi pracowały zgodnie, gdy podciągnął się jeszcze o metr.

Uwolnił prawą stopę i podciągnął ją ze zgiętym kolaniem, poszukując punktu podparcia w szczelinie. Kiedy ją zaklinał, jego prawa ręka przesunęła się wzdłuż skalnego pęknięcia. I tym razem znalazł pewny chwyt. Potem, gdy miał już podparcie, lewą ręką poszukał następnego chwytu, znalazł go i podciągnął się o następny metr.

W ten sposób wspinał się, płynnymi ruchami i bez pośpiechu, wybierając uchwyty dla rąk i oparcie dla stóp z namysłem i zawsze zachowując trzy punkty podparcia na surowej skalnej ścianie. W pewnym momencie spojrzał w dół. Ziemia pod nim wydawała się rozczarowująco bliska. Miał wrażenie, że wspiął się już wyżej. Oparł stopy i dłonie, a potem odchylił się lekko, by spojrzeć w górę.

Nie widział szczytu urwiska. Ale dostrzegał linię, gdzie – jak miał nadzieję – znajdowała się półka skalna, jakieś dwadzieścia metrów nad nim.

Szczelina nadal pozwalała mu znajdować pewne oparcie dla stóp i dłoni, gdy posuwał się w górę. Teraz był już dostatecznie wysoko, by przygotować sobie jakieś zabezpieczenie. Zauważył pęknięcie w skale po lewej stronie szczeliny i przyjrzał mu się uważnie. Skała po bokach wydawała się solidna i nieuszkodzona. Sięgnął do skórzanego worka przy pasie i wyjął jeden hak.

Wisząc na prawej ręce, z oboma stopami mocno zaklinowanymi w szczelinie, wykorzystał lewą rękę, by ostrożnie wsunąć hak w wąskie pęknięcie, tak aby utkwiał tam pewnie i nie wypadł, gdy go wypuści. Ostrożnie cofnął dłoń, gotów złapać hak, gdyby miał wylecieć. Ale pozostał na miejscu, a Halt skinął głową z satysfakcją. Następnie wziął owinięty płótnem drewniany młotek, który miał na szyi, i wbił hak trzema mocnymi uderzeniami. Młotek uderzał w hak z głuchym dudnieniem, bez metalicznego brzęku, który byłby słyszalny, gdyby nie ochronna warstwa materiału. Skierował hak pod kątem w głąb pęknięcia. Potem wypuścił młotek, który zawisł mu na szyi, i złapał hak lewą ręką, stopniowo przenosząc na niego ciężar ciała, by upewnić się, że jest dobrze osadzony. Zadowolony z wyniku tej próby, zawiązał na haku luźną pętlę, wypuścił osiem metrów liny i owinał ją sobie wokół piersi, pod ramionami. Gdyby teraz się ześlizgnął, zawisłby na linie zatrzymanej przez pętlę na haku.

– O ile hak wytrzyma – mruknął do siebie, ale odsunął tę myśl. Martwienie się tym, co mogłoby się stać, nic nie dawało. Osadził hak tak mocno, jak zdołał. Nie zacisnął pętli. Będzie się wspinał dalej, a lina pozostanie luźno zaczepiona na haku. Gdyby spadł, powinna się zacisnąć i zatrzymać upadek, ale pozostawiona w ten sposób pozwalała mu w razie potrzeby zsunąć pętlę z haka i uwolnić linę, gdy przyjdzie pora na wbicie następnego haka.

Powtórzył to samo po jakichś dziesięciu metrach. Tak jak planował, luźna pętla zsunęła się z pierwszego haka po trzech próbach przesunięcia jej i uwolnienia. Wbił kolejny hak, zaczepił o niego linę i wspinał się dalej.

Palce, kolana i kostki bolały go od wysiłku utrzymywania ciężaru ciała, szczególnie że nie miał wygodnego pionowego podparcia w szczelinie i musiał klinować dłonie i stopy po jej bokach, by się nie ześlizgnąć. Wiedział, że będzie niedługo potrzebować odpoczynku, więc spojrzał w górę, by sprawdzić, jak daleko znajduje się skalna półka.

Ku jego zaskoczeniu dzielił go od niej tylko metr. Halt podciągnął się na gładki skalny występ. Miał on pół metra szerokości, ale to pozwoliło mu usiąść ze zwieszonymi nogami i plecami opartymi o skalną ścianę. Teraz mógł ocenić swoją sytuację.

Szczelina, którą do tej pory wykorzystywał do wspinaczki, zanikała w tym miejscu. Ale półka ciągnęła się dalej, po skosie w lewą stronę, co oznaczało, że zbliżała się do ogromnego pęknięcia tworzącego Wąwóz Trzech Kroków. Dziesięć metrów dalej półka chowała się za skalnym występem, więc Halt nie widział, jak daleko sięga.

– Cóż, trzeba się trochę rozejrzeć – powiedział do siebie. Szybki rzut oka na skalną ścianę ponad nim ujawnił, że nie ma tam prawie żadnych zaczepów dla rąk i nóg. Może po lewej stronie sprawy wyglądały bardziej obiecująco.

Poza tym tuż ponad nim była skalna przewieszka, którą musiałby pokonać gdyby próbował dalej się wspinać tą drogą. Wychylił się i szarpnął liną, zsuwając pętlę z haka, na którym była zaczepiona, a następnie podciągnął ją, zwinął i zawiesił na ramieniu.

Siedział jeszcze kilka minut, popijając wodę z manierki, a potem zaczął rozprostowywać przykurczone palce i stopy i kręcić obolałymi kostkami nóg. W końcu z westchnieniem przykucnął na półce i wyprostował się na całą wysokość. Spojrzał w dół. Las wydawał się teraz znacznie bardziej odległy, ale nadal widział sylwetkę swojego konia, odchylającego głowę, by patrzeć pomiędzy drzewami.

Nie po raz pierwszy pokręcił głową z podziwem dla inteligencji i wierności koni zwiadowców. Ruszył w kierunku wąwozu, sprawdzając przy każdym kroku, czy półka nie jest ukruszona lub niepewna. Kiedy dotarł do skalnego występu, przycisnął plecy do ściany i centymetr po centymetrze pokonał przeszkodę, poruszając się w bok po o wiele węższym tutaj występie. Wiedział, że wielu ludzi dostałoby zawrotów głowy w momencie, gdy skalna półka tak bardzo się zwięzła, a pod nogami otwarła się

przepaść. Ale on nigdy nie miał lęku wysokości, więc z łatwością pokonał występ.

Uśmiechnął się, gdy zobaczył, co znajduje się dalej. Od wąwozu dzieliło go zaledwie czterdzieści metrów, a półka skalna ciągnęła się aż do skalnej rozpadliny. Druga ściana była wyżej niż ta bliższa Haltowi, więc widział stąd wewnątrz wąwozu. Urwisko nie było tutaj pionowe i wznosiło się pod kątem, co ułatwiało wspinaczkę. Widział też, że skalna ściana pokryta była drobnymi szczelinami i występami skalnymi, a gdzieś tam rosły nawet karłowate krzaki. To wszystko mogło mu zapewnić oparcie dla dłoni i stóp w dalszej wspinaczkę.

Zbliżył się do krawędzi wąwozu, przemieszczając się ostrożnie i unikając niepożądanych hałasów. Skalną półkę pokrywały żwir i kamienie, a on uważał, by nie stracić żadnego z nich. Najprawdopodobniej stukot kamienia spadającego z urwiska byłby niesłyszalny w głębi stromego wąwozu, ale Halt nie zamierzał ryzykować.

Trzy metry od krawędzi wąwozu opuścił się na czworaki i zaczął się czołgać do przodu. Jeśli jakiś człowiek lub inna istota znajdowali się bezpośrednio pod nim, nie chciał, by jego głowa i ramiona były widoczne na tle nieba, gdy spojrzy w głąb wąwozu. Zatrzymał się i sprawdził położenie słońca, upewniając się, czy nie znajduje się za nim, co by sprawiło, że rzuci cień w głąb rozpadliny. Upewniwszy się, że to mu nie grozi, położył się na brzuchu i powoli poczołgał się naprzód.

Pół metra od krawędzi rozpadliny sięgnął do tyłu i naciągnął kaptur peleryny na głowę. To pozwalało ukryć jasny owal jego twarzy i zacierało widoczny kontur głowy. Gdyby ktoś popatrzył w górę, zobaczyłby nieokreślony kształt tworzony przez kaptur i mogący uchodzić za skalny występ.

Pomyślał, że nikt nie będzie skłonny patrzeć w górę, ale nauczył się być przygotowanym na nieoczekiwane.

Za pomocą palców dłoni i stóp przysunął się bliżej do rozpadliny. W końcu jego oczy znalazły się za krawędzią wąwozu i mógł spojrzeć w cienie poniżej.

Początkowo nie widział niczego w ciemności. Słońce nie znalazło się jeszcze dość wysoko, by oświetlić wewnątrz rozpadliny. Ale słyszał ruch, chrzęst ciężkich butów lub sandałów na kamieniach i ostre brzęknięcia metalowej broni lub okuć uderzających o skały.

Potem zwrócił uwagę na mniej oczywisty dźwięk – niskie, gardłowe pomruki. Zwierzęce dźwięki, sprawiające, że poczuł mrowienie na skórze głowy.

Stopniowo jego oczy zaczęły przywykać do półmroku i dostrzegł jakieś ruchy. Potem zobaczył sylwetki w wąwozie, a jego serce zaczęło bić odrobinę szybciej. Skryte w cieniu postacie nie były całkiem wyraźnie widoczne, ale pasowały do opisu, który usłyszał od Pauline i od dowódcy żołnierzy.

Ciężkie, mocno zbudowane, pokryte czarnym futrem. Nie rozróżniał ich rysów, ale widział, że poruszały się niezgrabnie i niepewnie, chociaż w pozycji wyprostowanej. Przez cały czas słyszał stłumione pomruki, dobiegające z kilku miejsc w wąwozie.

Zadrzał, gdy pomyślał, jak musiał się czuć oddział wysłany tu na rekonesans. Bez żadnego ostrzeżenia stanęli oko w oko z tymi nieludzkimi bestiami. Zostali całkowicie zaskoczeni, być może zamarli z przerażenia. To przerażenie kosztowało trzech z nich życie.

Powoli odczołgał się od krawędzi, a gdy to robił, potracił lewą stopą kupkę kamieni. Posypały się za nim z urwiska, odbijając się od skał, obracając w powietrzu i jeszcze raz uderzając o skały.

Zamarł. Pomruki w wąwozie ucichły. Bestie nie powinny usłyszeć kamieni. Ale najwyraźniej usłyszały. Pomruki rozległy się znowu, bardziej nagłące w tonie. Wiedział, że czubek jego głowy jest nadal widoczny na krawędzi wąwozu, więc pozostawał idealnie nieruchomy, ufając, że peleryna zamaskuje i ukryje jego obecność. Wiedział, że absolutnie kluczowe jest pozostawanie bez ruchu. Jeśli ktoś spojrzy w tę stronę, zobaczy nieokreślony kształt na szczycie ściany. Ale gdyby się cofnął, zauważyliby ruch i wiedzieliby, że ktoś tu jest.

Pomruki rozlegały się nadal. Zaczął słyszeć w nich różne tony, jakby bestie wyrażały pytania i odpowiedzi. Oddychał głęboko i równo, uspokajając bijące mocno serce.

Nawet jeśli spadające kamienie wzbudziły ich podejrzliwość, niewiele mogły zrobić. Trudno sobie wyobrazić, by wspięły się po pionowych ścianach wąwozu, żeby to sprawdzić.

Chyba że miały drabinę.

Na tę myśl poczuł, że krew lodowacieje mu w żyłach. Leżał nieruchomo, nasłuchiwał i próbował odgadnąć, co się dzieje w dole. Nie słyszał żadnego dźwięku drewna uderzającego o skałę, który mógłby wskazywać, że jakiś człowiek – jakaś istota, poprawił się – niesie drabinę.

W końcu gardłowe dyskusje poniżej zaczęły przycichać, ponieważ strażnicy nie słyszeli dalszych hałasów i zaczęli tracić zainteresowanie tą sprawą. Nadal czekał nieruchomo. Dziesięć minut. Dwadzieścia.

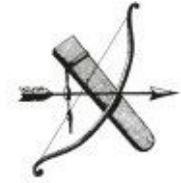
Teraz pomruki i powarkiwania stały się swobodniejsze, zniknęła z nich ostra czujność, która pojawiła się na dźwięk spadających kamieni. Doszedł do wniosku, że nie mają żadnej drabiny ani też nie zamierzają szukać źródła dźwięku, który w dodatku się nie powtórzył.

Odczekał jeszcze dziesięć minut. Jeśli ktoś obserwował szczyt ściany wąwozu, istniała szansa, że już mu się to znudziło. Halt zaczął się cofać z wyjątkową ostrożnością i powolnością, po kilka milimetrów. Gdy ocenił, że jego głowa zniknęła za krawędzią, powoli podniósł się na rękach i kolanach. Wyjął zza pasa manierkę i pozwolił sobie na długi łyk. W ustach zaschło mu z napięcia. Potem, gdy jego oddech wrócił do normy, odwrócił się do skalnej ściany wznoszącej się ponad nim. Tym razem nie było mowy o używaniu młotka do wbijania haków, był za blisko wąwozu. Zastanawiał się, czy nie odejść trochę dalej, ale w tym miejscu zbrocze było odrobinę

mniej strome, co oznaczało łatwiejszą wspinaczkę. Wzruszył ramionami. Będzie musiał sobie poradzić bez haków asekuracyjnych.

– Jak spadnę, to spadnę – powiedział filozoficznie.

To nie sprawiło jednak, by ta perspektywa stała się bardziej kusząca.





Crowley zapukał do drzwi królewskiego apartamentu i czekał, aż usłyszy zaproszenie.

– Proszę.

Otworzył drzwi i wszedł do królewskiego gabinetu. Duncan nie przepadał za przepychem. Nie było tu poczekalni ani szambelana, który zatrzymywałby gości za czerwoną linią. Gdy ktoś zostawał wezwany przed oblicze króla, spotkał się z królem, a nie z jego kolejnymi podwładnymi.

Duncan siedział za ciężkim dębowym biurkiem przy jednym z okien. Do środka wpadało światło słońca, a w jego promieniach tańczyły drobinki kurzu. Król wyciągnął długie nogi pod biurkiem i wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w plik dokumentów. Szybko zapisał coś na jednym z nich, a potem podniósł głowę i uśmiechnął się do Crowleya, gestem zapraszając go bliżej i wskazując krzesło po drugiej stronie biurka.

– Chodź, Crowleyu. Siadaj.

Crowley zajął miejsce, podczas gdy Duncan zebrał papiery przed sobą w równy

stosik i odsunął je na bok. Okiennice były otwarte, a przez okno wpadał lekki wietrzyk, więc postawił na dokumentach ciężki granitowy przycisk, żeby się nie rozsypały.

– Jesteś bardzo zajęty? – zapytał Duncan.

Crowley zawahał się. Był dowódcą zwiadowców, a to oznaczało, że zawsze był zajęty. Musiał uporządkować według ważności przydziały do poszczególnych lenn. Zwiadowców było za mało na tak wiele ziem, więc starał się rozdzielić swoich ludzi tak, by jak najlepiej wykorzystał ich możliwości. Niektóre lenna mogły przez pewien czas poradzić sobie bez zwiadowcy. Musiał jednak pamiętać, że to tymczasowe rozwiązanie i gdy tylko będzie miał do dyspozycji więcej ludzi, będzie musiał się tym zająć.

Ponadto nadzorował treningi nowych uczniów, których przyjął. Byli szkoleni przez swoich mistrzów, ale w regularnych odstępach musieli przechodzić próby pod okiem niezależnego sędziego. Pomagał mu w tym Farrel. Złamana noga nie pozwalała mu wykonywać zwykłych obowiązków zwiadowcy, ale nie miała wpływu na jego umiejętność oceny i oszacowania możliwości młodych ludzi, z zapałem starających się o awans w Korpusie Zwiadowców.

To jednak były codzienne obowiązki i należało zakładać, że król o nich wie. Crowley domyślał się, że pytanie dotyczyło wszelkich nadzwyczajnych zadań, które mogły się pojawić. Z namysłem wykrzywił usta, zanim odpowiedział.

– Nie bardziej niż zwykle, sir. Krążą plotki o czarownicy, która osiedliła się w niewielkim lennie na zachodnim wybrzeżu. To jedno z miejsc, gdzie nie ma zwiadowcy, więc będę musiał znaleźć kogoś, kto tam podjedzie, by ocenić sytuację.

– Czarownica? – zapytał Duncan. – Czy to prawdziwa czarownica?

Crowley wzruszył ramionami.

– Czy jest coś takiego jak prawdziwa czarownica? – odpowiedział pytaniem. Machnął bez przekonania ręką. – Założę się, że to po prostu samotna staruszka, która bawi się w warzenie eliksirów i rozpuszcza plotki, że hoduje demony albo inne trolle.

– Zwykle tak jest – zgodził się Duncan. Wspomniane kobiety najczęściej były uzdrowicielkami z pewną wiedzą na temat ziół i substancji leczniczych. Pomagały wieśniakom, opiekując się chorymi, którzy zazwyczaj wracali dzięki temu do zdrowia. Ale zdarzało się, że ich zabiegi nie przynosiły skutków i pacjent umierał. W takich przypadkach wieśniacy zwracali się przeciwko pechowej kobiecie, twierdząc, że to ona była przyczyną choroby, która dotknęła członka ich rodziny. Kobieta opiekowała się chorym. Chory umarł. To znaczy, że była to wina uzdrowicielki. Wtedy już tylko jeden krok pozostawał do oskarżenia jej o uprawianie czarów.

Czasem, gdy tak się działo, uzdrowicielka potwierdzała te oskarżenia i oznajmiała, że ma nadprzyrodzone moce, by zastraszyć rozgniewanych i pełnych obaw wieśniaków.

– Czy sprawa jest poważna? – dopytywał się Duncan. – Mogę w razie potrzeby wysłać jednego z rycerzy, by się tym zajął.

Ale Crowley potrząsnął głową, zanim król doszedł do połowy swojej wypowiedzi.

– Na razie to tylko powtarzane półgłosem plotki. Możliwe, że sprawa sama się już wyjaśniła. To nic naprawdę pilnego, jeśli jest coś innego, czym trzeba się zająć.

Ostatnie zdanie miało na celu skierowanie rozmowy na inne tory. Było jasne, że Duncan kryje coś w zanadrzu, i tracili czas, rozmawiając o sprawie starej kobiety na zachodnim wybrzeżu.

Crowley zorientował się, że jego domysły były słuszne. Król bawił się małym sztyletem, który trzymał na biurku, żeby rozcinać zapieczętowane dokumenty. Wydawało się, że ma opory przed powiedzeniem, co leży mu na sercu.

– Chodzi o królową – powiedział w końcu Duncan, a dowódca zwiadowców skinął głową ze zrozumieniem. Wszyscy na dworze wiedzieli, że królowa Rosalind, obecnie w siódmym miesiącu ciąży, ma poważne problemy ze zdrowiem. Od kilku tygodni nie opuszczała swoich apartamentów i spędzała większość dnia w łóżku.

– Jej stan się nie poprawia, a uzdrowiciele mówią, że zrobili już, co w ich mocy. Oczywiście, w miarę jak dziecko rośnie, królowej jest coraz trudniej.

– Czy dziecko jest zdrowe? – zapytał Crowley z nieudawanym niepokojem. Poza tym, że lubił i podziwiał parę królewską, w tak niepewnych czasach ważne było, by pojawił się następca tronu. Zarówno syn jak i córka mogli odziedziczyć koronę, a królestwo potrzebowało pewności, że gdyby coś się stało z Duncanem, prawowity następca będzie mógł zająć jego miejsce.

– Na tyle, na ile są w stanie stwierdzić – powiedział Duncan. Na jego twarzy malowała się troska. – Oczywiście w takich przypadkach nikt nie może mieć pewności. Ale nasłuchiwali bicia serca przez to urządzenie w kształcie trąbki, które mój naczelny lekarz przywiózł dwa lata temu z Toskany, i twierdzili, że serce uderza głośno i mocno.

– Cóż, to dobra wiadomość – przyznał Crowley. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, co zdrowie królowej ma wspólnego z nim. Nie nabył żadnych umiejętności związanych z leczeniem, nie miał też żadnego doświadczenia w tych sprawach. Był młodym, niezonatym mężczyzną. Następne słowa Duncana go oświeciły.

– Geoffrey, mój naczelny lekarz, uważa, że tutejsza atmosfera może mieć na nią zdecydowanie zły wpływ. Jest zdania, że mogłaby się poczuć lepiej, gdyby wyjechała gdzieś, gdzie mogłaby odpocząć.

Królewski dwór w Zamku Araluen nie był miejscem sprzyjającym odpoczynkowi. Trwały tu ciągle spory i kłótnie, gdy dworzanie starali się zwrócić na siebie uwagę Duncana lub wkupić się w jego łaski. Stale tliła się gdzieś groźba zdrady związanej z intrygami Morgaratha. Oczywiście, istniało także pytanie bez odpowiedzi, gdzie jest i co zamierza zbuntowany baron. Wszystko to razem sprawiało, że w pałacu panowała ciężka, napięta atmosfera. Każdy dzień przynosił nowe plotki, nowe potencjalne zagrożenia. Miało to wpływ na samego Duncana, który zrobił się wybuchowy i skłonny do irytacji. I niezależnie od tego, jak bardzo starał się uspokajać swoją żonę, nie dało

się uniknąć tego, że ona także martwiła się o niego i o niebezpieczeństwa, jakim musi stawiać czoło każdego dnia. Niepewność gryzła ją i praktycznie uniemożliwiała odpoczynek, odprężenie się i skoncentrowanie się na własnym zdrowiu i zdrowiu dziecka.

Ponadto w grę wchodził jej stan fizyczny. Nawet w idealnych warunkach byłoby jej trudno. Była słabego zdrowia i brzemię, jakie stanowiło rozwijające się dziecko, okazało się po prostu zbyt ciężkie dla jej ciała.

– Dokąd miałyby pojechać? – zapytał Crowley.

– Geoffrey polecił lecznicze źródła przy Opactwie Woldon, jakieś pięćdziesiąt kilometrów stąd. Tamtejsza woda ma niezwykle korzystne właściwości, a siostry z opactwa mają ogromną wiedzę i doświadczenie w opiekowaniu się wątłymi pacjentkami. Powiedział, że to mogłoby jej niezwykle pomóc.

– Poza tym byłaby z dala od codziennych plotek i niepewności na dworze – zauważył Crowley.

Król skinął głową.

– Właśnie. Napisałem do przeoryszy. Odpowiedziała, że jej zdaniem mogłyby pomóc Rosalind w ostatnich miesiącach ciąży i dopilnować, by dziecko bezpiecznie się urodziło.

– Co królowa Rosalind myśli o opuszczeniu Araluenu?

Duncan ściągnął wargi.

– Oczywiście, wolałaby tu zostać. Martwi się o mnie – dodał z nieśmiałym uśmiechem. – Ale martwi się także o zdrowie dziecka, a to znacznie ważniejszy aspekt tej sprawy. Jeśli dzięki temu dziecko będzie bezpieczne, pojedzie do Woldon i zostanie tam, aż narodzi się nasz syn – albo córka.

Crowley odchylił się na krześle.

– Czyli to dobry pomysł – powiedział. Był praktycznie pewien, że wie już, do czego zmierza ta rozmowa. Jeśli królowa miała zostać przewieziona do Opactwa Woldon, będzie potrzebowała podczas podróży uzbrojonej eskorty, dowodzonej przez kogoś zaufanego. Pomyślał, że wie już, kogo król widzi w tej roli.

– Czy chcesz, żebym dowodził jej eskortą?

Duncan skinął głową.

– Nie mogę sobie wyobrazić nikogo, kto mógłby lepiej zadbać o jej bezpieczeństwo – przyznał. – Oczywiście poza mną samym, ale ja nie mogę wyjeżdżać na dłużej z Araluenu.

– To tylko pięćdziesiąt kilometrów – zauważył Crowley.

– Ale podróż będzie przebiegać bardzo powoli – odparł król. – Królowa musi być wieziona bardzo ostrożnie, w wygodnym powozie. Nie może trząść się na nierównych drogach i nie może pokonywać zbyt dużej odległości dziennie.

– Jak liczną eskortę chcesz jej przydzielić? – zapytał Crowley.

Król odpowiedział natychmiast, co przekonało Crowleya, że zastanawiał się nad tym już od jakiegoś czasu.

– Oczywiście ciebie jako dowódcę. A także jednego z młodszych rycerzy z oddziałem dwudziestu konnych.

Crowley zastanowił się. To była rozsądna eskorta, ale chyba trochę za duża. Dwudziestu ludzi będzie stanowiło nadmierne obciążenie dla każdej karczmy czy posiadłości, w której będą się zatrzymywać, a przygotowania do wyruszenia w dalszą drogę będą zajmować zbyt wiele czasu. Ponadto grupa tej wielkości będzie zwracać uwagę, a ludzie mogą próbować się dowiedzieć, kto taki jedzie w powozie. Wyraził te zastrzeżenia na głos. Oczywiście Duncanowi zależało w najwyższym stopniu na bezpieczeństwie żony podczas podróży, ale dostrzegał logikę w argumentach Crowleya, więc po chwili zastanowienia zgodził się z nim.

– Dziesięciu zbrojnych pod wodzą rycerza – uznał zwiadowca. – Chciałbym też uwzględnić możliwość walki na odległość. Może pięciu konnych łuczników.

Mężczyźni tacy jak Duncan – rycerze i wojownicy – mieli skłonność myśleć tylko w kategoriach miecza i lancy. Ale król potrafił dostrzec zalety dołączenia do oddziału łuczników.

– Jeszcze jedno – dodał Crowley. – Nie możesz sobie pozwolić na pozostawienie dwudziestu żołnierzy do ochrony królowej podczas jej pobytu w leczniczych źródłach. Nawet dziesięciu sprawi, że twoje siły zostaną osłabione. Moim zdaniem należy zostawić pięciu zbrojnych, żeby jej strzegli, i jeszcze dwóch łuczników.

Duncan skinął głową.

– Musimy to zachować w absolutnej tajemnicy. Nikt nie może się dowiedzieć, że królowa jedzie do Woldon. Nadal są tu ludzie, którzy mnie nienawidzą, i nie zaskoczyłoby mnie, gdyby któryś z nich wykorzystał Rosalind, by uderzyć we mnie.

– Tym bardziej należy wysłać mniejszy oddział – stwierdził Crowley. – Sam wybiorę łuczników. Nie muszą nawet wiedzieć, dokąd jadą ani kogo będą eskortować. Zakładam, że ty, panie, wybierzesz zbrojnych?

Crowley z łatwością potrafił ocenić umiejętności łuczników, których zamierzał zabrać, ale Duncan miał większą wiedzę, jeśli chodziło o pozostających w jego służbie rycerzy i wojowników.

– Wyznaczę młodego Athola jako dowódcę oddziału – powiedział król. – To dobry przywódca i ma głowę na karku. Oczywiście, dam mu jasno do zrozumienia, że dowódcą całej misji będziesz ty. To ty masz podejmować wszelkie ważne decyzje.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie ich zbyt wiele – westchnął Crowley. Na chwilę zapadła cisza, gdy obaj mężczyźni zastanawiali się nad najbliższymi dniami i wyobrażali sobie mały oddział wędrujący przez kraj.

– Kiedy powinniśmy wyruszyć? – zapytał Crowley.

– Czy pojutrze to będzie zbyt szybko? – odpowiedział pytaniem Duncan. Teraz, gdy

decyzja została podjęta, chciał jak najprędzej wyprawić Rosalind w drogę.

Crowley zastanowił się przez moment i skinął głową.

– To da mi czas na załatwienie paru spraw – powiedział. – I przekazanie obowiązków Farrelowi. Na swój sposób mieliśmy szczęście, że złamał tę nogę. Bardzo dobrze jest mieć go pod ręką.

– Tak – odparł król, ale jego głos był nieobecny.

Crowley pochylił się i nakrył dłonią jego dłoń.

– Nie martw się, panie. Będę jej strzegł nawet za cenę własnego życia – przyrzekł.





Druga połowa wspinaczki była łatwiejsza niż pierwsza. Urwisko stało się mniej strome i łatwiej było się na nie wspiąć niż na gładką skałę, z którą Halt musiał się zmierzyć na początku. Chociaż nie znalazł już długiej szczeliny zapewniającej mu oparcie, miał pod dostatkiem pęknięć i wyszczerbień w granicie, a także małych skalnych występów, które pomagały mu podciągać się coraz wyżej.

Kilka metrów od szczytu zatrzymał się, by złapać oddech i zastanowić się nad tym, co dalej. Znalazł krzak z grubym pniem, wyrastający ze ściany urwiska. Sprawdził jego wytrzymałość, szarpiąc za gałęzie i stopniowo przenosząc na niego cały ciężar ciała. Krzak wytrzymał, więc Halt przełożył nad nim jedną nogę i usiadł okrakiem, opierając się plecami o twarde granit.

Poczuł na twarzy drobniutką mgiełkę deszczu. Płaskowyże miało swój mikroklimat, spowodowany najprawdopodobniej wilgotnym morskim powietrzem, przynoszonym przez wiatr z południa i wschodu. Chmury wisiały nad spłaszczonym górskim wierzchołkiem, tworząc grube szare zwały, podczas gdy na północy niebo było czyste

i niebieskie.

Deszcz chłodził jego głowę i twarz po wysiłku długiej wspinaczki. Jednak po kilku minutach zaczęło mu się robić zimno. Znowu naciągnął kaptur – zdjął go, gdy opuścił punkt obserwacyjny nad wąwozem – i skulił się pod peleryną. Deszcz spływał swobodnie po wełnianej tkaninie, impregnowanej naturalnym tłuszczem. Minie jeszcze kilka godzin, zanim peleryna przemoknie.

Nie miał pojęcia, co go czeka za krawędzią urwiska. Wiedział, że Morgarath uciekł z Gorlanu z oddziałem liczącym jakichś stu pięćdziesięciu żołnierzy. Należało zakładać, że większość z nich została z baronem. Można się też było spodziewać, że Morgarath rozmieścił strażników na brzegu urwiska – ludzi spośród zbrojnych, którzy mu towarzyszyli, lub spośród nowych rekrutów w jego armii.

– Wargalowie – powiedział cicho Halt. To było paskudne słowo, przywołujące nieprzyjemny obraz półludzi, półbestii, których zwerbował Morgarath. Tak niewiele było wiadomo o siłach i zamiarach zbuntowanego barona. Halt mógł stanąć oko w oko z dziesięcioma takimi istotami. Albo setką. Albo więcej.

Wzdrygnął się na tę myśl.

Zsunął z głowy kaptur i zaczął nasłuchiwać, przekręcając głowę z boku na bok, by wychwycić nawet najcichsze dźwięki. To nasunęło mu kolejną myśl. Cięciwa jego łuku zamokła i rozciągnęła się, a to oznaczało, że łuk będzie strzelać z mniejszą siłą. Oczywiście, nasmarował cięciwę obficie pszczelim woskiem, by chronić ją przed działaniem wody, ale nawet wosk nie mógł sprawić, że będzie całkowicie sucha. W kurtce miał schowane zapasowe cięciwy, ale nie wiedział, czy zdąży naciągnąć je na łuk, gdy już znajdzie się na górze. Z pewnością nie mógł tego zrobić tu, gdzie był.

To oznaczało, że jego najskuteczniejsza broń była nieprzydatna, więc musiał postawić na pozostanie niezauważonym. Będzie musiał się przemieszczać powoli i po cichu, ostrożnie wyglądając znad krawędzi urwiska, by sprawdzić, czy może bezpiecznie przejść.

A jeśli nie? Jeśli stanie twarzą w twarz z jedną z tych niedźwiedziowatych istot?

– A jeśli trafi mnie piorun albo pożre lew? – wymamrotał. Wiedział, że zastanawia się na tym tylko po to, by odwlec chwilę, w której będzie musiał znowu się wspinać. Odpoczął już i był gotów ruszać dalej. Jego łuk mógł stać się mniej skuteczny niż zwykle, ale pozostawały mu saksa i nóż do rzucania.

Spojrzał w lewo, a potem w górę, wypatrując uchwytów, które wykorzysta, i planując drogę na ostatnie kilka metrów wspinaczki, jakie mu zostały. Potem przełożył nogę nad krzakiem, obrócił się i wyciągnął lewą rękę do uchwytu. Metr poniżej znajdował się mały występ skalny, na którym lewa stopa zwiadowcy mogła znaleźć oparcie. Wsparł się więc, chwycił mocno lewą ręką szorstkiej skały i podniósł się z krzaka, a potem postawił na występie prawą nogę, by zapewnić sobie porządne podparcie. Wyprostował prawe kolano i podciągnął się na lewej ręce,

podczas gdy prawa przesuwiała się po skale tak długo, aż wymacał wąski kamienny występ. Był szeroki na zaledwie dwa centymetry, to jednak wystarczyło, by dać Haltowi mocny, porządny chwyt. Wypróbował go, przenosząc coraz więcej ciężaru swojego ciała, ale nie zrezygnował z oparcia, jakie dawały mu prawa stopa i lewa ręka. Uznał, że występ jest solidny, więc odepchnął się mocno i przesunął się kawałek w górę po skale.

Pomyślał, że dla każdego obserwatora wygląda zapewne jak ogromny szary pająk, rozpięty na skale. Tyle że żaden pająk nie poruszał się aż tak powoli. Wspinał się dalej, wyszukując na przemian punktów oparcia dla dłoni i stóp, sprawdzając ich wytrzymałość i przenosząc na nie ciężar ciała, by podciągnąć się w górę o kolejne pół metra.

Twarz miał przyciśniętą do szorstkiej i mokrej powierzchni skały. Na szczęście deszcz nie sprawił, że stała się gładka i śliska. Nierówna, spękana powierzchnia granitu zabezpieczała go przed ześlizgnięciem się.

Jeszcze metr. Wierzchołek urwiska wabił go. Halt zatrzymał się, uspokoił oddech i zaczął uważnie nasłuchiwać.

Cisza.

Wybrał trzy następne punkty oparcia i pokonał pozostałą odległość, tak że jego głowa znalazła się tuż poniżej krawędzi płaskowyżu. Zawisł na rękach, wczepiony palcami w skałę, z większością ciężaru ciała opartą na zgiętej w kolanie prawej nodze.

Potem z wyjątkową ostrożnością wyprostował kolano i podciągnął się w górę, mimo szorstkiej skały czepiającej się jego ubrania, aż wychylił się ponad linię urwiska. Gdy nad krawędź wynurzył się czubek jego głowy i oczy, Halt znieruchomiał i rozejrzał się po płaskowyżu.

Nic.

Sterty wilgotnych, lśniących skał. Kilka karłowatych, poskręcanych drzewek i krzaków o szarych liściach. Żadnych ludzi. Żadnych przypominających niedźwiedzie wargalów.

Odetchnął z ulgą, a potem podciągnął się i wydostał zza krawędzi skalnej ściany, ale nie wstawał, na wypadek gdyby czyjeś nieprzyjazne oczy obserwowały okolice. Przetoczył się po kamienistym gruncie, czując wbijający się w ciało ostry żwir, aż w końcu znalazł schronienie za dużym głazem kilka metrów dalej.

Przyklęknął, a następnie powoli podniósł się na nogi, osłonięty skałą. Rozglądał się na wszystkie strony i nasłuchiwał najlżejszego dźwięku sygnalizującego niebezpieczeństwo.

Nadal nic.

Deszcz uderzał miękko o skały. Na płaskowyżu wiał wiatr. Nie było jednak nawet śladu żywej istoty. Halt powoli stanął prosto i rozejrzał się po otaczającym go terenie.

To miejsce było jałowe i przynębiające. Tu i ówdzie leżały głazy i wielkie

kamienie – niektóre pojedynczo, inne spiętrzone w stosy wyższe od jego głowy – a pomiędzy nimi rosły krzaki. Ich pokręcone pnie i zniekształcone gałęzie były pokryte szarą korą, pobrużdżoną, pełną pęknięć i szczelin. Żaden nie był wyższy niż trzy metry, a wiele nie wystawało ponad skalne formacje. Wszystkie przechylały się w tę samą stronę. Oczywiście było to spowodowane wiatrem wiejącym najczęściej z południa, niosącym ze sobą wilgotny zapach morza.

Pomiędzy głazami zostało trochę miejsca, ale zdecydowanie nie przypominało ono ścieżki. Halt wyszedł spod osłony głazu, za którym się chował, i zaczął szukać przejścia pomiędzy rozrzuconymi skałami. Szedł zygzakiem, ponieważ drogę często zagradzały mu kamienie, ale cały czas kierował się z grubsza na południe. Droga była trudna. Nawet tam, gdzie wydawało się, że jest przejście, ziemia pokryta była nierównym, chropowatym żwirem i kamieniami, a niektóre były wielkości jabłka. Obracały się pod jego stopami i groziły skręceniem kostki przy nieostrożnym kroku.

Co kilka metrów przykucnął pod osłoną większego głazu i przyglądał się drodze przed nim – i za nim. Gdy szedł, ramiona mu sztywniały, czuł mrowienie na skórze z lęku, że jakiś człowiek lub jakaś istota porusza się za nim. Ale kiedy się zatrzymywał i oglądał za siebie, niczego nie widział.

Naraz usłyszał dźwięki.

Gardłowe. Ochryple. Rytmiczne.

To był dźwięk wielu głosów pomrukujących lub powarkujących jednocześnie. Halt poczuł, że zaczynają mu się jeżyć włosy u nasady karku. W tym dźwięku było coś jednoznacznie obcego, jednoznacznie groźnego. Dochodził z południa, zza linii skał, które zasłaniały mu widok. Teren podnosił się tutaj stopniowo. Nie zauważył tego wcześniej, ale teraz sobie uświadomił, że wybierając drogę przez labirynt kamieni, porusza się w górę, a linia horyzontu znajduje się zaledwie pięćdziesiąt metrów od niego.

Pomruki, rytmiczne, ale niemelodyjne, stawały się coraz głośniejsze w miarę, jak zwiadowca posuwał się naprzód, ostrożnie stawiając stopy na kamieniach i piachu. Teraz słyszał jeszcze inny dźwięk, dopasowany do pomruków.

Kroki. Buty lub sandały uderzały w ziemię jednocześnie i w zgodnym rytmie.

– Urrgh!

Trzask!

– Urrgh-urrgh!

Trzask!

– Urrgh!

Trzask!

Dźwięki stawały się coraz głośniejsze, w miarę jak zbliżał się do linii skał. Stałe. Niezmienne. Złowrogie.

Uświadomił sobie, że słyszy odgłosy grupy ludzi – lub istot – ćwiczących za skałami

musztrę. Ostatnie kilka metrów pokonał na ugiętych nogach, a potem zaczął się posuwać dalej na czworakach. Kierował się do dwóch skał, które stały tuż obok siebie, tworząc szczelinę w kształcie litery V. Na dole szczelina miała zaledwie kilka centymetrów szerokości i w tym miejscu Halt przyłożył oko, by spojrzeć, co znajduje się dalej.

Za skałami teren obniżał się przez trzydzieści metrów, a dalej przechodził w otwartą równinę o powierzchni jakichś czterystu metrów kwadratowych. Na południe i zachód zamykała ją kolejna poszarpana linia nierównych skał. Na wschodzie wznosiły się strome zbocza niewysokiej góry. Halt przyjrzał się jej i dostrzegł rozpadliny w skalnej ścianie – na poziomie ziemi, a także wyżej. Obserwując je, dostrzegł w jednej z nich poruszenie i uświadomił sobie, że mieszkają tam ludzie albo bestie. Z kilku ognisk unosił się dym, a pomiędzy skałami zauważył płócienne osłony i dachy. Zrozumiał, że to kwatery mieszkalne. Ale bardziej przykuło jego uwagę to, co działo się na równinie. Jakieś sto metrów od jego punktu obserwacyjnego ciemne sylwetki ustawiły się w wojskowej formacji. Oszacował, że oddział liczy około osiemdziesięciu nieludzkich żołnierzy. Byli przysadziści i potężnie zbudowani, pokryci długim czarnym włosem. Mieli jakieś półtora metra wysokości i stali wyprostowani na masywnych nogach. Ich ramiona były długie jak u goryli, z wielkimi dłońmi zakończonymi palcami z przeciwstawnym kciukiem, pozwalającym im trzymać broń – przeważnie krótkie, ciężkie włócznie, chociaż część z nich nosiła miecze o nierównych ostrzach.

Ich twarze były groteskowe – przypominały pysk niedźwiedzia, ale także trochę goryla. Grube brwi ocieniały głęboko osadzone oczy, a spod zawiniętych warg widać było żółtawe zęby. Długie kły wysuwały się spomiędzy potężnych zębów trzonowych. Nosili coś, co przypominało czarne skórzane zbroje, a każdy miał na głowie metalowy hełm.

Gdy Halt patrzył przez szczelinę w skałach, rytmiczne nawoływanie i tupanie ucichło i przez moment myślał, że musieli go zauważyć.

Ale zaraz zaczęli znowu. Unieśli włócznie i jednocześnie wykonali pchnięcie do przodu. Wydali ten przerażający pomruk, który słyszał wcześniej, i zrobili krok naprzód, tak że osiemdziesiąt prawych stóp uderzyło w ziemię, wzniecając chmurę kurzu. Potem powtórzyli manewr, tupiąc, pomrukując i zadając ciosy w powietrze, kierując się w stronę skał, za którymi kucał w ukryciu Halt.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Gdy patrzył na ćwiczących musztrę wargalów, poczuł leciutkie muśnięcie własnej świadomości przez coś z zewnątrz.

To było słabe i przelotne uczucie, ale miał niejasne wrażenie, że gdzieś ktoś próbuje do niego przemówić – chociaż nie słyszał żadnych słów. Gdy spróbował się skoncentrować na tym uczuciu, zniknęło. Potem, po kilku sekundach, wróciło.

Przynajmniej tak mu się wydawało. Uczucie było tak ulotne, że nie miał pewności, czy w ogóle istnieje. Potrząsnął głową, by oprzytomnieć, a uczucie znowu zniknęło.

Tym razem nie wróciło.

– Mam jakieś omamy – mruknął do siebie.

Wytrącony z równowagi, odsunął się od szczeliny w kształcie litery V i oparł się o skały, za którymi się chował.

W tym momencie zobaczył szybki ruch za sobą. Jakiś człowiek – lub inna istota – schował się za grupą skał.





ROZDZIAŁ 9

W jaskini na wyższym poziomie, ponad rzędami na miotów i zadaszeń, Morgarath stał przy dużym skalnym otworze, będącym naturalnym oknem.

Poniżej widział plac treningowy. Kilkaset metrów od niego oddział wargalów ćwiczył musztrę.

Morgarath oparł się o skalny występ na wysokości pasa. Przez kilka sekund przyglądał się doskonalącym swe umiejętności wargalom, a potem zamknął oczy i skoncentrował się z całej siły.

W głowie utworzył obraz wargalów posuwających się równą linią o cztery kroki, robiących zwrot w prawo i przesuujących się jeszcze o dziesięć kroków, czemu towarzyszyły pchnięcia włócznią.

Zmarszczył mocno brwi z powodu intensywnej koncentracji. Trzymał się tego obrazu, powtarzając ruch raz za razem i oddychając krótkimi haustami z powodu wysiłku, jaki go to kosztowało. Otworzył oczy, a na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech.

Wargalowie zrobili zwrot w prawo i maszerowali naprzód, tak jak im rozkazał.

Za nim stało polowe siedzisko, zrobione z drewna i płótna, na które opadł teraz, wyczerpany. Ćwiczył kontrolę umysłu, od kiedy zwerbował wargalów, i stopniowo stawał się w niej coraz bardziej biegły. Nadal jeszcze nie nauczył się precyzyjnie kierować myślowych rozkazów, ale szło mu już coraz lepiej.

Wargalowie zrobili dziesięć kroków, tak jak sobie to wyobraził, i zatrzymali się w oczekiwaniu na dalsze polecenia. Odetchnął głęboko i znowu stanął przy nieregularnym oknie. Zamknął oczy i skoncentrował się.



Głaz, przy którym Halt zauważył poruszenie, znajdował się czterdzieści metrów za nim. Zwiadowca siedział bez ruchu, z głową wciągniętą w ramiona, opierając się pokusie pochylenia się i przyjrzenia się dokładniej.

Obserwator w skałach – jeśli to był obserwator – nie dostrzegłby u niego żadnej reakcji, żadnej oznaki, że zauważył ruch i był teraz absolutnie czujny.

Pomyślał, że oczywiście mógł to być mały ptak lub zwierzę, szukające schronienia wśród kamieni. Ale nie widział żadnego ptaka od momentu wejścia na płaskowyż. Nie słyszał też w pobliżu żadnych ptasich głosów.

Może w takim razie drobne zwierzę? Królik albo zając. Może nawet duży szczur?

Ale ten ruch nastąpił półtora metra nad ziemią – mniej więcej na wysokości kłęczącego lub kucającego człowieka.

Czyli duże zwierzę? Przeszły go ciarki, gdy uświadomił sobie, że mógłby go tropić jeden z tych przerażających wargalów. Nawet przelotny widok bestii ćwiczących na placu napełnił Halta przeświadczeniem o ich nieustępliwości i zaciekłości. Jeden z nich może tu być, obserwować go ze szczeliny pomiędzy skałami, tak samo jak on obserwował musztrę oddziału przed sobą. Odetchnął głęboko. Cokolwiek to było, ktokolwiek to był, on nie mógł absolutnie okazać, że coś zauważył. Odpiął od pasa manierkę, odkorkował ją i wypił duży łyk wody.

Nie potrzebował tego właściwie, ale wiedział, że człowiek, który ma świadomość, iż jest obserwowany, nie byłby wystarczająco odprężony, żeby się napić. Ponownie zaczepił manierkę o uchwyt przy pasie. Głowę miał pochyloną, ale patrzył wyżej, korzystając z tego, że oczy ocieniał mu kaptur peleryny. Wypatrywał miejsca, gdzie wcześniej zauważył ruch.

Znowu go dostrzegł. Pół metra na prawo od miejsca, gdzie poprzednio widział ruch, zza skały powoli wyłoniła się twarz. Zobaczył blady owalny kształt i poczuł przypływ ulgi. Przynajmniej to nie było czarne futro i długie kły wargala. To był człowiek. Przez moment Halt zastanawiał się, czy to może być jeden z ludzkich podwładnych

Morgaratha, ale odrzucił ten pomysł. Gdyby tak było, nowo przybyły z pewnością zaatakowałby Halta i podniósł alarm. Ostatecznie mógł liczyć na bardzo silne wsparcie. Jego skradanie się świadczyło, że tak samo jak Halt nie chciał zostać zauważony przez wargalów. Twarz schowała się znowu za skałą. Halt czekał. Kilka minut później znowu się pojawiła i przesunęła, żeby się mu przyjrzeć. Zwiadowca siedział bez ruchu, udając brak zainteresowania.

Twarz schowała się za głazem.

Halt zaczął liczyć. Doliczył do trzydziestu pięciu, gdy twarz pojawiła się znowu. Ktokolwiek znajdował się za tymi skałami, naprawdę starał się mieć oko na Halta. Być może ośmielony tym, że najwyraźniej do tej pory pozostał niezauważony, obserwator pozostał widoczny tym razem przez dziesięć sekund. Potem powoli się cofnął.

Gdy tylko to zrobił, Halt zaczął działać. Złapał pelerynę, owinał się nią i przetoczył się po ziemi w prawo. Ułożył ciało w taki sposób, żeby widzieć skałę, za którą chował się tamten. Pokonał jakieś dziesięć metrów, a potem zastygł bez ruchu za rzędem głazów, z twarzą ukrytą pod kapturem peleryny.

Policzył do piętnastu. Wtedy twarz powoli wyłoniła się zza skały. Tym razem Halt zauważył zaskoczenie obserwatora. Postać podniosła się lekko, szukając lepszego punktu obserwacyjnego.

Halt uśmiechnął się ponuro. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że po prostu zniknął. Był uzdolniony w sztuce nierzucania się w oczy i wiedział, że szare i zielonkawe cętki peleryny zacierają zarys jego ciała leżącego na ziemi, sprawiając, że wtapia się pomiędzy rozrzucone chaotycznie szare kamienie i skały oraz ciemnozielone krzaki.

Zaufaj pelerynie. Pritchard wbijał mu to do głowy setki razy, kiedy Halt ćwiczył pod jego okiem. Ruch byłby jedyną rzeczą, jaka mogła zdradzić jego obecność. Leżał nieruchomo jak kamienie wokół niego, oddychając płytko, by zredukować poruszenia do absolutnego minimum.

Głowa pozostawała widoczna przez dobre pół minuty, obracając się w prawo i w lewo, gdy obserwator próbował odgadnąć, gdzie zniknęła jego zwierzyna. Halt był teraz pewien, że dostrzeże w nim desperację i nerwowość. Z ociąganiem twarz znowu zniknęła za skałą, gdy jej właściciel uznał, że musi się zastanowić nad sytuacją. Halt napiął mięśnie, by się poruszyć, ale jakiś szósty zmysł przestrzegł go przed tym, więc pozostał na dotychczasowym miejscu.

Dziesięć sekund później twarz pojawiła się znowu, a obserwator rozglądał się pośród skał i krzaków.

Po czym znowu się ukrył.

Halt uznał, że tym razem będzie miał więcej czasu na działanie, ponieważ obserwator został zaskoczony jego zniknięciem bez śladu. Wycofał się, a potem wyjrzał jeszcze raz, by to sprawdzić. Pomyślał, że teraz tamten będzie się zastanawiać,

co robić dalej – przemieścić się, czy nie ruszać się z miejsca. Tak czy inaczej pozostanie w ukryciu dłużej niż poprzednio.

Z tą myślą Halt podniósł się, przykurczony, prawie na czworakach pokonując nierówny teren. Wślizgnął się za grupę głazów jakieś trzydzieści metrów od miejsca, w którym się wcześniej znajdował. Zatrzymał się i przykucnął, by z cienia wielkiego głazu popatrzeć w miejsce, gdzie wcześniej widział twarz.

Obserwator znowu ostrożnie się pokazał. W jego ruchach wyraźnie już widać było zaniepokojenie. Podniósł się wyżej, tak że jego głowa i ramiona znalazły się nad skałami, i wpatrywał się w miejsce, gdzie wcześniej był Halt. Zdumiony, zniknął znowu w ukryciu.

Halt podniósł się i pobiegł truchtem pod takim kątem, by okrążyć tamtego. Gdy znalazł się na wysokości skał, znowu przykucnął, żeby się ukryć.

Pomyślał, że zrobił to w samą porę, bo w polu jego widzenia pojawiła się głowa i ramiona. Był teraz bliżej i dostrzegał więcej szczegółów. Mężczyzna – bo to był mężczyzna – miał długie, rozczochrane siwe włosy i potarganą brodę sięgającą mu do piersi. Jego ubranie było stare i obszarpane, wiele razy łatanie. Jego wygląd potwierdził podejrzenia Halta, że nie ma do czynienia z jednym z ludzi Morgaratha.

Mężczyzna rozejrzał się i przez moment patrzył prosto na Halta, przykucniętego zaledwie dwadzieścia metrów od niego. Halt zamarł, walcząc z niemal nieodpartą pokusą, by wycofać się za skały. Gdyby to zrobił, natychmiast ujawniłby, gdzie się znajduje. Wytrzymał spojrzenie tamtego mężczyzny, nie poruszając żadnym mięśniem. W końcu twarz odwróciła się od niego, by przyjrzeć się drugiej stronie kamienistego pola.

Halt wykorzystał tę okazję, by prześlizgnąć się jeszcze dziesięć metrów za miejsce, w którym ukrywał się tamten, tak żeby mógł niepostrzeżenie znaleźć się za jego plecami. Jak długo śledzący go mężczyzna nie zmieniał pozycji, tak długo Halt w ciągu krótkiej chwili mógł znaleźć się tuż przy nim.

Wtedy, nareszcie, mężczyzna opuścił swoją kryjówkę i zaczął się przemieszczać w lewo, kierując się wprost na skały, w których ukrywał się Halt. Nie odrywał wzroku od miejsca, gdzie po raz ostatni widział zwiadowcę, i szedł bokiem, jak krab, przykucając, by pozostać schowanym i przemykając od jednego kamienia do następnego.

Dłoń Halta przesunęła się na rękonożkę saksy. Słyszał cichy chrzęst stóp mężczyzny na kamieniach, a potem chrapliwy dźwięk nierównego oddechu. To, bardziej niż cokolwiek innego, powiedziało Haltowi, że mężczyzna jest przerażony i zaskoczony niewyjaśnialnym zniknięciem tropionej zdobyczy.

Zbliżył się, a Halt wyczuwał, że tamten kuca po drugiej stronie głazu, za którym sam znalazł schronienie. Z której strony postanowi obejść skałę? Z przodu czy z tyłu? Pojawi się po prawej, czy po lewej stronie Halta?

Wyteżył słuch i usłyszał lekkie poruszenie. Dobrze. Mężczyzna przesunął się z przodu skały, co oznaczało, że wyłoni się po prawej stronie Halta, plecami do niego. Zwiadowca bezgłośnie wysunął sakwę z pochwy i napiął mięśnie, gotowy do błyskawicznego działania.

Siwowłosa sylwetka pojawiła się przed nim, przykucnięta i przyglądająca się dalszej drodze. Najwyraźniej mężczyzna dalej nie rozumiał nagłego zniknięcia Halta. Halt słyszał głośniejszą ciężką, nerwową oddech tamtego. Przyjrzał się ubraniu mężczyzny. Obszarpane i połatane wełniane spodnie, stopy owinięte chyba zwierzęcymi skórami, przytrzymywanymi przez rzemienie. Na ramiona miał zarzuconą krótką pelerynę, także ze skóry zwierzęcej. Jego głowę osłaniał bezkształtny filcowy kaptur. Potargane włosy spadały mu na ramiona.

Halt podniósł się za nim jak szary cień. W ostatniej chwili mężczyzna musiał usłyszeć jakiś cichy dźwięk i zaczął się obracać, wyczuwając za sobą niebezpieczeństwo.

Halt uderzył go ciężką mosiężną rękodzięcią saksy w głowę, zanim mężczyzna zdążył się do końca odwrócić. Rozległ się głuchy, paskudny dźwięk i mężczyzna poleciał przed siebie z cichym okrzykiem. Kolana ugięły się pod nim i upadł na gruby piach wymieszany ze żwirem.

Leżał twarzą do ziemi, więc Halt złapał go za ramię, żeby go obrócić. Nie napotkał żadnego oporu. Ciało było bezwładne. Halt położył mężczyznę na plecach i sięgnął, by odsunąć kciukiem jedną powiekę.

Pod odsuniętą powieką zobaczył tylko białko oka. Mężczyzna był nieprzytomny.

Albo martwy, co nagle przyszło Haltowi do głowy. Uderzył trochę mocniej, niż zamierzał. Położył teraz dłoń na piersi mężczyzny i z ulgą poczuł, że podnosi się i opada równym rytmem wdechów i wydechów.

Teraz, gdy miał po temu okazję, przyjrzał się twarzy nieznanego. Był starszy od Halta, mógł mieć pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat. Jego twarz była ogorzała i pobrużdżona, zbrązowiała od ostrego słońca i przenikliwego wiatru na płaskowyżu. Nos miał długi i zakrzywiony, wyraźnie złamany jakiś czas temu. Brwi były gęste i nieprzycinane, twarz wychudzona, z zapadniętymi policzkami i wydatnymi kośćmi policzkowymi.

Mężczyzna był nieuczesany i brudny, a jego ubranie było poplamione i połatane, co Halt zauważył już wcześniej. Był też chudy, ramiona i nogi miał patykowate, z widoczną siatką ścięgien i żył. Nie wyglądał na kogoś, kto pracuje dla Morgaratha. Raczej jak żebrak, odludek, ktoś, kto śpi pod gołym niebem i sam musi się wyżywić.

Miał zadrapanie na czole w miejscu, gdzie upadł twarzą na kamienie. Halt złapał go za ramiona i podciągnął do pozycji na pół siedzącej, po czym oparł mężczyznę o skałę. Wtedy odkorkował manierkę i wylał na jego czoło trochę zimnej wody, pozwalając, by spłynęła mu po twarzy.

Chłodna woda sprawiła, że mężczyzna drgnął. Halt położył kciuk na jego dolnej wardze i otworzył mu usta, tak żeby mogło w nie ścieknąć trochę wody. Z nadal zamkniętymi oczami mężczyzna przełknął odruchowo, czując wodę, a potem zakrztusił się i zakasłał. Błyskawicznie się wyprostował i szeroko otworzył oczy, pełne przerażenia.

Spróbował się podnieść, ale Halt był na to przygotowany i położył mu rękę na piersi, żeby go przytrzymać. Wzrok mężczyzny skoncentrował się i stał się przytomniejszy, gdy przyglądał się brodatej twarzy nad sobą.

– Nie jesteś... – zaczął i urwał.

– Kim nie jestem? – zapytał Halt.

Mężczyzna potrząsnął głową, jakby próbował dodatkowo wyostrzyć obraz. Haltowi przyszło do głowy, że tamten może widzieć podwójnie po ciosie w tył głowy.

– Nie jesteś... jednym z nich... – powiedział mężczyzna. Jego głos był słaby i piskliwy, słowa wymawiał niewyraźnie, jakby nie był przyzwyczajony do zbyt częstego mówienia.

– Wargalem? – zapytał Halt i zobaczył błysk strachu w wodnistych niebieskich oczach. – Nie, nie jestem wargalem. Ale widzę, że wiesz, kim oni są.

Mężczyzna skinął głową i przełknął dwukrotnie ślinę, a potem wskazał gestem manierkę, którą Halt trzymał w lewej ręce. Zwiadowca podał mu ją, a mężczyzna wziął ją od niego, przechylił do ust i wlał w nie wodę. Tym razem był na to przygotowany, więc się nie zakrztusił. Przełknął chciwie.

– To dobrze – powiedział z lekkim roztargnieniem. Potem znowu spojrzał na Halta.

– I nie jesteś z Czarnym Lordem? – zapytał niepewnie. Było oczywiste, kogo tytułuje w ten sposób.

– On się nazywa Morgarath – powiedział Halt.

– Ja nazywam go Czarnym Lordem – odparł mężczyzna.

Halt pozwolił sobie na ponury uśmiech.

– To dobre określenie dla niego – powiedział. – Z wielu powodów. Ale nie, nie jestem z nim. Można powiedzieć, że jestem całkowicie przeciwko niemu.

W oczach siwego mężczyzny zalśnił cień ulgi. Pomyślał, że brodaty nieznajomy nie przypomina jednego z ludzi Czarnego Lorda. Ostatecznie ocucił go i dał mu wodę, czego nie spodziewałby się po intruzach na płaskowyżu. Oczywiście wcześniej uderzył go w tył głowy i posłał go na ziemię, a to było dokładnie to, czego się po nich spodziewał.

– Kim jesteś? – zapytał w końcu, nie dochodząc do żadnego wniosku.

– Nazywam się Halt. Jestem królewskim zwiadowcą.

Mężczyzna zmarszczył czoło. Słowo „zwiadowca” coś mu mówiło, dotykało jakiegoś okrucha w jego pamięci. W innym życiu wiedział, że zwiadowcy to ludzie, którym można ufać – owszem, należy ich traktować z pewną ostrożnością, ale mimo

wszystko można im ufać.

– Zwiadowca – powtórzył niepewnie.

Halt skinął głową. Pomyślał, że być może powinien uśmiechnąć się uspokajająco, ale taki wyraz twarzy nie był w jego przypadku możliwy, a miał dość rozsądku, by wiedzieć, że gdyby spróbował, zacząłby wyglądać jak gargulec. Trudno byłoby to uznać za uspokajający widok.

– Właśnie – powtórzył przyjaźnie. – A kim ty jesteś?

Mężczyzna przełknął ślinę kilka razy, zastanawiając się, czy postawi się w niekorzystnej sytuacji, jeśli zdradzi swoją tożsamość. W końcu najwyraźniej uznał, że tak się nie stanie.

– Mam na imię Norman – powiedział. – Jestem pustelnikiem w tych górach.





Powóz już czeka, lordzie Crowleyu.

Sir Athol był odpowiedzialnym młodzieńcem, który niezwykle poważnie traktował swoje obowiązki dowódcy zbrojnych, stanowiących eskortę królowej. Odnosił się do Crowleya z głębokim szacunkiem zahaczającym o podziw. Po uwolnieniu króla Duncana oraz wydarzeniach, jakie rok wcześniej miały miejsce w Zamku Gorlan, Crowley i jego partner Halt zyskali w królestwie status żywej legendy.

Crowley kończył lekkie śniadanie w głównej jadalni. Popatrzył na młodego człowieka z uśmiechem.

– Nie jestem żadnym lordem. Wystarczy powiedzieć „Crowleyu”, jeśli chcesz zwrócić moją uwagę.

Sir Athol niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– To nie wydaje mi się dostatecznie grzeczne, sir. – Nagle przyszło mu coś do głowy, gdy to powiedział. – Czy mógłbym w takim razie mówić „sir Crowleyu”?

Zwiadowca potrząsnął głową.

– Nie jestem rycerzem, a to tytuł rycerski – odparł. – Jeśli chcesz mnie tytułować, to może „zwiadowco Crowleyu”? Ostatecznie to odpowiada prawdzie.

Sir Athol zastanowił się nad tą propozycją i skinął głową. To wydawało się dostatecznie grzeczne. Miał opory przed zwracaniem się do zwiadowcy po prostu po imieniu.

– Niech tak będzie, zwiadowco Crowleyu – powiedział, wypróbując nową formę grzecznościową i uznając ją za odpowiednią. – Powóz czeka na dziedzińcu.

– W takim razie przyjrzyjmy się mu. – Crowley dopił kawę, odstawił kubek i podniósł się, biorąc leżący na stole łuk. Pierwszy wyszedł z wielkiej sali i zbiegł po trzech stopniach na dziedziniec.

Powóz został podprowadzony pod wejście. Zaprzęgnięto do niego dwa siwe perszerony. Crowley wiedział, że naczelnny koniuszy Zamku Araluen wybrał je specjalnie ze względu na równy, miękki krok. Dzięki nim królowa będzie mogła podróżować tak wygodnie, jak to możliwe.

Powóz miał nowatorską konstrukcję. Został zbudowany na ramie zwykłej karety, ale jego pudło, zamiast być sztywno przymocowane do osi kół i ramy, zostało podwieszane na grubych skórzanych pasach, naciągniętych mocno, żeby amortyzować podskoki i szarpnięcia na nierównych traktach, którymi mieli jechać. Crowley otworzył drzwi i zajrzał do środka. Siedzenia były grubo wyściełane, a na oknach zawieszono płócienne zasłony, zabezpieczające przed kurzem, zimmem, deszczem i wzrokiem ciekawskich. Po prawej stronie zamocowano uchwyty, na których miało spocząć posłanie królowej.

Oparł się o ścianę powozu i popchnął go tak, że zakołysał się na skórzanych pasach. Poruszał się lekko, więc Crowley ściągnął wargi.

– Nie chciałbym tym podróżować z większą prędkością – mruknął. Pomyślał jednak, że z konieczności będą jechać powoli. Stan królowej sprawiał, że trzeba było poświęcić szybkość na rzecz wygody i komfortu podróży, a skórzane pasy powinny skutecznie amortyzować podskoki i szarpnięcia pojazdu. Zamknął drzwi i zablokował je, a potem odwrócił się do sir Athola.

– Powiadom świętę królowej, że jesteśmy gotowi do drogi – powiedział. – I wezwij resztę eskorty.

Popatrzył na ciemne niebo i ciaśniej owinął się peleryną. Nad ranem było chłodno, a on oceniał, że do wschodu słońca pozostały dwie godziny. To dobrze. Chciał, by ich odjazd z Zamku Araluen jak najmniej zwracał uwagę. Wyjazd królowej był trzymany w najściślejszej tajemnicy. Poza sir Atholem nawet żołnierze z jego oddziału nie wiedzieli, kogo będą eskortować, chociaż Crowley podejrzewał, że co bardziej inteligentni spośród nich mogli się tego domyślić.

Łatwo było odgadnąć, że powóz, z nietypową konstrukcją i specjalnie przystosowany, wiezie kogoś wysokiej rangi lub niezwykle bogatego. Ponieważ drogi

były niebezpieczne, a dookoła grasowały bandy rabusiów – pozostałość po chaosie, w jakim przez bunt Morgaratha pogrzyżył się kraj – im mniej osób wiedziało, że ten orszak wyruszył z zamku królewskiego, tym lepiej. Crowley chciał być w drodze i pod osłoną lasu, zanim wstanie słońce.

Pięciu łuczników i dziesięciu zbrojnych ustawiło się na dziedzińcu w zastęp. Konie stukwały kopytami po bruku i prychały, wypuszczając z nozdrzy obłoczki pary, niecierpliwe i gotowe do drogi. Crowley, udając obojętność, przyjrzał się żołnierzom i ich wyposażeniu, po czym z uznaniem pokiwał głową. Każdy łucznik miał na ramieniu kołczan pełen strzał oraz łuk z nałożoną cięciwą na łąku siodła. Zza pasów wystawały im główce krótkich mieczy i sztyletów, a za siodłami mieli przypięte małe okrągłe tarcze z drewna obciągniętego skórą.

Zbrojni nosili pod tunikami kolczugi, a ich nogi od kolan w dół były osłonięte metalowymi nagolennikami. Nosili dłuższe i cięższe miecze niż łucznicy, mieli też migdałowe w kształcie tarcze okute metalem. Każdy miał na głowie hełm z kapturem kolczym, czyli luźną kolczugą chroniącą ramiona i szyję. Każdy był także uzbrojony w długą włócznię, która w razie potrzeby mogła pełnić rolę lancy.

W drzwiach nastąpiło poruszenie i pojawiła się świta królowej, której towarzyszył król. Rosalind była niesiona przez czterech służących na miękko wyścielonym pośłaniu, owinięta po szyję kocami i futrami, mającymi chronić ją przed nocnym chłodem. Była bardzo blada – jej cera wydawała się niemal woskowa, a pod oczami widniały głębokie cienie. Duncan szedł koło niej, nie odrywając wzroku od twarzy żony i trzymając jej dłoń w swoich dłoniach. Troska na jego twarzy była doskonale widoczna, gdy mówił coś po cichu w drodze do powozu.

Królowa zobaczyła Crowleya, a jej wymizerowana, zmęczona twarz rozpromieniła się w prześlicznym uśmiechu. Podniosła się na poduszkach i przywołała go bliżej, gdy niosący pośłanie słudzy zatrzymali się przy powozie.

– Crowley – wyciągnęła rękę. – Mój najulubieńszy zwiadowca.

Doskonale wiedziała, jaką rolę odegrał Crowley w pokrzyżowaniu planów Morgaratha, mających na celu zdyskredytowanie jej męża i uzurpację tronu.

Crowley ujął jej dłoń i skłonił się, unosząc ją do ust.

– Wasza wysokość – powiedział. – Jeśli jesteś gotowa, umieścimy cię w powozie i będziemy ruszać.

– Jak zechcesz, Crowleyu – uśmiechnęła się Rosalind. Crowley wypuścił jej rękę i dał znak tragarzom, by umieścili pośłanie wewnątrz powozu. Król położył mu dłoń na ramieniu i odciągnął na bok.

– Opiekuj się nią, Crowleyu – powiedział. – Jesteś jednym z dwóch ludzi, którym jestem gotów powierzyć jej życie.

Crowley pokiwał uspokajająco głową.

– Będę jej strzegł jak żrenicy własnego oka, wasza wysokość.

Duncan długo i z napięciem popatrzył mu w oczy. Musiał spoglądać w dół, ponieważ Crowley był wyraźnie od niego niższy. Po dłuższej chwili skinął głową.

– Nie mógłbym prosić o nic więcej – przyznał. Potem odwrócił się i podszedł do powozu, pochylając się do otwartego okna, by pożegnać się z żoną. Crowley cofnął się o kilka kroków, żeby dać im chwilę tylko dla siebie.

Po kilku minutach król odszedł od powozu i spojrzął na Crowleya. Zwiadowca skinął głową na ten niewypowiedziany rozkaz.

– Sir Atholu! – zawołał. – Wyruszamy. – Włożył stopę w strzemię Croppera i wskoczył na siodło, podczas gdy Athol wydawał rozkazy niewielkiemu oddziałowi.

Porządek orszaku został ustalony wcześniej, gdy planowali tę podróż. Przodem pojechali dwaj łucznicy – kopyta ich koni stukwały na bruku, gdy przejechali kłusem pod podniesioną kratą, a potem zadudniły na deskach mostu zwodzonego. Mieli trzymać się w odległości trzystu lub czterystu metrów i sprawdzać drogę. Za nimi jechało pięciu zbrojnych, później powóz i druga piątka konnych żołnierzy. Pozostali trzej łucznicy stanowili straż tylną, jadąc kilkaset metrów za resztą grupy. Crowley i sir Athol zajęli miejsca po obu stronach powozu.

Wyjechali na drogę prowadzącą przez błonia do lasu. Gdy powóz przejeżdżał przez most zwodzony, Crowley zwrócił uwagę, że hałasował o wiele mniej niż zwykła karetka. W odróżnieniu od większości wozów, jego koła nie były jednolite, ale miały szprychy i żelazne obręcze. Były dzięki temu bardziej elastyczne niż masywne koła z litego drewna dębowego, jakich zazwyczaj używano, i pozwalały na spokojniejszą i cichszą jazdę.

Byli w połowie drogi znikającej w ciemnej masie drzew u stóp wzgórza. Zamek Araluen, jak większość zamków, został wybudowany na szczycie wzniesienia, by utrudnić zadanie atakującym wojskom. Crowley odwrócił się w siodle i obejrzał się na przepiękną budowlę, ze smukłymi wieżyczkami i wysokimi łękami oporowymi, które rysowały się na tle rozgwieżdżonego nieba. Świat wokół nich był pogrążony w ciszy. Za jakąś godzinę ptaki zaczną poranne trele, zwiastujące nadejście nowego dnia. Teraz jednak spały.

W kilku wyższych oknach świeciło się światło, ale większość budowli pogrążona była w ciemności. Crowley widział małą grupkę ludzi stojących w ogromnej zamkowej bramie. Jeden człowiek stał odrobinę na uboczu. To był Duncan, patrzący w ślad za swoją królową.

Crowley wiedział, że król nie ruszy się z miejsca jeszcze długo po tym, jak kawalkada zniknie w cieniu drzew.



Słońce wstało, chociaż w lesie nie było to tak widoczne, jak na otwartej przestrzeni. Gdy podniosło się wyżej i jego promienie zaczęły rozjaśniać wąską leśną drogę, temperatura podniosła się i można było zdjąć peleryny, zwinąć je i przywiązać za siodłem.

Crowley pozostał w pelerynie. Z jego punktu widzenia cętkowany, szaro-zielony płaszcz stanowił nieodłączny atrybut zwiadowcy.

Na wąskiej drodze ograniczanej ścianami lasu on i sir Athol jechali tuż za powozem. Szturchnął Croppera, by zrównać się z pojazdem, i spojrzął w okno. Zasłona była podniesiona. Dwie damy dworu Rosalind – jej bliskie przyjaciółki i zaufane powierniczki – podróżowały razem z królową, a jedna z nich uśmiechnęła się do niego przez otwarte okno.

– Jak się czuje królowa? – zapytał Crowley. Podróżowali od trzech godzin i już niedługo będą musieli poszukać miejsca, by się zatrzymać i coś zjeść.

Kobieta spojrzała na królową na posłaniu koło niej, a potem uspokoiła Crowleya.

– Śpi – powiedziała. – Jest jej bardzo wygodnie.

Crowley skinął głową. To była dobra wiadomość. Najwyraźniej nowatorskie zawieszenie powozu działało skutecznie, łagodząc wyboje na drodze.

– Daj mi znać, gdyby czegokolwiek potrzebowała – powiedział. Kobieta skinęła głową, więc lekko pociągnął za wodze Croppera, sygnalizując, że powinien zwolnić i wrócić na ich poprzednie miejsce.

Sir Athol rzucił mu pytające spojrzenie, a Crowley uśmiechnął się.

– Chyba wszystko w porządku – powiedział. – Królowa śpi.

Sir Athol ziewnął. Wstali bardzo wcześnie, a on źle spał poprzedniej nocy, denerwując się odpowiedzialnością, jaka będzie na nim spoczywać podczas tej podróży.

– Chętnie bym do niej dołączył – powiedział i natychmiast poczerwieniał jak burak, gdy uświadomił sobie, że to stwierdzenie może zostać źle zrozumiane. – To znaczy... ja nie... chciałem powiedzieć... – zająknął się.

Crowley pochylił się i położył mu rękę na ramieniu.

– Spokojnie. Wiem, co miałeś na myśli.

Twarz Athola stopniowo odzyskała zwykły odcień, a on sam gorzko obiecał sobie w duchu, że zawsze, absolutnie zawsze zastanowi się nad tym, co ma powiedzieć. Potem uświadomił sobie, że Crowley nie zwraca na niego uwagi. Skierował Croppera na pobocze i wyglądał na drogę przed powozem. Gdy Athol to zauważył, zwrócił także uwagę na dźwięk galopujących kopyt przed nimi.

– Chodź – powiedział Crowley i popędził Croppera do przodu, wyprzedzając pojazd i kierując się na czoło kolumny.

Jeden z dwóch wysłanych przodem strażników ściągnął konia, gdy podjechał bliżej. Athol i Crowley zbliżyli się do niego.

– Zwiadowco Crowleyu – powiedział mężczyzna. Mówił głosem pełnym napięcia, ale miał dość rozsądku, by go nie podnosić. – Zauważyliśmy przed nami bandę rabusiów. Wydaje się, że planują zasadzkę na powóz.





Halt z nowym zainteresowaniem popatrzył na chudego, wynędzniałego mężczyznę.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytał. Twarz Normana przybrała nieokreślony wyraz, gdy próbował odpowiedzieć. Zmarszczył brwi i w końcu się odezwał:

– Nie wiem – odparł niepewnie. – Pewnie pięć lat, może dłużej. Przeniosłem się tutaj po powodziach w Dolinie Mossback. Mój dom został zniesiony przez wodę. Zostałem wtedy zalany po raz trzeci, ale poprzednio dom wychodził z tego bez szwanku. Pomyślałem, że przeniosę się gdzieś wyżej.

Tym razem to Halt zmarszczył brwi. Pritchard opowiadał mu o powodziach w Dolinie Mossback. To była największa klęska żywiołowa na południowo-wschodnim krańcu Araluenu, jaką pamiętali ludzie.

– Ale to było jedenaście lat temu, a nie pięć – sprostował.

Norman spokojnie skinął głową.

– Nie będę się sprzeczać. Tak czy inaczej jestem tu długo.

– Nie przejmowałeś się wargalami? – zapytał Halt.

Na twarzy Normana odmalowała się gorycz.

– Wargalowie nie stanowili żadnego problemu. Dawniej byli pokojowo nastawieni. Zachowywali się spokojnie aż do czasu, gdy Czarny Lord przejął nad nimi władzę. Nie mówię, oczywiście, że się przyjaźniliśmy. Byli płochliwi i unikali kontaktu ze mną. Zajmowali się swoimi sprawami, a jeśli tylko ja robiłem to samo, wszystko było dobrze.

– A teraz? – zapytał Halt. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami na piaszczystej ziemi, naprzeciwko starszego mężczyzny.

– Czarny Lord wie, że tu jestem – powiedział Norman. – Nie chce, żeby ktokolwiek go szpiegował albo zobaczył, co on planuje. Dlatego wysłał za mną wargalów, żeby mnie pochwycili i zabili. – Wzruszył gniewnie ramionami. – Wiesz, nie zamierzam go szpiegować. Moje motto to „żyj i daj żyć innym”. Ale najwyraźniej on nie rozumuje w taki sposób.

– Więc jak ci się udaje przed nimi uciekać? – zapytał Halt, a gniew na twarzy Normana został zastąpiony przez przebiegły uśmiech.

– Znam ten teren – odparł. – Znam każdą ścieżkę wśród skał, każdą jaskinię, każdy korytarz, każdy ślepy wąwóz. – Gestem ramienia wskazał ponury pejzaż. – Te skały i góry są podziurawione tunelami i jaskiniami, a ja spędziłem lata, poznając je. Mogę chodzić, gdzie tylko chcę, i nawet wargalowie nie potrafią mnie wytropić. W końcu Czarny Lord uświadomił sobie, że traci czas, próbując mnie złapać, i machnął na to ręką. Oczywiście – dodał poważnie pustelnik – mimo wszystko nie ryzykuję spotkań z wargalami. Trzymam się od nich z daleka. Kiedy raz zostanie im zaszczerpiony jakiś pomysł, będą o nim pamiętać.

W tle nieustannie rozlegały się rytmiczne pomruki i tupanie stóp. Teraz, nagle, wszystko ucichło. Norman szybko rzucił okiem na pozycję zasłoniętego chmurami słońca na niebie i zmarszczył brwi.

– Skończyli wcześniej – powiedział. – To niedobrze. Może zorientowali się, że tu jesteśmy.

– W jaki sposób? – zapytał Halt.

Norman energicznie potrząsnął głową.

– Nigdy nie czekałem, żeby zadać to pytanie. Jeśli się czeka, można zostać złapanym. Czarny Lord ma obserwatorów na górze powyżej swojej siedziby. Może zauważyli nas poruszających się wśród skał. – Umilkł na chwilę. – Oczywiście nie mnie. Ale jeśli ty nie wiedziałeś, że oni tam są, mogli cię wypatrzeć.

Halt uniósł brew. Gdy zwiadowcy się poruszali, nie dało się ich „wypatrzeć”, jak twierdził Norman. Ale musztra na placu rzeczywiście została przerwana i być może pustelnik miał rację. Najwyższy czas, żeby się stąd ruszyli.

Spojrzał w stronę równiny, na której ćwiczili wargalowie.

– Tracimy czas. Najlepiej zrobimy, wynosząc się stąd.



Szli szybko przez bezdroża pomiędzy rozrzuconymi skałami, zygzakując między większymi głazami i czasem przełaząc przez mniejsze. Norman nalegał, by poruszali się przykurczeni, pod osłoną skał i kęp karłowatych drzew, gdy oddalali się od placu manewrowego i góry, w której Morgarath urządził swoją kwaterę.

Dwa razy obszarpany pustelnik przeprowadził Halta tunelami pod większymi skałami. Schodziły one w dół, a dwaj mężczyźni widzieli drogę dzięki słabemu światłu, przeciskającemu się przez szczeliny w skalnym sklepieniu nad ich głowami. Tunele zakręcały i wiły się, a oni mijali liczne odgałęzienia i rozwidlenia. Ale wydawało się, że Norman bez cienia wątpliwości wie, dokąd mają iść.

W obu przypadkach, gdy tunel wyprowadził ich z powrotem na powierzchnię, Norman zatrzymywał się i najpierw wyglądał ostrożnie, żeby się upewnić, że droga jest wolna. Potem przebiegał truchtem przez wąskie przejścia pomiędzy skałami. Wybierana przez niego zygzakowata ścieżka wydawała się całkowicie przypadkowa, ale nie wahał się ani przez chwilę. Najwyraźniej podążał szlakiem, który znał tylko on.

W końcu znaleźli się pod skalną ścianą – gładką granitową powierzchnią, wznoszącą się na wysokość niemal czterdziestu metrów. Wydawało się, że jest całkowicie jednolita, więc Halt zawahał się, zaskoczony. Norman z uśmiechem zaprosił go gestem, żeby szedł za nim, a potem poprowadził go do miejsca, gdzie bryła granitu wystawała ze ściany jak solidna przypora. Zdumiony Halt szedł za nim, a potem pustelnik nagle zniknął mu z oczu na krawędzi przypory.

Gdy Halt dotarł do miejsca, w którym zniknął jego przewodnik, zobaczył wąską szczelinę w skale, niewidoczną do ostatniego momentu. Była szeroka na niecały metr, więc przeszedł przez nią bokiem i natknął się na uśmiechniętego szeroko Normana, czekającego tuż za wąskim wejściem.

– To moja jaskinia – powiedział i zaprosił Halta, by wszedł głębiej.

Halt z podziwem rozejrzał się po wnętrzu. Było ogromne. Pokryte piaskiem dno tworzyło podłogę. W odległym cieniu zwiadowca dostrzegł łukowate skalne ściany z kilkoma ciemnymi otworami; z pewnością były to wejścia do korytarzy wychodzących z głównej groty.

Sklepienie wznosiło się wysoko, a w granitowej płaszczyźnie, którą widzieli z zewnątrz, były szczeliny. Wpadało przez nie światło dzienne, rozjaśniając wnętrze groty miękkim, rozproszonym blaskiem.

– A więc tutaj mieszkasz? – zapytał Halt, wpatrując się w pustelnika. Ale Norman zachichotał i złapał swego towarzysza za rękaw, żeby pociągnąć go do wejścia jednego z korytarzy.

– Nie. Nie tutaj! Mieszkam dalej. Chodź, zobacz!

Po jasnej i przestronnej jaskini korytarz wydawał się ciemny i ciasny. Halt na oślep szedł za Normanem krętym, wijącym się tunelem, aż w końcu znowu ujrzał światło i wszedł do kolejnej jaskini. Była mniejsza od poprzedniej, ale mimo wszystko przestronna i dobrze oświetlona. Podobnie jak w większej grocie, szczeliny wysoko na ścianach i w sklepieniu wpuszczały do środka światło. Halt zobaczył kamienie tworzące palenisko, a kilka metrów dalej posłanie i prymitywne krzesło, zrobione z poskręcanych gałęzi i obciążone płótnem. Koło paleniska stało rzędem kilka poczerniałych garnków i patelni, a kilka metrów dalej duże drewniane wiadro. Halt usłyszał szmer, a gdy się przyjrzał uważniej, zobaczył, że po ścianie jaskini spływa woda, gromadząca się w płytkiej sadzawce i znikająca w szczelinach i pęknięciach skalnej podłogi.

Znowu podniósł głowę, żeby przyjrzeć się sieci wąskich szczelin na suficie. Pomyślał, że dym z ogniska rozprasza się w nich. Mając tyle dróg ujęcia, jest z zewnątrz praktycznie niewidoczny.

– Czym się żywisz? – zapytał, nadal rozglądając się z podziwem.

– Głównie trusiami i ptakami – odparł Norman. – Tu w skałach jest pełno siewek. I łapię trusie. Też jest ich dużo.

Halt wiedział, że trusie to króliki.

– Nie można żyć na samych królikach – powiedział. Królicze mięso było za chude, by jeść je przez dłuższy czas, ponieważ nie zawierało wszystkich substancji odżywczych. Podejrzewał jednak, że może siewki dostarczają potrzebnego tłuszczu i minerałów, których brakowało w mięsie królika.

Norman wskazał kciukiem w górę.

– Zrobiłem na górze mały ogród warzywny – wyjaśnił. – Uprawiam warzywa, cebulę i ziemniaki. Mam co jeść.

– Nie wątpię – odparł Halt, nadal się rozglądając i oceniając otoczenie. Pomyślał, że to wyjątkowe miejsce. Przestronne, ze świeżym powietrzem i osłonięte od deszczu. A jednocześnie doskonale ukryte.

– Morgarath nie zdołał cię tutaj znaleźć? – zapytał.

Norman prychnął szyderczo.

– Nie będzie się zniżał do szukania mnie. Pewnie odgadł, że mieszkam gdzieś poniżej niego. Wie, że jestem na płaskowyżu, ale postanowił zostawić mnie w spokoju. Jego wargalowie nie potrafią mnie znaleźć. Wysyłał ich za mną kilka razy, ale zawsze udawało mi się wymknąć. Teraz nie zawraca sobie już mną głowy. Wie, że jestem gdzieś tutaj, ale nie ma czasu ani energii, żeby szukać.

– To się może zmienić, gdy się dowie, że ja tu jestem – stwierdził Halt. – Nienawidzi mnie jak zarazy.

Norman wzruszył ramionami.

– Nie dowie się o tobie – powiedział pustelnik z pewnością w głosie. – Możesz tu

mieszkać wygodnie i spokojnie, nie pchając mu się na oczy. Chętnie podzielę się z tobą tym, co mam.

– To bardzo miłe z twojej strony – odparł szczerze Halt. – Ale nie mogę siedzieć tutaj w ukryciu. Muszę się dowiedzieć, co on zamierza, jakie ma plany. Muszę też dowiedzieć się więcej o tych wargalach, którzy mu teraz służą.

Norman ostrzegawczo potrząsnął głową.

– Jeśli zaczniesz włóczyć się po tych górach i go szpiegować, to źle skończysz – przestrzegł. – Znam te skały, korytarze i jaskinie jak własną kieszeń. A o ile wiem, wargalowicze mieszkają tutaj od setek lat. Ale ty... ty jesteś tu nowicjuszem. – Machnął ręką mniej więcej w kierunku wejścia na drugim końcu jaskini. – Zaczniesz tam myszkować, to zostaniesz zauważony. A kiedy cię zauważą, zaczną cię ścigać.

– Wiem o tym – przyznał Halt. – Miałem nadzieję, że może ty mi pomożesz, że zechcesz być moim przewodnikiem.

Norman potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. Dlaczego miałbym wsadzać kij w gniazdo szerszeni? Po to, żeby zaspokoić twoją ciekawość?

Halt rozłożył ręce, jakby chodziło o błahostkę.

– Cóż, może chciałbyś się pozbyć Morgaratha... Czarnego Lorda – poprawił się.

Ale Norman prychnął lekceważąco.

– On mi nie przeszkadza. Przede wszystkim nie może mnie znaleźć. Powiedziałbym, że zostawił mnie właściwie w spokoju.

Halt spojrzał na starego pustelnika, ale Norman nie patrzył mu w oczy. Wpatrywał się w popioły w palenisku. Zwiadowca postanowił spróbować innego podejścia.

– Może mógłbyś mi pomóc, ponieważ Morgarath planuje wzniecić bunt w królestwie i zająć tron.

Ale Norman nadal wpatrywał się w popioły i znowu potrząsnął głową.

– Jeśli to zrobi, to nie moje zmartwienie – stwierdził. – Jeśli przejmie władzę w królestwie, to nie zostanie tutaj, prawda? Wróci na niziny i zamieszka w pięknym zamku.

– Cóż – powiedział Halt. – Najwyraźniej będę musiał sam mu się przyjrzeć.

Tym razem Norman podniósł głowę i spojrzał prosto na zwiadowcę. Jego wodniste, niebieskie oczy były śmiertelnie poważne.

– Jeśli to zrobisz, zabiją cię, to jasne jak słońce – oz-najmił.



Crowley z namysłem potarł podbródek. Nie był w ogóle zaskoczony wiadomością o czekającej na nich zasadzce. Widać było wyraźnie, że powóz jest bardzo kosztowny, a to oznaczało, że wioził bogatego pasażera.

Drogi w Araluenu nadal były niebezpieczne i nawiedzane przez bandy rabusiów. Przez ostatnie lata rządy prawa w królestwie bardzo ucierpiały, a Duncan nie zdołał ich jeszcze w pełni przywrócić.

Sytuację pogarszało poważne osłabienie przez Morgaratha Korpusu Zwiadowców. W zwykłych okolicznościach zwiadowcy kierowaliby działaniami, mającymi na celu rozbijanie band rabusiów. To był jeden z priorytetów Crowleya podczas reorganizacji Korpusu, ale na razie nie dysponował dostateczną liczbą zwiadowców, by podjąć jakieś działania.

Athol wskazał drogę, którą nadjechał łucznik, i odezwał się przyciszonym głosem do Crowleya:

– Myślisz, że ci bandyci wiedzą, że podróżuje z nami królowa?

Crowley potrząsnął głową.

– To nie jest wykluczone. Teraz wszędzie można znaleźć szpiegów. Ale wątpię w to. Zresztą to i tak bez znaczenia. Wiedzą, że ktokolwiek jedzie takim powozem, będzie dla nich cennym łupem.

Zwrócił uwagę stangreta i dał mu znać, żeby się zatrzymał, wskazując małą polankę przy drodze, na którą mógł wprowadzić powóz. Niewielka kawalkada przystanęła.

Crowley odwrócił się do żołnierza, który ich ostrzegł.

– Powiedz mi, co widziałeś – polecił.

– Jakies dziesięć minut temu usłyszeliśmy konia galopującego drogą, jadącego za nami. To był człowiek wysłany na zwiad przez bandytów. Minął nas i pojechał kawałek dalej. Wtedy zobaczyliśmy jego towarzyszy. Wyjechali spomiędzy drzew, a on uprzedził ich, że zbliża się powóz.

– Zobaczył cię?

– Nie, sir. Jechaliśmy obok drogi, między drzewami, żeby nikt nas nie zauważył. Minął nas, w ogóle się nie oglądając. Słuchaliśmy, jak opowiada, co widział, a potem wycofaliśmy się pięćdziesiąt metrów wzdłuż drogi. Rabusie rozlokowali się po obu jej stronach. Będą czekali wśród drzew, aż powóz się z nimi zrówna.

– Ilu ich jest? – zapytał Crowley.

– Piętnastu lub szesnastu – powiedział łucznik.

Crowley z namysłem przechylił głowę. Szpieg zobaczył powóz, czyli wiedział także, ilu ludzi liczy eskorta. Jeśli szesnastu rabusiów było gotowych zaatakować dziesięciu zbrojnych, musieli być bardzo pewni swoich umiejętności. Mimo wszystko zakładali jednak, że na ich korzyść będzie działać element zaskoczenia. Deszcz włóczy sypiący się z obu stron drogi mógł powalić połowę eskorty. Błyskawiczny atak w momencie, gdy pozostali żołnierze byli jeszcze zaskoczeni i zdezorganizowani, powinien zapewnić im szybkie i łatwe zwycięstwo.

Teraz jednak, gdy eskorta powozu została uprzedzona, element zaskoczenia działał przeciwko nim. Crowley zaczął się zastanawiać. Stan zdrowia królowej sprawiał, że nie powinna być wystawiona na żadne niebezpieczeństwo. To oznaczało, że musiał rozprawić się z tymi rabusiami tam, gdzie byli, żeby uniknąć bezpośredniego ataku na powóz.

– Zostań tutaj – powiedział Atholowi. – Rozkaż swoim ludziom otoczyć powóz, na wypadek gdyby bandyci zdołali nas ominąć.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Athol.

Crowley wskazał dalszą drogę.

– Pojadę tam razem z młodym Donaldem – znał imiona wszystkich pięciu łuczników, co było znakiem dobrego dowódcy – żeby ich zniechęcić.

– Pojedziecie we dwóch? – zapytał Athol. – Pozwól, że pojadę z wami. Może wam się przydać dodatkowy miecz.

Crowley potrząsnął jednak głową.

– Nie zamierzam ich dopuścić na odległość miecza – powiedział. – We trzech, z czekającym po drodze łuczniakiem, powinniśmy sobie poradzić. Ale gdy dogonią was pozostali łucznicy, wyślij ich naprzód, żeby nam pomogli.

Zobaczył damę dworu, z którą rozmawiał wcześniej. Wyglądała przez okno powozu, próbując zwrócić jego uwagę. Skierował Croppera truchtem do powozu.

– Tak, lady Ingrid?

– Królowa pyta, dlaczego się zatrzymaliśmy – odezwała się Ingrid. – Czy coś się stało?

Crowley pochylił się w siodle, by zajrzeć do środka. Zobaczył, że królowa siedziała na swoim pośłaniu, obudzona. Jej blada twarz odcinała się wyraźnie od ciemnego wnętrza powozu.

– Nic się nie stało, pani – zapewnił Crowley z uspokajającym uśmiechem. – Po prostu musimy się czymś zająć na drodze przed nami. Nie masz się czym martwić.

Ale Rosalind nie była głupia. Wiedziała, że nie zatrzymaliby się z byle powodu i знаła sytuację na drogach Araluenu równie dobrze jak Crowley.

– Uważaj na siebie, Crowleyu – powiedziała głosem, który był dla niego ledwie słyszalny, gdy siedział na Cropperze obok powozu. – Nie chciałabym cię stracić. Mój mąż cię potrzebuje.

Uśmiechnął się szerzej.

– Nie zamierzam się nigdzie stracić, pani – powiedział. Skinął głową, wskazując młodego rycerza kilka metrów za sobą. – Sir Athol wszystkim się tutaj zajmie. Wrócę za kilka minut.

– Pospiesz się – powiedziała i wyraźnie wyczerpana rozmową, opadła na poduszki pośłania, zamykając oczy.

Crowley obejrzał się na Athola.

– Zadbaj o jej bezpieczeństwo – powiedział cicho. Młody rycerz obrócił się w siodle i zaczął przyciszonym głosem wydawać rozkazy swoim ludziom, rozmieszczając ich wokół powozu i jego pasażerek.

– Jedźmy, Donaldzie – rzucił Crowley do łuczniaka. Obaj spięli konie i pogalopowali drogą. Po sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu metrach Donald uniósł ostrzegawczo rękę i zwolnił do kłusa. Nie było powodu uprzedzać wroga, że się zbliżają. Dojechali do ostrego łuku drogi, która skręcała w lewo, by ominąć potężny dąb. W jego cieniu Crowley zobaczył sylwetkę drugiego łuczniaka. Podjechał bliżej do mężczyzny, który lekko zasalutował.

– Witaj, Williamie – powiedział. – Jak sytuacja?

Mężczyzna wskazał gestem drogę.

– Są jakieś czterdzieści metrów stąd, w tym kierunku – wyciągnął rękę. – Ukryli się wśród drzew po obu stronach drogi, ale jeśli się patrzy uważnie, można ich zobaczyć.

Crowley pochylił się w siodle i spojrzął pod zwieszającymi się gałęziami dębu.

– Tuż koło tego poczerniałego pieńka – odpowiedział William i teraz Crowley zauważył lekki ruch w cieniu drzew.

– Pewnie się zastanawiają, gdzie się podział powóz – wtrącił Donald.

Crowley skinął głową. Minęło kilka minut, od kiedy Donald podjechał do nich, a potrzebowali jeszcze kilku, żeby zjechać powozem z drogi i wrócić do miejsca, gdzie William obserwował bandytów.

– Nie każmy im czekać – stwierdził Crowley i szturchnął Croppera, by wyjść spod drzew i skierować się do zakrętu. – Szykujcie łuki – rzucił przez ramię, chociaż nie było potrzeby wydawania tego rozkazu. To byli doświadczeni żołnierze, zaprawieni w boju. Łuki trzymali już w pogotowiu.

Crowley wyjął strzałę z kołczanu i założył ją na cięciwę machinalnie, bez patrzenia. Wyjechał na środek drogi, minął zakręt i zobaczył czterdzieści metrów prostej drogi, która prowadziła do miejsca, gdzie ukrywali się bandyci. William i Donald jechali kilka kroków za nim. Na drodze rozstawili się w odległości kilku metrów od siebie i zatrzymali konie, ustawiając je pod takim kątem, żeby nie przeszkadzać sobie podczas strzelania.

Crowley usłyszał okrzyk zdumienia, dobiegający spośród drzew. Potem zapadła cisza.

– Pokażcie się! – rozkazał. – Wiemy, że tam jesteście.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Potem wśród drzew nastąpiło poruszenie i rabusie wyszli na drogę. Jechali na najprzeróżniejszych koniach – niektóre były kosmatymi konikami wieśniaków, inne wyraźnie zostały ukradzione zamożniejszym ofiarom. Mieli też równie różnicowaną broń i zbroje. Niektórzy dzierżyli włócznie, inni topory, miecze i maczugi. Część była w kolczugach, inni dla ochrony założyli skórzane kubraki naszywane brązowymi płytkami w kształcie łusek. Nic z tego nie stanowiło przeszkody dla strzały wypuszczonej z łuku o sile naciągu czterdzieści kilogramów.

Mężczyzna na przedzie grupy, zapewne jej herszt, miał garnkowaty hełm i trzymał długi miecz dwuręczny, chociaż Crowley wątpił, by umiał się nim prawidłowo posługiwać. Takie miecze wymagały ogromnej siły i umiejętności.

Bandyta uniósł miecz niezgrabnie nad głową.

– Rzućcie broń! – rozkazał.

Najwyraźniej rabusie uznali, że nie mają się praktycznie czego obawiać ze strony trzech lekko uzbrojonych i pozbawionych zbroi łuczników. Ich skromne doświadczenie podpowiadało im, że łucznicy to tchórze – zakradają się na pole bitwy, wypuszczają kilka strzał, a potem uciekają, by schować się w bezpiecznym miejscu na tyłach armii.

– Wydaje mi się, że tego właśnie oczekivalibyśmy od was – powiedział grzecznie Crowley. – Policzę do pięciu i chciałbym zobaczyć całą tę broń na drodze. – Odwrócił

się szybko do swoich dwóch towarzyszy i powiedział ściszym głosem: – Strzelajcie na cztery. Jeśli możecie, celujcie tak, by tylko ich zranić, ale jeśli nie macie pewności, starajcie się ich po prostu trafić. Ja biorę na siebie herszta.

Dwaj łucznicy mruknęli potwierdzająco. Crowley zaczął liczyć.

– Raz. Dwa. Trzy. Cztery...

Gdy powiedział „cztery”, błyskawicznie podniósł łuk, naciągnął go, wycelował i wypuścił strzałę. William i Donald strzelili ułamek sekundy po nim.

Strzała Crowleya trafiła herszta bandytów w górną część prawego ramienia, a jej siła obróciła go w bok i wyrzuciła z siodła. Lecąc na ziemię, wypuścił miecz i spadł na niego niezgrabnie. Spróbował się podnieść, ale szok i silny ból w ramieniu sprawiły, że nogi się pod nim ugięły i upadł z powrotem na pylistą drogę.

William postrzelił drugiego bandytę w udo. Mężczyzna wrzasnął, a jego koń stanął dęba, zrzucając jeźdźca. Rabuś wybrany przez Donalda poruszył się w ostatnim momencie i strzała wycelowana w ramię wbiła się w jego pierś. Poleciał do tyłu przez koński zad, upadł bezwładnie na drogę i znieruchomiał.

Zanim ofiary dwóch pozostałych łuczników upadły na drogę, Crowley wypuścił kolejne trzy strzały, jedną za drugą. Każda z nich trafiła w cel i następni trzej bandyci zostali powaleni. Donald i William popatrzyli na zwiadowcę z nieskrywanym podziwem. Byli dobrymi łucznikami, ale ta szybkość i precyzja były na zupełnie innym poziomie.

W przeciągu kilku sekund banda straciła herszta, a niemal połowa jej członków leżała martwa lub ranna. Pozostali przez kilka sekund patrzyli na to w oszołomieniu. Potem dwóch z nich ściągnęło wodze, by rzucić się do ucieczki.

– Nie ruszać się! – rozległ się ostry głos Crowleya. Znowu podniósł łuk ze strzałą na cięciwie. Bandyci zamarli w miejscu.

– Strzelę do pierwszego, który się poruszy – ciągnął Crowley. Usłyszał za sobą stłumiony dźwięk kopyt i uświadomił sobie, że dołączyli do nich pozostali trzej łucznicy. Pomyślał, że to bardzo uprości sprawę. Siły stały się teraz bardziej wyrównane.

– Rzućcie broń – rozkazał. Bandyci zawahali się, więc Crowley bez ostrzeżenia strzelił znowu, przeszywając strzałą ramię jednego z mężczyzn, który najbardziej się ościągał. Podobnie jak herszt, mężczyzna poleciał w bok i spadł z konia. Rąbnął o ziemię z bolesnym okrzykiem, wypuszczając przy tym z dłoni ciężką włócznię.

Zanim jeszcze bandyci zdążyli zauważyć, że Crowley strzelił, on miał już przygotowaną kolejną strzałę i przenosił spojrzenie z jednego na drugiego, szukając następnego celu. Grot strzały przesunął się razem z jego linią wzroku.

Rozległ się głośny szcęk, gdy na ziemię posypały się rzucone włócznie, topory, miecze i sztylety.

– A teraz zsiądźcie z koni i kładźcie się twarzą do ziemi – rozkazał Crowley.

Rabusie nie ociągali się. Groziło im teraz sześciu łuczników, a przekonali się już, że ci ludzie trafiają w zamierzony cel – w szczególności ten w szarej pelerynie, który chyba nawet nie musiał celować.

Crowley pogonił Croppera do przodu, kazał mu iść bokiem, żeby mógł mieć oko na bandytów. Pozostałych pięciu łuczników poszło w jego ślady. Byli doświadczonymi żołnierzami, więc jechali tyralierą, zostawiając między sobą dość miejsca, żeby dobrze widzieć bandytów i nie przeszkadzać sobie podczas strzelania. Mała grupka zatrzymała się o kilka metrów od niedoszłej zasadzki.

– Ty w zielonym kapturze – ostrzegł Crowley. – Jeśli jeszcze raz się ruszysz, wpakuję ci strzałę w tyłek.

Jeden z bandytów, z boku grupy, przesuwiał się ostrożnie w stronę płytkiego rowu na poboczu drogi. Teraz pospiesznie wcisnął nos w ziemię i znieruchomiał.

– Donald, William, zdejmijcie koniom uzdy i puśćcie je luzem – polecił Crowley, a dwaj łucznicy zeskoczyli z siodeł, by pospiesznie wykonać rozkaz. Po kilku minutach konie, zachęczone mocnymi klepięciami w zad i okrzykami dwóch łuczników, oddaliły się galopem.

Crowley skierował teraz swojego wierzchowca w stronę grupy czterech bandytów.

– Siadać – rozkazał, a mężczyźni ostrożnie przetoczyli się i usiedli na ziemi. – A teraz rozbierajcie się.

– Rozbierać się? – zapytał jeden z nich, a strzała wycelowała w jego twarz.

– Rozbierajcie się. Ściągajcie ciuchy. Chcę was widzieć gołych jak was matka rodziła – powiedział zwiadowca. Gdy posłuchali, skinął głową na dwóch stojących w pobliżu łuczników. – Zwiążcie ich – powiedział. – Wykorzystajcie uzdy i zwiążcie ich plecami do siebie.

Uśmiechnięci szeroko łucznicy wykonali rozkaz. Byli bandyci nie stawiali oporu pod groźbą czterech łuków; mieli już pewność, że jeśli zwiadowca strzeli, jeden z nich będzie trupem.

Crowley powtórzył rozkaz przy siedmiu kolejnych bandytach. Reszta bandy nie wymagała wiązania. Nie mogli już nigdzie uciekać. Gdy to zostało zrobione, kazał swoim ludziom pozbierać broń rozsyaną na drodze oraz buty napastników.

– Możesz teraz sprowadzić powóz – polecił Williamowi, a gdy młody łucznik odwrócił się, dodał jeszcze: – Powiedz pasażerom, żeby zasłoniły okna. Ta banda nie stanowi szczególnie pięknego widoku.





Zjedli posiłek, zanim światło dnia całkowicie zniknę ło. Norman rozpałił niewielki ogień z wysuszonego drewna, które prawie nie dymiło, i zczekał, aż płomienie przygasną, by podgrzać na węglach żelazny garnek z potrawką z królika.

Jedzenie było pyszne, chociaż Halt żałował, że Norman nie ma do dyspozycji soli. Ale kawałki królika, cebula i warzywa były gorące i pożywne. Kiedy zjedli, Halt wyjął woreczek z ziarnami kawy i zaproponował trochę pustelnikowi.

Norman podejrzliwie potrząsnął głową.

– Woda mi starczy.

Halt wzruszył ramionami, napełnił czajnik czystą źródlaną wodą i postawił go na węglach, żeby się zagotowała.

– Twoja strata – oznajmił.

Zrobił sobie mały dzbanek kawy i usiadł wygodnie, opierając się plecami o pobliski głąz, wyciągając nogi do żarzących się węgli i popijając napój z zadowoleniem. Siedzieli przez kilka minut w ciszy, aż Norman zaczął się poruszać i wiercić. Halt

obserwował go spokojnie. Starszy mężczyzna musiał coś przemyśleć. W końcu podjął decyzję i odezwał się:

– Tak się zastanawiam – powiedział. – To nie w porządku pozwalać, żebyś się tu sam włóczył. Jasne jak słońce, że cię zauważą.

Halt nic nie powiedział. Był pewien swoich umiejętności skradania się tak, by nikt go nie zobaczył. Ostatecznie robił to od lat. Pomyślał, że Norman, pomimo swojej brawury, to zupełnie inny przypadek. Doskonale znał teren i mógł zgubić każdy pościg na krętych, niewidocznych ścieżkach i w korytarzach skalnych. Ale jeśli chodziło o pozostawanie niezauważonym, Halt był zdania, że pustelnik przecenia swoje umiejętności. Ostatecznie Halt wcześniej zauważył bez trudu, że Norman go śledził. Starszy mężczyzna nie opanował jednej z najbardziej podstawowych rzeczy koniecznych, by pozostać niezauważonym – umiejętności pozostawania w bezruchu. Poruszył się, gdy Halt się odwrócił, by spojrzeć w jego stronę, i to właśnie ten ruch go zdradził.

Halt podejrzewał, że pustelnik był często widziany przez Morgaratha i jego podwładnych, gdy przemykał pomiędzy skałami. Ale nie stanowił dla nich zagrożenia, więc na razie postanowili nie zawracać sobie nim głowy. Od czasu do czasu patrol wargalów mógł natknąć się na niego i próbować go ścigać. Wtedy właśnie z pomocą przychodziła mu doskonała znajomość terenu, która pozwalała mu zgubić prześladowców.

Ale gdyby potrafił pozostawać niezauważony, tak jak mu się wydawało, że potrafi, w ogóle nie musiałby uciekać przed pościgiem.

– Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? – zapytał Halt. Norman zarzekał się, że nie zamierza mu pomagać, kiedy rozmawiali o tym wcześniej.

Siwy mężczyzna poruszył się niepewnie.

– Jak będziesz się tam włóczyć, to na pewno cię wypatrzą – w końcu odpowiedział.

– Czarny Lord cały czas wysyła patrole.

– Ciebie nigdy nie zauważyli – powiedział Halt, chociaż wątpił, by to była prawda.

Norman pokiwał twierdząco głową.

– Wiem, jak się poruszać – oznajmił. – Wiem, jak pozostawać w ukryciu. – Halt nie potrafił się powstrzymać i uniósł z niedowierzaniem brwi. Kusiło go, by przypomnieć Normanowi, że nie zauważył go, nawet gdy obszedł pustelnika, podkradł się i go ogłuszył. Ale nie chciał obrażać starszego mężczyzny. Potrzebował jego pomocy. Nie było mowy, by umiał sam przejść przez labirynt tuneli i żlebów, które mijali po drodze do jaskini. Bez Normana jako przewodnika musiałby wrócić na krawędź urwiska i stamtąd odszukać trasę, którą dotarł na plac manewrowy.

– Chodzi o to – zaczął Norman, który w końcu postanowił wyłożyć kawę na ławę – że jeśli cię zobaczą, to pewnie doprowadzisz ich do tej mojej jaskini, a na to nie mogę pozwolić.

– Ach tak. – Halt wszystko zrozumiał. Decyzja Normana wynikała z jego własnego interesu. Pustelnik chciał zadbać o swoje bezpieczeństwo, nie chodziło o to, że nagle postanowił pomóc nieproszonemu gościowi.

– Tak czy inaczej będę wdzięczny za twoją pomoc. Postaram też nie rzucać się w oczy. – Dodał ostatnie słowa z leciutkim uśmiechem. Norman jednakże nie zauważył tego. Halt uznał, że ironia nie była jego mocną stroną.

– Co możesz mi powiedzieć o wargalach? – zapytał.

Norman zmarszczył brwi, zastanawiając się chwilę.

– To proste stworzenia, kiedy zdecydują się podjąć jakieś działanie, doprowadzą je do końca, bez względu na to, co stanie im na drodze. Czarny Lord zmienił ich w bezlitosnych zabójców. Nic ich nie zatrzyma. Albo może raczej oni nie zatrzymają się bez względu na wszystko. Jeśli Czarny Lord im rozkaże, będą atakować i atakować, nieważne, ilu z nich zostanie zabitych. Nie znają strachu.

– Jak on ich kontroluje? – zapytał Halt. Nie słyszał wydawanych rozkazów, gdy wcześniej obserwował ćwiczących musztrę wargalów.

Norman potrząsnął głową.

– To bardzo dziwne – powiedział. – Wydaje się, że potrafią czytać jego myśli, a on potrafi czytać ich myśli.

– Skąd to wiesz? – zapytał Halt.

– Słyszałem, jak dwóch jego ludzi o tym rozmawiało. Pewnego dnia byłem na polowaniu i niewiele brakowało, żeby mnie zauważyli. Zdążyłem schować się za skałami, kiedy oni usiedli po drugiej stronie, żeby odpocząć. Rozmawiali o tym, jakie to dziwaczne, że Czarny Lord może po prostu pomyśleć, co chce, by wargalowie robili, a oni to robią. – Norman wzdrygnął się. Taka zdolność wydawała mu się niemal nadprzyrodzona. – Mówili także o tym, że wargalowie są nie do powstrzymania, gdy dostaną jakieś zadanie.

Halt z namysłem pogładził brodę. W swoich podróżach widział wielu szalbierzy i szarlatanów na wiejskich jarmarkach, którzy twierdzili, że potrafią czytać umysły i przesyłać do nich wiadomości. Znakomitą większość z nich można było zdemaskować jako oszustów, posługujących się sprytnymi sztuczkami. Ale w przypadku niewielkiego procenta nie dawało się znaleźć wyjaśnienia ich umiejętności. Pomyślał, że może ludzie naprawdę mają taką zdolność. Jeśli Norman się nie mylił i Morgarath naprawdę miał moc pozwalającą w ten sposób kierować wargalami, to była wielce niepokojąca wiadomość. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Kiedy ich dzisiaj obserwowaliśmy, pomyślałem, że... coś czuję. Jakby ktoś próbował do mnie coś powiedzieć.

– Ach, czyli też to poczułeś? Ja ciągle to czuję. To Morgarath. Wysyła im polecenia, a ty możesz to wyczuć. Teraz już prawie nie zwracam na to uwagi. Nauczyłem się to ignorować.

– Ilu wargalów ma pod swoją komendą? – zapytał Halt.

Norman zastanowił się nad odpowiedzią.

– Jakież osiem czy dziewięć setek.

Halt gwizdnął cicho. Osiemset lub dziewięćset nieustraszonych, zaciekłych potworów. Armia, z którą się będą musieli zmierzyć, będzie naprawdę niebezpieczna. Oczywiście Morgarath dysponował także jedną lub dwiema setkami ludzkich żołnierzy.

Stała armia Duncana liczyła zaledwie dwustu pięćdziesięciu żołnierzy. Oczywiście mógł on ogłosić pobór w lennach i w krótkim czasie zwiększyć tę liczbę. Byli to jednak głównie wieśniacy i robotnicy, a nie wyszkoleni żołnierze. Król nie mógł także ich zatrzymywać w nieskończoność. Ktoś musiał zająć się żniwami, dlatego mogli spędzić tylko krótki czas w armii królewskiej.

– Myślę, że będę musiał przyjrzeć się dokładniej tym potworom – uznał Halt. – Zajmiemy się tym rano. – Im szybciej będzie mógł dowiedzieć się więcej o armii Morgaratha, tym szybciej on, Duncan i Crowley będą mogli zacząć się zastanawiać, jak ją pokonać.



Późnym rankiem następnego dnia Halt i Norman znowu przycupnęli pomiędzy skałami na krawędzi placu manewrowego.

Kilka oddziałów wargalów trenowało w innej części pola. Część zwarła się w pozorowanej walce, używając drewnianych pałek zamiast śmiertelnie groźnych krótkich włóczni. Na całym placu rozlegały się uderzenia drewna o drewno.

Inni ćwiczyli atak – ich przeciwnik znajdował się w odległości jakichś stu metrów, a oni kryli się za tarczami, gdy kilku ludzi Morgaratha strzelało do nich z łuków. Na dany sygnał wargalowie podnieśli się z klęczek i zaszarżowali. Byli niezgrabni i ciężko zbudowani, ale poruszali się z zaskakującą prędkością. Halt zauważył, że często używali długich ramion, by podpierać się o ziemię i łapać równowagę.

Zauważył także, że w momencie ataku łucznicy szybko odstępili na bok. Pomyślał, że być może nie ufają jeszcze całkowicie swoim sojusznikom.

Tak czy inaczej, widok był niepokojący. Wargalowie okazali się silni i szybcy. Nie brakowało im także dyscypliny, potrafili się poruszać w formacji, działając synchronicznie z towarzyszami, których mieli po bokach.

Obserwowali musztrę przez jakieś dwadzieścia minut, gdy dłoń Normana zacisnęła się na przedramieniu Halta. Pustelnik wskazał w bok.

Ubrana w czerń postać na oślepiająco białym koniu wyjechała wolnym kłusem na plac manewrowy w towarzystwie dwóch innych jeźdźców.

– Czarny Lord – wyszeptał Norman.

Halt zmrużył oczy, patrząc na zniechęconą sylwetkę. Widok Pritcharda, bladego i leżącego nieruchomo przy wejściu do tunelu w pobliżu Zamku Gorlan stanął mu przed oczami. Pragnął wysłać strzałę, która popędziłaby ponad placem manewrowym, kierując się prosto w serce byłego barona, a jego dłoń odruchowo sięgnęła do kołczana przy pasie.

Odległość była jednak zbyt duża. Potem okazja minęła, gdy Morgarath zawrócił konia i pogalopował do obozu u stóp urwiska. Jego dwaj towarzysze zostali na placu manewrowym, obserwując wargalów i zataczając duże koło po krawędzi otwartej przestrzeni.

Gdy zbliżyli się do jednej z grup, żelazna dyscyplina wargalów osłabła, zbili się w ciaśniejszą grupę, odsuwając się od dwóch jeźdźców.

Norman wskazał palcem.

– Widzisz? Nie lubią koni.

Halt zmarszczył brwi. To było interesujące.

– Dlaczego?

Pustelnik wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może coś się wydarzyło w przeszłości. Może to dlatego, że nie widywali wcześniej zbyt wielu koni. Ale zawsze się odsuwają, kiedy konie podchodzą blisko. Widziałem, że Czarny Lord stara się wykorzystać z nich ten lęk, ale na razie nie udało mu się tego dokonać. Dawniej rzucali się do ucieczki, kiedy tylko koń znalazł się w pobliżu. Czarny Lord każe swoim ludziom jeździć wokół nich, kiedy ćwiczą. Chce ich oswoić z końmi.

Halt obserwował z fascynacją, jak wargalowie powoli odzyskują dyscyplinę. Dwaj jeźdźcy po wykonaniu zadania odwrócili się od pierwszej grupy i podjechali stępą w stronę skał, za którymi ukrywali się Halt i Norman. Najwyraźniej mieli za zadanie jeździć w tę i z powrotem po placu manewrowym, zbliżając się do poszczególnych grup, żeby wargalowie przemogli wstręt do dziwacznych czworonogów.

Halt poczuł, że Norman się poruszył, a kiedy się obejrzał, zobaczył, że obszarpany pustelnik podniósł się i zaczął się odwracać. Złapał Normana za ramię. Jeźdźcy byli zaledwie o trzydzieści metrów od nich i na pewno zauważyliby każdy ruch. Jego wcześniejsze wątpliwości dotyczące Normana zostały błyskawicznie potwierdzone.

– Co ty wyprawiasz? – syknął.

Starszy mężczyzna spróbował się wyrwać. Był zaskakująco silny.

– Zobacz nas! Musimy uciekać! – odparł przerażonym szeptem.

– Zobacz nas, jeśli się poruszysz! – ostrzegł go Halt i w następnej chwili wydał ostry okrzyk bólu, gdy starszy mężczyzna uderzył go w rękę kamieniem, który podniósł z ziemi. Halt bezwiednie rozluźnił uścisk na kościstym ramieniu, a Norman wypadł z ukrycia i pobiegł skulony między skałami.

Jeden z jeźdźców krzyknął i wskazał obszarpaną sylwetkę przemykającą się między

głazami. Teren był zbyt nierówny dla koni, ale w pobliżu znajdował się pluton wargalów, którzy zareagowali na okrzyk i wskazującą kierunek rękę. Z jednoczesnym warknięciem rzucili się w pościg za mężczyzną, który od tak dawna im się wymykał.

Halt pochylił się w ukryciu i zastanawiał się, co powinien zrobić. Wargalów było co najmniej trzydziestu, a on w kołczanie miał zaledwie tuzin strzał. Znowu popatrzył na zgiętego Normana, uciekającego szybkim zygzakiem pomiędzy głazami i niskimi drzewami. Wargalowie rozsypali się między skałami, tworząc coś na kształt tyraliery. Zamierzając odciąć uciekinierowi drogę, gdyby skręcił w prawo lub w lewo. Halt zaczął nabierać nadziei, widząc, że Norman oddala się od swoich prześladowców.

W tym momencie starszy mężczyzna popełnił typowy błąd. Obejrzał się na ścigających go wargalów.

Gdy to zrobił, jego stopa natrafiła na duży, nierówny kamień, który obrócił się pod jego ciężarem i sprawił, że Norman poleciał jak długi na ziemię. Podniósł się niemal natychmiast, ale przy upadku skręcił sobie kostkę, która nie była w stanie prawidłowo utrzymać ciężaru jego ciała. Noga ugięła się pod nim, gdy spróbował stanąć, i znowu upadł na ziemię.

Wargalowie warknęli triumfalnie i zdwoili wysiłki. Halt słyszał, że poszczekują i skowyczą jak psy, gdy zbliżyli się do starego człowieka. Norman znowu się podniósł i zaczął kuśtykać, próbując dalej uciekać zygzakiem między skałami. Ale wargalowie zbliżali się do niego, a on po prostu nie był w stanie przemieszczać się dostatecznie szybko. Potknął się i opadł na kolano.

Dwójka prowadząca pościg była zaledwie kilka metrów od niego, gdy Halt podniósł się zza swojej osłony, a jego łuk zadźwięczał błyskawicznie dwa razy.

Ciężkie strzały wbiły się w ciała bestii. Jedna zginęła na miejscu. Druga została odrzucona w bok siłą uderzenia strzały. Zacharczała w agonii, szarpiąc pazurami wystającą z boku strzałę, której grot przebił skórzaną zbroję i utkwiał głęboko w piersi wargala. Od śmierci dzieliło go kilka minut, ale wargal mimo to próbował się podnieść i dosięgnąć Normana, który teraz wstał, podpierając się na głazie.

– To zwiadowca! – Halt usłyszał za sobą okrzyk, więc odwrócił się gwałtownie. Jeden z dwóch jeźdźców stał w strzemionach i wskazywał go. Halt błyskawicznie wystrzelił, a mężczyzna spadł z siodła. Drugi natychmiast rzucił się na ziemię koło swojego konia.

Halt zobaczył, że pluton wargalów dopadł Normana. Usłyszał cienki wrzask bólu i przerażenia pustelnika, a potem pokryte czarnym futrem bestie zasłoniły mu widok, unosząc i opuszczając miecze i włócznie w morderczym szale. Halt uświadomił sobie, że nie może już nic zrobić dla starego mężczyzny, sam zaś znajduje się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Zwłaszcza gdy wrogowie odetną mu drogę ucieczki do krawędzi urwiska.

Rzucił się pędem w stronę przepaści.



14

ROZDZIAŁ

Krzyki Normana umilkły, gdy Halt uciekał pomiędzy skałami w stronę krawędzi urwiska.

Czuł pod podeszwami miękkich butów nierówny grunt, kamienie i żwir obracały mu się pod stopami, próbując go przewrócić. Ale jakoś udawało mu się utrzymywać równowagę i biec dalej. Starał się rozwijać jak największą prędkość, nie zwracając uwagi na niepewny teren i ryzyko upadku oraz kontuzji. Musiał być szybki jak wiatr. Musiał wyminąć tyralierę wargalów, zanim odetną mu drogę do krawędzi urwiska. Miał na ramieniu zwiniętą linę, więc jeśli zdobędzie dostateczną przewagę i znajdzie czas na przywiązanie jej do skał nad urwiskiem, będzie mógł ześlizgnąć się po niej i uciec.

Przeliczył w myślach, ile strzał zużył do tej pory. Dwie wystrzelił do wargalów, którzy jako pierwsi dopadli Normana. Jeszcze jedną, by powalić jeźdźca. To pozostawiało dziewięć strzał. Ścigała go prawie trzydziestka stworów.

Miał przed sobą kawałek równego terenu, więc błyskawicznie się odwrócił, by

sprawdzić, jak daleko są wargalowie. Zbliźali się, lawirując niezgrabnie pomiędzy skałami. Nie byli szczególnie zwinni i kilku przewróciło się, a teraz utykali z tyłu grupy, najwyraźniej ranni.

W samą porę spojrział znowu na wprost. Jakies dwa metry przed sobą zobaczył płytki rów, najeżony poszarpanymi, nierównymi kamieniami. Zmobilizował się i przeskoczył go, wylądował niezgrabnie i stracił równowagę. Żeby ją odzyskać, wydłużył na chwilę krok.

To się okazało błędem. W ten sposób jeszcze bardziej stracił równowagę i był zmuszony przyspieszyć, by spróbować ją odzyskać. To było okropne sprzężenie zwrotne. Im bardziej wydłużał krok i przyspieszał, tym bardziej tracił równowagę. W końcu nie był w stanie jej utrzymać. Przewrócił się, ale w ostatniej chwili rozluźnił mięśnie i skulił się, przetaczając się przez ramię po ziemi, po czym niemal natychmiast zerwał się na nogi. Ramię pulsowało bólem, a na policzku miał krwawe zadrapanie, ale zignorował te obrażenia i biegł dalej, uważnie przyglądając się drodze pod nogami.

Musiał zyskać trochę czasu. Potrzebował dłuższej chwili, by umocować linę na krawędzi urwiska. Kiedy podjął decyzję, zatrzymał się z poślizgiem, odwrócił się, by stanąć twarzą do ścigających go wargalów, i ściągnął łuk z ramienia.

Jego dłonie poruszały się z szybkością błyskawicy, jedną po drugiej wyciągał strzały z kołczanu, zakładał je na cięciwę i strzelał. W ciągu kilku sekund wypuścił siedem strzał, a każda z nich trafiła w cel. Wargalowie na przedzie grupy upadli na ziemię, martwi lub ciężko ranni. Ten atak był naprawdę niszczący. Uderzenia ciężkich strzał sprawiały, że tracili równowagę. Wrzeszczeli z gniewu i bólu lub w milczeniu padali, przesycając grotami. W każdym innym oddziale taka sytuacja spowodowałaby panikę i chaos, a następni żołnierze zrozumieliby, że zaraz czeka ich to samo, i spróbowaliby się ukryć.

Wargalowie biegli dalej bez cienia wahania, przebiegając obok powalonych towarzyszy, a w niektórych przypadkach deptając po nich lub kopniakami usuwając ich z drogi. Hałt poczuł ukłucie strachu, gdy stał naprzeciwko tak zaciekłych wrogów. Zostały mu tylko dwie strzały i wiedział, że go nie uratują. Mogła mu pomóc jedynie szybkość.

Odwrócił się i pobiegł, zdwajając wysiłki, przestając uważać na cokolwiek i mając nadzieję, że nie potknie się i nie przewróci. Gdyby tak się stało, oznaczałoby to okropną śmierć z rąk tych warczących i skowyczących stworów.

Kamienie chrzęściły mu pod stopami. Poślizgnął się i potknął kilka razy, ale jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach, biegnąc jak najszybciej przez płaskowyż.

Za sobą słyszał warczenie wargalów i ciężkie uderzenia stóp o ziemię. Kilka razy usłyszał skowyt bólu, a potem odgłos upadającego ciała. Uświadomił sobie, że na nierównej powierzchni wargalowie mają takie same trudności jak on.

Podniósł głowę. Krawędź płaskowyżu była w zasięgu wzroku. Po prawej stronie

widział solidnie wyglądające karłowate drzewko, rosnące kilka metrów od brzegu urwiska. Skierował się w jego stronę. Na szczęście wargalów miał po lewej, więc zmiana kierunku dała mu dodatkową przewagę. Oceniał, że pościg był sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt metrów za nim. Stwory poruszały się wolniej od niego po zasypanym kamieniami gruncie i szukały przejść między nieregularnie rozrzuconymi głazami. Gorączkowo pragnąc go schwytać, wpadały na siebie nawzajem i spychały się z drogi. To wszystko spowalniało je i dawało Haltowi większą przewagę.

Od drzewa dzieliło go teraz kilka metrów. Odwinął linę z ramienia i zarzucił ją na pień. Potem złapał oba końce, skrzyżował je za plecami, a wreszcie wszedł w podwójnie złożoną linę tak, żeby mieć ją między nogami. Półtora pętli założył sobie na prawe ramię, żeby kontrolować napięcie, a potem szybko wycofał się na krawędź urwiska, wypuszczając po drodze linę i wychylając ciało nad przepaść tak, by znalazło się pod odpowiednim kątem do ściany urwiska.

Wargalowie byli czterdzieści metrów od niego, kiedy odepchnął się od skalnej ściany stopami i spadł o jakieś osiem metrów. Czuł, że lina pali go w prawe ramię, szorując po nim. Przytrzymał ją lewą ręką, żeby zwolnić, a potem znowu zeskoczył w dół, wypuszczając linę. Był teraz dwadzieścia metrów poniżej krawędzi, a kolejne dwadzieścia dzieliło go od szerokiej półki skalnej, na której odpoczywał po drodze na płaskowyżu. Spojrzał w górę i zobaczył pół tuzina zwierzęcych, wykrzywionych w gniewnym warczeniu mord, patrzących na niego z krawędzi urwiska. Lina zadrżała, gdy jeden z nich złapał ją i wbił w nią zęby.

Halt zjechał jeszcze kawałek, tym razem dalej i szybciej, a przesuwająca się lina jeszcze mocniej otarła ramię, pomimo chroniącego go grubego rękawa kurtki. Po prawej stronie od skalnej ściany odbił się kamień, omal go nie trafiając. Potem następny.

Znowu spojrzał w górę. Wargal na górze zrezygnował z prób przegryzienia liny. Zamiast tego dołączył do swoich towarzyszy, łapiących kamienie i rzucających nimi z góry w Halta.

Gdyby po prostu upuszczali te kamienie, mieliby więcej szczęścia. Ale ich dłonie i ramiona były niezgrabne, więc mimo wszelkich wysiłków rzucali bardzo niecelnie. Kamienie sypały się koło niego. Spostrzegł, że jeden leci mu prosto na głowę, więc przesunął się w bok i podniósł lewą rękę, żeby się osłonić. Skrzywił się z bólu, gdy kamień uderzył go w przedramię. To było bolesne, ale byłoby znacznie gorzej, gdyby dostał w głowę lub w twarz.

Znowu odbił się od ściany, wypuścił linę i opadł w dół jeszcze szybciej niż poprzednio.

Jęknął z zaskoczeniem, gdy po niecałych dwóch metrach jego stopy uderzyły o skalną półkę.

Ugiął kolana, by zamortyzować nieoczekiwany szok uderzenia i przez moment

zawisł, wytrącony z równowagi, ryzykując tym, że spadnie w tył ze skalnego występu. Potem odzyskał równowagę i przycisnął się twarzą do ściany, gdy kolejny deszcz kamieni leciał wokół niego, odbijając się od skał. Na szczęście tuż nad nim był nieduży występ, w który uderzał i odskakiwał w bok każdy pocisk wycelowany prosto w niego.

Halt odwiązał linę i wypuścił jeden jej koniec, a potem szarpnął mocno za drugi, żeby ściągnąć ją z drzewa na górze. Modlił się, żeby nie pękła. Wargalowie byli dzicy i nieustraszeni, ale na szczęście nie byli szczególnie inteligentni i powoli reagowali na zmianę sytuacji. Zanim uświadomili sobie, co się dzieje, lina wyslizgnęła się i jej koniec spadł z urwiska do miejsca, gdzie Halt przykucnął na skalnej półce. Zebrał linę i poszukał jednego z haków, które wbijał, wspinając się na górę. Dostrzegł go po prawej stronie i podbiegł do niego, kuląc się, ponieważ z góry leciały kolejne kamienie.

Potem deszcz kamieni ustał, a kiedy Halt podniósł głowę, zobaczył, że wargalowie zniknęli z krawędzi urwiska. Słyszał ich warknięcia i poszczekiwanie oddalające się w lewą stronę i wiedział, że kierują się do Wąwozu Trzech Kroków. Zrozumieli, że uciekł im i nie mają szans go złapać, kiedy schodzi po skalnej ścianie.

Teraz najlepszym pomysłem, jaki mieli, było zbiec Wąwozem Trzech Kroków i odciąć mu drogę ucieczki na dole.

Nie miał pojęcia, jak szybko mogli przedostać się na dół wąwozem, ale nie tracił czasu na zastanawianie się. Zaczepił złożoną linę o hak, pospiesznie obwiązał się nią pod ramionami i zeskoczył ze skalnej półki, pokonując urwisko ogromnymi susami. Lina znowu paliła go, ocierając ramiona i wewnętrzną stronę ud, kiedy opadł o piętnaście metrów i zatrzymał się, opierając się stopami o ścianę. Zignorował ból i znowu się odepchnął. Tym razem jednak lina zaczęła się wbijać w otartą i uszkodzoną skórę tak, że musiał się zatrzymać po dziesięciu metrach. Spojrzał w dół. Jeszcze dziesięć metrów. Tylko kilka sekund bólu. Zaciśnął zęby i odbił się od ściany mocniej, żeby oddalić się większym łukiem od urwiska.

Kolana ugięły się pod nim, kiedy uderzył o ziemię i upadł na miękką trawę. Abelard obserwował go z odległości kilku metrów, z czujnie nastawionymi uszami. Halt zerwał się na nogi i chwiejnie ruszył w stronę konia. Kolana miał miękkie i niepewne po wysiłku i napięciu ostatnich dziesięciu minut. Oparł się o konika i siodło, by utrzymać się na nogach.

Zostawił Abelarda osiodłanego, ale z luźnym popręgiem. Uświadomił sobie teraz, że popełnił błąd, ponieważ musiał stracić cenne minuty na zaciąganie skórzanego paska. Gdyby zostawił konia bez siodła, mógłby teraz po prostu wskoczyć na niego i odjechać na oklep.

Nieduży koń stał spokojnie, gdy Halt podciągał popręg, a potem wkładał nogę w strzemię, by wskoczyć na siodło.

– Nie masz nic mądrego do powiedzenia? – zapytał.

Abelard dwa razy zastrzygł uszami.

I tak mnie nigdy nie słuchasz.

Halt znalazł się w siodle i skierował konia między drzewa, zanim jeszcze włożył w strzemień prawą stopę. Wypadli spomiędzy drzew w pełnym galopie, a on skręcił łeb Abelarda na północny wschód, w kierunku domu.

W tym momencie zobaczył ciemne sylwetki wypadające z ujścia wąwozu i biegnące, by przeciąć mu drogę. Poszczekiwanie i warczenie ustało, a cisza wydawała mu się z jakichś powodów złowróżbna. Uświadomił sobie, że przegrał w tym wyścigu. Zagrodzili mu drogę, którą musiał jechać.

Na moment zawahał się i zatrzymał Abelarda. Najmądrzejszą rzeczą byłoby zawrócić i skierować się na południowy zachód. Domyślał się jednak, że gdyby to zrobił, wargalowie podejmą pościg, a on będzie się coraz bardziej oddalać od Zamku Araluen. Miał informacje, których król potrzebował. Nie mógł przewidzieć, jak długo i jak daleko będą go ścigać wargalowie. Wiedział, że jeśli dostali jakieś zadanie, wykonywali je do końca. I wydawali się niezmordowani.

Zastanowił się, czy nie skierować się do oddziału żołnierzy pilnujących wąwozu. Ale było ich zaledwie dwudziestu i podejrzewał, że nie stanowiliby wyzwania dla trzydziestu potężnych wargalów, którzy go ścigali. Miał opory przed poświęceniem tych ludzi dla własnego bezpieczeństwa. I tak czuł się winny z powodu śmierci Normana, chociaż patrząc na to realistycznie, nie mógł zrobić niczego, by temu zapobiec.

Myśl o Normanie przypomniała mu o czymś, co powiedział stary pustelnik. Wargalowie odczuwali irracjonalny lęk przed końmi, a Morgarath starał się z nich ten lęk wykorzenić.

Odwrócił Abelarda w stronę rzędu ciemnych, zagradzających mu drogę sylwetek, a potem szturchnął go piętami, tak że konik przyspieszył do cwału. Kiedy pędzili po trawie, Halt wyciągnął z kołczanu dwie ostatnie strzały i wypuścił je w najbliższych wargalów. Dwaj z nich padli trupem, ale pozostało jeszcze ponad dwudziestu, a on był teraz praktycznie bezbronny. Nie liczył sakwy i noża do rzucania. W walce wręcz z tymi okrutnymi bestiami nie miałby szans. Wargalowie wydawali się obojętni na los swoich towarzyszy. Utworzyli tyralierę, żeby go zatrzymać, unieśli broń i zawarceli z furią i nienawiścią.

Ale gdy zbliżył się do oczekujących bestii, te wyraźnie się zawahały. Kilka wycofało się z zagradzającego mu drogę szeregu. Kopyta Abelarda uderzały w ziemię, wrywając z niej grudy trawy.

Halt pochylił się na końskiej szyi i ponaglił go do szybszego biegu. Abelard zareagował natychmiast, stulił uszy i rozchylił nozdrza, oddychając ciężko.

Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Zaufaj mi – powiedział Halt.

W tym momencie nastąpiła reakcja. Znajdowali się zaledwie o dziesięć metrów od wargalów, gdy potężni wojownicy spanikowali i złamali szyk, uciekając na boki z ochrypłymi okrzykami strachu i zostawiając galopującemu koniowi wolną drogę.

Większość z nich rzuciła się biegiem, rozpaczliwie próbując uciec przez straszliwym widokiem zbliżającego się do nich konia. Kilku cisnęło włóczniami. Ale tak jak zauważył Halt, ich niezgrabne dłonie i długie pazury utrudniały celność rzutów. Włócznie przeleciały nad nim szerokim łukiem.

Wyrwali się z okrążenia, więc Halt pozwolił Abelardowi trochę zwolnić, gdy cwałowali miękko w stronę drogi prowadzącej przez las w kierunku Zamku Araluen. Obejrzał się przez ramię. Przerażeni wargalowie nadal byli w rozsypce i uciekali na oślep przed swoją nemezis. Norman miał rację.

– To bardzo interesujące – mruknął.

Sam nie wiem. Mogę być naprawdę przerażający, jeśli tylko chcę.



15

ROZDZIAŁ

Opactwo Woldon było gościnnie wyglądającym dwu piętrowym budynkiem wzniesionym z bloków piaskowca koloru miodu. Wzdłuż wyższego piętra ciągnął się otwarty taras, na którym pacjentki mogły wypoczywać na świeżym powietrzu i podziwiać widok. Z tarasu liczne drzwi prowadziły do poszczególnych sypialni.

Opactwo było położone pomiędzy drzewami, niedaleko niewielkiej rzeki. Z jednej strony widać było kłęby pary unoszące się z gorącego źródła – to ono sprawiło, że wzniesiono tutaj opactwo. Woda była bogata w minerały i podgrzewana przez podziemną aktywność termalną. Wyciekała ze szczelin w skałach, napełniała sadzawkę u ich podnóża, a potem spływała do rzeki, ochładzając się szybko po drodze.

Przed opactwem znajdował się przystrzyżony trawnik z wypielęgowanymi klombami kwiatów. Crowley polecił stangretowi podjechać do niskich schodów prowadzących do wejścia i zatrzymać powóz.

Trzy z sióstr służących w opactwie zbiegły pospiesznie po schodach, by powitać powóz i królewskiego gościa. Ich zakon był świecki i zajmował się opieką nad

chorymi. Matka przełożona, wysoka kobieta o poważnej twarzy, dygnęła lekko, gdy zbliżyła się do powozu, a jeden ze służących otworzył drzwi. Zachowywała się w taki sposób, by okazać grzeczność nowo przybyłej, ale jednocześnie nie podważać własnego autorytetu.

– Witamy w Opactwie Woldon, wasza wysokość. Jestem przeorysza Margrit.

Królowa nie spała. Przedrzemała ostatnich kilka godzin, więc teraz jej cera miała zdrowszy kolor, a oczy lśniły. Gdy służący chcieli wynieść posłanie z powozu, machnęła na nich ręką.

– Nie trzeba, dziękuję. Czuję się dobrze, mogę iść.

Zaczęła się podnosić z posłania, ale przeorysza uniosła rękę, powstrzymując ją. Nie było cienia wątpliwości, że jest to rozkaz. I że nie można mu się sprzeciwiać.

– Lepiej, żebyś była noszona, wasza wysokość, dopóki nie zbadamy twojego stanu.

Rosalind spojrzała jej w oczy i dostrzegła płonącą w nich determinację. Margrit nie była kobietą, która pozwalała na sprzeciw lub nieposłuszeństwo. Królowa poddała się i oparła się wygodniej na poduszkach, pozwalając służącym wynieść ją ostrożnie z powozu i ustawić posłanie na ziemi, gdzie krótkie nogi utrzymywały je ponad wilgotną trawą.

Crowley zdążył przez ten czas zsiąść z konia. Tak jak miał w zwyczaju, puścił wodze Croppera luzem. Podszedł do przeoryszy, która przewyższała go wzrostem o głowę, i uśmiechnął się, skłaniając głowę na powitanie. Ostatecznie był zwiadowcą. Co więcej, był dowódcą zwiadowców, a ta pozycja pod wieloma względami stawiała go na równi z baronem. Nie zamierzał się podporządkowywać żadnej siwej przeoryszy. W każdym razie zakładał, że jest siwa, bo jej głowę i ramiona zasłaniał biały welon, przytrzymywany szarą opaską na czole. Obszerny habit miał taki sam szary kolor jak habit y jej towarzyszek.

– Dzień dobry, przeoryszo Margrit – powiedział, a potem skinął głową pozostałym dwóm siostrą po jej bokach. – Dzień dobry, siostry.

Dwie młodsze siostry natychmiast przywitały się z nim chórem, podczas gdy przeorysza po krótkiej chwili zaledwie skinęła głową z grzeczności. Crowley uśmiechnął się do siebie. Pomyślał, że to zaznaczenie władzy. Przeorysza przekazywała mu w ten sposób, że to ona tutaj rządzi, a on nie powinien o tym zapominać.

W końcu Margrit postanowiła się odezwać.

– A ty jesteś? – zapytała chłodno, chociaż wiedziała to aż za dobrze. Crowley postanowił nie okazywać urazy. Ostatecznie to było jej opactwo i ona tu rządziła.

– Jestem Crowley, matko przełożona, królewski zwiadowca – powiedział grzecznie.

Margrit uniosła jedną idealnie zarysowaną brew. Crowley uświadomił sobie, że w młodości musiała być oszałamiająco piękna.

– W takim razie pamiętaj, żeby nie włączyć do mojego opactwa w zabłoconych

buciorach.

Crowley pozwolił sobie na uśmiech.

– Postaram się tego nie robić.

Patrzyła na niego przez kilka sekund, a potem zignorowała go i przyklęła przy posłaniu, wzięła Rosalind za rękę, zbadła jej puls i położyła chłodną dłoń na jej czole.

– Hmmm – zastanowiła się. – Puls jest trochę za słaby. Temperatura trochę za wysoka.

– Podróżujemy od kilku dni – odparła wyjaśniająco Rosalind.

Margrit skinęła głową.

– W takim razie można było się tego spodziewać. Ale szybko postawimy cię na nogi, pani. Dobre, pożywne jedzenie, mnóstwo odpoczynku i świeżego powietrza oraz codzienne kąpiele w gorącym źródle uczynią prawdziwe cuda dla ciebie i twojego dziecka.

Rosalind uśmiechnęła się. Crowley wtrącił się do rozmowy.

– Moim zdaniem to brzmi świetnie. Może też zostanę?

Margrit podniosła się z kolan i rzuciła mu spojrzenie z góry, znad eleganckiego nosa.

– Opactwo i źródło służą tylko kobietom wątłego zdrowia – oznajmiła wyniośle. – Obawiam się, że byłbyś tutaj nie na miejscu.

Crowley wzruszył ramionami.

– Zazwyczaj jestem – odparł pogodnie.

Na twarzy przeoryszy nie pojawił się uśmiech. Nie odpowiedziała, ale gestem poleciła służącym, by podnieśli posłanie Rosalind i zanieśli ją do opactwa.

– Zaraz cię urządzimy w nowym miejscu, pani. – Potem zwróciła się do Crowleya: – Kim są ci żołnierze? – Wskazała sir Athola i zbrojnych.

Crowley pomyślał, że przeorysza doskonale wie, kim oni są. Ale nadal uśmiechał się swobodnie.

– To eskorta zbrojna królowej. Oto sir Athol, ich dowódca.

Athol, który zsiadł z konia i podszedł do nich, skłonił się nisko.

– Do usług, matko przełożona.

Przeorysza pociągnęła nosem.

– To się dopiero zobaczy. – Popatrzyła na zbrojnych, siedzących jeszcze na koniach.

– Cóż, nie możecie zatrzymać się w opactwie. Tak jak mówiłam, przyjmujemy tylko kobiety i nie pozwolę, by banda hałaśliwych żołdaków przeszkadzała pacjentkom.

– Królowa musi mieć ochronę – przypomniał Crowley. Już się nie uśmiechał, a ton jego głosu dał do zrozumienia przeoryszy, że ta sprawa nie podlega dyskusji.

Nastąpił moment lodowatej ciszy, którą przerwał sir Athol.

– Możemy rozłożyć obóz tam, matko przełożona – wskazał łąkę w zakolu rzeki, jakieś sto metrów od nich. Były tam zapewniające osłonę kępy drzew, a równy teren

pokrywała miękka trawa. Crowley pomyślał, że to bardzo dogodne miejsce na obozowisko.

Przeorysza zastanowiła się nad jego propozycją.

– Niech będzie – powiedziała w końcu. Spojrzała z aprobatą na sir Athola. Był młody i dobrze wychowany. Rudowłosego zwiadowcę uznała za zbyt zuchwałego i pewnego siebie jak na jej gust.

Crowley wskazał teraz wejście do opactwa.

– Cóż, skoro to już ustalone, pożegnam się z królową i ruszam w drogę.

Margrit była lekko zaskoczona. Wiedziała, że przybysze podróżują od rana.

– Nie zostaniesz na posiłek? – zapytała. Mogła być wyniosła i despotyczna, ale nie zamierzała okazywać braku gościnności podróżnym w potrzebie.

– Zbyt wiele mam do roboty – rzekł Crowley. – Obawiam się, że obowiązki mnie wzywają.

– Zwiadowca Crowley jest dowódcą zwiadowców, matko przełożona – wyjaśnił Athol. – Ma mnóstwo rzeczy na głowie. – Wbrew sobie Margrit była pod wrażeniem, gdy dowiedziała się, jaką rangę ma jej gość.

Crowley skierował się do schodów i wszedł przez podwójne drzwi do środka. Zaraz za nimi znajdował się obszerny hol, z biurkiem recepcji na środku i wielkimi kłodami płonącymi w kominku pod ścianą. Królowa podniosła się z posłania i pólżeła na wygodnej kanapie przy stole. Uśmiechnęła się na widok Crowleya.

– Będę już jechać, wasza wysokość – ujął jej dłoń i pochylił się nad nią.

Rosalind pozwoliła sobie na okazanie rozczarowania. Crowley był doskonałym towarzyszem podróży – zawsze dowcipny, odpowiedzialny i pełen spokojnej pewności siebie. Czowała się bezpiecznie pod jego opieką.

– Tak szybko, Crowleyu?

– Obawiam się, że tak. Król mnie potrzebuje.

Królowa ściągnęła wargi.

– Rozumiem – powiedziała. – W tym momencie potrzebuje wszystkich lojalnych dowódców.

Crowley chciał wypuścić jej dłoń, ale Rosalind z zaskakującą siłą ścisnęła jego rękę i przyciągnęła go bliżej.

– Powiedz mi, żeby się o mnie nie martwił – poprosiła. – Czuję się znacznie lepiej i jestem pewna, że przeorysza Margrit szybko postawi mnie na nogi.

Nie potrafił się nie uśmiechnąć.

– Można to i tak nazwać. Trochę się... rządzi, prawda?

Rosalind także się uśmiechnęła.

– Myślę, że musi taka być. Musi utrzymywać tutaj porządek... i pilnować, by żaden hałaśliwy zwiadowca nie zakłócał spokoju.

– Skoro tak mówisz, wasza wysokość – powiedział i wyprostował się. – Bądź

zdrowa, pani. Wróć po ciebie, gdy urodzi się dziecko.

– Dziękuję, Crowleyu – odparła, uśmiechając się na wzmiankę o dziecku. Uniosła rękę w geście pożegnania. Zwiadowca skłonił się lekko, a potem odwrócił się i podszedł do drzwi. Gdy się do nich zbliżył, do środka weszła przeorysza Margrit, więc odsunął się na bok, by ją przepuścić. Podziękowała za tę grzeczność skinieniem głowy.

– Opiekuj się nią dobrze, matko przełożona.

Spojrzała mu pewnie w oczy.

– Możesz być o to spokojny – powiedziała.

Gdy Crowley dosiadał konia i odjeżdżał, z drugiego brzegu rzeki obserwował go obszarpany osobnik. Miał na sobie niedobre i niedopasowane ubranie, które ukradł, gdy suszyło się koło chłopskiej chaty. Muł z zapadniętym grzbietem, także kradziony, czekał cierpliwie, gdy mężczyzna obserwował opactwo. Opryszek zmrużył oczy, patrząc za odjeżdżającym zwiadowcą. Słyszał gwizdaną przez Crowleya pogodną melodię, więc jego wargi bezwiednie wykrzywiły się w bezgłośnym grymasie furii.

– Zobaczmy już niedługo, czy będziesz miał na co gwizdać – wymamrotał pod nosem. Był zdecydowany się zemścić. Należał do rabusiów, których rozbroili Crowley i jego ludzie. Na razie nie wiedział jeszcze, na czym ma polegać jego zemsta. Wiedział jednak, że jej obiektem będzie ważny gość, którego zwiadowca oddał pod opiekę przeoryszy.



Półtora dnia później Crowley był już z powrotem w Zamku Araluen, pograżony w dyskusji z królem i jego wielkimi zbrojmistrzami, lordem Northoltem i sir Davidem. Northolt był naczelnym dowódcą armii oraz zbrojmistrzem Zamku Araluen. Od lat dowodził armią ojca Duncana, a król był mu wdzięczny za jego wsparcie i wiedzę. Cieszył się jednak, że może także zasięgnąć rady Davida. Sir David, zbrojmistrz z lenna Caraway, dowodził królewską konnicą. Był młodszą mężczyzną, doświadczonym w boju żołnierzem i dowódcą. Najważniejsze jednak, że nie był konserwatywny i nie upierał się przy używaniu dawnych rozwiązań.

– Z każdym dniem tracimy kolejnych żołnierzy – mówił Northolt.

Duncan wzruszył ramionami z powodu nieuchronności tego problemu.

– To pora żniw – przypomniał. – Musiałem ich wypuścić, żeby zebrali plony. Inaczej za rok wszyscy byśmy głodowali.

Jego stała armia była bardzo niewielka, zaś w razie potrzeby wzmocniały ją zaciągi z poszczególnych lenn, dowodzone przez baronów. Ale nie było sposobu, by w nieskończoność trzymać tych ludzi pod bronią. Ktoś musiał się zajmować sprawami

królestwa, a obecnie trzeba było zebrać plony i przewieźć je do spichlerzy. To oznaczało, że setki żołnierzy zaciężnych musiały dostać zgodę na powrót do swoich lenn. Duncan i Northolt starali się wypuszczać żołnierzy na przemian, tak aby wszyscy nie wyjechali jednocześnie. Ale mimo wszystko ich liczba była obecnie znacznie uszczuplona.

– Wydaje mi się także, że część baronów wykorzystuje żniwa jako pretekst. Są niezdecydowani, czekają, jak ułożą się sprawy między tobą a Morgarathem – zauważył Northolt.

Król ponuro skinął głową.

– Przynajmniej nie opowiadają się czynnie po jego stronie. To byłoby o wiele gorsze.

– I bez tego sprawy źle wyglądają. Jeśli Morgarath zaatakuje teraz, będziemy w poważnym niebezpieczeństwie.

– Mam nadzieję, że będzie walczył w przyjęty dotychczas sposób – powiedział Duncan. – Zawsze unikaliśmy wojen o tej porze roku, ponieważ trzeba było zebrać plony.

– Niestety on nie ma plonów do zebrania – przypomniał Crowley. – I wie, że o tej porze nasze siły tradycyjnie będą osłabione.

– Mam niespełna trzystu piechurów – powiedział sir David. – I jeszcze mniej liczną konnicę. Mam do dyspozycji około stu dwudziestu zbrojnych jeźdźców.

Duncan pomyślał, że to bardzo poważny problem. Główną rolę konnicy w takich czasach było przeprowadzanie zwiadów, pozostawanie oczami króla i dostarczanie informacji o ruchach nieprzyjaciela. Tak niewielka liczba konnych żołnierzy sprawiała, że nie mogli skutecznie wypełniać tych zadań.

– W przypadku łuczników sytuacja jest jeszcze gorsza. Większość z nich wyjechała – dodał lord Northolt.

Oddziały królewskich łuczników składały się z młodych wieśniaków, którzy codziennie ćwiczili się w sztuce strzelania. Jednakże ci właśnie młodzi ludzie byli najbardziej potrzebni podczas żniw.

– Morgarath będzie wiedział, że znajdujemy się w trudnej sytuacji – stwierdził Duncan. – Znał to z własnego doświadczenia jako dowódca lenna Gorlan. Teraz zaś jest po drugiej stronie.

– Wszystko zależy od tego, czy powiódł się jego plan rekrutacji tych dziwnych bestii – zauważył Northolt. – Czy były jakieś wieści od Halta? – Ostatnie pytanie skierował do Crowleya. Halt, rzecz jasna, najpierw jemu złożyłby meldunek.

Crowley potrząsnął głową.

– Spodziewam się wiadomości od niego lada dzień – oznajmił. – Jeśli udało mu się przeżyć – dodał.

Duncan zmarszczył czoło z troską. W komnacie zapadła długa cisza, gdy wszyscy

zastanawiali się nad sytuacją. Przerwało ją ostrożne pukanie do drzwi.

– Wejść – zawołał Duncan i do komnaty wszedł młody paź, niosący mały zwitek pergaminu. Miał szeroko otwarte oczy, wyraźnie denerwował się w tak bliskiej obecności króla i królewskiego zbrojniczego. Duncan uśmiechnął się do chłopca, który miał zaledwie trzynaście lat, i zaprosił go gestem, by podszedł bliżej. Wyciągnął rękę po pergamin.

– Właśnie przybył gołąb pocztowy, wasza wysokość – zameldował paź lekko załamującym się głosem.

Duncan wziął od niego wiadomość i spojrzał na pozostałych.

– Miejmy nadzieję, że to dla odmiany dobre wieści – oznajmił. Odesłał chłopca i rozwinął pergamin, a zmarszczka na jego czole pogłębiała się, gdy czytał treść listu. Popatrzył na swoich trzech dowódców.

– Morgarath rozpoczął działania wojenne – powiedział. – Jego siły przedarły się przez Wąwóz Trzech Kroków.





16

ROZDZIAŁ

Kapitan Lachie Stuart, dowódca oddziału wyznaczonego do pilnowania Wąwozu Trzech Kroków, siedział przy stole polowym przed namiotem i układał wysyłany raz na dwa tygodnie raport do lorda Northolta, naczelnego dowódcy armii.

Jak zwykle miał niewiele do zaraportowania, poza niedawną wizytą zwiadowcy nazywającego się Halt oraz zadeklarowanym przez niego zamiarem wspięcia się na urwisko stanowiące krawędź Gór Deszczu i Nocy. Stuart nie zobaczył nawet śladu zwiadowcy, od kiedy ten wyruszył na swoją wyprawę, więc nie miał pojęcia, czy Haltowi ten zamiar się powiódł. Spojrzał krytycznie na stromą skalną ścianę rozciągającą się na południowy zachód od obozowiska i uznał, że odpowiedź negatywna jest zdecydowanie bardziej prawdopodobna.

Miał też miejsce krótki wypad grupy dziwnych, podobnych do niedźwiedzi stworzeń, kilka dni po zniknięciu zwiadowcy. Ale szybko wróciły one do wąwozu, najwyraźniej w stanie paniki. Zawahał się, czy pisać o tym w raporcie. Przekonania o stanie ich umysłów nabrał, gdy obserwował, jak biegną na łeb, na szyję, by schronić się

z powrotem w wąwozie. Ale uznał, że bez wyraźnych dowodów lepiej będzie o tym nie wspominać. Lord Northolt wymagał w raportach podległych mu dowódców faktów, a nie podejrzeń czy przypuszczeń.

– Kapitanie Stuart! Coś się dzieje!

Podniósł głowę znad na wpół ukończonego raportu. Jeden z żołnierzy biegł przez obozowisko w jego stronę, machając ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę. Najprawdopodobniej przybiegł z wysuniętego stanowiska obserwacyjnego, z którego patrol miał bezustannie oko na wejście do Wąwozu Trzech Kroków. Stuart wstał, potrącając stół i przewracając kałamarz. Pospiesznie złapał kartki z pracowicie zapisanym raportem i przesunął je w bezpieczne miejsce. Potem postawił z powrotem butelkę i rozejrzał się za czymś, czym mógł wytrzeć rozlany atrament.

Ale nie miał już na to czasu. Żołnierz był kilka metrów od niego, czerwony na twarzy i spocony, a jego słowa sprawiły, że Stuart poczuł dreszcz przerażenia.

– Nadchodzą, sir! Te potwory. Nadchodzą z wąwozu.

Stuart upuścił kartki raportu i ścisnął miecz, oparty w pochwie o krzesło, w którym przed chwilą siedział. Przypiął go do ciężkiego pasa.

– Ilu? – zapytał. Nie po raz pierwszy zdarzyło się, że potwory robiły wypad i do tej pory nigdy nie pojawiały się w większej liczbie.

– Do tej pory naliczyliśmy pięćdziesięciu. Kapral Jussup kazał mi iść po pana kapitana.

Stuart wiedział, że musi zacząć działać. Pięćdziesiąt potworów? Sądząc ze słów: „do tej pory”, będzie ich jeszcze więcej. To była prawdziwa wyprawa wojenna. Rozejrzał się po obozie. Jego ludzie odpoczywali, zajmowali się pomniejszych obowiązkami, takimi jak pranie i przygotowywanie posiłków. Żaden z nich nie miał na sobie zbroi i nie nosił broni. Kapitan złapał żołnierza za ramię.

– Ogłoś alarm! – rozkazał. – Cała kompania ma się uzbroić i zameldować przy palisadzie.

„Kompania” – pomyślał lekceważąco. W zwykłych okolicznościach kompania liczyła pięćdziesięciu żołnierzy. Jednak ze względu na zmniejszony stan osobowy armii Duncana, Stuart miał pod komendą zaledwie dwudziestu siedmiu ludzi. Niewiele będą mogli zrobić, jeśli Morgarath postanowił wysłać większe siły zbrojne. Żołnierz pobiegł w głąb obozu, dudniąc butami na miękkiej trawie i krzycząc na alarm. Stuart zobaczył, że pozostali zareagowali, sięgnęli po broń i zaczęli nakładać kolczugi i hełmy. Sam odwrócił się i ruszył do punktu obserwacyjnego.

Wyłonił się spośród drzew w pobliżu ukrytego posterunku. Był to niewielki okop, przykryty kłódami i zamaskowany gałęziami, ziemią i trawą, by nie rzucać się w oczy w tym otoczeniu. Zbiegł po niskich schodkach i znalazł się w półmroku wnętrza. Ledwo starczyło tu miejsca, by stanąć prosto, ale on przepchnął się koło trzech żołnierzy i przykucnął koło kaprała przy szczelinie obserwacyjnej. Westchnął

z zaskoczenia, gdy na własne oczy zobaczył liczebność oddziałów zgromadzonych na otwartej przestrzeni przy wejściu do wąwozu.

Kapral Jussup zauważył jego reakcję.

– Naliczyłem dziewięćdziesięciu, sir. I ciągle wychodzą nowi.

Ciemne, masywne sylwetki, zbierały się w dwudziestoosobowe grupy po wyjściu z wąwozu. Tym razem byli wśród nich ludzie – oficerowie armii Morgaratha. Każda dwudziestoosobowa grupa była dowodzona przez jednego z nich. Wyróżniali się wśród swoich podwładnych, byli wyżsi i mniej zwalistej budowy. Wszyscy mieli na sobie kolczugi i hełmy. Wszyscy byli też uzbrojeni w najróżniejszego rodzaju miecze, topory i młoty bojowe.

Kapitan obserwował, jak szeregi bestii stają się coraz liczniejsze. Przełknął nerwowo, ponieważ zaschło mu w gardle. Wróg miał ogromną przewagę liczebną nad jego niewielkim oddziałem, a ta przewaga z każdą minutą stawała się coraz większa. Widok był tym bardziej złowieszczy, że potwory ustawiały się w równych szeregach bez żadnych rozmów czy komentarzy, jakie byłoby słyhać, gdyby chodziło o zwykłe wojsko. Od czasu do czasu rozlegały się pomruki i warknięcia albo szczęk broni. Poza tym panowała upiorna cisza.

– Proszę spojrzeć, sir! – Kapral złapał go za ramię, tyleż w przyпіływie paniki, co żeby zwrócić jego uwagę, i wskazał wysoką sylwetkę w czarnej zbroi, wyjeżdżającą z wąwozu na białym koniu. Kolejne przygarbione, powłóczące nogami bestie szły za jeźdźcem.

Stuart poczuł, że serce wali mu jeszcze szybciej. To nie był wypad zaczepny ani rekonesans. To była prawdziwa wyprawa wojenna. Odwrócił się gwałtownie od szczeliny obserwacyjnej i skinął na stojących za nim żołnierzy.

– Zostańcie tutaj i obserwujcie ich – rozkazał. – Kiedy tylko wyruszą, wycofajcie się do obozu i dajcie mi znać. Będziecie mieli mnóstwo czasu – dodał uspokajająco. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, była panika jego ludzi. Nie chciałby, żeby uciekli, zanim by się dowiedział, co zamierzają siły Morgaratha.

– Wracam, żeby wysłać do generała gołębia pocztowego – wyjaśnił. Nie chciał również, by jego podwładni pomyśleli, że porzuca ich na pastwę losu.

– Co zrobimy, jeśli zaatakują, sir? – zapytał jeden z żołnierzy wysokim, płaczącym głosem.

Zanim Stuart zdążył odpowiedzieć, kapral Jussup odwrócił się do podwładnego z gniewnym grymasem.

– Będziemy walczyć z tymi obszarpańcami! – warknął. – Będziemy ich zabijać, dopóki nie zostanie żaden do zabicia!

Jego agresywny ton uspokoił młodego żołnierza. Młodzieniec przełknął raz czy dwa razy, a jabłko Adama poruszyło się na jego chudej szyi. Potem mocniej ścisnął drzewce włóczni i skinął głową. Stuart klepnął kaprala po ramieniu.

– Dobrze powiedziane – oznajmił, chociaż wątpił, by sytuacja pozwoliła na: „zabijać, dopóki nie zostanie żaden do zabicia”. Spodziewał się raczej: „zabijać, dopóki nie zostanie żaden z nas”. Pochylił się w niskim wejściu, wyszedł z okopu i pobiegł pomiędzy drzewami, niezgrabnie i ciężko w butach do jazdy konnej. Lewą ręką przytrzymał pochwę miecza, żeby się o nią nie potknąć.

Znalazł się na otwartej przestrzeni i szybko się rozejrzał. Niemal wszyscy żołnierze byli pod bronią. Zajęli pozycje przy palisadzie i rowie, które broniły wstępu do obozu. Wezwał donośnym głosem swojego pachołka, więc podbiegł do niego młodziutki chłopak, z twarzą komicznie pomarszczoną pod ciężarem za dużego hełmu.

– Przynieś mi gołębia! – polecił Stuart. – Do Zamku Araluen. – Sprecyzował, ponieważ mieli gołębie wyszkolone tak, by potrafiły wrócić do swoich domów w różnych miejscach w obrębie królestwa. Chłopiec skinął głową i odbiegł pędem, a Stuart znowu wziął do ręki pióro i papier, wybierając jedną z delikatnych, małych karteczek, które mogły się zmieścić w metalowej tulejce przywiązanej do nogi gołębia. Zanurzył pióro w atramencie, dziękując losowi, że udało mu się uratować butelkę, zanim wszystko się wylało, i zastanowił się nad treścią wiadomości. Na karteczce było niedużo miejsca, więc przekaz musiał być zwięzły. Ostatecznie napisał, nie spiesząc się i stawiając litery tak drobne, jak tylko potrafił:

Armia M. wyszła z W3Kr. Najpewniej to inwazja.

Zmarszczył brwi. Technicznie rzecz biorąc, to nie była inwazja, ponieważ Morgarath znajdował się już na terenie kraju. Ale musiał jasno przekazać, że nie chodzi o mały patrol czy wypad zaczepny. Całe siły zbrojne Morgaratha wyruszyły do walki.

Pachołek wrócił biegiem, a komiczny hełm nadal spadał mu na oczy. Nie mógł go poprawić, ponieważ oburącz trzymał gołębia. Spróbował odchylić hełm ruchem głowy, więc Stuart zdjął mu go i cisnął na trawę. Chłopiec musiał trzymać gołębia, podczas gdy on będzie wkładał wiadomość do małego cylindra na ptasiej nodze.

– Dziękuję, sir – wysapał pachołek, podczas gdy kapitan ostrożnie zwijał karteczkę. Zmuszał się, żeby się nie spieszyć. Jeśli nie zrobi tego starannie, karteczka nie zmieści się w cylindrze. Dłonie mu się trzęsły, więc za pierwszym razem karteczka zwinęła się trochę pod kątem. Wiedział, że w ten sposób się nie zmieści. Pomyślał, że zzerają go nerwy. Zaczekał moment, rozwinął karteczkę i zaczął znowu, powoli i spokojnie. Tym razem zrobił to prawidłowo i wiadomość wślizgnęła się łatwo do metalowej tubki.

Pociągnął za cylinder, by sprawdzić, czy jest dobrze umocowany. Potem wyjął lekko potarganego ptaka z dłoni chłopca i przytrzymał go, uspokajając go i pozwalając mu usiąść wygodnie. Czuł, że małe serduszko bije mocno pod jego palcami, jak werbel. Ptak wyczuwał zdenerwowanie dwóch ludzi i teraz wyrывał się nerwowo. Stuart wiedział, że jeśli go teraz wypuści, gołąb najprawdopodobniej wróci do swojej klatki i ukryje się w niej, przerażony. Wyrównał oddech, delikatnie gładząc ptaka i stopniowo go uspokajając.

– Jesteś mały, przestraszony i nie bardzo mądry – powiedział półgłosem. – A tak wiele od ciebie zależy.

Trwało bardzo długo, zanim ptak przestał się wrywać i usiadł spokojnie, gruchając cicho, podczas gdy Stuart gładził go po łebku i przemawiał kojąco. W końcu kapitan spojrzał na pogodne niebo nad głową. Nie potrzebował teraz jastrzębia, który wybrałby tego gołębia na cel – chociaż wiedział, że gdyby w pobliżu był jastrząb, trzymany przez niego ptak wyczuwałby zagrożenie i gruchałby nerwowo, odmawiając lotu.

Ostrożnie, obiema rękami, rzucił gołębia w powietrze. Ptak natychmiast rozpostarł skrzydła, wzniósł się ponad obozowisko, zatoczył koło, by zorientować się w kierunku, i poleciał prosto na północ.

– Uważaj na jastrzębie, mały – życzył mu Stuart. Usłyszał, że ktoś zbliża się biegiem, a gdy się obejrzał, zobaczył kaprala Jussupa i jego ludzi z punktu obserwacyjnego.

– Nadchodzą, sir – zaraportował kapral Jussup. – Idą prosto na nas.

Stuart skinął głową, zmuszając się do zachowania pozornego spokoju. Sięgnął w dół i poluzował miecz w pochwie. Tarcza wisiała na niskiej rozwidlonej gałęzi, wbitej w ziemię przed jego namiotem. Podniósł ją, przesunął lewe ramię przez pasek. Żołnierze czekali na posterunkach przy palisadzie, zrobionej z młodych drzewek, ściętych i wbitych w ziemię, a potem związanych na górze i na dole poskręcaną liną. Na zewnątrz znajdował się metrowej głębokości rów, którego dno i boki najeżone były zastrzonymi kołkami.

Kapitan Stuart dołączył do swoich ludzi w tym miejscu ogrodzenia, gdzie zbudowany został podest, dzięki któremu obrońcy mogli obserwować przedpole. Czuł, że oczy członków niewielkiego oddziału spoczywają na nim. Rozejrzał się i dostrzegł kaprala z punktu obserwacyjnego. Uśmiechnął się do weterana o ponurej twarzy, który skinął mu głową. Potem podniósł głos.

– Żołnierze! – krzyknął. – Morgarath i jego kosmate, cuchnące złem stwory idą w naszą stronę. – Nie miał pojęcia, jak pachną masywne bestie, ale mógł spokojnie zakładać, że będą śmierdzieć. Nikt z jego ludzi i tak nie wiedział tego na pewno. Znowu spojrzał na kaprala. – Kapralu! Co z nimi zrobimy?

Kapral dobył miecza. Była to prosta broń z mosiężną rękojeścią, służąca mu od lat. Stuart zauważył też, że była ostra jak brzytwa.

– Będziemy ich zabijać, aż nie zostanie żaden do zabicia! – krzyknął kapral, a zgromadzeni za palisadą żołnierze ryknęli potwierdzająco. Potem ucichli, gdy zobaczyli ciemne sylwetki wyłaniające się spośród drzew.



Morgarath obojętnie przyglądał się polu walki. Żaden z obrońców nie przeżył. Palisada została rozbita na kawałki przez wargalów. Przecięli związujące ją na górze i na dole liny toporami, ignorując włócznie ciskane przez żołnierzy przez szpary w umocnieniach. Potem przewrócili stojące kołki i nawet umierając, gołymi rękami podkopywali jeszcze palisadę.

Następnie bestie wpadły chmarą przez zrobioną wyrwę i przytłoczyły liczebnością obrońców, nie zwracając przy tym uwagi na własne straty, deptając po ciałach martwych i rannych towarzyszy, by dosięgnąć wroga. Zabijały i zabijały, nawet jeśli same przy tym ginęły.

W tym ataku Morgarath stracił dwudziestu pięciu wargalów. Ale ta strata nic dla niego nie znaczyła. Mógł sobie na nią pozwolić. To była też pierwsza okazja, by nowi żołnierze przeszli chrzest bojowy. Kucali teraz lub siedzieli na splamionej krwią ziemi, węsząc i powarkując do siebie, podczas gdy ich dowódca chodził pomiędzy nimi i pozwalał, by słyszeli w jego myślach same pochwały pod swoim adresem.

Zatrzymał się, by zawołać mężczyzn, którzy szli za nim.

– Dowódcy! Do mnie!

To byli ludzie, którzy służyli mu w Zamku Gorlan i od lat byli lojalnymi podwładnymi. Dawniej dowodzili oddziałami zbrojnych barona. Teraz każdy z nich miał dowodzić jednostką złożoną z osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu wargalów. Bestie zostały nauczone rozumienia i wykonywania prostych słownych poleceń, a Morgarath uwarunkował je tak, by bez wahania podporządkowywały się swoim dowódcom. Teraz miał zamiar wypuścić je, by siały zniszczenie w lennach i wioskach królestwa. Aby niszczyły, rabowały i zabijały.

Dziesięciu podwładnych ustawiło się wokół swego dowódcy w półokrąg, by wysłuchać ostatnich rozkazów.

– Każdy z was ma swoje zadania – zaczął, a oni skinęli głowami, pomrukując twierdząco. Każdy z nich miał listę wsi do najechnia i splądrowania. – Uderzajcie szybko i bez litości. Zabierajcie plony, palcie domy i zabijajcie wieśniaków. Jeśli wam się uda, równajcie z ziemią zamki. – Jego armia nie miała maszyn oblężniczych, ale zamki w wielu lennach były małe i mogły zostać wzięte z zaskoczenia przez bezwzględnych i zdeterminowanych napastników. Ponieważ każdy oddział liczył od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu wargalów, będą przewyższać liczebnością większość garnizonów, które przyjdzie im zaatakować.

– Jeśli będziemy siać strach i zniszczenie w całym królestwie, baronowie nie odważą się wysłać zaciągów do armii Duncana. Będą woleli bronić własnych domów i wsi. W ten sposób pozbawimy Duncana nie tylko ludzi, ale także żywności. Aby nakarmić swoich ludzi, potrzebuje plonów, dlatego zaczniemy od ich zabrania. Będziemy ucztować, podczas gdy oni będą przymierać głodem.

Stojący przed nim mężczyźni z zapalem przytaknęli.

– Teraz rozdzielcie się i siejcie przerażenie i chaos w królestwie. Za trzy tygodnie spotkamy się u zbiegu Bliźniaczych Rzek. – Miał na myśli miejsce o kilka kilometrów na południe od Zamku Araluen.

– Zaskoczmy Duncana, którego ludzie będą głodni, a armia osłabiona. Za miesiąc będziemy już rządzić Araluenem!

Podniósł głos, mówiąc ostatnie słowa, a zgromadzeni dowódcy zaczęli wiwatować. Wargalowie podnieśli głowy z ciekawością. Niektórzy zaczęli się poruszać nerwowo. Nie rozumieli słów, ale pasja i wściekłość w głosie Morgaratha były doskonale zauważalne. W szeregach armii nastąpiło poruszenie. Wargalowie wstali z ziemi i unieśli broń, a z ich wykoślawionych ust rozległy się pomruki i powarkiwania.

Morgarath popatrzył na nich z uśmiechem. Duncan nie miał pojęcia, co go czekało.





Na jednej trzeciej obszaru Araluenu, na południu kraju, jak okiem sięgnąć niebo przecinały kolumny dymu bijące z lenn, w których siły Morgaratha siały chaos i zniszczenie. Zapach dymu był wszędzie, mieszał się z innym zapachem: słodkawą, mdlącą, gnilną wonią martwych ciał, przede wszystkich zwierzęcych. Trupy owiec i krów leżały wzdęte i gniły w słońcu. Ale tu i ówdzie można było się także natknąć na ludzkie zwłoki – parobków i wieśniaków, którzy ośmielili się stanąć w obronie swojej własności przeciwko bezlitosnej fali wargalów.

Byli zazwyczaj słabo uzbrojeni i nie mieli szans w starciu z barbarzyńskimi najeźdźcami. Zostali zabici, a ich pola i wsie puszczono z dymem.

Zboże, czekające na żniwa, było palone na polach – po tym, jak armia Morgaratha zabrała tyle, ile była w stanie unieść.

Niewielkie siły zbrojnych i rycerzy w poszczególnych lennach radziły sobie niewiele lepiej. Zabijali część wargalów, którzy atakowali bez lęku i bez zwracania uwagi na straty własne. Szybko jednak obrońcy zostawali przytłoczeni przewagą

liczebną napastników. Albo ginęli w obronie swoich ziem, albo też uciekali i ukrywali się po lasach.

W odrobinę lepszej sytuacji byli baronowie. Pozostawali w ufortyfikowanych zamkach, podczas gdy fala wargalów wzbierała i przepływała wokół nich. Wargalowie nie mieli wież oblężniczych, katapult ani taranów, więc większość zamków pozostawała bezpieczna i nietknięta. Jednakże broniąca ich załoga zawsze była zbyt mała i jakiegokolwiek wypadu w celu zaatakowania grasujących po okolicy bestii byłyby czystym samobójstwem.

Niektóre pomniejsze zamki, z garnizonem liczącym niespełna dwudziestu zbrojnych, uległy atakom prowadzonym za pomocą drabin. Gdy wargalowie znaleźli się wewnątrz murów, los mieszkańców zamku był przesądzony. Nie było mowy, żeby się poddać. Wargalowie nie znali tego słowa. Dlatego też ocaleli baronowie pozostawali w zamkach, oszczędzając swoje siły w oczekiwaniu na atak.

Zgodnie z przewidywaniami Morgaratha jego plądrujące kraj siły pozbawiły Duncana żołnierzy. Podczas gdy w innych okolicznościach mogliby wrócić i wzmocnić jego armię, teraz byli zatrzymywani, aby bronić lenn przed atakami, które mogły nastąpić w każdej chwili.

Baronowie, którzy musieli chronić swoje kobiety i poddanych, nie mogli ryzykować i pozbywać się obrońców. Część z nich podzieliło siły i wysłało połowę z nich jako wsparcie dla Duncana. Jednakże wiele z tych pomniejszych oddziałów zostało zaskoczonych po drodze przez grasujące bestie z gór. Piętnastu ludzi nie miało szans z osiemdziesięcioma czy dziewięćdziesięcioma wargalami.

Ludzie dowodzący armią Morgaratha zgodnie z jego rozkazami zawsze pilnowali, by jeden lub dwóch żołnierzy przeżyło taki atak i mogło uciec. Ocaleli w ten sposób szybko rozpowszechnili wieści o tym, że wysyłanie zaciągów do armii królewskiej jest bezcelowe, więc zaniechano tego całkowicie.

– Ile tych stworzeń on ma do dyspozycji? – zapytał Duncan, przeczesując palcami włosy. Na każdym froncie klęska zaglądała mu w oczy, ponieważ Morgarath potrafił go zawsze przechytrzyć i wymanewrować. Król po prostu nie miał dość ludzi, by stawić czoło Morgarathowi w otwartej bitwie. A tylko w ten sposób można by pokonać byłego barona Gorlanu.

– Blisko tysiąc – odparł Halt.

– Nie możemy walczyć z tak wielką liczbą – oznajmił z namysłem lord Northolt.

Duncan popatrzył na niego.

– Wiem o tym! Powiedz mi coś, czego nie wiem! – warknął szorstko. Zaraz jednak się uspokoił. – Przepraszam, Northolt. Wiem, że wykonujesz tylko swoją pracę.

– Miałem na myśli, sir, że w tym momencie nie możemy sobie pozwolić na otwartą konfrontację. Zamek Araluen jest doskonałym miejscem do obrony, ale gdy Morgarath znowu zgromadzi swoją armię w jednym miejscu, zostaniemy uwięzieni w środku.

Znajdziemy się w patowej sytuacji, ponieważ nie będziemy mogli wyruszyć i przepędzić jego armii. Jeśli mamy mieć jakąś szansę, musimy użyć innej taktyki, wycofać się na odpowiadające nam pozycje obronne i zniszczyć ich, gdy będą próbowali nas atakować.

– Wycofując się, nie można wygrać bitwy – przypomniał ze znużeniem Duncan.

Lord Northolt skinął głową.

– Nie, sir. Ale tylko taka droga nam zostaje. W ten sposób będziemy mogli przynajmniej wybrać miejsce, w którym będziemy walczyć. Zyskamy także na czasie, żeby lenna mogły wysłać nam posiłki zbrojne.

– Proponujesz, żebyśmy opuścili Zamek Araluen? – zapytał król.

– Tak, sir. Zostawimy tu niewielki garnizon. Jeśli ciebie tu nie będzie, Morgarath nie będzie miał powodów do rozpoczęcia oblężenia. Minie zamek i pójdzie za nami. Poza tym... – Northolt urwał i zaczerwienił się.

Król gestem zachęcił go, by mówił dalej.

– Cóż, sir, wątpię, by zamierzał zniszczyć ten zamek. Będzie chciał go mieć dla siebie, jeśli nas pokona.

Król przez chwilę nie odzywał się, ponieważ wiedział, że Northolt powiedział prawdę. Potem odwrócił się do Halt.

– Halt, czy nie ma sposobu, by pokonać te bestie?

Halt zawahał się, zanim odpowiedział.

– Wydaje mi się, że może istnieć sposób. Stary pustelnik powiedział mi, że czują one irracjonalny lęk przed końmi. Uciekły, kiedy najechałem prosto na nie Abelardem. Być może odpowiedzią jest konnica.

Sir David z zainteresowaniem podniósł głowę, ale zaraz nią potrząsnął.

– Mamy bardzo niewielu konnych. Zaledwie stu dwudziestu ludzi. Nie możemy ich użyć w ataku frontalnym na dziewięć setek tych stworzeń.

Halt skinął głową.

– Rozumiem. Poza tym Morgarath oczywiście zdaje sobie sprawę ze słabości swoich sprzymierzeńców. Widziałem, jak starał się ją z nich wykorzenić na płaskowyżu. Skoro postanowił zaatakować teraz, musiał w jakimś stopniu odnieść sukces.

Podczas gdy Halt i David wygłaszali swoje opinie, Northolt studiował mapę ościennych lenn. Postukał palcem w miejsce oddalone dwadzieścia kilometrów na północny wschód od Zamku Araluen.

– Panie, proponuję, żebyśmy się wycofali na początek w to miejsce, do Ashdown Cut.

Halt, Crowley, David i król zgromadzili się wokół mapy, podczas gdy Northolt mówił dalej.

– To wąska dolina ze stromymi, gęsto zalesionymi stokami. Morgarath nie będzie mógł rozwinąć szeroko swoich sił. Jego żołnierze będą musieli iść dnem doliny, gdzie

staną się doskonałym celem dla naszych łuczników.

– Chociaż nie mamy zbyt wielu łuczników – zauważył Duncan. – Większość z nich to wieśniacy, którzy pojechali do domów na czas żniw i nie wrócili.

– Mamy osiemnastu zwiadowców – przypomniał Crowley. – Dwudziestu, jeśli liczyć mnie i Halta. Powinniśmy być w stanie spowodować dość znaczące zniszczenia.

Duncan popatrzył na niego.

– Dobry pomysł. Nie pomyślałem o wykorzystaniu zwiadowców jako jednolitej siły – przyznał. – Zawsze wyobrażałem sobie, że wolicie walczyć pojedynczo.

Crowley wzruszył ramionami.

– Zazwyczaj wolimy. Ale to szczególna sytuacja.

Northolt zaczął zwijać mapę.

– Powinniśmy zebrać armię do wymarszu tak szybko, jak to możliwe – uznał. – W tej chwili Morgarath ma przewagę pod każdym względem. Może zdecydować, kiedy chce skoncentrować siły, by nas zaatakować. Powinniśmy być na to gotowi.

Duncan skinął głową, zgadzając się z nim.

– W takim razie zajmijcie się tym. – Zatrzymał jednak uniesioną ręką zbrojnicę, zanim ten zdążył schować mapę do chroniącego ją skórzanego cylindra. – Chwileczkę – powiedział, jakby coś jeszcze przyszło mu do głowy. – Pozwól mi jeszcze raz rzucić okiem.

Northolt znowu rozwinął mapę i umieścił na jej rogach niewielkie ciężarki, żeby leżała płasko. Duncan pochylił się nad nią i przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził w końcu, a potem postukał w dwa punkty na mapie. – Jeśli wyruszymy do tego Ashdown Cut, tak jak proponujesz, znajdziemy się nieco na północ od Opactwa Woldon, w którym przebywa królowa. To sprawi, że będzie narażona, jeśli Morgarath postanowi wysłać tam jakiś oddział.

Nastała niezręczna cisza, którą w końcu przerwał Halt.

– Nie ma żadnych powodów, by to robić – powiedział. – W pobliżu nie ma ani zamku, ani większych wsi, które mogłyby zwrócić jego uwagę.

– Ale mimo wszystko będzie zagrożona – zgodził się Northolt. Spojrzał na Crowleya. – Jej eskorta nadal tam przebywa, rzecz jasna?

Crowley skinął głową.

– Tak, ale to tylko siedmiu ludzi, pięciu zbrojnych i dwóch łuczników. Kiedy ją odwoziłem, nie mieliśmy pojęcia, że Morgarath postanowi wypowiedzieć nam wojnę. – Spojrzał na króla, wyraźnie przygnębiony. – Naprawdę nie chciałbym jej znowu stamtąd ruszać, sir – powiedział. – Podróż była dla niej ogromnym wysiłkiem, więc powrót mógłby być niebezpieczny.

Sytuacja była bardzo niemiła. Duncan nie mógł się pozbyć uczucia, że przesuwanie armię na północny wschód, opuszcza swoją żonę i naraża ją na niebezpieczeństwo ze

strony plądrujących kraj wargalów. Jednakże wiedział aż za dobrze, jak słaba była królowa i jak niebezpieczna byłaby dla niej kolejna podróż.

– Będziemy o tym pamiętać – zdecydował w końcu. – Jeśli jakiegokolwiek znaki zaczną wskazywać, że Morgarath posuwa się w tym kierunku, pojedziesz i zabierzesz ją stamtąd, Crowleyu.

– Tak jest. – Dowódca zwiadowców skinął głową.

Halt popatrzył na niego.

– Pojadę z tobą.

Ale król się sprzeciwił.

– Nie. Chcę, żebyś został tutaj. Możesz tymczasem utworzyć ze zwiadowców oddział łuczników, a być może będę cię potrzebował, żebyś przeprowadził następny zwiad. Koniecznie musimy się dowiedzieć, kiedy Morgarath zamierza zgromadzić swoje oddziały. Nie będzie w nieskończoność ograniczał się do plądrowania. Prędzej czy później zdecyduje się na atak frontalny, a my musimy być na to przygotowani.



Morgarath w samotności spożywał obiad w swoim namiocie, gdy przyprowadzono mu więźnia.

To był nędznie wyglądający obszarpaniec, który przyjechał do obozu Morgaratha na mule z zapadniętym grzbietem, z pewnością pamiętającym lepsze czasy. Zanim stojący na straży wargalowie zdążyli zabić go na miejscu – jak mieli w zwyczaju – jeden z ludzkich oficerów usłyszał, że mężczyzna krzyczy, iż ma ważne wieści dla lorda Morgaratha. Zainterweniował, odpędzając kosmate bestie drzewcem włóczni. Wargalowie zawarczeli na niego gniewnie, ale się wycofali. Zostali skutecznie i boleśnie nauczeni dyscypliny i żaden z nich nie odważyłby się sprzeciwić jednemu z oficerów Morgaratha. Mogli kłapać, warczeć i obnażać złowrogie kły, ale zawsze się wycofywali.

Morgarath popatrzył na drżącego mężczyznę, skulonego przed nim. Ten człowiek był przerażony, a Czarny Lord pomyślał, że pierwsze spotkanie z wargalami daje zawsze taki efekt. Mężczyzna patrzył w ziemię, obawiając się podnieść wzrok.

– Jak się nazywasz? – zapytał Morgarath. Jeśli sytuacja tego wymagała, potrafił się pieklić i ciskać z wściekłością, jednak teraz wiedział, że skuteczniejszy będzie spokojny ton. Jego głos mógł być łagodny, ale zawsze kryło się w nim coś złowróbnego.

– Luke – wymamrotał obszarpaniec. – Luke Follows.

– Patrz na mnie, gdy do mnie mówisz – rozkazał Morgarath, a jego głos stał się bardziej stanowczy. Chciał patrzeć mężczyźnie w oczy, kiedy rozmawiali. Z całą

pewnością przybysz zamierzał kłamać, a Morgarath musiał widzieć jego twarz, by to rozpoznać. Mężczyzna imieniem Luke z wahaniem podniósł głowę i spojrzał w lodowate oczy Morgaratha, po czym natychmiast na powrót opuścił głowę. Morgarath pochylił się, zamierzając mu ostro przypomnieć, czego wymagał. Luke jednak nieśmiało popatrzył na Czarnego Lorda, więc ten usiadł wygodniej w fotelu i odkroił kawałek brzoskwini.

– Po co przyjechałeś?

Luke Follows zawahał się.

– Jestem uczciwym oraczem, panie. Całe życie chodzę tylko za pługiem i...

Morgarath uniósł dłoń, w której trzymał nóż, by przerwać te wyjaśnienia.

– Być może jesteś oraczem, ale wątpię w twoją uczciwość. Zauważyłem, że uczciwych ludzi można bardzo rzadko spotkać.

Follows zmarszczył brwi, nie wiedząc, czy ma kontynuować. Morgarath z brzękiem odłożył nóż na stół, a mężczyzna podskoczył z powodu nagłego hałasu.

– Sądzę raczej, że jesteś rabusiem – oznajmił Morgarath, a gdy Follows nabrał tchu, żeby temu zaprzeczyć, uciszył go machnięciem ręki. – Nie o to jednak cię pytałem. Po co przyjechałeś?

Follows odwrócił szybko wzrok. Morgarath syknął gniewnie.

– Przyjechałem z wieściami, panie. Mam dla ciebie wieści.

Morgarath machnął prawą dłonią. Follows uznał to za zachętę, by mówić dalej, więc zaczerpnął tchu i zaczął wyjaśniać:

– Widziałem coś ważnego w Opactwie Woldon, panie.

Morgarath prychnął pogardliwie.

– Za kogo się uważasz, by mówić mi, co jest ważne? – zapytał. Zobaczył jednak, że jego pogarda zniechęciła Followsa do dalszego mówienia, więc znowu machnął ręką. – Mów.

– To był powóz, panie. Bogaty powóz. Przywiózł tam damę. Bogatą damę. Sama przeorysza ją witała.

Morgarath potrząsnął głową.

– Opactwo Woldon? Pierwsze słyszę. Co to w ogóle za miejsce? Gdzie to jest?

– To lecznicze źródło, panie. Jakies cztery dni konno na północny zachód stąd.

– A dlaczego miałbym być zainteresowany przyjazdem tej damy, nawet jeśli twierdzisz, że przybyła w bogatym powozie?

Follows zawahał się. Przełknął dwa razy ślinę, a jabłko Adama przesunęło się na jego szyi w górę i w dół. W końcu podjął decyzję.

– Myślę, że to była królowa, panie.

Morgarath, co rzadko mu się zdarzało, zaniemówił. Odchylił się na krześle, a jego ciemne oczy rzuciły płonące spojrzenie kulącemu się przed nim mężczyźnie. Potem zapanował nad sobą.

– Królowa? Jesteś pewien?

Follows znowu przełknął nerwowo, zastanawiając się, co go czeka, jeśli się myli. Ale nie mógł się teraz wycofać. Kilka razy skinął głową.

– Słyszałem, że mówili do niej „wasza wysokość”, panie. Przyjechała z eskortą zbrojnych i z jednym z tych szarych zwiadowców.

Wargi byłego barona wykrzywiły się na wzmiankę o znieawidzonych zwiadowcach. Ale jeśli eskorta była dowodzona przez zwiadowcę, rzeczywiście musiało chodzić o ważną osobistość.

– Czy on tam nadal jest? – zapytał.

Follows potrząsnął głową.

– Wyjechał, ale żołnierze zostali. Jest ich tam chyba z dziesięciu.

Morgarath odwrócił się do płóciennej zasłony oddzielającej zewnętrzną część namiotu.

– Plummer! – zawołał. – Chodź tutaj. Przynieś mapę północnego zachodu.

Przez krótką chwilę nic się nie działo, potem zasłona została odsunięta i wszedł jego wychudzony zastępca, niosąc dużą mapę. Morgarath gestem nakazał mu rozłożyć ją na stole.

– Opactwo Woldon – powiedział. – Gdzie to jest?

Plummer zastanowił się, przyglądając się mapie, aż wreszcie wskazał stylizowany rysunek budowli.

– Tutaj, sir.

Morgarath przechylił głowę, żeby się przyjrzeć, i zaczął się zastanawiać na głos:

– W pobliżu nie ma żadnych zamków ani większych wsi. Mamy w tej okolicy jakieś siły?

Plummer potrząsnął głową.

– Nie było po co ich tam wysłać, sir. Tak jak mówiłeś, tam się znajduje tylko opactwo. Najbliższy oddział będzie w lennie Algar. To jakieś... – zawahał się, przyglądając się mapie i oceniając odległość – Może pięć dni marszu stamtąd.

Morgarath myślał szybko.

– Wyślij wiadomość do dowódcy tego oddziału. Niech weźmie trzydziestu wargalów i maszeruje jak najszybciej do opactwa. Może pozostawić resztę pod komendą sierżantów, żeby nadal płądowała.

– Tak jest, panie. Czego ma szukać w opactwie?

– Gości tam pewna kobieta. Chcę, żeby została pojmana, ale włos nie może jej spaść z głowy. Ma ją przywieźć do mnie.

– Kobieta, sir? – powtórzył podwładny. Chciał mieć pewność, że dobrze zrozumiał rozkaz Morgaratha.

Morgarath uśmiechnął się do niego, ale ów uśmiech mógłby zmrozić krew w żyłach.

– Ma na imię Rosalind, Plummer. Jest królową.





18

ROZDZIAŁ

Duncan krążył pomiędzy linkami namiotów w obozowisku. Towarzyszył mu kwatermistrz, który musiał nieźle wyciągać nogi, by nadążyć za królem, tym bardziej, że niósł w ręku trzepoczący plik raportów i listów.

Król chciał, żeby jego ludzie go widzieli, lubił z nimi rozmawiać. Wielu znał z imienia i wiedział, jak ogromny wpływ wywiera w ten sposób na ich morale.

Duncan spojrział na idealnie równy rząd namiotów, z połami zawiniętymi pod identycznym kątem. Rozstawiono je na błoniach pod Zamkiem Araluen, który – chociaż ogromny – nie mógłby pomieścić tylu ludzi.

– No dobrze, Abel – zwrócił się do kwatermistrza. – Jak wygląda stan naszych zapasów?

Abel nie musiał zaglądać do swoich notatek. Spojrział na króla, wyraźnie przygnębiony.

– Obciąłem racje o jedną czwartą, panie. Za kolejne trzy dni będę musiał je zmniejszyć do połowy.

Duncan zmarszczył brwi.

– To niewiele dla ludzi, którzy muszą maszerować i walczyć.

Kwaternistrz wzruszył ramionami.

– Mogę dalej wydawać po trzy czwarte racji, panie, ale jeśli to zrobię, za dwa tygodnie zabraknie nam żywności. Obecne zapasy wystarczą zaledwie do końca miesiąca.

Duncan zatrzymał się i z namysłem potarł podbródek.

– Poproszę Crowleya, żeby wysłał zwiadowców na polowanie – pokiwał z namysłem głową. – Poślemy także wiadomość do lenn na północy, żeby przysłały nam żywność. Tamte ziemie nie zostały jeszcze zaatakowane przez wargalów.

– To prawda, panie. Ale wiedzą, że kiedyś ich to czeka i z pewnością będą chcieli zachować jak najwięcej jedzenia dla siebie.

– W razie czego odbiorę je siłą – stwierdził ponuro Duncan. W głębi duszy wiedział jednak, że nigdy by tego nie zrobił. Takie postępowanie tylko zraziłoby do niego ludzi i nakłoniło ich do przechodzenia na stronę Morgaratha. Musiało mu wystarczyć to, co byli gotowi sami mu dać.

Zatrzymał się i przyjrzał się namiotowi, koło którego przechodzili. Wydawało się, że łopotał na wietrze trochę bardziej od sąsiednich, więc król przykląkł, by przyjrzeć się ściągaczowi na podtrzymującej namiot linie. Wstał, otrzepał kolana i rozejrzał się. Zauważył sierżanta siedzącego w namiocie na sienniku i polerującego miecz.

– Sierzancie? – zawołał półgłosem.

Mężczyzna podniósł głowę, rozpoznał króla i zerwał się pospiesznie na nogi, pamiętając o tym, by trzymać głowę pochyloną, żeby nie uderzyć w grubą poprzeczkę wzdłuż namiotu.

– Tak jest, panie... wasza wysokość! – powiedział. Uświadomił sobie, że trzyma obnażone ostrze w obecności króla, co było poważnym wykroczeniem przeciwko dobrym manierom, więc pospiesznie upuścił miecz na siennik. Wyszedł na zewnątrz, na słońce.

Krół uspokoił go gestem.

– Spocznij, sierzancie. – Duncan przyjrzał się uważniej pospolitej twarzy i przypomniał sobie tego mężczyznę. – Jesteś Hollis, prawda? Noel Hollis?

Mężczyzna uśmiechnął się i lekko potrząsnął głową z podziwu dla królewskiej pamięci i zdolności rozpoznawania ludzi. Służył w armii Duncana już od wielu lat i był jego podkomendnym w czasie krótkiej wojny na granicy z Piktami.

– Tak jest, wasza wysokość.

– Widzę, że zostałeś sierżantem – rzucił swobodnie Duncan. Przypomniał sobie, że kiedy ostatnio miał do czynienia z Hollisem, mężczyzna miał stopień starszego szeregowego. Był dobrym żołnierzem i najwyraźniej zasłużył na awans.

Hollis pokiwał głową, nadal uśmiechnięty.

– Tak jest, sir. Tak właśnie było dawniej.

– No dobrze, Hollis, zauważyłem, że lina w twoim namiocie się poluzowała. Ześlizgnął się ściągacz. – Król wskazał luźną linę. Ściągacz był przesuwającym elementem, który pozwalał zacisnąć linę, złożyć ją na dwa i skrócić, tak żeby tarcie trzymało ją mocno w miejscu. – Jeśli zerwie się mocniejszy wiatr, może puścić, a wtedy poprzeczka zleci ci na głowę.

– Dziękuję, sir. Przepraszam, sir – powiedział szybko Hollis. Przykląkł na jedno kolano i poprawił obluźowaną linę, naciągając ją tak, że płótno namiotu przestało łopotać. Zaciągnął ściągacz i sprawdził, czy siedzi mocno na miejscu i nie ześlizgnie się znowu. Potem wstał. – To się czasem samo przesuwa, sir – wyjaśnił przepaszająco.

Duncan skinął głową.

– Prawda, tak się dzieje. Tym bardziej należy to sprawdzać rano i wieczorem, sierżancie.

– Będę pamiętać, sir, proszę się nie martwić.

Duncan uśmiechnął się.

– Doskonale. Mam za mało żołnierzy, by stracić któregoś przez spadające tyczki namiotów. – Uniósł dłoń w geście pożegnania i odwrócił się, podążając długimi krokami na dalszą inspekcję obozu.

Kwatermistrz, który znowu się spóźnił, musiał podbiec, żeby go dogonić. Spojrzał na króla z nowym szacunkiem.

– Znasz imiona wszystkich żołnierzy, sir? – zapytał.

Duncan potrząsnął głową i uśmiechnął się melancholijnie.

– Nie. Chociaż mam ich tak niewielu, że właściwie mógłbym się nauczyć. Staram się tylko pamiętać tych, którzy dawniej służyli pod moją komendą.

Kwatermistrz w zamyśleniu pokiwał głową. Był zdania, że doskonała pamięć króla była cechą niezwykle przydatną u przywódcy. Wiedział, że żołnierze szanowali Duncana za odwagę i umiejętności bojowe, a także talent taktyczny. Ale kochali go za to, że widział w nich ludzi – jednostki, a nie bezimienną masę, którą może posłać w bój i patrzeć na ich śmierć. Duncan dbał o swoich ludzi, a oni o tym wiedzieli. To oznaczało, że jeśli chciał, by walczyli, oni rozumieli, że jest to konieczne, i słuchali go bez zastrzeżeń.

– Wasza wysokość! Wasza wysokość!

Głos dobiegał z końca rzędu namiotów, wzdłuż którego szli. Duncan odwrócił się i zobaczył młodego chłopaka w mundurze posłańca, machającego do niego. Posłaniec biegł przejściem pomiędzy namiotami, niezgrabnie z powodu butów do jazdy konnej. Gdy zawołał króla, w wejściach do namiotów pojawiły się głowy, a żołnierze spoglądali z ciekawością, kto też krzyczy do króla.

Duncan podniósł dłoń, gdy młodzieniec znalazł się bliżej.

– Spokojnie, Thomas – zwrócił się do posła i raz jeszcze kwatermistrz potrząsnął głową z niemym podziwem. – Nie pozwól, żeby wszyscy widzieli, jak bardzo jesteś poruszony, bo zaczną się zastanawiać, co się dzieje.

– Przepraszam, wasza wysokość – odparł młodzieniec bez tchu. Zatrzymał się i poświęcił chwilę na poprawienie pasa przy mundurze, który przesunął się, gdy biegał w poszukiwaniu króla. Długi sztylet znalazł się na plecach, zamiast na boku, zaś torba przesunęła się na przód i obijała się niebezpiecznie o jego krocze. Chłopak poprawił strój, podczas gdy król czekał cierpliwie. Potem, nadal czerwony na twarzy i zadyszany, podał Duncanowi wiadomość.

– Właśnie przyszło z południa, wasza wysokość – oznajmił.

Duncan złamał pieczęć i otworzył wiadomość, którą przeczytał ze zmarszczonymi brwiami.

– Odszukaj lorda Northolta oraz zwiadowców Halta i Crowleya. Każ im wszystkim natychmiast zameldować się w moim namiocie.

Posłaniec skinął głową i odwrócił się, znowu ruszając nierównym biegiem, by wykonać zadanie. Duncan szybkim krokiem skierował się do kwatery głównej obozu, gdzie został ustawiony duży namiot.

Kwatermistrz pospiesznie poszedł za nim, zastanawiając się, czy to oznacza kolejne problemy dla jego udręczonych podwładnych. Pomyślał, że cokolwiek zawierała wiadomość, wyraźnie nie wprawiła króla w dobry humor.

– Czy to złe wieści, panie? – odważył się zapytać.

Duncan, nie zwalniając kroku, spojrzał na niego płonąącymi oczami.

– Bardzo złe wieści – stwierdził.



Trzej oficerowie w ciągu kilku minut zjawili się w namiocie króla. Duncan czekał na nich, siedząc z wyciągniętymi nogami za podróżnym biurkiem, jak to miał w zwyczaju. Kwatermistrz wyczuł, że sprawa jest jak na niego zbyt wielkiej wagi i po cichu wrócił do ogromnych namiotów służących za magazyny. Duncan skinął zdawkowo głową, gdy jego podwładni weszli i przywitani się z nim, a potem od razu przeszedł do rzeczy.

Postukał palcem w wiadomość, którą dostał.

– Na południowym wschodzie, w pobliżu Lasu Sandalford, grasuje oddział wargalów, napada na wsie i pomniejsze zamki. Stopniowo przesuwają się na północny zachód, jednak teraz trzydziestu z nich zmieniło kierunek i maszeruje na północ.

Lord Northolt podszedł do mapy rozpiętej na stelażu. Przyjrzał się jej, znalazł niewielki las, o którym mówił Duncan, i przesunął palec na północ od tego punktu.

– Nic tu nie ma – stwierdził. Potem spojrzał uważniej i jego twarz pobleadła. – No

nie – powiedział cicho.

– Właśnie – potwierdził król. – Ta marszruta zaprowadzi ich do Opactwa Woldon. Zgodnie z wiadomością dotrą tam za trzy dni, a niewykluczone, że szybciej.

Dwaj zwiadowcy dołączyli do lorda Northolta przy mapie i przyglądali się jej z najwyższą uwagą.

– Czy może być jakiś inny cel, do którego zmierzają? – zapytał Halt.

Crowley, zaciskając wargi, potrząsnął głową.

– Nic wartego ich uwagi – powiedział. – Mała osada czy dwie, liczące niespełna tuzin mieszkańców.

– To oczywiście, że kierują się do opactwa – oznajmił matowym głosem Duncan. – Zgadywałbym, że ktoś doniósł Morgarathowi o obecności królowej. – Popatrzył na Crowleya. – Jedź i zabierz ją stamtąd, Crowleyu. Nie może wpaść w ich ręce.

Crowley skinął głową, ale przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– To może nie być łatwe, sir – zgłosił wątpliwości. – Podróż była dla królowej bardzo ciężka. Może być ryzykowne znowu kazać jej wyruszać w drogę.

– Może być ryzykowne? – odparł z goryczą Duncan. – Z całą pewnością będzie ryzykowne zostawić ją tam, dokąd kieruje się oddział plądrujących wargalów. Ilu ma ludzi do ochrony? – zapytał, chociaż znał odpowiedź.

– Siedmiu, sir. Pięciu zbrojnych i dwóch łuczników. Pozostałych zabrałem z powrotem ze sobą, ponieważ wiedziałem, że brakuje nam żołnierzy.

– W sumie siedmiu mężczyzn – zastanowił się Duncan.

Halt potrząsnął głową.

– Niewiele będą mogli zdziałać przeciwko trzydziestu wargalom.

Król przeniósł spojrzenie na brodatego zwiadowcę.

– Wystarczy, że dadzą Crowleyowi czas na ucieczkę z królową.

Ich oczy spotkały się na kilka sekund, a Halt zobaczył w oczach króla determinację i ból. Żołnierze musieli tam zostać i walczyć tak długo, jak zdołają, nie mogąc się poddać ani wycofać. Halt w duchu podziękował losowi, że sam nie jest królem czy choćby dowódcą. Aż za często królowie musieli podejmować decyzje o wysłaniu kogoś na pewną śmierć. Wiedział, że to jedna z takich chwil. Widział też, że Duncan jest tego doskonale świadomy. Spuścił głowę, ponieważ nie chciał, by król zobaczył w jego oczach potępienie. Rozumiał słuszność decyzji Duncana, ale zastanawiał się, czy sam potrafiłby podjąć podobną.

Crowley obserwował ich obu. Wyczuwał, że Halt ma ochotę powiedzieć coś, czego by potem żałował – czego wszyscy by żalowali.

– Lepiej pójdę już i osiodłam Croppera – rzekł cicho, przerywając pojedynek na spojrzenia obu mężczyzn.

Halt popatrzył na przyjaciela z wdzięcznością, wiedząc, jak niewiele brakowało...

– Pomogę ci.

– Crowleyu – odezwał się król, więc rudowłosego zwiadowca zatrzymał się, odwrócił i uniósł brwi pytająco. – Jeśli cała podróż będzie dla niej zbyt niebezpieczna, zabierz ją do lasu i ukryj tam. Trzymaj ją z dala od potworów Morgaratha.

– Zapewnię jej bezpieczeństwo, sir. Możesz na mnie polegać – obiecał Crowley. Gestem głowy zaprosił Halta, by wyszedł razem z nim, i ponownie skierował się do wyjścia.





19

ROZDZIAŁ

Halt przejął namiot, który Crowley zajmował jako dowódca zwiadowców w obozie pod Zamkiem Araluen. Podobnie jak Duncan, Crowley miał swoje komnaty w zamku, ale uznał, że wygodniej będzie umieścić kwaterę główną bliżej obozu wojskowego i oddziału zwiadowców.

– Za dużo schodów, żeby biegać tam i z powrotem do zamku – wyjaśnił Haltowi z uśmiechem.

Namiot był duży, ale bez wydzielonych części we wnętrzu, ze stołem na środku i połowym łóżkiem pod płócienną ścianą. Poza tym nie było tu zbyt wielu mebli. Crowley chciał być gotowy do wyruszenia w drogę w dowolnej chwili. Gdy armia rozpocznie marsz do Ashdown Cut, zamierzał zostawić namiot, stół i łóżko, a zabrać tylko mały, jednoosobowy namiot zwiadowcy i koce jako posłanie.

Halt siedział teraz przy stole i krzywił się, przeglądając listę zwiadowców, którą dostał od Farrela. Nienawidził roboty papierkowej. Ale musiał dowiedzieć się, jakimi ludźmi będzie dowodzić pod nieobecność Crowleya.

Oczywiście, dziewięciu z nich już znał. To byli ci, którzy dołączyli do niego i Crowleya, gdy wędrowali po królestwie i zbierali zwiadowców lojalnych wobec króla i chcących przeciwstawić się Morgarathowi. Dziewięciu – pomyślał ze smutkiem. Było ich dziesięciu, zanim nieszczęsny Pritchard został zabity u wylotu tunelu, przez który Morgarath uciekł z Zamku Gorlan.

Ale ta liczba zwiększyła się, gdy za granicą rozeszły się wieści o ucieczce Morgaratha w Góry Deszczu i Nocy. Kolejnych dziewięciu byłych zwiadowców powróciło do Araluenu, by nadal służyć królowi. Należało mieć nadzieję, że w ich ślady pójdą także inni. Byli rozsiani po różnych krajach ze względu na działania Morgaratha, zmierzające do osłabienia Korpusu Zwiadowców. Większość z nich została fałszywie oskarżona o ciężkie zbrodnie i zmuszona do rezygnacji ze służby – oraz do ucieczki z kraju.

Halt mruknął coś gniewnie pod nosem. Crowley o wiele lepiej nadawał się do pracy ze zwiadowcami. Prawdopodobnie znał większość z nich, podczas gdy Halt był względnie nowym przybyszem i w królestwie, i w Korpusie Zwiadowców.

Musiał jednak przyznać, że Farrel służył mu nieocenioną pomocą. Chociaż nadal był unieruchomiony przez skomplikowane złamanie nogi, mógł się zajmować pracami administracyjnymi. Był też jednym ze starszych zwiadowców. Znał wszystkich tych, którzy wrócili – jeśli nie osobiście, to przynajmniej z imienia i krążących opinii. Kiedy razem z Haltem przeglądali dokumenty, potrafił w skrócie powiedzieć, co myśli o danym zwiadowcy.

Zazwyczaj jego opinia była pozytywna. To nie stanowiło zaskoczenia, ponieważ zwiadowcy byli elitarną grupą. Ale jeden z nich sprawił, że Farrel uniósł ostrzegawczo brwi.

– Denison – powiedział, stukając w kartkę. – On może się okazać problemem.

Halt popatrzył na leżący przed nim dokument. Denison był zwiadowcą od dziesięciu lat. To powinno oznaczać, że będzie stanowić poważne wsparcie dla ich niewielkiego oddziału.

– Co z nim nie tak? – zapytał wprost.

Farrel wyduł wargi, starając się ująć odpowiedź możliwie obiektywnie i sprawiedliwie.

– Cóż... potrafi być nieco arogancki. Trochę zbyt przekonany o własnej ważności, jeśli wiesz, co mam na myśli. Kiedy przyjechał, zauważyłem, że zastanawia się, dlaczego to Crowley został dowódcą Korpusu. Denison ma większe doświadczenie. Jest zwiadowcą o wiele dłużej niż Crowley.

– To nie znaczy, że jest od niego lepszy – zauważył Halt.

Farrel skinął potakująco głową.

– To prawda. Ty to wiesz i ja to wiem. Prawdopodobnie Crowley także to wie. Ale nie próbuj mówić tego Denisonowi. Od kiedy przyjechał, spodziewam się jakiejś

konfrontacji pomiędzy nim a Crowleyem, czegoś w rodzaju: *Czemu mam słuchać twoich rozkazów, ty przemądrzały młokosie?*

– Oczywiście, ja nie tylko jestem młodszy od Crowleya i krócej pracuję jako zwiadowca, ale do tego jestem cudzoziemcem – stwierdził Halt.

Farrel zabębnił palcami na stole, szukając jakiejś grzecznej metody potaknięcia. W końcu uznał, że nie ma czasu na grzeczność.

– Właśnie – powiedział. – Myślę, że cię znieawidzi, jeśli zaczniesz nim rządzić.

Halt zacisnął wargi.

– Nie zamierzam nim rządzić, jak to powiedziałaś. Ale przecież nie sprzeciwi się bezpośrednim rozkazom.

– Nie powinien, to pewne. Ale nie zdziw się, jeśli to zrobi.

– Cudownie – mruknął Halt. – Tylko tego mi potrzeba.

Popatrzył w stronę wejścia do namiotu, przez które zaglądał skryba Crowleya. Timothy był młodzieńcem, który dopiero co wyszedł z wieku nastoletniego, ale potrafił biegle czytać i pisać, więc Crowley zatrudnił go jako skrybę.

– Halt? – powiedział. – Zwiadowcy czekają na zewnątrz.

Gestem głowy wskazał przez ramię otwartą przestrzeń przed namiotem. Halt wezwał wszystkich osiemnastu zwiadowców, których miał pod swoją komendą. Crowley przez ostatni tydzień poznawał ich i oceniał ich możliwości. Halt nie widział potrzeby, by w tym uczestniczyć – to było zadanie Crowleya, który mógł się tym zajmować do woli. Teraz zemścił się na nim ten brak uwagi.

– Zaraz wyjdę – odparł. Wstał i zebrał papiery w jeden plik. Farrel miał trudności z podniesieniem się z niskiego krzesła, na którym siedział, więc Halt złapał go pod ramię i pociągnął w górę.

– Dziękuję. – Farrel z wdzięcznością skinął głową. – Będę szczęśliwy, gdy ta noga się zagoi. – Podparł się drewnianą kulą pod ramieniem i powoli pokuśtykał za Haltem.

Siedemnaście par oczu spojrzało wyczekująco, gdy dwaj zwiadowcy wyszli na słońce. Halt uważnie przyjrzał się grupie. Połowę stanowili obcy, chociaż widywał ich w ciągu ostatnich dni w obozie.

Wszyscy mieli na sobie mundury zwiadowców. Większość była raczej niskiego wzrostu – ale z potężnymi barkami, umięśnionymi dzięki latom strzelania z ciężkiego łuku, w jaki każdy był uzbrojony. Halt pomyślał, że bezustanne ćwiczenia z łukiem o sile naciągu czterdziestu kilogramów czyniły cuda dla mięśni ramion i pleców.

Uświadomił sobie, że stoi i gapi się na nich już od kilku sekund, a oni wyraźnie oczekują, że on coś powie. Ostatecznie sam zwołał to spotkanie. Zauważył pojedynczego mężczyznę z boku grupy, opartego nonszalancko na łuku. Był wyższy od pozostałych i miał ogorzałą twarz, na której dominował wydatny, orli nos.

Pomyślał, że może się założyć, iż jest to Denison. W końcu przypomniał sobie, co zamierza powiedzieć.

– Dzień dobry, panowie – zaczął. Jak zawsze, gdy się denerwował, hibernijski akcent był słyszalny wyraźniej niż zwykle.

Odpowiedział mu chór pomruków. Wyczuwał atmosferę oczekiwania. Zakładali, że poznają przydział zadań na najbliższy tydzień lub dwa tygodnie. Halt pomyślał, że nie spodoba im się to, co zamierzał powiedzieć.

– Część z was już znam – mówił dalej, prześlizgując się wzrokiem po ustawionych w półkolu mężczyznach. Odpowiedziały mu skinienia głowy, a nawet uśmiechy tych, których on i Crowley nazywali grupą podstawową. Pozostali przyglądali mu się wyczekująco. Nie zachowywali się ani przyjaźnie, ani wrogo. Czekali, żeby ocenić, co mają o nim myśleć.

– Jestem pewien, że resztę z was poznam szybko.

– Jakie będą nasze zadania? – zapytał jeden ze zwiadowców. Był niski i raczej krępy. Zaczął łysieć na czubku głowy, a cienkie włosy tworzyły rozwichrzony pierścień wokół nagiego placka skóry.

– Zaraz do tego przejdę... – Halt urwał wyczekująco, nie odrywając spojrzenia od mężczyzny. W jego głosie i wyrazie twarzy pojawiło się pytanie.

Zwiadowca zrozumiał, o co chodzi.

– Cedric.

– Cedricu. Dziękuję. Tak jak mówię, przejdę do waszych zadań, ale chciałbym się najpierw dowiedzieć, kto jest kim. Zacznijmy od ciebie – wskazał młodego mężczyznę po lewej stronie rzędu. – Poprosiłbym, żebyś wystąpił naprzód i powiedział, jak się nazywasz. Postaram się zapamiętać wasze imiona. Jeśli mi się to nie uda, proszę o wyrozumiałość.

Zdobył się na uśmiech, ale nikt go nie odwzajemnił. Pomyślał, że to tyle, jeśli idzie o uprzejmości.

Młody zwiadowca nie zrobił kroku do przodu. Halt po namyśle doszedł do wniosku, że właściwie nie było po temu powodu.

– Jestem Robert – powiedział. – Pięć lat w Korpusie.

Halt pomyślał, że to o cztery więcej od niego. Wtedy odezwał się następny mężczyzna.

– Bedford. Piętnaście lat.

Teraz już poszło wzdłuż linii, każdy zwiadowca podawał swoje imię i długość służby, a Halt witał każdego szybkim skinieniem głowy. W końcu przyszła kolej na wysokiego ogorzałego mężczyznę na prawym końcu linii, stojącego w odległości kilku kroków.

– Denison – przedstawił się. – Dziesięć lat.

Poza Bedfordem, który miał piętnastoletni staż, Denison był zwiadowcą dłużej niż wszyscy pozostali. Halt przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

– Jestem pewien, że będę często korzystać z twojego doświadczenia i rady,

Denisonie – powiedział.

Denison uniósł ramię w lekceważącym geście.

– Z pewnością – zgodził się, ale jego ton zdecydowanie nie brzmiał przyjaźnie. Halt postanowił zignorować wyzywającą nutę, wyraźnie dźwięczącą w głosie mężczyzny.

– Jak zapewne już wiecie, jestem Halt. Służę królowi od półtora roku, może trochę dłużej.

Zwiadowcy poruszyli się i wymienili spojrzenia. Wydawali się nieprzyjemnie zaskoczeni długością jego służby. Trudno się było temu dziwić. Halt odchrząknął i mówił dalej:

– Jak już wspomniał Cedric, wszyscy chcielibyście poznać swoje zadania na najbliższe tygodnie. Cóż, macie tylko jedno zadanie. Strzelanie z łuku. Król nie ma wystarczająco wielu łuczników, więc to my zajmiemy ich miejsca. Zamierzamy się wycofać do miejsca nazywanego Ashdown Cut, gdzie armia Morgaratha może zaatakować tylko wąskim frontem. Uznałem, że dziewiętnastu zwiadowców będzie mogło poczynić znaczne straty w jego siłach.

– Dwudziestu – poprawił go Farrel. – Może mam złamaną nogę, ale nadal mogę strzelać.

Halt uśmiechnął się do niego.

– W takim razie dwudziestu. Staniemy do bitwy w Ashdown Cut, a potem wycofamy się we wcześniej upatrzone miejsce.

– A jaki sens będzie miało to całe uciekanie? – zapytał ostro Denison.

Halt popatrzył na niego spokojnie.

– Gramy na czas – wyjaśnił. – Będziemy osłabiać jego siły, walczyć z nim w miejscach, które sami wybierzemy, a w ten sposób damy lennom czas, żeby przysłały nam posiłki. Gdy Morgarath skoncentruje swoje siły na armii królestwa, baronowie nie będą już musieli zatrzymywać ludzi, by bronili ich wsi i zamków. Armia Morgaratha będzie maleć, zaś nasza będzie rosła, aż w końcu będziemy mogli się z nim zmierzyć i pokonać go raz na zawsze.

Większość zwiadowców pokiwała głowami. Widzieli sens w jego słowach. Dodał teraz coś, o czym wiedział, że im się nie spodoba.

– To oznacza, że muszę sprawdzić, jak dobrze strzelacie. Wiem, co potrafi dziewięciu zwiadowców, którzy służyli dotąd wraz ze mną i Crowleyem. Ale muszę się przekonać, jak dobra jest reszta z was.

Dezaprobata malująca się na ich twarzach pokazała mu, że się nie mylił. Z drugiej strony kilku z podstawowej grupy nie ukrywało szerokich uśmiechów.

– Wydaje mi się – odezwał się Denison – że wszyscy tutaj za bardzo się boimy tych kosmatych stworków zwerbowanych przez Morgaratha. – Kilku innych wydało pomruki zgody. – Moim zdaniem należy go teraz zaatakować i załatwić sprawę.

– Te kosmate stworki, o których mówisz – odparł Halt zniżonym głosem, by

zapanować nad złością – są całkowicie bezwzględne i nieustraszone. Będą deptać po martwych ciałach towarzyszy, żeby nas dorwać i zabić. Widziałem, jak rozrywają człowieka na strzępy. A Morgarath ma ich prawie tysiąc.

Rozległo się kilka okrzyków zaskoczenia. Nikt dotąd im nie powiedział, ilu wargalów zwerbował Morgarath. Zwiadowcy wymienili niepewne spojrzenia. Ale Denison nie ustępował.

– Trochę bym się obawiał – oznajmił – że naszym przywódcom brakuje doświadczenia. Mamy nowego króla i dowódcę zwiadowców, który nadal jest całkiem zielony. – Urwał i spojrzał znacząco na Halta. – Poza tym jesteś jeszcze ty.

Farrel stał za Haltem po lewej stronie, oparty na kuli. Teraz przesunął się naprzód, żeby stanąć koło niego.

– Denisonie – powiedział życzliwie. – Co robiłeś przez ostatnie osiemnaście miesięcy?

Denison skrzywił się gniewnie.

– Jak wiesz, zostałem zmuszony do opuszczenia królestwa. Zatrudnił mnie baron Heinrich von Grall z Teutonii. Byłem jego wielkim łowczym.

– Innymi słowy byłeś trochę lepszym leśniczym – warknął Farrel. – To bardzo niebezpieczna praca. Aż dziw, że nie zostałeś wypatroszony przez rozwścieczonego jelenia.

Denison otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Farrel uprzedził go i podniósł głos, żeby go zagłuszyć.

– Pozwól, że powiem ci, co robił Halt, podczas gdy ty ścigałeś jelenie i sarny – powiedział. – Halt i Crowley doszli do wniosku, że trzeba coś zrobić z Morgarathem. Wielu z nas uważało podobnie, ale to właśnie oni zaczęli naprawdę działać. Wędrowali po całym królestwie w poszukiwaniu zwiadowców, którzy nie uciekli do Teutonii, kiedy tylko na horyzoncie pojawiły się trudności.

Denison poczerwieniał, a Halt zauważył, że kilku innych zwiadowców szybko spuściło głowy, jakby nagle doszli do wniosku, że ich buty stanowią interesujący widok.

Farrel mówił dalej:

– Złapali jednego z posłańców Morgaratha i dowiedzieli się o knutej przez niego intrydze. Uratowali księcia Duncana z Zamku Dzika Rzeka i wysłali resztę z nas, żebyśmy schwytali mężczyznę, który udawał księcia na północnej granicy. Potem poprowadzili nas do Zamku Gorlan, gdzie król Duncan i baron Arald stanęli przeciwko Morgarathowi i zmusili go do wycofania się. Nie mówię już o tym, że pomogli uciec królowi Oswaldowi. Niedawno Halt udał się na zwiady do twierdzy Morgaratha w Górach Deszczu i Nocy, czego nikt inny nie był w stanie zrobić, i przyniósł niezwykle cenne informacje o tych okropnych bestiach, które zwerbował Morgarath. Ponadto jest lepszym jeźdźcem od większości z nas i strzela lepiej od każdego z nas.

To nie jest nowicjusz. Uczył się przez cztery lata pod okiem Pritcharda, którego część z was może pamiętać.

Nowsi przybysze w grupie wymienili spojrzenia. Byli pod wrażeniem wymienionych przez Farrela dokonań Halta.

– Jeśli chodzi o mnie, bez zastrzeżeń uznaję jego przywództwo i słucham jego rozkazów. Myślę też, że to samo mogą powiedzieć ci z nas, którzy przez ostatnie półtora roku pracowali z nim i z Crowleyem.

Umilkł i rozejrzał się po zgromadzonych. Zwiadowcy, którzy brali udział w działaniach przeciwko Morgarathowi wydali potwierdzające pomruki. Pozostali niechętnie wyrazili aprobatę. Tylko Denison nie zamierzał być posłuszny. Spróbował innej metody.

– Mówisz, że mamy grać na zwłokę, by dać czas lennom na przysłanie posiłków – powiedział. – Dlaczego myślisz, że to w ogóle nastąpi?

Halt uśmiechnął się i wskazał krawędź lasu otaczającego błonia. Grupa zbrojnych jechała powoli pod górę w ich stronę. Żołnierzy było co najmniej czterdziestu, pod widocznymi już niebiesko-złotymi sztandarami Zamku Redmont. Jeźdźca na czele kolumny można było z łatwością rozpoznać. To był baron Arald.

Zwiadowcy patrzyli, jak nowo przybyli podjechali bliżej. Wtedy Arald odłączył się od grupy i podjechał do nich galopem, żeby radośnie powitać Halta i Farrela.

– Dzień dobry, Halt. Dzień dobry, Farrel. Jak twoja noga?

Farrel uśmiechnął się.

– Piekielnie boli, sir. Ale zrasta się. Cieszę się, że cię widzę.

– Czy wróg wycofał się z lenna Redmont, sir? – zapytał Halt.

Arald potrząsnął głową, a pogodny wyraz twarzy zniknął na wzmiankę o wargalach grasujących po jego lennie.

– Nie, ale nie zostaną tam długo. Nie dostaną się do zamku. Zostawiłem dowodzenie w rękach lady Sandry, a mój zbrojmistrz Rodney jest doskonałym żołnierzem. Zabrałem połowę garnizonu i postanowiłem dołączyć do was. Pozostali pójdą w moje ślady, kiedy tylko ci przekłęci wargalowie odejdą. – Popatrzył na zgromadzoną grupę. – Dobrze widzieć, że mamy do dyspozycji aż tylu zwiadowców – powiedział. Zebrani przywitani go pospiesznie. – No dobrze, muszę jechać. Powinienem dać znać królowi, że już jestem.

Odjechał galopem, a kopyta jego konia wyrzucały w powietrze grudy ziemi i trawy.

Halt uśmiechnął się do Denisona.

– Zastanawiałeś się, czy lenna w ogóle przyślą posiłki – powiedział. – Moim zdaniem już zaczęły przysyłać.

Denison pozwolił, by na jego twarzy pojawił się niechętny uśmiech.

– Niech będzie, że masz rację – przyznał. Wyciągnął rękę na znak pokoju, a Halt przyjął ją i mocno uściskał.





Bez zawady, jaką stanowił powóz królowej, i bez konieczności ciągłego przystawania, by mogła odpocząć, Crowley o wiele szybciej niż poprzednio pokonał drogę do Opactwa Woldon.

Zaledwie półtora dnia po opuszczeniu Zamku Araluen wjechał na polanę wśród drzew, na której położone było opactwo. Gdy ściągnął wodze Croppera, spod kolumnady na parterze budynku wyszedł sir Athol, by go powitać. Kilka kroków za nim podążał niespiesznie jeden z łuczników.

– Wróciłeś, zwiadowco Crowleyu – powiedział Athol. W tym prostym stwierdzeniu faktu kryło się pytanie.

Crowley skinął głową.

– Nadciąga niebezpieczeństwo – oznajmił. – Banda potworów Morgaratha zmieniła kierunek i zmierza w tę stronę.

– Potworów? – powtórzył Athol. – Jakich potworów?

– Morgarath zwerbował armię półludzkich bestii nazywanych wargalami – wyjaśnił

Crowley. – Wyglądają jak stwory z najgorszych koszmarów.

Na twarzy Athola odmalowało się zaniepokojenie. Odwrócił się do łuczника.

– Gdzie jest Edmund? – zapytał i wyjaśnił Crowleyowi: – Edmund to drugi z łuczników, który został z nami.

– Jest na zwiadzie na południu – odparł łucznik. – Jeśli te bestie są w odległości mniejszej niż dzień drogi konno, ostrzeże nas.

– W takim razie spodziewajcie się go niebawem – rzucił krótko Crowley. – Ponieważ one nadchodzą. – Spojrzał na główne drzwi opactwa, w których właśnie pojawiła się przeorysza Margrit, z rękami złożonymi z przodu i ukrytymi w szerokich rękawach habitu. Wydawała się spokojna i niewzruszona.

– Zwiadowco Crowleyu – odezwała się. – Co sprowadza cię z powrotem tak szybko?

– Siły Morgaratha zmierzają w tę stronę, matko przełożona. Król przysłał mnie, żebym zabrał królową Rosalind z powrotem do Zamku Araluen.

Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, gdy przeorysza i dwaj członkowie eskorty królowej wymienili spojrzenia. Najwyraźniej wiedzieli coś, czego nie wiedział Crowley.

– To może być trudne – powiedziała w końcu przeorysza. – Królowa teraz rodzi.

– Rodzi? – powtórzył niepotrzebnie Crowley.

Margrit zmarszczyła brwi.

– Tak, rodzi dziecko. Zazwyczaj tak właśnie się dzieje.

Crowley szukał odpowiednich słów. Nie miał pojęcia, jak postąpić przy takim obrocie wydarzeń.

– Czy to trochę nie za wcześnie? – zapytał w końcu. Wydawało mu się, że dziecko miało przyjść na świat najwcześniej za miesiąc.

Margrit pokiwała z powagą głową.

– Tak, za wcześnie. Dlatego wszystko jest to dla królowej jeszcze trudniejsze. Poród nie przebiega dobrze. Jest bardzo słaba.

– Czy mogę się z nią zobaczyć? – zapytał Crowley.

Margrit uniosła brew.

– W jakim celu?

Zawahał się, niepewny, co powinien powiedzieć.

W głosie przeoryszy zabrzmiała teraz twarda niechęć.

– Czy może mi nie wierzysz?

Crowley pospiesznie wykonał przeczący gest.

– Nie, nie! Po prostu myślałem... – Urwał, a potem spojrzał przeoryszy prosto w oczy. – Nie wiem, co właśnie myślałem – przyznał, a ona skinęła głową.

– Powinieneś chyba odpocząć i coś zjeść – zarządziła. – Widać, że jedziesz z daleka. My zajmiemy się królową.

Machinalnie strzepnął kurz z kurtki i zsiadł z konia, uświadamiając sobie, jak bardzo zeszywniał po tylu przejechanych kilometrach.

– Czy wiesz może, jak długo to jeszcze potrwa?

Margrit potrząsnęła głową.

– To już szesnaście godzin. Jak mówiłam, to trudny poród, a ta biedaczka jest wyczerpana. Im dłużej to trwa, tym słabsza się staje. – Umilkła na chwilę. – Może nie mieć dość siły, by powić dziecko.

Crowley poczuł, że krew odpływa mu z twarzy, gdy usłyszał te słowa.

– Chcesz powiedzieć, że może umrzeć? – zapytał.

Margrit skinęła ponuro głową.

– To bardzo prawdopodobne. – Nie miała w zwyczaju robić nikomu fałszywej nadziei. Odwróciła się, by odejść, ale Crowley wyciągnął rękę, by ją zatrzymać.

– Załóżmy, że urodzi dziecko. Jeśli wszystko będzie dobrze, da radę wyruszyć w podróż?

Margrit chrząknęła głośno.

– Tylko jeśli chcesz ją zabić – odparła ostro. – Podróż tutaj była wystarczająco ciężka, a w jej obecnym stanie osłabienia... – Nie powiedziała nic więcej, potrząsnęła tylko głową.

– Ona nie może tu zostać – zaprotestował Crowley.

Margrit uniosła lekko ramiona.

– Królowa nie może podróżować. Nie ma sensu, żebyśmy dokładały starań, by uratować ją tutaj tylko po to, żebyś ty ją zabił, pakując do karety i trzęsąc nią po drogach do Zamku Araluen. – Margrit uważała, że z problemami należy sobie radzić po kolei. Obecnym i najbardziej pilnym wyzwaniem było sprawienie, by Rosalind pomyślnie powiła dziecko. Mogli się martwić zbliżającymi się siłami Morgaratha, gdy tak się stanie. Z tą myślą odwróciła się i weszła z powrotem do opactwa.

Crowley z roztargnieniem poklepał Croppera po pysku, zastanawiając się nad najnowszym obrotem spraw.

– Może uda mi się znaleźć miejsce w lesie, gdzie można by ją ukryć – powiedział na wpół do siebie. To nie było idealne rozwiązanie, ale jedyne, jakie mógł wymyślić w tym momencie.

Athol położył mu dłoń na ramieniu.

– Możemy z nimi walczyć – zaproponował. – Moi ludzie są gotowi oddać życie za królową.

– Być może będą musieli to zrobić – odparł przygnębiony Crowley. – Tych wargalów jest trzydziestu, a z tego, co słyszałem, są praktycznie nie do powstrzymania. Nie dbają o to, jakie straty ponoszą w walce. Po prostu atakują, dopóki nie zwyciężą.

W oczach młodego rycerza na moment pojawił się przeblysł strachu, ale Athol zaraz się opanował i stanął prosto.

– Będziemy walczyć – oznajmił stanowczo. – Nie boję się ich.

Crowley poklepał go po ramieniu.

– Cóż, powinienes.

Zanim jednak Athol zdążył odpowiedzieć, z opactwa dobiegł ich przeraźliwy krzyk. Obaj mężczyźni drgnęli. Crowley rzucił się biegiem do drzwi.

Wpadł do wielkiego holu. Podłoga z wypolerowanych desek i wyłożone boazerią ściany sprawiały, że czuło się w tym wnętrzu spokój i porządek. Salę wypełniał słaby zapach kadzidła. Za biurkiem recepcji nie było nikogo. Ciszę znowu rozdarł okropny krzyk. We wnętrzu i bliżej jego źródła słyszeli go wyraźniej.

Po kolejnym szarpiącym nerwy wrzasku zapadła złowieszcza cisza. Dwaj mężczyźni wymienili pełne lęku spojrzenia. W tym momencie przesyconą zapachem kadzidła ciszę w opactwie przerwał inny dźwięk.

Płacz dziecka.

Crowley bez namysłu skierował się do drzwi prowadzących do wewnętrznych komnat. Gdy do nich podszedł i położył dłoń na klamce, drzwi otworzyły się przed nim i stanęła w nich przeorysza Margrit. Była zarumieniona, co nie pasowało do jej zwykłego spokoju. Na szarym habicie miała plamę krwi.

Szybko się opanowała. Nie spodziewała się, że zobaczy Crowleya w momencie, gdy otworzy drzwi. Uśmiechnęła się do niego blado.

– To dziewczynka – powiedziała. – Zdrowa dziewczynka.

Płacz dziecka znowu rozległ się w sali, głośniejszy niż wcześniej.

– I ma naprawdę silne płuca – dodała przeorysza.

– A królowa? – zapytał Crowley, obawiając się odpowiedzi.

Uśmiech przeoryszy zgasł.

– Żyje, ale jest bardzo słaba. Straciła wiele krwi, a poród był trudny. To będzie prawdziwy cud, jeśli zdołamy ją uratować. – Gdy to mówiła, w jej głosie pojawiła się wyraźnie słyszalna rozpacz.

– Chcę się z nią zobaczyć – zażądał Crowley, ale przeorysza potrząsnęła głową.

– Teraz śpi. Nie zamierzam jej budzić, żebyś mógł ją zadreć setkami głupich pytań. Wypoczynek jest teraz dla niej najlepszą rzeczą. – Spojrzała na niego uważnie. – Trochę odpoczynku nie zaszkodziłoby także tobie. Będiesz musiał podjąć naprawdę ważne decyzje w ciągu następnej doby i lepiej, żebyś był w pełni przytomny.

Crowley przesunął dłonią po czole. Teraz, gdy przeorysza o tym wspomniała, uświadomił sobie, jak bardzo jego ciało pragnie snu. Zachwiał się lekko, a ona podtrzymała go, kładąc mu pewną rękę na ramieniu.

– Może dwadzieścia minut – powiedział i pozwolił jej się poprowadzić.

– Zabiorę cię do komnaty – oznajmiła.



– Królowa chce cię widzieć.

Słowa przeniknęły przez mgłę, spowijającą umysł Crowleya. Otworzył oczy i rozejrzał się po pokoju – przez moment, dezorientowany, nie wiedział, gdzie się znajduje.

Potem sobie przypomniał. Przeorysza pochyliła się nad nim i wyciągała rękę, by potrząsnąć jego ramieniem, ale cofnęła dłoń, gdy zobaczyła, że otworzył oczy. Crowley usiadł pospiesznie. Rzucił się na łóżko, nie dbając nawet o zdjęcie butów czy odpięcie pasa. Popatrzył z poczuciem winy na plamy błota i pyłu, jakie pozostawił na kołdrze.

– Przepraszam... – zaczął.

Przeorysza machnęła ręką na jego słowa.

– Nic się nie stało.

Wstał. Oczy dalej miał zapuchnięte od snu, więc potarł je mocno dłońmi, by odzyskać ostrość widzenia. Potrząsnął głową i spojrzał na przeoryszę.

– Zaprowadź mnie do niej.

Wyprowadziła go z małej komnaty na korytarz i minęła troje kolejnych drzwi, zmierzając do komnaty na końcu. Otworzyła drzwi i gestem zaprosiła go do środka. Królowa Rosalind siedziała oparta na stosie miękkich poduszek, na łóżku przy oknie. Do pokoju wpadało światło słońca. Z zewnątrz dobiegało stłumione gruchanie gołębi.

Ale to królowa przykuła uwagę Crowleya i musiał się postarać, by na jego twarzy nie odmalował się szok. Zdobyła się na wysiłek uniesienia dłoni i przywołania go bliżej. Była blada – śmiertelnie blada. Wydawało się, że ciało ledwie opina jej kości, patrzyła na niego płonącymi z gorączki oczami, zapadniętymi głęboko w wychudzonej twarzy. Pod oczami miała ogromne ciemne cienie, a kości policzkowe niemal przebijały skórę. Skóra była woskowa i miała okropny chorowity odcień.

Od razu zrozumiał, że królowa jest umierająca.

Podszedł bliżej do łóżka i pochylił się, by ująć jej wychudzoną rękę w swoje dłonie. Nie mógł uwierzyć, jak bardzo jej stan się pogorszył od chwili, gdy widzieli się po raz ostatni. To pokazywało, jak bardzo urodzenie dziecka zaszkodziło jej i tak już osłabionemu ciału. Był świadomy, że stojąca za nim przeorysza obserwuje ich i jest gotowa wkroczyć w każdej chwili.

– Pani... – zaczął niepewnie, ale urwał, ponieważ nie wiedział, co ma powiedzieć. Poczł słaby uścisk jej dłoni, a wargi królowej się poruszyły. Pochylił się nad nią, ponieważ ledwie słyszał słowa.

– Crowleyu, dlaczego tu wróciłeś?

Spróbował się uśmiechnąć uspokajająco.

– Mam zabrać cię z powrotem do Zamku Araluen, pani – wyjaśnił.

Królowa jednak słabo potrząsnęła głową.

– Nie uda mi się tam wrócić. Ja umieram, Crowleyu.

Chciał zaprotestować, ale powstrzymał go wyraz jej oczu. Uświadomił sobie, że ona wie o tym i żadne banały ani fałszywe słowa pociechy nie zdołają jej pomóc. Zobaczyła w jego oczach zdecydowanie i lekko skinęła głową.

– Zbliżają się ludzie Morgaratha, tak? – zapytała. Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dodała: – Nie okłamuj mnie. Muszę to wiedzieć. – Jej głos nadal był cichy, ale była w nim stanowczość, której nie mógł się sprzeciwić.

Ze smutkiem skinął głową.

– W takim razie zabierz moje dziecko w bezpieczne miejsce – nakazała. Zaczęła podnosić się na poduszkach i powtórzyła rozkaz z większym naciskiem. – Zabierz ją stąd i dopilnuj, by była bezpieczna. Przysięgnij, że to zrobisz!

Wysiłek wyczerpał ją, więc opadła z powrotem na poduszki i zamknęła oczy. Przez kilka sekund Crowley obawiał się, że już umarła. W końcu jej powieki drgnęły i uniosły się, a królowa wbiła w niego spojrzenie płonącej gorączką, jasnych i rozkazujących oczu.

– Przysięgnij mi to, Crowleyu.

Skłonił głowę. Potem podniósł wzrok i popatrzył jej prosto w oczy.

– Przysięgam, pani – powiedział z rozpaczą. Wiedział, że królowa ma rację. Jej koniec był bardzo bliski, a on musiał zabrać dziecko w bezpieczne miejsce.

Znowu zamknęła oczy na kilka sekund, a potem otworzyła je i lekko poklepała go po ręku. Obdarzyła go upiornie karykaturalnym cieniem uśmiechu.

– Dziękuję – wymówiła słabo. – Wiem, że z tobą będzie bezpieczna. – Tym razem jej oczy zamknęły się i już się nie otworzyły. Jej pierś unosiła się i opadała, więc Crowley wiedział, że jeszcze żyje. Zastanawiał się jednak, jak długo.

Margrit dotknęła ramienia zwiadowcy.

– Zostaw ją teraz – poleciła. – Potrzebuje odpoczynku.

Skinął głową, oszołomiony, i pozwolił, by przeorysza wyprowadziła go z komnaty. Zatrzymał się i przystanął w drzwiach, by po raz ostatni spojrzeć na królową.

Promienie słońca wpadały z wysoka przez okno koło niej. Rozjaśniały jej twarz i sprawiały, że przestawała przypominać upiorną, wybladłą czaszkę. Światło nadawało jej nieziemskie, delikatne piękno.

– Żegnaj, pani – powiedział. A przynajmniej jego wargi poruszyły się, formując te słowa, chociaż nie rozległ się żaden dźwięk.





Halt powoli spacerował wzdłuż linii strzelców i patrzył, jak zwiadowcy trenują. Strzały jedna za drugą fruwały ze świstem przez pole do linii celów ustawionych w odległości dwustu metrów, wbijając się ze stukiem w płótno opinające nabite słomiane bele. Większość strzał koncentrowała się w złotym kole na środku tarczy. Od czasu do czasu któryś z łuczników mruczał pod nosem z niezadowolenia, gdy strzała poleciała w bok. Jednakże nikt nie trafiał poza czerwonym wewnętrznym kołem, tuż obok środka.

Zwiadowcy potrafili strzelać dobrze – nawet lepiej niż dobrze. Strzelali fenomenalnie, biorąc pod uwagę odległość i szybkość, z jaką wypuszczali strzały. Nie było widać długiego, starannego celowania. Ustawieni w rzędzie zwiadowcy po prostu zakładali strzały na cięciwy i wypuszczali je niemal nieprzerwanie, tak że płynęły ponad strzelnicą świszczącym strumieniem.

Kilku członków przynależącego do armii niewielkiego oddziału łuczników podeszło bliżej, żeby popatrzeć na ćwiczących. Każdy z nich miał na ramieniu łuk i liczył na to,

że będzie miał okazję pokazać tym wychwalanym zwiadowcom parę sztuczek. Po kilku sekundach wymienili zaskoczone spojrzenia i nie dotknęli nawet swoich łuków. Wiedzieli, że nie mogliby się równać z demonstrowaną tutaj szybkością i precyzją. Nigdy nie widzieli tak wielu wyborowych łuczników w jednym miejscu.

Halt, który zauważył przybycie gości i widział, jak znika ich początkowa pewność siebie, cofnął się z pagórka, z którego strzelano, i wskazał kilka dodatkowych celów na końcu rzędu.

– Chcecie się przyłączyć? – zapytał z uśmiechem.

Najstarszy z trzech łuczników potrząsnął głową.

– Dziękuję, ale nasza pewność siebie i tak już ucierpiała dostatecznie. Słyszeliśmy, oczywiście, o korpusie, ale nigdy nie widzieliśmy tak wielu zwiadowców w jednym miejscu. Ani tak dobrego strzelania.

– Nawet ci młodszy mogliby nas paru rzeczy nauczyć – oznajmił drugi żołnierz, ruchem głowy wskazując miejsce, gdzie ćwiczyło także sześciu uczniów. Żaden z nich nie mógł sobie jeszcze poradzić z łukiem o sile naciągu czterdziestu kilogramów, więc strzelali na krótszą odległość z łuków refleksyjnych. Ale mimo wszystko dowodzili już swych niezwykłych umiejętności.

– Cóż, kiedy Morgarath się tu pojawi, nie będziemy strzelać do siebie nawzajem – przypomniał Halt. – Chcemy, żeby każda strzała trafiła w cel. Postarajcie się ćwiczyć tak długo, jak będziecie mogli, kiedy my już skończymy.

– Jasne, zrobimy tak – powiedział starszy łucznik, doceniając przyjazny ton zwiadowcy i jego gotowość do współpracy.

Halt pożegnał się z nimi i wrócił do strzelców. Wsadził palce do ust i gwizdnął przeraźliwie.

– Wystarczy – oznajmił. – Zobaczyłem już, jak jesteście dobrzy. Nie musicie mi tego dalej udowadniać.

Zwiadowcy odprężyli się, opuścili łuki i odwrócili się do niego, wyczuwając, że ma im coś jeszcze do powiedzenia. Cedric, jeden z nowo przybyłych, pozwolił sobie na wyzywający uśmiech.

– Widziałeś, jak strzelamy – zaczął. – Ale my nie widzieliśmy ciebie. Ostatecznie skoro...

Nie skończył. Halt zsunął łuk z ramienia, jednym ruchem wyciągnął strzałę z kołczana i nałożył ją na cięciwę. Wydawało się, że bez żadnego wysiłku wypuścił ją, a potem następną. I jeszcze jedną. Czwarta znalazła się w powietrzu, zanim pierwsza zdążyła osiągnąć wybranego przez niego celu.

Usłyszeli szybką serię uderzeń, kiedy strzały wbijały się w środkowe złote kółko na tarczy strzelniczej, a czwarta musiała praktycznie rozepchnąć pozostałe, stłoczone w ciasnym środku.

Wśród zwiadowców rozległy się ciche pomruki aprobaty, a obserwujący ich nadal

trzej łucznicy wydali okrzyki zaskoczenia.

Halt popatrzył na Cedrica z uniesionymi brwiami.

– Zadowolony?

Cedric powoli potrząsnął głową z podziwem.

– Chyba umiesz odróżnić grot od pióra strzały – przyznał.

Halt przytaknął z lekkim uśmiechem, ale zaraz znowu spoważniał.

– No dobrze. Przepraszam, że kazałem wam brać udział w tych ćwiczeniach, ale chciałem mieć pewność, że nikt nie zapomniał swoich umiejętności, kiedy was tu nie było. – Umilkł, ale zaraz dodał: – Najwyraźniej wszyscy szlifowaliście swój talent. Dziękuję wam za to. Będzie bardzo potrzebny. Teraz jednak mamy zadania, w których możecie wykorzystać inne swoje talenty. Musimy się dowiedzieć, co zamierzają wojska Morgaratha. Musimy wiedzieć, kiedy zdecyduje się je zgromadzić, by wydać nam walną bitwę. Dlatego wyruszymy w pojedynek, aby przeprowadzić zwiad w ościennych lennach i sprawdzić, jak długo jeszcze Morgarath zamierza prowadzić te nękające najazdy i kiedy planuje zaatakować z całą siłą.

Ustawieni w rzędzie zwiadowcy pokiwali głowami z aprobatą. Tak jak sugerował Halt, tym właśnie zajmowali się zwykle zwiadowcy, kiedy zbliżała się bitwa.

– Przygotowałem listę lenn i przydzieliłem zwiadowców, którzy mają jechać na rekonesans – powiedział. – Spotkajmy się w moim namiocie... a raczej namiocie Crowleya, to wam wręczę zadania. Chciałbym, żebyście dziś wieczorem wyruszyli w drogę.

Znowu pokiwano głowami z aprobatą, zgadzając się na takie rozwiązanie. Haltowi przyszło coś jeszcze na myśl.

– Jeszcze jedna sprawa: który z was szkoli uczniów?

Sześć rąk podniosło się, a on popatrzył na wyczekujące twarze.

– Do tej pory bardzo dobrze ich szkoliliście. Już doskonale strzelają. – Sześć głów skinęło, ale zwiadowcy wiedzieli, że Halt powie coś jeszcze. – Ale muszą strzelać jeszcze lepiej. Wasza szóstka zostanie i będzie ich dalej trenować. Chcę, żeby strzelali rano i po południu, aż ręce zaczną ich boleć. – Przypomniało mu się coś, co mawiał Pritchard. – Wiecie, jak to mówią: zwykły łucznik ćwiczy, aż zacznie strzelać do celu. Zwiadowca...

– Ćwiczy, dopóki nie przestanie pudłować – zakończyło za niego ponad tuzin głosów, a Halt uśmiechnął się, lekko zawstydzony.

– O, widzę, że już to słyszeliście – zauważył. – Cóż, dopilnujcie ich. Będziemy potrzebować w zbliżającej się bitwie każdego łuku i tak jak mówiłem naszym towarzyszom łucznikom, chciałbym, żeby każda strzała dosięgnęła celu. – Skinął głową w stronę trzech mężczyzn, którzy nadal stali niedaleko i obserwowali ich.

– No dobrze, reszta niech wróci teraz ze mną do namiotu dowodzenia, a ja powiem wam, dokąd macie jechać.



Pogrążona w smutku i bardzo nieliczna grupa wracała do opactwa z małego cmentarza na polanie pomiędzy drzewami. Złożyli królową na wieczny spoczynek w prostym grobie, a przeorysza powiedziała kilka słów nad świeżo rozkopaną ziemią. Chociaż należała do świeckiego zakonu, wydawała się najwłaściwszą osobą do przemawiania na pogrzebie Rosalind.

Crowley patrzył na skromną uroczystość i został, dopóki dwóch żołnierzy nie skończyło zasypywać grobu. Athol chciał, by zrównali kopczyk z ziemią i przykryli go starszą darnią.

– Nie możemy pozwolić, by wargalowie znaleźli jej grób – powiedział ze smutkiem młody rycerz.

Crowley popatrzył na niego chłodno.

– Przeciwnie, lepiej będzie, jeśli go znajdą – zaproponował. – Każ jednemu ze swoich ludzi wyryć dla niej tablicę nagrobną. Może być drewniana. Ale oznacz to miejsce wyraźnie jako grób Rosalind, królowej Araluenu.

– Ale ludzie Morgaratha mogą sprofanować grób! – zaprotestował Athol.

Crowley skinął głową.

– Mogą to zrobić, ale nie zaszkodzą tym królowej. Ona jest teraz ponad takie sprawy. Z drugiej strony jeśli znajdą grób, przestaną jej szukać, a także przeoryszy i jej zakonnice.

Przyszło mu coś do głowy, gdy przypomniał sobie wcześniejszy pomysł znalezienia dla królowej kryjówki w lesie. Mogli w taki sam sposób ukryć przeoryszkę i pozostałe kobiety pracujące w opactwie, żeby były bezpieczne.

– Kiedy to wszystko się skończy, będą nam potrzebni wykwalifikowani uzdrowiciele – wyjaśniał przeoryszy godzinę później, gdy opowiadał jej o swoim pomyśle. Ku jego pewnemu zaskoczeniu zgodziła się. Obawiał się, że odmówi opuszczenia opactwa i zostanie, by stawić czoło nadchodzącym wrogom, uzbrojona tylko w swoją silną osobowość. Ale rozumiała, że pusty gest oporu to luksus, na jaki nie mogą sobie pozwolić.

– Zostawię Athola i jednego z łuczników, by wam pomagali – obiecał. – Przepraszam, że nie mogę zostawić tu więcej ludzi, ale król potrzebuje wszystkich żołnierzy, jakich zdoła znaleźć.

Margrit machnęła ręką na te przeprosiny.

– Jestem pewna, że poradzimy sobie same.

Jednakże Crowley potrząsnął głową.

– Nie. Będziecie ich potrzebować, by rozłożyli obóz i polowali. Musicie coś jeść.

Zastanowiła się nad tym.

– Masz rację. Będziemy wdzięczne za ich pomoc. A teraz, czy zastanawiałeś się już, jak zabierzesz dziecko do Zamku Araluen?

Zwiadowca zawahał się. Szczerze mówiąc, nie miał czasu, by dłużej zastanawiać się nad tą sprawą. Zakładał, że będzie wiozł małą w ramionach, na grzbiecie Croppera. Jego koń miał równy, miękki krok, dzięki czemu dziecko nie będzie szarpane i podrzucane, nawet jeśli będą podróżować bardzo szybko. Teraz jednak zaczął się zastanawiać, jak ma je karmić. Miał niejasne wrażenie, że niemowlęta potrzebują ciągłego karmienia. Wyraził swoje wątpliwości na głos, a Margrit rozwiązała jego problem.

– Zabierz bukłak pełen krowiego mleka – powiedziała. – Zatrzymuj się dwa lub trzy razy dziennie, nalej trochę mleka do miseczki...

– Czy tak małe niemowlę będzie piło z miseczki? – zdziwił się Crowley.

Margrit uniosła jedną brew i popatrzyła na niego z niejaką irytacją. Nie lubiła, by jej przerywano.

Crowley opuścił wzrok.

– Przepraszam.

Odczekała jeszcze kilka sekund, by okazać mu swoje niezadowolenie, a potem mówiła dalej:

– Damy ci paseczki płótna. Namoczysz je w mleku i włożysz jej do buzi. Będzie z nichssała mleko.

– Genialne – przyznał Crowley.

Margrit znowu uniosła brew.

– Wiesz, robiłyśmy to już wcześniej – powiedziała.

Następnego dnia Athol i Crowley udali się na zwiady w okolicy i znaleźli idealną kryjówkę dla zakonnicy. Był to niewielki jar w lesie, ze stromymi, porośniętymi drzewami zboczami. Wydawało się, że zamyka go skalna ściana, ale przy bliższym przyjrzeniu się odkryli, że jest tam zakręt w prawo, za którym kryje się wejście do dużej jaskini. Jej dno pokrywał chłodny piasek, a światło sączyło się przez szczeliny w sklepieniu. Wejście było całkowicie niewidoczne, dopóki ktoś nie znalazł się w odległości dwóch lub trzech metrów od niego.

Natychmiast przenieśli do tej jaskini Margrit i resztę zakonnicy. Na szczęście w opactwie nie przebywały w tym momencie inne pacjentki. Kobiety spakowały już wszystko, co miało być im potrzebne do życia w lesie. Przeorysza obejrzała nowe miejsce i wyraziła swoje zadowolenie.

– Dziękuję, Crowleyu – powiedziała z rzadkim u niej ciepłem. – Bardzo nam pomogłeś.

Crowley, zadowolony, że zrobił wszystko, co w jego mocy, by zadbać o bezpieczeństwo kobiet, dosiadł Croppera i schylił się, by wziąć niemowlę z rąk zakonnicy, która mu je podawała. Margrit wręczyła mu bukłak z mlekiem i lniane paski,

których miał używać do karmienia dziecka. Zamierzał jechać sam. Reszta żołnierzy miała udać się w ślad za nim jak najszybciej – ale to oznaczało, że będą się przemieszczać znacznie wolniej, niż mógł to robić Cropper.

Ułożył dziecko wygodnie w zagłębieniu lewej ręki, sprawdzając, czy szal, którym jest owinięte, zasłania jej szyję i głowę. Poważne małe oczy popatrzyły na niego, spokojne i pełne zaufania. Crowley owinał małą peleryną.

– Pilnuj, by była bezpieczna, Crowleyu – nakazała przeorysza.

– Tak zrobię – odparł. Głos uwiązał mu lekko w gardle, gdy pomyślał o ofiarnym przywiązaniu matki dziecka i jej determinacji, by bezpiecznie wydać je na świat. Dopiero potem Rosalind poddała się wyniszczającej ją słabości.

Szturchnął Croppera obcasem i koń odwrócił się, gotów zerwać się do galopu. Jednakże przeorysza uniosła rękę, żeby go zatrzymać.

– Co takiego? – zapytał, a ona wskazała cenny tobolek, który miał w ramionach.

– Królowa wybrała dla niej imię – powiedziała. – Nazywa się Cassandra.





Trudny i zmęczony podróżą Crowley wjechał po zwodzonym moście do Zamku Araluen. Stojący na straży wartownicy rozpoznali dowódcę Korpusu Zwiadowców i cofnęli się pod ściany bramy, by go przepuścić.

Crowley cmoknięciem zatrzymał Croppera, gdy koń znalazł się na wysokości schodów, prowadzących do wnętrza zamku. Ostrożnie przełożył prawą nogę nad łąkiem i ześlizgnął się z siodła, przytulając cenny tobolek, ukryty pod peleryną. Podróżował bez dłuższych przerw, od kiedy opuścił Opactwo Woldon. Kolana miał zmęczone, bolały go mięśnie nóg. Oparł się na moment plecami o Croppera, żeby odzyskać równowagę.

Koń wydawał się świeży i wypoczęty, jakby nie galopował równym rytmem, z krótkimi postojami na popas, przez ostatnich szesnaście godzin. Crowley poklepał go po szyi prawą ręką, a potem pokonał stopnie i otworzył drzwi wielkiej sali.

Szambelan Duncana, który po drugiej stronie sali rozmawiał z dwoma służącymi, podniósł głowę i zobaczył pokrytego pyłem mężczyznę. Natychmiast do niego podbiegł,

stukając głośno butami o nagie deski podłogi.

– Dowódco Crowleyu! – powiedział. – Wróciłeś!

Szambelan wyciągnął szyję z ciekawością, starając się dojrzeć, co znajduje się za Crowleyem. Potem na jego twarzy odmalowało się zrozumienie tego, co może oznaczać szybki powrót zwiadowcy. Najwyraźniej królowej z nim nie było. Ale teraz szambelan zobaczył, że Crowley odchyła pelerynę i pokazuje małe zawiniątko, które trzymał w zagięciu ramienia.

Może było małe, ale z pewnością płuca miało w dobrym stanie, sądząc po donośnym wrzasku, jaki wydało. Crowley, który tymczasem nauczył się doskonale sobie radzić z humorami księżniczki, zakołysał ją łagodnie w ramionach i odezwał się kojącym głosem:

– Już, cicho, malutka. Jesteś teraz bezpieczna – powiedział łagodnie i uspokajająco. Wiedział, że te słowa nic dla niej nie znaczą, ale liczył się ton jego głosu.

Szambelan Gerard pochylił się, by popatrzeć z bliska na czerwone na buzi, wierzące się niemowlę.

– Czy to...?

Crowley uśmiechnął się do niego ze znużeniem.

– To księżniczka Cassandra, następczyni tronu Araluenu. Chociaż w tej chwili wygląda jak każdy nieznośny, nowo narodzony berbec – dodał z szerszym uśmiechem.

Gerard, całkowicie zaskoczony, skłonił się niezgrabnie przed wrzeszczącym dzieckiem. Crowley kołysał dziewczynkę dalej, aż krzyki ustały, a mała otarła się buzią o jego kciuk i wydała serię beknięć, pomruków i gaworzenia, które brzmiały tak, jakby została przynajmniej częściowo udobruchana działaniami zwiadowcy. W tym momencie do Gerarda w pełni dotarło, co oznacza to, że Crowley przywiózł tylko dziecko. Krew odpłynęła mu z twarzy.

– Królowa...? – zaczął niepewnie, nie wiedząc, co mówić dalej.

Uśmiech na twarzy Crowleya zgasł, zastąpiony wyrazem głębokiego smutku. Potrząsnął głową.

– Królowa zmarła po wydaniu na świat dziecka.

W oczach Gerada pojawiły się łzy. Kochał królową. Co więcej, był oddanym sługą Duncana. Widział, ile światła i szczęścia Rosalind wniosła w życie króla, pomagając mu znosić troski i zmartwienia, jakie codziennie były jego udziałem. Wiedział, że jej śmierć okaże się dla Duncana prawdziwym ciosem.

– Gdzie jest teraz król? – zapytał Crowley, jakby czytając szambelanowi w myślach.

Gerard bezradnie wskazał wyższe piętro zamku, gdzie znajdował się gabinet Duncana.

– Jest w gabinecie – odetchnął głęboko. – Czy mam polecić komuś, by go powiadomił?

Crowley potrząsnął głową.

– Ja to zrobię – powiedział. – Będzie chciał zobaczyć swoją córkę. – Ruszył do schodów w rogu sali.

Gerard zawahał się.

– Pójdę z tobą – oznajmił w końcu. Wiedział, że nie może tak po prostu pozwolić Crowleyowi wejść do komnaty z księżniczką w ramionach. Ktoś musiał wcześniej uprzedzić króla. Zawahał się i spojrzał na dwóch służących, którzy obserwowali ich z ciekawością. Zamachał ręką, odsyłając ich.

– Wracajcie do pracy! – powiedział i pospiesznie ruszył za Crowleyem, wbiegając po dwa stopnie, żeby go dogonić. Na trzecim piętrze skierowali się do apartamentów Duncana. Gerard położył dłoń na ramieniu Crowleya.

Zwiadowca spojrzał, poirytowany. Był zmęczony i przygnębiony. Jechał dzień i noc, nie zatrzymując się na odpoczynek, skoncentrowany tylko na jednym: żeby bezpiecznie przywieźć nowo narodzoną księżniczkę do jej ojca.

– Nie możesz po prostu wpaść tam razem z dzieckiem! – odezwał się stanowczo Gerard. – To będzie dla niego straszliwy szok. Pozwól, że zapowiem twoje wejście. Pozwól mi go przygotować.

Crowley skinął głową, ponieważ te słowa były rozsądne. Nie chciał zadawać królowi większego bólu, niż było to absolutnie konieczne.

– Idź naprzód – powiedział ze znużeniem, a Gerard rzucił ostatnie pełne smutku spojrzenie na dziecko i odwrócił się, by zapukać dwukrotnie do apartamentu króla. Był jednym z najbliższych powierników Duncana i nie musiał czekać na zaproszenie. Po krótkiej chwili nacisnął klamkę i wszedł do środka cicho, zamykając drzwi.

Duncan siedział zgarbiony przy biurku, wpatrując się w nabazgrany raport królewskiego płatnerza. Kuźnia pracowała bezustannie, wykuwając niezliczone groty strzał, jakich będą potrzebować zwiadowcy i mały oddział łuczników w zbliżających się bitwach. Raport zawierał wyliczenia, jakie są obecne zapasy broni.

– Co się dzieje, Gerardzie? – zapytał, nie podnosząc głowy. Podwójne pukanie sprawiło, że wiedział, kto wszedł do komnaty.

– Panie – zaczął z wahaniem Gerard. – Powrócił dowódca Crowley.

To sprawiło, że król podniósł głowę z zaskoczeniem. Nie spodziewał się zobaczyć Crowleya jeszcze co najmniej przez tydzień. Zmarszczył z namysłem brwi.

– Tak szybko? – zapytał, podnosząc się z miejsca i obchodząc stół. – Co się stało? – Wiedział, że królowa nie mogła podróżować w takim pośpiechu i wiedział także, że Crowley nie zostawiłby jej samej.

Gerard przestąpił niepewnie z nogi na nogę. Teraz pożałował dobrego serca, przez które zaproponował, że to on przekaze królowi wiadomość. Ale poznał po twarzy Duncana, że król ma złe przeczucia i wie już, co usłyszy za chwilę.

– Przywiózł księżniczkę, panie – oznajmił.

Duncan dosłownie zachwiał się na nogach i oparł rękę na stole. Nie musiał tego

usłyszeć, by wiedzieć, że stało się najgorsze.

– Czy jest z nim królowa? – zapytał, chociaż wiedział już, że to niemożliwe.

Gerard potrząsnął głową, szukając odpowiednich słów. Uświadomił sobie, że żadne słowa nie będą odpowiednie.

– Królowa... – Zawahał się i zaczął od nowa. – Królowa nie przeżyła porodu, panie – szepnął z rozpaczą.

Wargi Duncana poruszyły się bezgłośnie, ale w końcu zdołał się odezwać.

– Nie żyje – powiedział głucho.

Gerard skinął głową.

– Tak mi przykro, panie.

Duncan wyprostował się na całą wysokość i przez moment stał z mocno zaciśniętymi powiekami. Wydawało się, że bruzdy na jego twarzy jeszcze się pogłębiły – Gerard wiedział, że te bruzdy wyryły tam stres, ból i smutek. Wydawało się, że chociaż to nieprawdopodobne, król postarzał się przez tych kilka minut. Z trudem odetchnął głęboko, starając się zaakceptować straszną wiadomość. Potem otworzył oczy.

– Czy dziecko jest zdrowe? – zapytał.

Gerard pospiesznie pokiwał głową.

– Crowley mówi, że tak.

Duncan kiwnął głową.

– Przyślij go do mnie – poprosił cicho.

Gerard miał już złożyć ponowne kondolencje, ale uświadomił sobie, że słowa nic nie będą znaczyły. Odwrcił się i wyszedł, zostawiając drzwi otwarte. Crowley czekał przed komnatą, trzymając teraz niemowlę w obu ramionach. Gerard wskazał półotwarte drzwi.

– Wejdz – powiedział. – On chce zobaczyć córkę.

Crowley wszedł do komnaty, a jego miękkie buty niemal bezgłośnie stąpały po deskach podłogi. Król nadal stał przy biurku, wyprostowany i ze ściągniętymi ramionami. Twarz miał jak wykutą z kamienia, ale w jego oczach Crowley dostrzegał nieprzebrane morze smutku. Podszedł bliżej do wysokiego mężczyzny i pokazał mały tobolek. Cassandra zagulgotała raz czy dwa. Wydawało się, że patrzy na człowieka stojącego przed nią, jakby jakimś cudem go rozpoznała.

– A więc to jest moja córka – odezwał się w końcu król. Popatrzył na małą twarzyczkę. Szeroko otwarte oczy były takie same jak jego własne. Wyciągnął dłoń, by odchylić szal wokół jej buzi, a kiedy to zrobił, pojawiła się mała rączka i złapała go z zaskakującą siłą za palec wskazujący. Pozwolił na to i nie próbował uwolnić palca, wpatrując się w dziecko.

– Królowa nadała jej imię Cassandra, panie – powiedział Crowley. Nie próbował wygłaszać słów pociechy ani kondolencji. Wiedział, że w tej chwili i tak byłyby bez znaczenia. Spełnił swój obowiązek i przywiózł dziecko bezpiecznie do ojca – tak jak

obiecał królowej.

Duncan skinął głową.

– Cassandra – powtórzył z powagą. – To piękne imię.

– To piękna dziewczynka – odpowiedział Crowley. Wyciągnął owinięty w koc tobolek do króla. – Czy chciałbyś...?

Duncan niepewnie sięgnął, by wziąć córkę na rękę. Podobnie jak wielu młodych ojców, był niepewny i niezdarny, obawiał się, że ją upuści lub w inny sposób uszkodzi.

Crowley uśmiechnął się.

– Nie obawiaj się, panie. To wytrzymała młoda dama. Właśnie przejechała szesnaście godzin bez narzekania. – Poprawił ostatnie zdanie. – No cóż, w każdym razie bez zbytniego narzekania.

Duncan przytulił dziecko do siebie. Dotknął policzkiem jej policzka, zachwycając się aksamitną miękkością jej skóry w porównaniu z jego szorstką brodą.

– Ależ miękka – powiedział.

Ostrożnie zakołysał dzieckiem w ramionach. Jego twarz rozpromieniła się w uśmiechu, a mała zaśmiała się – to był najbardziej magiczny dźwięk na świecie. Duncan popatrzył na Crowleya.

– Roześmiała się – stwierdził.

Zwiadowca skinął głową z lekkim poczuciem wyższości.

– Często to robi – potwierdził. W tym momencie uświadomił sobie, że po policzkach króla spływają łzy, gdy patrzy na roześmiane niemowlę, które trzyma w ramionach. Crowley nie był pewien, czy sam Duncan to zauważył. W tym właśnie momencie uświadomił sobie, że to dziecko, ten mały okruszek umożliwi królowi podniesienie się po druzgocącej tragedii, która go dotknęła, i otworzy przed nim szczęśliwą przyszłość.

– Dziękuję, Crowleyu – powiedział król, nie odrywając spojrzenia od Cassandry. Potem popatrzył zwiadowcy prosto w oczy. – Dziękuję, że przywiozłeś moją córkę bezpiecznie do domu.

Crowley skłonił się lekko i zaczął się wycofywać do drzwi.

– Czy mam przysłać kobiety, żeby pomogły przy niej, panie? – zapytał. Uwaga króla znowu została skierowana tylko na roześmiane dziecko.

– Tak. Tak, zrób to – powiedział cicho Duncan. Raz jeszcze wyciągnął wskazujący palec w stronę twarzy niemowlęcia i raz jeszcze poczuł, jak został pochwycony w zdumiewająco mocny uścisk.

– Ale powiedz im, żeby się nie spieszyły – dodał.



Timothy wszedł do namiotu, w którym Halt siedział za biurkiem dowódcy. Tymczasowy dowódca zwiadowców spojrział na młodego mężczyznę pytająco. Zazwyczaj nie lubił, by mu przeszkadzano w pracy, i skryba Crowleya wiedział o tym.

– Przyleciały cztery gołębie, sir – wyjaśnił Timothy. Trzymał cztery małe zwitki z wiadomościami, które zostały zdjęte z gołębic nóg. Halt gestem poprosił, by mu je podał.

Wszyscy zwiadowcy, którzy zostali wysłani do śledzenia ruchów wojsk Morgaratha mieli ze sobą gołębie pocztowe. Halt wziął małe karteczki i szybko je przejrzał. Były wcześniej wetknięte w małe metalowe tulejki przymocowane do nóg gołębi, więc teraz zaczęły się skręcać, kiedy tylko je rozwinął.

Sprawdził, skąd pochodzą. Były z czterech lemn na południe i zachód od lenna Araluen. To właśnie tamte tereny jako pierwsze zostały zaatakowane przez nasłane przez Morgaratha bandy wargalów.

– Kiedy to przyszło? – zapytał.

Timothy odparł natychmiast, ponieważ spodziewał się tego pytania.

– Pierwsza wiadomość przyszła dwadzieścia minut temu. Pozostałe pojawiły się prawie jednocześnie jakieś pięć minut temu.

Halt zmarszczył brwi, położył karteczki obok siebie i przeczytał je. Dobór słów odrobinę się różnił, ale przekaz pozostawał taki sam.

– Gromadzi siły – ocenił.

Timothy zmarszczył czoło.

– Sir? – zapytał, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Halt postukał w wiadomości palcem wskazującym.

– Łupieżcze bandy Morgaratha wycofują się z lenn, które atakowały. Wszystkie kierują się do punktu na południe od Araluen. To oznacza, że zaczyna się szykować do ataku na nas. Spodziewam się, że niebawem przyjdą kolejne wiadomości od innych zwiadowców.

Płachta namiotu odsunęła się i do środka wszedł Crowley, który usłyszał ostatnie słowa.

– Co to za wiadomości? – zapytał, a Halt podniósł się zza biurka, witając przyjaciela szerokim uśmiechem.

– Wróciłeś! – powiedział. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. – Hibernijczyk nienawidził codziennej papierkowej roboty związanej z obowiązkami dowódcy. Cieszył się, że może przekazać ją z powrotem Crowleyowi. Zanim jednak Crowley zdążył odpowiedzieć, uśmiech Halta zbladł.

– Co z królową? – zapytał. – Wszystko w porządku?

Crowley popatrzył na dwie zatroskane twarze przed sobą i powoli potrząsnął głową.

– Nie przeżyła – powiedział głucho. – To był bardzo ciężki poród, a ona była zbyt słaba.

Halt opuścił wzrok i potrząsnął głową na myśl o tym, jak zdruzgotany musi być król. Duncan i Rosalind byli ze sobą niezwykle szczęśliwi. Teraz to należało już do przeszłości. W dodatku, jak uświadomił sobie Halt, król nie miał nawet czasu, by w spokoju opłakiwać żonę. Wojska Morgaratha zaczęły się przemieszczać. Gdy się zgromadzą, zaatakują z miażdżącą siłą armię królewską.

To Timothy zadał następne pytanie:

– A co z dzieckiem?

– Wszystko w porządku – odpowiedział Crowley. – Księżniczka jest zdrowa, silna i odporna. W tym momencie stanowi jedyny jasny punkt w życiu Duncana.

– Cóż, mam niestety kolejne złe wieści – Halt wskazał małe karteczki złożone na biurku. – Wygląda na to, że armia Morgaratha zaczyna zwierać szyki.

Podał wiadomości Crowleyowi. Podczas gdy dowódca je czytał, Halt wyjaśnił:

– Wysłałem zwiadowców, żeby przeprowadzili rekonesans w lennach, które są atakowane przez wargalów.

Crowley skinął głową z aprobatą. Pomyślał, że Halt mógł nienawidzić prac administracyjnych, ale miał instynkt dowódcy.

Hibernijczyk mówił dalej:

– To są pierwsze raporty, jakie spłynęły. Morgarath zagrabił zebrane plony dla własnej armii i odciągnął setki naszych ludzi, którzy musieli się zająć broniem zamków i wsi. Teraz rozkazał swoim oddziałom, by zaczęły się gromadzić na południe od nas. To jasne, że zamierza zaatakować, zanim nasi żołnierze zdążą powrócić do armii.

Crowley skinął głową i spojrział na wielką mapę, rozpiętą na stelażu pod płócienną ścianą namiotu.

– Tak, lenna oczywiście nie będą się spieszyć, żeby mieć pewność, że jego siły naprawdę się wycofały. Potem zaś żołnierze będą musieli przedzierać się przez jego oddziały, by do nas dołączyć, a będą się poruszać w niewielkich grupach. – Potrząsnął głową. – To naprawdę przebiegły bydlak.

– Powinniśmy zaraz zawiadomić króla – rzucił krótko Halt i ruszył do wyjścia.

Crowley go jednak zatrzymał.

– Zawiadomimy najpierw lorda Northolta i sir Davida. Będą mogli przygotować armię do wymarszu. Potem powiemy królowi, jak wygląda sytuacja.

Halt skinął głową.

– To prawda, możemy równie dobrze dać mu jeszcze kilka minut sam na sam z córką.

Crowley spojrział na niego ze smutkiem.

– Być może to cały czas, jaki z nią spędzi. – W tym momencie coś przyszło mu do głowy, więc odwrócił się do skryby. – Timothy, ani słowa o księżniczce. Do nikogo.

– Oczywiście, sir – odparł Timothy. Jego zachowanie wskazywało, że tego rodzaju ostrzeżenie uważa za niepotrzebne. Nigdy nie rozmawiał z nikim o sprawach, o których dyskutowano w namiocie dowódcy zwiadowców. Crowley zauważył wyraz jego twarzy i postanowił się wytłumaczyć.

– Im mniej osób wie o jej istnieniu, tym lepiej – powiedział. – Na razie wiedzą o niej król, szambelan i nas trzech. Niech tak zostanie.

Timothy skinął głową, trochę bardziej przekonany do tego rozkazu.

– Oczywiście, sir.

Crowley w tym momencie przypomniał sobie o dwóch służących, którzy widzieli go, gdy wszedł do wielkiej sali. Zapisał w pamięci, by powiedzieć Gerardowi, żeby ich uprzedził i zabronił rozpowiadać o Cassandrze. Albo przeniósł ich gdzieś, gdzie nie będą mieli okazji kontaktować się z innymi.

– Chodź – zwrócił się do Halta. – Poszukajmy lorda Northolta.

Kiedy we trzech wyszli z namiotu, prawie wpadli na służącego, który przybiegł tutaj, żeby ich znaleźć. Mężczyzna cofnął się gwałtownie i przeprosił. Crowley machnął

ręką, na znak że nic się nie stało, ponieważ zobaczył w ręku służącego karteczki z wiadomościami.

– Przepraszam, dowódcu. Właśnie przyszły i pomyślałem, że powinieneś je natychmiast zobaczyć.

Podał wiadomości Crowleyowi, który przeczytał je szybko i spojrział na Halta.

– Jeszcze trzy lenna – powiedział krótko. – Morgarath naprawdę się do nas wybiera.

Wcisnął wiadomości do ręki Timothy'emu, a potem odwrócił się do zamku i ruszył szybkim krokiem na poszukiwanie królewskiego zbrojmistrza. Halt był kilka kroków za nim.



Zaletą posiadania małej armii było to, że potrzebowała ona mniej czasu na mobilizację. W ciągu godziny namioty zostały złożone, zwinięte i ułożone na wozach, i tylko równe rzędy kwadratów pożółkłej trawy wskazywały, gdzie wcześniej były rozbite. Kuchnia polowa przygotowała posiłek dla żołnierzy. Na szczęście sytuacja z żywnością trochę się poprawiła. Zwiadowcy przynieśli jelenia, by uzupełnić zapasy mięsa, a grupa zaopatrzeniowa wysłana na północ wróciła z workami zboża, bochenkami chleba oraz koszami ziemniaków, kapusty i marchwi. Część warzyw była trochę stara i podwędła, ale nadawały się jeszcze do jedzenia.

Żołnierze siedzieli na trawie koło kuchni polowej i jedli pospiesznie. Mieli wyruszyć w ciągu godziny i wiedzieli, że nie zobaczą gorącego jedzenia, dopóki nie dotrą do Ashdown Cut. Lord Northolt chciał, żeby maszerowali także w nocy, z zaledwie kilkugodzinną przerwą na sen. Musieli dotrzeć do Ashdown Cut na długo przed oddziałami Morgaratha, żeby mieć dość czasu na przygotowanie się do odparcia ataku.

Duncan i jego doradcy także się posilali – takimi samymi racjami żywnościowymi, jak reszta armii. Jednakże zjedli je we względnym zaciszu gabinetu Duncana w zamku. Pod ścianą i koło biurka leżały broń i zbroje, a militarną surowość łagodził widok malutkiej kołyski w kącie przy oknie.

Halt, lord Northolt i sir David oczywiście złożyli Duncanowi kondolencje z powodu śmierci żony. Król podziękował im z wdzięcznością, z całkowicie ponurą twarzą.

Halt pomyślał, że królowie nie mają zbyt wiele czasu na żałobę. Zawsze jest coś, czemu muszą poświęcić uwagę.

Jednakże stało się jasne, że Duncan zastanawiał się, co będzie najlepsze dla nowo narodzonej księżniczki.

– Zostanie tutaj, w Zamku Araluen – powiedział. – Moja matka obejmie tu dowodzenie.

Crowley z namysłem zmarszczył brwi.

– Czy zastanawiałeś się nad zabranieniem księżniczki z nami, panie? To dzielna podróżniczka. – Uśmiechnął się cierpko. – Wiem, co mówię – dodał.

Duncan spojrział na niego z leciutkim uśmiechem na twarzy – zdaniem Crowleya bardzo pożądanym w ogólnej atmosferze przygnębienia, jaka go otaczała. Jednakże potrząsnął głową.

– Zastanawiałem się nad tym, Crowleyu, i uznałem, że będzie bezpieczniejsza tutaj. Zostawię w zamku trzydziestopięcioosobowy garnizon...

Sir David podniósł głowę znad miski z potrawką, którą trzymał na kolanach.

– Czy możemy sobie pozwolić na pozostawienie tak wielu żołnierzy?

Duncan spojrział na niego stanowczo.

– Tak – uciął, a David już nie protestował.

– W innej sytuacji nie zostawiłbym aż tylu – wyjaśnił Duncan. – Ale Cassandra jest przyszłością królestwa i musi być bezpieczna, tak samo jak moja matka. Mury są wysokie i mocne, w zamku znajdują się teraz obfite zapasy żywności, a na jego terenie jest studnia. Wydaje mi się, że tylu ludzi wystarczy, by trzymać na dystans bestie Morgaratha, zanim zgromadzimy dość sił, żeby go przepędzić.

Halt skinął głową i odsunął pustą miskę na bok.

– Tak jak mówiłeś, panie, Morgarath nie ma wież oblężniczych ani katapult. Wargalowie mogliby się przedostać do zamku tylko za pomocą drabin.

– Potrzeba by naprawdę długiej drabiny, by pokonać te mury – przypomniał Crowley, a Halt skinął głową, zgadzając się z nim. Mury Zamku Araluen należały do najwyższych i najgrubszych w królestwie.

– Właściwie – powiedział Hibernijczyk – chciałbym nawet, żeby tego spróbowali. Wargalowie nie są szczególnie zwinnymi stworzeniami. Są niezgrabni, a ich dłonie mają długie pazury i kiepsko nadają się do trzymania szczebli drabiny. Mogę sobie wyobrazić, że Morgarath straciłby ich znaczną liczbę, gdyby próbowali się wspiąć na długą i wysoką drabinę.

– Tak czy inaczej – stwierdził Duncan – to ja jestem jego głównym celem i zgaduję, że dla Morgaratha priorytetem jest wydać bitwę naszej armii i zniszczyć ją, zanim zdążymy się wzmocnić. Kiedy to zrobi, będzie mógł bez pośpiechu oblegać Zamek Araluen.

W komnacie rozległy się potwierdzające pomruki. To byłoby logiczne działanie dla Czarnego Lorda. Królewska armia była mała i miała osłabione kluczowe oddziały, takie jak konnica i łucznicy. Zamek był potężny i nawet niewielka załoga go broniąca wystarczała, by stawał się praktycznie nie do zdobycia. Morgarath rozsądniej postąpi, atakując armię i zostawiając Zamek Araluen oraz inne, takie jak Redmont, by same osłabły. To był naturalny dla niego sposób rozumowania.

Rozległo się pukanie do drzwi, więc Duncan podniósł głowę.

– Wejść! – zawołał i drzwi otworzyły się. Stał w nich jeden z kapitanów lorda Northolta, który skłonił głowę przed królem. Duncan powitał go machnięciem ręki i wskazał, że może zwracać się bezpośrednio do zbrojmistrza. Kapitan odwrócił się do swojego dowódcy.

– Lordzie Northolt – zameldował. – Armia jest gotowa do wymarszu.





Armia wymaszerowała spod Zamku Araluen wcze snym popołudniem.

Sir David wysłał dwudziestu spośród bezcennych konnych, by przeprowadzili zwiad. Crowley polecił sześciu zwiadowcom, by towarzyszyli armii jako straż tylna i wypatrywali sił Morgaratha. Zanim jego namiot dowódcy na błoniach pod zamkiem został zwinięty i spakowany, wraz z Timothyem przygotowali wiadomości do zwiadowców obserwujących siły Morgaratha. Rozkazali im, by natychmiast wyruszyli na spotkanie z armią królewską w połowie drogi do Ashdown Cut. Crowley wyczuwał, że nie minie wiele czasu, gdy będzie potrzebować wszystkich swoich ludzi.

Gdy tylko wiadomości zostały wysłane, Crowley i Halt dosiedli koni i ruszyli w ślad za armią.

Dogonili zbrojnych po półtorej godzinie. Z grzbietu wzgórza widzieli długi, przypominający wijącego się węża strumień żołnierzy maszerujących po odsłoniętej równinie. Piechota posuwała się w dobrym tempie, maszerując w czterech kolumnach i niosąc połowę uzbrojenia. Każda kompania miała do dyspozycji konny wóz,

załadowany elementami zbroi i cięższą bronią.

Broń i żywność jechały na sześciu kolejnych wozach, z których każdy ciągnęły dwa konie pociągowe. Niewielki tabun luzaków szedł obok, co pozwalało woźnikom zmieniać konie co dwie godziny. Dzięki temu wypoczęte zwierzęta mogły utrzymać szybkie tempo narzucone przez jadącego na czele armii lorda Northolta.

Po obu stronach zwiadowcy widzieli nieliczną konnicę. Kiedy zjechali galopem ze zbocza na równinę, powitała ich straż tylna, złożona ze zwiadowców, którzy wydawali się materializować wprost z drzew i krzewów.

– Jakież ślady Morgaratha i jego potworów? – zawołał Egon, jeden z grupy, gdy przejeżdżali obok.

Crowley potrząsnął głową.

– Jak dotąd nic. Ale możesz być pewien, że wyruszą w ślad za nami.

Halt przyglądał się szeregom szybko maszerujących żołnierzy. Próbował w myślach porównać ich do niezgrabnego, nierównego kroku wargalów. Przypuszczał, że być może tajemnicze bestie potrafią przemieszczać się szybciej niż armia Duncana, ale ta dysponowała ogromną przewagą i musiało potrwać, zanim zostanie dogoniona.

– Wypatrujcie ich dalej! – zawołał do Egona i pozostałych. Mężczyźni w szarych pelerynach skinęli z powagą głowami. Halt i Crowley szturchnęli konie piętami i pojechali szybciej, oddalając się od zwiadowców przemykających niepostrzeżenie wśród drzew i wysokiej trawy.

Gdy dotarli na tyły armii, Halt zobaczył blade owale twarzy, kiedy żołnierze zaczęli się oglądać niespokojnie, słysząc odgłos końskich kopyt.

– Nie zatrzymujcie się! – krzyknął do najbliższych żołnierzy. – Na razie ani śladu Morgaratha i jego cyrkowych bestii. Jeśli utrzymacie tempo, zdążymy do Ashdown Cut, zanim zaczną nas doganiać.

Zobaczył ulgę na twarzach mężczyzn, którzy z powrotem skierowali wzrok na drogę przed nimi. Pomyślał, że maszerowanie na tyłach wycofującej się armii musi naprawdę szarpać im nerwy. Na takiej pozycji nigdy nie było się pewnym, czy nieprzyjaciel nie pojawi się nieoczekiwanie zza wzgórza lub zza zakrętu za plecami. Człowiek bezustannie czuł się bezbronny.

Dwaj zwiadowcy galopowali dalej wzdłuż maszerujących szeregów, z łatwością je wyprzedzając i docierając do straży przedniej, gdzie jechali król Duncan, lord Northolt, sir David, baron Arald i ich bezpośredni podwładni. Northolt przywitał się z nimi i gestem zaprosił ich, by jechali obok niego. Duncan, ze ściągniętą twarzą, jechał samotnie, kilka metrów przed małą grupą dowódców. Halt pomyślał, że trudno się temu dziwić. Król znajdował się na otwartej przestrzeni z niewielką armią. Zostawił matkę i córkę, z nadzieją, że Zamek Araluen zapewni im schronienie i bezpieczeństwo. Sam zaś zaledwie za dzień lub dwa miał stanąć do bitwy przeciwko wrogowi dysponującemu ogromną przewagą liczebną.

Taka sytuacja nie pozostawiała wielu tematów do rozmów towarzyskich.

– Jakież wieści? – zapytał Northolt. Crowley potrząsnął głową.

– Nic, jak do tej pory. Wezwałem z powrotem zwiadowców, którzy obserwowali siły Czarnego Lorda. Mamy dość informacji, by wiedzieć, że zamierza połączyć wszystkie oddziały w jedną wielką armię. Potem wyruszy na nas.

– Oczywiście, zebranie armii i wyruszenie w drogę trochę potrwa – rzekł z namysłem Northolt. – Powinniśmy mieć mnóstwo czasu po dotarciu do Ashdown Cut, by przygotować dobre pozycje obronne. – Spojrzał na słońce, wiszące teraz nisko na zachodzie. Cienie drzew wyciągały się na ziemi, długie i bezkształtne. Podobnie jak cienie maszerujących żołnierzy – wydawały się dwa razy wyższe niż ci, którzy je rzucali.

– Odpocznijmy koło dziesiątej – powiedział. – Potem wyruszymy w drogę, trochę po północy.

Dwaj zwiadowcy skinęli głowami. Na początku tak męczącej podróży parę godzin snu powinno wystarczyć, by żołnierze wypoczęli i odzyskali siły. Potem, gdy rezerwy ich energii wyczerpią się z powodu ciągłego marszu i nerwowego napięcia płynącego z oczekiwania na atak, będą potrzebowali na odpoczynek więcej czasu.

– Masz dla nas jakieś zadania? – zapytał Crowley, ale Northolt potrząsnął głową.

– Wystarczy, że będziecie maszerować razem ze wszystkimi – mówiąc to, spojrział ze smutkiem na osamotnionego króla, jadącego kilka metrów przed nimi. Jego wysoka sylwetka była wyraźnie pochylona.

Armia maszerowała dalej, pokonując kolejne kilometry podkutymi butami. Co dwie godziny Northolt zarządzał krótki postój. Żołnierze mogli wystąpić z szeregow, napić się z manierek i usiąść w wysokiej trawie przy drodze, podczas gdy woźnice wyprzęgali konie i zaprzęgali do wozów nowe, wypoczęte. Potem niewielką kolumnę podrywał dźwięk rogów i wszyscy ruszali w dalszy marsz.

To samo powtarzało się po zapadnięciu nocy. Mężczyźni byli teraz pogrążeni w otępiłym znużeniu, które dotykało każdego, kto maszerował od kilku godzin. Stopy i mięśnie nóg stawały się zeszywniałe i nieczułe. Ramiona były pocierane w miejscach, gdzie dotykały ich skórzane paski, podtrzymujące ciężkie miecze, jakie wszyscy nosili przy pasie. Każdy żołnierz niósł też włócznię, a żołnierze z zewnętrznych rzędów trzymali jeszcze wydłużone trójkątne tarcze, chroniące kolumnę przed atakiem z zaskoczenia przez łuczników lub procarzy. Poruszali się półprzytomnie, niemalże śpiąc na stojąco i koncentrując się tylko na przebieraniu nogami w niezmiennym rytmie, w oczekiwaniu następnego krótkiego postoju i okazji do odpoczynku.

Gdy zapadła noc, zapalono latarnie, które niósł co dziesiąty człowiek w drugim rzędzie, wysoko na ostrzu włóczni. Prowadząca zwiad kawaleria jechała teraz bliżej kolumny. Na tyłach zawsze czujni zwiadowcy galopowali w jedną i drugą stronę

wzdłuż trasy marszu. Od czasu do czasu dwóch lub trzech z nich wycofywało się i znajdowało dogodny punkt, z którego można było obserwować okolicę.

Raz na jakiś czas jeden z nich jechał naprzód i składał raport Crowleyowi. Za każdym razem dowódca patrzył wyczekująco, gdy zbliżała się owinięta peleryną sylwetka. Za każdym razem jednak jego ramiona rozluźniały się z ulgą, gdy słyszał, że nic się nie dzieje. Nie było ani śladu pościgu.

Raz, kiedy zameldował się zwiadowca imieniem Samdash, Halt wskazał kolumnę.

– Obserwujcie także flanki – polecił. – Może się zdarzyć, że Morgarath nie pojawi się bezpośrednio za nami.

Samdash uśmiechnął się i skinął głową.

– Już to robimy.

Halt wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Powinienem wiedzieć, że nie ma potrzeby uczyć was roboty.

Ale Samdash uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Nigdy nie zaszkodzi przypominać – powiedział. Potem zawrócił konia. – Lepiej pojedę z powrotem.

Maszerowali dalej. Armia wędrowała długim stokiem pod górę, żołnierze pojękiwali, gdy mięśnie ich łydek napinały się i naciągały, a potem dostawały skurczów. Na szczycie Halt się obejrzał. Było ciemno, ale na ile mógł sięgnąć wzrokiem, nie dostrzegał żadnego większego oddziału podążającego ich śladem. Oczywiście nie zauważył zwiadowców tworzących straż tylną. Oni wiedzieli, jak pozostawać niezauważonymi.

– Chyba jesteście bezpieczni – powiedział do Crowleya.

Rudowłosy zwiadowca zastanawiał się przez kilka sekund, a potem podjął decyzję.

– Zawrócimy i sprawdzimy drogę za nami – uznał. Poinformował lorda Northolta o swojej decyzji, a zbrojmistrz skinął głową, zgadzając się z nią. Szczerze mówiąc, Northolt chętnie wyruszyłby ze zwiadowcami. Jazda w stałym, niezmiennym tempie była wyczerpująca i otopiająca, a on z trudnością utrzymywał otwarte oczy. Oczywiście wiedział doskonale, że jeszcze bardziej zmęczeni musieli być maszerujący żołnierze. Popatrzył w gwiazdy, szukając Wielkiego Wozu. Gdy go znalazł, oszacował, że zbliża się dziewiąta wieczorem. Za następną godzinę zaplanował dwugodzinny postój, więc to mógł być dobry moment, by cofnąć się i sprawdzić, jak wygląda przebyta droga.

– Jedźcie – powiedział. – Uważajcie na siebie.

– Zawsze to robimy – odparł Crowley. On i Halt zawrócili konie i pogalopowali szybko wzdłuż kolumny.

Northolt patrzył za nimi i myślał, że konie zwiadowców są naprawdę niezwykłe. Podróżowali od wielu godzin, a po nich nie było widać śladu zmęczenia. Jego koń włókł się nogą za nogą ze zwieszonym łbem.

Uznał, że zwiadowcy mają dobre życie. Mogli sami podejmować decyzje o tym, co będą robić, i niemalże bez oglądania się na rozkazy, wyruszyli na rekonesanse. Nie podlegali surowej dyscyplinie, tak jak żołnierze i dowódcy armii. Mogli wyłamać się na swoich małych koniach z linii i pojechać, by sprawdzić sytuację.

– To musi być miłe – mruknął do siebie.

Jeden z kapitanów, jadący w pobliżu i na pół drzemiący w siodle, obudził się gwałtownie i wyprostował się.

– Słucham, sir?

Northolt pokręcił przecząco głową.

– Nic takiego. Po prostu myślałem na głos.

Kapitan mruknął coś pod nosem i usiadł wygodniej w siodle. Jego głowa opadła, gdy znowu zapadł w drzemkę. Northolt popatrzył na niego z zazdrością. Pomyślał, że dobrze jest być młodszym oficerem. Kapitan mógł drzemać w siodle, ponieważ wiedział, że Northolt ma na wszystko oko.

Tym razem jednak pilnował się, by nie powiedzieć tego na głos.



Morgarath potrzebował więcej czasu na zebranie armii i wyruszenie na Zamek Araluen, niż oszacował Duncan. Przez cały wieczór bandy wargalów schodziły się na wyznaczone przez swego dowódcę miejsce zbiórki. Kusilo go, by ukarać dowódców za tę opieszałość, ale uświadomił sobie, że to nie ma sensu. Zgromadzenie dużej armii zawsze było czasochłonne. A kiedy w grę nie wchodziłi ludzie, lecz prymitywni i niezgrabni wargalowie, zabierało to jeszcze więcej czasu.

Oczywiście potem, gdy już przybyli na miejsce, musieli zjeść i rozstawić namioty. Morgarath ze złością zdecydował, że wyruszą dopiero następnego dnia rano.

W efekcie zbliżało się południe, gdy dotarł do Zamku Araluen. Jego ogromna armia rozproszyła się na otwartych błoniach wokół warowni. Wyjechał naprzód, żeby przyjrzeć się murom. Widział tam żołnierzy, obsadzających przejścia na wysokich blankach.

Nie było ich jednak zbyt wielu.

Przyjrzał się uważnie miejscu, w którym wcześniej stacjonowała armia Araluen. Obozowisko było wyraźnie widoczne dzięki kwadratowi martwej trawy w miejscu, gdzie stały namioty. Zauważył, że nie było ich zbyt wiele. Jego plan najechania na lenna i ograniczenia liczebności armii Duncana okazał się skuteczny. Teraz jednak, gdy groźba najazdów łupieżczych przestała wisieć nad lennami, Morgarath wiedział, że żołnierze zaczną się przemieszczać na północ i zasilać armię Duncana.

Pojechał szerokim łukiem w stronę potężnego, sięgającego nieba zamku,

w towarzystwie Stotta, jednego z oficerów, którzy służyli mu jeszcze w Gorlanie.

Fosa była szeroka i głęboka, a most zwodzony podniesiono. Wiedział, że za nim znajduje się potężna żelazna brama. Nie było łatwej drogi prowadzącej do środka. Tak jak stwierdził Duncan, Morgarath nie miał machin oblężniczych, jakich potrzebowałby do zdobycia tak solidnie zbudowanego zamku.

Zresztą nawet gdyby je miał, nie mógł sobie pozwolić na zaangażowanie się w długie oblężenie. Musiał działać szybko, zanim rozproszone siły Duncana będą miały czas, by do niego dołączyć i zwiększyć liczebność armii. Morgarath wiedział, że w tym momencie przewaga jest po jego stronie. Jeśli jednak straci zbyt wiele czasu, wynik równania może się zmienić.

Zamknęli koło i zatrzymali konie przed mostem zwodzonym, wpatrując się w nieprawdopodobnie wysokie mury.

– Jak mamy zdobyć coś takiego? – zapytał Stott.

Morgarath spojrział na niego z niechęcią. Czy był tak głupi, by nie widzieć, że to niewykonalne zadanie?

– Nie będziemy próbować – odparł.

W tym momencie, gdy Stott miał właśnie zadać kolejne pytanie, Morgarath usłyszał złowrogi świst bełtu z kuszy, wystrzelonego z góry. Bełt wbił się w pierś Stotta i wyrzucił go z siodła. Oficer był martwy, zanim jeszcze spadł na ziemię.

Morgarath zawrócił konia i galopem oddalił się z zasięgu strzału. Jak to było w jego zwyczaju, nie obejrzał się nawet na swojego zabitego podwładnego.



Wysoko na blankach, w jednej z wielu wieżyczek rozmieszczonych wzdłuż murów, królowa Deborah – królowa matka – oddała kuszę stojącemu koło niej sierżantowi. Mężczyzna popatrzył na nią z podziwem. Miała siwe włosy, a jej twarz była pobrużdżona i pomarszczona. Jednakże właśnie przed chwilą oddała wspaniały strzał praktycznie na granicy zasięgu bełtu z kuszy. Sierżant zaczął rozumieć, dlaczego Duncan przekazał matce dowodzenie na zamku.

– Doskonały strzał, pani! – powiedział, ale ona gniewnie potrząsnęła głową, patrząc na odzianego w czerń mężczyznę, oddalającego się galopem w bezpieczne miejsce.

– Nie wzięłam dostatecznej poprawki na wiatr – powiedziała. Spojrzała ze złością za znikającym w oddali dawnym baronem Gorlanu. – Nie wracaj tu, Morgaracie – mruknęła. – Drugi raz nie spudłuję.





Armia dotarła do Ashdown Cut trzy godziny po wschodzie słońca.

Zbocza tego miejsca były strome i skaliste, tak gęsto porośnięte drzewami, że ciężko było przez nie przejść. Dolina zwężała się w miarę, jak jej dno się wznosiło. W górnej części miała szerokość pięćdziesięciu metrów w porównaniu do stu metrów u wylotu na dole.

Za zamykającą dolinę przełączą droga schodziła w dół północnym zboczem. Był to szeroki trakt, wijący się między drzewami – doskonała do obrony trasa, którą mogła się wycofać armia.

Duncan, Arald i Northolt wybrali miejsce mniej więcej w dwóch trzecich długości doliny, gdzie jej zbocza stawały się bardziej strome, a potem tworzyły kolejne piętro i znowu wznosiły się stromo. Żołnierzom zlecono różne zadania, aby przygotować pozycje obronne. Część z nich ścinała i obdzierała z kory młode drzewka, by utworzyć barykadę z zaostrzonych kołków, skierowanych w dół i na zewnątrz. Inni zaczęli kopać głęboki rów w poprzek doliny, przed palisadą. Atakujący wróg będzie musiał pokonać

stromą drogę, następnie głęboki rów o miękkich, osypujących się ścianach, a potem przedrzeć się przez gęstą barykadę ze skierowanych na zewnątrz zaostrzonych drągów.

Oczywiście, za umocnieniami będą się znajdować żołnierze uzbrojeni w długie włócznie, gotowi odeprzeć każdego atakującego.

W ciągu nocy wszyscy zwiadowcy z wyjątkiem jednego powrócili do armii. Berwick, który został skierowany do lenna na południowym zachodzie, miał największy dystans do przejechania, więc Crowley spodziewał się go późnym rankiem. Zebrał obecnych zwiadowców oraz sześciu uczniów za linią umocnień.

– Podzielimy się na dwie grupy – powiedział i wskazał wznoszone umocnienia. – Każda z nich zajmie pozycję na końcu linii. Ja będę dowodził lewym skrzydłem, a Halt prawym.

– Czy nie byłibyśmy skuteczniejsi w jednej grupie? – zapytał Robert. – Ostatecznie jest nas tylko dwudziestu.

To było rozsądne pytanie i Crowley zastanawiał się nad takim rozwiązaniem. Potrząsnął jednak głową.

– Chciałbym ich złapać w ostrzał flankowy z obu stron – wyjaśnił. – Jeśli moja grupa będzie strzelać jako pierwsza, a oni odwrócą w naszą stronę tarcze, wystawią się na cel grupie Halta – i na odwrót. Poza tym nasze tempo strzelania sprawia, że mniejsza grupa będzie się wydawać duża.

Robert skinął głową, zgadzając się z tymi argumentami, podobnie jak kilku innych zwiadowców. Nie kwestionował planu Crowleya po to tylko, żeby się kłócić, i potrafił dostrzec jego mocne strony.

Crowley popatrzył na zgromadzonych, których ponure twarze kryły się w cieniu kapturów peleryn. Znalazł tego, kogo szukał – Denisona.

Po początkowym sporze z Haltem Denison szybko się podporządkował i pozbył się skłonności do wyklócania się i kwestionowania rozkazów dwóch młodych zwiadowców. Długo rozmawiał z Samdashem, Jurgenem i Leandrem, których dobrze znał z dawnych czasów. Był pod wrażeniem ich jednomyślnego poparcia dla rudowłosego dowódcy i jego ponurego, brodatego przyjaciela.

Teraz Crowley zwrócił się do Denisona, ponieważ był on jednym z najbardziej doświadczonych i najstarszych stażem zwiadowców w oddziale.

– Denison, będziesz w mojej dziesiątce – powiedział. – Ale najpierw mam dla ciebie inne zadanie. – Wskazał kciukiem kierunek, z którego przyjechali. – Chciałbym, żebyś cofnął się o jakieś piętnaście kilometrów. Znajdź dobry punkt obserwacyjny i wypatruj armii Morgaratha. Kiedy tylko ich zobaczysz, jedź do nas jak najszybciej z wiadomością, że się zbliżają. W ten sposób będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby się przygotować.

Denison skinął głową i zgłosił własną propozycję:

– Mogę zabrać ze sobą Cedrica? – zapytał. – Dwie pary oczu będą lepsze niż jedna,

a dzięki temu jeden z nas będzie mógł odpocząć, podczas gdy drugi będzie stać na straży. Ostatecznie Morgarath może być kilka dni drogi za nami.

Crowley zgodził się natychmiast.

– To dobry pomysł – powiedział. Spojrzał na Cedrica. – Nie masz nic przeciwko?

Łysiejący zwiadowca uśmiechnął się. Crowley pomyślał, że jest człowiekiem pogodnym z natury.

– Jasne, zgadzam się – przytaknął Cedric. – W której grupie będę strzelać? – dodał.

– U Halta – odparł natychmiast Crowley. Gdyby cokolwiek się stało z dwoma zwiadowcami w straży tylnej, nie chciał, by któraś grupa została osłabiona o dwóch łuczników.

Cedric uśmiechnął się teraz do Halta.

– Nie mogę się doczekać – wyznał. Widział Halta demonstrującego swoje umiejętności łucznicze na strzelnicy i chciał zobaczyć, jak Hibernijczyk poradzi sobie w prawdziwej bitwie. Spodziewał się, że będzie pod wrażeniem.

– A co z uczniami? – zapytał Chase. Był mistrzem jednego z sześciu uczniów i chciał wiedzieć, gdzie zostanie umieszczony jego podopieczny.

– Ustawimy ich na środku linii, za barykadą. Farrelu, możesz nadzorować ich strzelanie?

Kulawy zwiadowca skinął głową. Uczniowie mieli używać lżejszych łuków refleksyjnych i potrzebowali kogoś z doświadczeniem, kto oszacuje odległość, z której ich strzały będą najskuteczniejsze.

– Nie masz nic przeciwko, żebym sam wypuścił kilka strzał? – zapytał z ponurym uśmiechem.

Crowley odwzajemnił ten uśmiech.

– Liczę, że to zrobisz – powiedział. Szybko klasnął w dłonie. – No dobrze, panowie, mamy mnóstwo spraw. Zaczynamy działać.

Zebrani rozeszli się, a Denison i Cedric skierowali się na pastwisko, na którym pasły się ich konie. Konie należące do żołnierzy były przywiązane do ogrodzenia. Konie zwiadowców zostały puszczone luzem, ponieważ żaden z nich nigdy nie uciekłby swojemu panu. Kiedy siodłali dwa kudłate, umięśnione koniki, Denisonowi przyszło coś do głowy.

– Jakie masz hasło? – zapytał.

Wiedział, że czeka ich niebezpieczne zadanie i żaden z nich nie mógł być pewien, że nie wydarzy się nic nieprzewidzianego. Mogło się okazać, że któryś z nich będzie musiał jechać na koniu drugiego, a bez hasła żaden z koni by na to nie pozwolił.

– *Oto nadchodzę* – powiedział Cedric, zniżając głos. Poklepał z czułością po szyi konia, który nastawił uszu na tę frazę. – A twoje?

– *Hopsasa* – odparł Denison i spojrzał wyzywająco na Cedrica, prowokując go, by to skomentował. Cedric nie potrafił powstrzymać szerokiego uśmiechu. Denison był

dobrym zwiadowcą, ale odrobinę zbyt napuszczonym. Być może szkolący konie Młody Bob specjalnie wybrał takie hasło, by jego powaga doznała jakiegoś uszczerbku. Cedric miał dość rozsądku, by z tego nie żartować. Pokiwał tylko kilka razy głową.

– Zapamiętam – powiedział w końcu, starając się przybrać kamienny wyraz twarzy. Denison westchnął.

– Trudno tego nie zapamiętać – odparł tonem człowieka ciężko doświadczonego przez życie.

Gdy dwaj zwiadowcy wyruszyli z obozu i skierowali się drogą, którą przyszła armia, Halt i Crowley usiedli na trawie przed niskim polowym namiotem Crowleya i poprawiali strzały. Każdy ze zwiadowców zabrał czterdzieści strzał z wozu z uzbrojeniem. Tuzin z nich włożyli do kołczana, a pozostałe dwadzieścia osiem trzymali w płóciennych torbach. W poprzednim tygodniu w Zamku Araluen zostało przygotowanych tysiące strzał. Wszystkie miały standardową długość, ale każdy zwiadowca trochę inaczej naciągał łuk, zależnie od długości rąk. W niektórych przypadkach strzały wymagały skrócenia i ponownego osadzenia grotu.

Halt naciągał łuk w standardowy sposób, więc nie musiał nic robić ze swoimi strzałami. Jednakże Crowley napinał cięciwę o dwa centymetry mniej niż przeciętnie. Obaj z Haltem pracowali w zgodnej ciszy, zdejmując groty, przycinając drzewce o dwa centymetry i osadzając groty na skróconej strzale. Na ogniu pomiędzy nimi bulgotał mały kociołek z klejem, w którym maczali drzewce, zanim umieścili na nich ponownie grot.

Padł na nich cień, więc obaj podnieśli głowy. Halt rozpoznał nowo przybyłego. Był to Wearne, starszy łucznik z małego oddziału towarzyszącego armii – ten, który obserwował zwiadowców trenujących strzelanie.

– Czego oczekujesz od moich ludzi? – zapytał Wearne bez żadnych wstępów. Skierował pytanie do Halta, ponieważ przy poprzednim spotkaniu to jego widział w roli dowódcy. Halt gestem pokazał, że powinien się zwrócić do Crowleya.

– Rozmieścimy się na skrzydłach, w dwóch grupach – powiedział Crowley. Łucznik skinął głową. To był rozsądny układ sił. – Chciałbym, żebyś razem ze swoimi ludźmi... Tak przy okazji, ilu ich masz?

– Dwudziestu ośmiu – odparł ponuro Wearne. – Nie ma nas wielu, ale wszyscy umiemy dobrze strzelać. – W tym zdaniu nie było cienia przechwałki. W takim momencie nie miałyby żadnego celu, by przeceniać zdolności swoich podwładnych.

– Tak też mówił mi Halt – przyznał Crowley.

Łucznik spojrzał na Halta, który wzruszył ramionami.

– Obserwowałem was, jak trenujecie, kiedy nasi ludzie zeszli ze strzelnicy – wyjaśnił. – Wszyscy strzelacie wyśmienicie.

Wearne docenił komplement. Nie zauważył, że zwiadowca ich obserwuje, ale uświadomił sobie, że bardzo często nie widzi się zwiadowcy, który nie chce być

widzianym.

– Chciałbym, żeby twoi ludzie zajęli miejsca na środku – mówił dalej Crowley. – Jakies dwadzieścia metrów za armią, na wyższych pozycjach. Kiedy zaczniemy strzelać do pierwszych szeregów armii Morgaratha, chciałbym, żebyście skierowali ostrzał stromotorowy na jego tyły.

Wearne zastanowił się. Taki ostrzał polegał na tym, że strzały były wystrzeliwane wysoko w powietrze i spadały w dół niemal pionowo. Była to sztuka, którą stale ćwiczyli araluency łucznicy.

– Dobry pomysł – ocenił. – W ten sposób uderzymy na nich z trzech kierunków jednocześnie, z prawej, z lewej i z góry. To powinno narobić zamieszania.

– Mam raczej nadzieję, że to narobi trupów – odparł kwaśno Crowley.

Pozbawiony wesołości uśmiech pojawił się na pobrużdżonej twarzy Wearne'a.

– To byłoby nawet lepsze – zgodził się.

– Zaczekajcie na sygnał, zanim zaczniecie strzelać – wtrącił się Halt. – Zamierzam przeprowadzić mały eksperyment, kiedy ruszą w górę zbocza.

Crowley spojrział z ciekawością na przyjaciela.

– Naprawdę? A co takiego przyszło ci do głowy?

Halt z namysłem przygryzł wargę.

– Chcę przeprowadzić pozorowany atak konnicy na ich pierwszy szereg.

Crowley zmarszczył brwi.

– Nie mamy dość konnicy na szarżę frontalną.

Halt zamachał uspokajająco ręką.

– Dlatego to będzie szarża pozorowana. Zabiorę trzydziestu konnych i udam, że zamierzamy szarżować. Chcę sprawdzić, czy wargalowie nadal reagują na konie tak samo jak wtedy, gdy widziałem ich na płaskowyżu. Nie zamierzam wdawać się w walkę, wycofam się, zanim zetrzemy się z pierwszym szeregiem. Ale kiedy będę to robić, nie chciałbym, żeby reszta z was naszpikowała mi tyłek strzałami.

Crowley i Wearne wymienili spojrzenia. Obaj się uśmiechnęli.

– Zrobimy co w naszej mocy, żeby cię nie trafić – obiecał Crowley przyjacielowi.

Halt uniósł jedną brew.

– Biorąc pod uwagę to, jak strzelasz, nie będzie ci trudno – powiedział.



Denison i Cedric dotarli do miejsca oddalonego o dwadzieścia kilometrów od obecnych pozycji armii Duncana. Gdy zaczął zapadać zmierzch, wybrali wysokie wzgórze po prawej stronie drogi jako punkt obserwacyjny i skierowali konie na jego szczyt.

Z tego miejsca mieli doskonały widok na otaczające ich tereny. Na południu, w kierunku, z którego spodziewali się nadejścia armii Morgaratha, w odległości czterech kilometrów wznosił się wysoki grzbiet. Poza tym widzieli otwarte pola i prowadzący przez nie trakt.

– Mamy spore martwe pole bezpośrednio za tym grzbietem – zauważył Cedric. – Może powinniśmy się ustawić właśnie na nim?

Martwe pole oznaczało obszar, który był dla nich niewidoczny, właśnie dlatego, że został zasłonięty przez grzbiet. Denison zastanowił się nad tym, ale potrząsnął głową.

– Nie jesteśmy pewni, gdzie oni są – stwierdził. – Może się okazać, że siedzą tuż za tym grzbietem, a ja nie miałbym ochoty na nich wpaść. Kiedy znajdą się na szczycie

wzniesienia, będziemy i tak mieli mnóstwo czasu, żeby zauważyć ich z wyprzedzeniem.

– Słuszna uwaga – zgodził się Cedric. Poluzowali popręgi przy siodłach swoich koni. Nie chcieli tracić czasu na ponowne ich siodłanie, gdyby nagle pojawili się wargalowie.

Usiedli w wysokiej, miękkiej trawie. Konie spacerowały wokół, skubiąc świeże źdźbła. Cedric popatrzył w niebo i zobaczył, że jest pogodne, z kilkoma tylko chmurkami, ścigającymi się w przestworzach.

– Nie trzeba rozbijać namiotu – stwierdził.

Denison mruknął twierdząco.

– Rozumiem, że nie będzie też ogniska?

Drugi zwiadowca potrząsnął głową.

– Byłoby widoczne z odległości wielu kilometrów, gdyby ktoś nas obserwował – powiedział. – A nigdy nie możemy mieć pewności, czy ktoś nas nie obserwuje.

Zjedli na zimno posiłek z suszonego mięsa oraz owoców z chlebem i popili wodą z manierek. Na szczęście nie zdążyli tak przywyknąć czy wręcz uzależnić się od smaku kawy jak Halt i Crowley.

Gdy słońce zaczęło znikać za horyzontem na zachodzie, wieczór stał się chłodniejszy, a oni ciasniej owinęli się ciepłymi pelerynami i usiedli, podwijając nogi pod siebie. W milczeniu obserwowali drogę, podczas gdy ostatnie promienie słońca gasły na zachodzie.

Wtedy zauważyli nowe źródło światła. Nad krawędzią górskiego grzbietu, który obserwowali, niebo rozświetlała pomarańczowa poświata. Były to światła setek ognisk.

– To oni. – Denison wskazał niebo.

Cedric wstał, osłonił oczy i spojrział na południe.

– Są tuż za wzgórzem, nie sądzisz?

Ale Denison potrząsnął głową.

– Moim zdaniem są od niego oddaleni o jakiś kilometr. Pamiętam, że tam jest duża otwarta przestrzeń, na której mogli rozstawić namioty.

– Cóż, przynajmniej wiemy, że zatrzymali się na noc – stwierdził Cedric.

– To prawda. Nie ma sensu, żebyśmy obaj czuwali. Może prześpij się kilka godzin, a ja cię obudzę, żebyś mnie potem zmienił.

– Dobry pomysł – odparł Cedric. Ułożył swój plecak jak poduszkę, oparł kołczan ze strzałami o krzak metr dalej, a potem położył się i okrył peleryną. W nocnym powietrzu była nuta chłodu, więc doceniał ciepło i wygodę, jakie dawał materiał. Łuk z nałożoną cięciwą miał przy sobie, także owinięty peleryną, by ochronić cięciwę przed wilgotnym nocnym powietrzem. W ciągu kilku minut spał już głęboko – taką umiejętność mieli wszyscy zwiadowcy.



Zmienili się w połowie nocy. Kiedy rano Denison otworzył oczy, usłyszał znajome odgłosy koni spacerujących w pobliżu i szczypiących trawę. Ich uprząż cicho pobrzękiwała.

Usiadł. W powietrzu poczuł znajomy zapach. Cedric, który stał kilka metrów dalej, usłyszał, że jego towarzysz się poruszył, więc odwrócił się w jego stronę.

– Dym z ogniska. – Denison odrzucił pelerynę i wstał. Cedric skinął głową i wskazał liczne kolumny dymu unoszące się spoza grzbietu. Przy ziemi prawie nie było wiatru, więc dym wznosił się wysoko i dopiero wtedy rozwiewał się w rzadszym powietrzu.

– Rozpalili ogniska, żeby ugotować posiłek – powiedział Cedric. – Wyraźnie się nie spieszą.

– Wiedzą, dokąd idziemy – odparł Denison. Było niemożliwe, żeby armia, nawet tak mała jak wojsko Duncana, przemieszczała się przez kraj, nie pozostawiając wyraźnego śladu. – Jeśli mają tropicieli, wiedzą też pewnie dokładnie, jak daleko przed nimi jesteście.

Cedric nic nie powiedział. Po kilku minutach obejrzał się na swojego konia.

– Może powinniśmy wrócić i złożyć raport Crowleyowi – powiedział. – Wiemy już, jak daleko są za nami.

– Dobry pomysł – odparł Denison. – Jedź i zajmij się tym. Ja zostanę tu chwilę, chcę coś sprawdzić.

Cedric przekrzywił głowę pytająco.

– Co takiego?

– Chciałbym oszacować, z jaką szybkością się przemieszczają – odparł Denison. Wskazał kępę drzew na równinie za wzgórzem. – Jak myślisz, te drzewa, są jakiś kilometr od linii grzbietu?

Cedric zmrużył oczy, kilka razy przenosząc spojrzenie z kępy drzew na szczyt wzniesienia i z powrotem.

– Mniej więcej – odparł.

– W takim razie sprawdzę, ile czasu będzie potrzebować ich armia, żeby minąć ten punkt. Dzięki temu będziemy mogli z grubsza określić, kiedy znajdą się w dolinie.

Cedric wydał wargi. Pomyślał, że to dobry pomysł.

– Oczywiście teraz, rano, będą się przemieszczać szybciej, ponieważ są wypoczęci. Po południu na pewno zwolnią. – Kiedy Denison spojrzał na niego z cierpiennym wyrazem twarzy, Cedric uświadomił sobie, że mówi rzeczy oczywiste. – Przepraszam – dodał.

Denison machnął ręką, przyjmując przeprosiny.

Cedric odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym niecierpliwie czekał jego koń.

Pochylił się i podciągnął paski popręgu, a potem jednym płynnym ruchem wskoczył na siodło. Przykłusował z powrotem do Denisona, który stał na szczycie wzgórza, nie odrywając wzroku od odległego grzbietu.

– W takim razie jadę – powiedział.

Denison uśmiechnął się do niego.

– Uważaj na siebie.

Cedric ruchem głowy wskazał grzbiet wzgórza.

– Ty też – odparł. – I nie czekaj zbyt długo z powrotem. Pamiętaj, że będziemy potrzebować wszystkich łuczników, jakich mamy.

Denison poklepał konia Cedrica po szyi.

– Nie martw się, jeżdżę na Sparrow – powiedział, wskazując skinieniem głowy swoją klacz, która obserwowała ich z uszami nastawionymi z zaciekawieniem. Koniki zwiadowców zawsze chciały wiedzieć, co się wokół nich działo. – Ona w dzień czy w nocy prześcignie dowolną bandę powłóczących nogami kosmatych niedźwiedzi.

– W takim razie dopilnuj, by miała szansę to zrobić – powiedział Cedric. Denison miał opinię osoby, która powierzona misję wykonuje z drobiazgową dokładnością. Cedric mógł sobie wyobrazić, że jego towarzysz czeka zbyt długo z ucieczką ze wzgórza i daje konnym Morgaratha dość czasu, by mogli go doścignąć. Potem jednak potrząsnął głową. Żaden zwykły koń nie mógł dorównać wytrzymałości konikom hodowanym dla zwiadowców. Szturchnął piętami boki swojego wierzchowca i odjechał kłusem.

Denison patrzył za nim. Podobnie jak większość zwiadowców, wolał działać sam, ale towarzystwo dodawało otuchy, szczególnie gdy znajdował się blisko wroga, którego liczebność była tak przytłaczająca. Przykucnął w wysokiej trawie i wlepił wzrok w odległe wzgórze.

Minęły prawie dwie pełne godziny, zanim dojrzał jakiś ruch. Na szczycie wzniesienia pojawiła się grupa jeźdźców, którzy przyglądali się uważnie terenowi przed sobą. Wszyscy byli na koniach, więc Denison doszedł do wniosku, że to słudzy i dowódcy Morgaratha. Naliczył ich dwudziestu. W środku grupy znajdował się wysoki mężczyzna na białym koniu. To musiał być Morgarath. Palce Denisona machinalnie przesunęły się w stronę kołczanu, który miał przy boku, i dotknęły jednej ze znajdujących się w środku strzał. Oczywiście Czarny Lord znajdował się daleko poza zasięgiem strzału. Ale gdyby Denison przemknął się pomiędzy drzewami i zaczął bliżej drogi, może celnym strzałem z łuku udałoby mu się zabić dowódcę wrogich sił.

Odrzucił jednak ten pomysł. Morgarath nie był głupcem, ale doświadczonym dowódcą i nie wystawiłby się na strzał pojedynczego łucznika. Poza tym Denison miał inne zadania. Patrzył, jak pierwsi jeźdźcy ruszyli w dół zbocza. Zauważył, że Morgarath czeka. Denison pospiesznie podszedł do swojego konia i wyjął z torby przy siodle małą klepsydrę. Odwrócił się z powrotem do armii wroga, schodzącej teraz ze

wzgórza. Pierwsza linia piechoty znalazła się na szczycie wzniesienia, a Denison zaczął słyszeć pozbawione melodii skandowanie, które towarzyszyło im w marszu. Odwrócił klepsydrę i zaczął mierzyć prędkość, z jaką się przemieszczali.

W miarę jak kolejne rzędy wargalów pojawiały się na wzgórzu, zwiadowca czuł, że jego serce bije coraz mocniej. Pomyślał, że są naprawdę liczni. Przewyższali liczebnością małą armię Duncana w proporcji co najmniej czterech na jednego.

– Cóż, trzeba będzie się tym zająć – mruknął. Zauważył, że w klepsydrze przesypują się ostatnie ziarnka piasku, więc obrócił ją szybko i podniósł spojrzenie. Czoło armii Morgaratha wciąż znajdowało się w sporej odległości od kępy drzew, którą wyznaczył jako punkt orientacyjny.

Pomyślał, że duże armie przemieszczają się powoli. Potrzebują czasu na mobilizację, później zaś są ograniczone tempem marszu najwolniejszych ludzi – lub potworów.

Przynajmniej pod tym względem armia aralueńska miała przewagę.



Posuwają się w tempie mniej więcej trzy i pół kilometra na godzinę – oznajmił Denison grupie dowódców w namiocie Duncana. – Ale mają ogromny tabor, który będzie ich spowalniać.

– Zapewne pełen jedzenia z naszych zbiorów – powiedział z goryczą Duncan. – Czyli powinniśmy się spodziewać, że zobaczymy ich raczej pod koniec dnia?

Denison skinął głową.

– Wątpię, żeby zdążyli szybciej.

Lord Northolt zatarł dłonie z satysfakcją.

– To dobrze! Dzięki temu będziemy mieli czas na dodatkowe przygotowania, a nasze własne wozy mogą już zmierzać do następnego celu.

– Czyli dokąd? – zapytał Crowley.

Northolt skinął na sir Davida, który podszedł do dużej mapy rozpiętej na stelażu i postukał w punkt znajdujący się na północny zachód od ich obecnej pozycji.

– Wrzosowiska Hackham – powiedział. – To dobra pozycja obronna w lennie,

w którym służyłem jako zbrojmistrz barona Siskina.

– Czyli dobrze znasz te tereny? – zapytał Halt.

David skinął głową.

– Tak, chociaż nie aż tak dobrze, jak mój syn Gilan. Spędzał całe dnie, wędrując i poznając lasy i wzgórza.

Baron Arald spojrział na niego z ciekawością.

– Ile lat ma teraz Gilan? – zapytał. Przypomniawszy sobie, że poznał tego chłopca kilka lat temu, na dorocznym turnieju.

– Dwanaście – odparł David. – Ale jest wyrośnięty na swój wiek. Ma mnóstwo wrodzonego talentu do walki mieczem. Przez ostatni rok trenował pod okiem MacNeila.

Arald, wyraźnie pod wrażeniem, uniósł brwi.

– Naprawdę, MacNeila?

– Kto to jest ten cały MacNeil? – Halt zapytał na boku Crowleya.

Crowley stłumił uśmiech. Tylko Halt mógł powiedzieć o legendarnym szermierzu królestwa „ten cały MacNeil”.

– To najlepszy szermierz w królestwie – wyjaśnił. – Niezrównany mistrz, a przy tym doskonały nauczyciel. Zgadza się uczyć tylko najbardziej utalentowanych młodzieńców. Młody Gilan musi być naprawdę niezwykły.

– Hmm – mruknął Halt, zapamiętując tę informację.

Arald skierował pytanie do wszystkich zebranych:

– Czy myślicie, że Morgarath zaatakuje dziś wieczorem?

Nastąpiła chwila ciszy, gdy pozostali zastanawiali się nad odpowiedzią. W końcu król spojrział na lorda Northolta, czekając na jego opinię.

– Wątpię w to – odparł zbrojmistrz. – Maszerują przez cały dzień. Będą zmęczeni i głodni. Nawet te niezmordowane bestie, o których opowiadał nam Halt, muszą czasem odpoczywać i jeść.

– Poza tym dotrą tutaj o zmierzchu. Jeśli zaatakują, niebawem będą walczyć w ciemności, a to zawsze jest ryzykowne – przypomniał Crowley.

– Nie ryzykujmy – wtrącił Duncan. – Morgarath ma zwyczaj robić to, czego nikt się nie spodziewa. Wiemy też, że nie dba o swoich podwładnych. Są dla niego pionkami, dzięki którym osiągnie cel. Ale najprawdopodobniej rozłożą wieczorem obóz i zaatakują rano, kiedy będą mieli cały dzień, by nas wykończyć.

Northolt wstał.

– Czy to wszystko, wasza wysokość? – zwrócił się do Duncana. – Mam kilka pomysłów, którymi chciałbym ulepszyć naszą obronę, skoro mamy jeszcze trochę czasu.

Duncan machnął ręką, pozwalając mu odejść.

– W takim razie bierz się za to. – Popatrzył na pozostałych. – Wy wszyscy weźcie

z taboru prowiant i broń, których będziecie potrzebować dzisiaj i jutro. Potem wyślijcie wozy w dalszą drogę.

Przy odrobinie szczęścia, dzięki nocnej podróży, wozy z zapasami dotrą na ich następną pozycję obronną na Wrzosowiskach Hackham przed świtem i będą gotowe na przyjęcie armii, która wycofa się z Ashdown Cut.

Przy stole nastąpiło poruszenie, ponieważ narada się zakończyła i wszyscy musieli wracać do swoich obowiązków.

– Davidzie – odezwał się król. – Można cię prosić na słowo?

Były dowódca konnicy zaczekał, aż pozostali wyjdą z namiotu.

– Wiem, że zazwyczaj dowodzisz ciężką jazdą – zaczął Duncan.

Usta Davida wykrzywił melancholijny uśmiech.

– I tak nie mamy ciężkiej jazdy – powiedział. – Mamy tylko lansjerów, a i to garstkę.

– Właśnie – odparł król. – Dlatego też mam dla ciebie nowe zadanie.

David spojrział na króla z zainteresowaniem. Szczerze mówiąc, ponieważ nie miał ciężkiej jazdy, którą mógłby dowodzić, zastanawiał się, jak mógłby się najbardziej przydać w armii.

– Bitwa będzie toczona pieszo – powiedział król. Zobaczył, że David nabiera oddech, by się odezwać i machnął ręką, ponieważ odgadł, co takiego ma do powiedzenia. – Tak, wiem, że Halt ma jakiś naciągnięty plan, by udać, że atakuje wargalów trzydziestoma jeźdźcami, ale ogólnie rzecz biorąc, będziemy walczyć na piechotę. To oznacza, że jeźdźcy będą musieli zsiąść z koni i zająć miejsce w szeregu. Bóg mi świadkiem, że będziemy ich potrzebować.

David skinął głową, więc król mówił dalej:

– Przeciwnik ma przewagę liczebną. Wiesz o tym. Jest prawdopodobne, że w jakimś momencie siły Morgaratha przedrą się przez naszą linię. Kiedy to się stanie, chcę mieć w odwodzie żołnierzy, którzy będą mogli zapełnić tę lukę i odeprzeć atak. Ty, Arald i ja jesteśmy najlepszymi wojownikami w armii. Chcę, żebyśmy wszyscy trzej byli gotowi w odwodzie. Jeśli wargalowie przerwą naszą linię, zaatakujemy we trzech, zbierzemy naszych ludzi i zepchniemy wroga w dół zbocza.

David powoli pokiwał głową.

– To dobry plan – powiedział. – A co z lordem Northoltem?

Duncan potrząsnął głową.

– Jego zadaniem jest nadzorowanie linii umocnień. Jest trochę za stary, by brać udział w bezpośredniej walce.

David uświadomił sobie, że to prawda. Northolt nie był już młodzieńcem, a to z pewnością było zadanie dla młodych ludzi. Uśmiechnął się.

– Zastanawiałem się, czy będę miał coś do roboty, kiedy zacznie się bitwa.

– Będziesz miał pełne ręce roboty – odparł ponuro król. – Jak my wszyscy.



Lord Northolt rozkazał żołnierzom, by wykopali dodatkowy rów w odległości czterdziestu metrów w dół zbocza od głównej linii obrony. Był on najeżony zaostrozonymi palami i przykryty gałęziami i trawą, które go maskowały. Na krańcach zostawiono dwa wytrzymałe pomosty, które mogły unieść ciężar szarżujących w dół zbocza koni z jeźdźcami. Przymocowane do pomostów liny pozwalały je odciągnąć, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Inna grupa kopała w dół zbocza dwa ukośne rowy, tworzące literę V i zakończone trzecim rowem. Na ich końcach żołnierze umieścili duże beczki z olejem z zapasów.

Baron Arald obserwował to wszystko z zainteresowaniem.

– Do czego to ma posłużyć?

– Kiedy przyjdzie czas się wycofać – powiedział Northolt – to pozwoli nam trochę zyskać na czasie. Wlejemy olej w te rowy, a potem go podpalimy. Jeśli będziemy mieć szczęście, a wiatr będzie wiać w odpowiednią stronę, podpalimy w ten sposób trawę na całej szerokości zbocza między nami a Morgarathem. To da naszym ludziom czas, żeby wycofać się za przełęcz i uciekać, aż się będzie kurzyło.

Arald skinął głową. Był pod wrażeniem, gdy przyglądał się zboczowi i wyobrażał sobie dwie rzeki ognia, zbiegające w dół i podpalające wysoką trawę. Dym i płomień utworzą skuteczną barierę oddzielającą ich od wroga. Ukryją też to, że armia wycofuje się ze swoich pozycji i znika za przełęczą.

– To da nam przewagę na początku – zgodził się. – Ale czy to wystarczy?

– Możliwe, że nie. Ale zwiadowcy Crowleya będą strażą tylną. Zastawią zasadzki na każdym zakręcie drogi i w każdej wąskiej dolinie. Morgarath będzie musiał się bezustannie zatrzymywać i przechodzić do obrony. To go spowolni.

Arald podrapał się w podbródek.

– Crowley to dzielny człowiek – powiedział. – Mamy szczęście, że jest z nami.

Northolt przytaknął skinieniem głowy.

– Crowley jest bardziej energiczny i pomysłowy niż wszyscy dowódcy zwiadowców, jakich pamiętam. W szczególności ten fircyk, którego Morgarath wyznaczył na to stanowisko kilka lat temu.

– Halt także nie jest popychadłem – dodał Arald. – Pracował w lennie Redmont przez ostatnie miesiące i nie przypominam sobie lepszego zwiadowcy.

– Tworzą doskonały duet – zgodził się Northolt, a potem odwrócił się, by wykrzyknąć rozkazy do żołnierzy pracujących przy nowych rowach.

Arald odwrócił się.

– Skoro mowa o Halcie, muszę z nim zamienić dwa słowa – powiedział i skierował się pod górę, gdzie zwiadowcy przygotowywali swoje pozycje strzeleckie. Nie

potrzebowali ochronnych napierśników, ponieważ wśród ludzi Morgaratha było niewielu łuczników i kuszników. Wzniesli jednak lekką palisadę z młodych drzewek i gałęzi. Jeśli wróg nie będzie widzieć, skąd spada deszcz strzał, będzie mu się trudniej zorientować w sytuacji.

Arald znalazł Halta ciągnącego na stanowisko grubą wiązkę młodych drzewek i gałęzi. Przywołał go do siebie.

– David powiedział, że planujesz jutro szarżę konnicy na pierwszą linię armii Morgaratha – rzucił bez żadnych wstępów.

Halt skinął głową.

– Tylko pozorowaną. Nie zetrzemy się z nieprzyjacielem. Nie mamy dość żołnierzy, by ryzykować straty w ataku frontalnym.

– W takim razie po co? – zapytał Arald, marszcząc lekko brwi.

– Chcę sprawdzić coś, co odkryłem podczas zwiadu na płaskowyżu – wyjaśnił Halt.

– Wydaje się, że wargalowie nieufnie podchodzą do koni. Mam wrażenie, że to jedyna rzecz, jaka potrafi ich zaniepokoić. Mam przeczucie, że Morgarath starał się to z nich wykorzenić ćwiczeniami, dlatego uważam, że warto sprawdzić, czy mu się to udało.

– Sprawdzisz, czy zaczną się denerwować, kiedy pomyślą, że atakuje ich konnica.

– Właśnie tak. To może być przydatna informacja na przyszłość.

Arald z namysłem pogładził wąsy.

– Tak, z całą pewnością. – Umilkł na chwilę, po czym odezwał się znowu: – Czy masz coś przeciwko temu, żebym dołączył do tego pozorowanego ataku?

Halt spojrzał na niego zaskoczony, ale szybko się opanował.

– Ależ skąd. Im nas więcej, tym lepiej – powiedział. – Ale dlaczego?

– Cóż, pomyślałem, że ten pozorowany atak będzie wyglądać bardziej przekonująco, jeśli na jego czele pojedzie rycerz w pełnej zbroi, lśniący i groźny, a nie obszarpany zwiadowca. – Arald mówił to z uśmiechem i widać było, że nie chce obrazić Halta.

– Słuszna uwaga – zgodził się Halt. – Zamierzam poczekać, aż zajmą pozycje i będą gotowi do szturmowania wzgórze. Wtedy ja albo może raczej ty poprowadzisz trzydziestu albo czterdziestu jeźdźców szeroką tyralierą i ruszysz w dół wzgórza. Właściwie jeśli to ty będziesz dowodzić, ja będę miał okazję lepiej przyjrzeć się wargalom i zobaczyć, jak zareagują.

– Dobrze. W takim razie dołączę do ciebie, kiedy tylko wróg znajdzie się na pozycjach i zacznie się szykować do ataku.

Halt pokiwał głową. Lubił Aralda. W czasie, jaki spędził w lennie Redmont, przekonał się, że baron jest uczciwym i odważnym władcą, nawet jeśli ma odrobinę nadmierną słabość do dobrego jedzenia.

– Spotkamy się tutaj – powiedział. – Po tej stronie umocnień. Zjedziemy ze wzgórza, aż znajdziemy się sto metrów od wargalów. Wtedy zawrócimy. Jeśli nadal niepokoją ich konie, będziemy mieli mnóstwo czasu, by to zauważyć.

- A jeśli nie? – zapytał Arald.
- Halt wzruszył ramionami.
- Cóż, czasu będziemy mieć trochę mniej.



Armia Morgaratha przybyła wczesnym wieczorem.

Najpierw ich usłyszeli. Maszerujący wargalowie utrzymywali rytm dzięki gardłowemu skandowaniu. Obrońcy słyszeli ten dźwięk na długo przedtem, zanim wróg pojawił się w polu widzenia. Potem usłyszeli także brzęk i szczęknięcie broni i zbroi, gdy bestie posuwały się naprzód niezgrabnym, nierównym krokiem. Żołnierze Duncana czekali w napięciu, podczas gdy dźwięki stawały się coraz głośniejsze i coraz bardziej złowróżbne. Nigdy nie słyszeli niczego podobnego, a odgłosy czegoś, czego nie mogli jeszcze zobaczyć, szarpały im nerwy. Z zaciśniętymi żołądkami i wyschniętymi ustami nasłuchiwali, jak dźwięk narasta, napływając w nierównych falach wraz z wieczornym wiatrem.

- Gdzie oni są? – zapytał ktoś łamiącym się głosem.

Duncan, stojący na czele swoich ludzi, odwrócił się w stronę mówiącego.

- Spokojnie – powiedział stanowczo. W jego głosie nie było słychać ani cienia zdenerwowania. – Przyjdą tu już niedługo.

Kilku żołnierzy jednocześnie wydało okrzyk zdziwienia, gdy pierwsze szeregi hordy wargalów znalazły się w polu widzenia. W ukośnych promieniach zachodzącego słońca przekraczały niski grzbiet i schodziły ze wzgórza do wylotu wąskiej, wspinającej się w górę doliny, gdzie czekała na nich armia królestwa Araluen.

Wśród żołnierzy rozeszła się fala podekscytowanych szeptów, ale szybko ucichła, gdy zdali sobie sprawę z liczebności przeciwnika. Wciąż nowe szeregi pokrytych czarnym futrem, ociążonych stworów wyłaniały się ósemkami zza grzbietu.

- Są ich tysiące – odezwał się jeden z łuczników głosem odrobinę wyższym i odrobinę bardziej donośnym, niż zamierzał.

Halt odwrócił się do żołnierzy, którzy opierali się na łukach i obserwowali armię Morgaratha, gromadzącą się na równym terenie u wylotu Ashdown Cut.

- Tak naprawdę – powiedział – jest ich chyba niecały tysiąc.

Ale łucznik, który się odezwał, był nadal pełen wątpliwości.

- Ale jest ich o wiele więcej niż nas – zauważył.

Halt poklepał upierzone końce strzał w kołczanie.

- Jeśli wszyscy zrobimy, co do nas należy, jutro będzie ich o wiele mniej – powiedział spokojnie. Jego rzeczowość wyraźnie uspokoiła łuczników i tych żołnierzy, którzy słyszeli te słowa.

W końcu szeregi maszerujących stworów przestały się wyłaniać zza grzbietu wzgórze. Zgromadziły się u jego stóp w ośmiu rozciągniętych liniach i patrzyły w górę, na oczekujące na nich, rozpaczliwie niewielkie szeregi ludzi Duncana. Wargalowie stali bez ruchu przez kilka minut, zastraszając obserwujących ich żołnierzy samą liczebnością. Potem wysoki, ubrany w czerń mężczyzna wyjechał na białym koniu i zatrzymał się przed nimi, by spojrzeć w górę, gdzie stał i patrzył na niego Duncan wraz ze swoimi dowódcami.

Wszyscy czekali.

Nagle, chociaż wydawało się, że nie został wydany żaden rozkaz, zgromadzone oddziały wargalów uniosły broń nad głowę i wydały donośny okrzyk, a zawarte w nim wyzwanie i groźba odbiły się echem od wzgórze. Nagły hałas poderwał z drzew usypiające już ptaki. Crowley, zaskoczony tym okrzykiem, wzdrygnął się i sam się za to przeklął.

Potem, znowu bez żadnego wyraźnego rozkazu, armia złamała szyk. Co dziesiąty żołnierz w pierwszym szeregu pozostał na pozycji, tworząc linię warty i obserwując wroga. Pozostali dobrali się w sześciuosobowe grupy i zaczęli rozkładać obóz. Rozpalono ognie, a kilka wozów z taboru, który dopiero teraz wyłaniał się powoli zza wzgórze, podjechało bliżej. Jadąca na nich służba zaczęła przygotowywać posiłek.

Halt w gasnącym świetle dnia dostrzegł, że na środku obozu wzniesiono czarno-złoty namiot Morgaratha. Odwrócił się do Crowleya.

– Może powinniśmy się przekraść na dół i wpakować w Morgaratha strzałę? – zaproponował.

Crowley zastanawiał się przez kilka sekund, ale odrzucił ten pomysł.

– Jest na to zbyt sprytny. Wątpię, by udało nam się zbliżyć do tego namiotu – powiedział. – Popatrz, jak jest strzeżony.

Morgarath, mający pod dostatkiem żołnierzy, otoczył swój namiot kręgiem wartowników. Halt niechętnie zgodził się z przyjacielem. Za plecami słyszał szcęk talerzy i garnków. Służba zaczęła roznosić gorące jedzenie wśród żołnierzy stojących za palisadą. Szturchnął Crowleya łokciem.

– Chodźmy coś zjeść – powiedział. – Jutro będziemy potrzebować sił.





Następny dzień wstał pogodny. Lekka mgiełka spowijała wzgórze wznoszące się nad obozem wargalów, ale rozwiała się, gdy słońce podniosło się wyżej.

Wróg już nie spał. Ogniska rozpalone przez kucharzy znowu płonęły, a cienkie kolumny dymu wznosiły się w powietrze za rzędami niskich czarnych namiotów. W porównaniu do równych i schludnych rzędów namiotów rozkładanych przez ludzi Duncana – chociaż teraz zostały one zwinięte i odjechały na wozach poprzedniego wieczoru – obozowisko wargalów wydawało się chaotyczne i nieporządne.

Duncan spacerował po szanću usypanym z ziemi za rzędem zaostrzonych kołków. Jego ludzie byli niespokojni, czego należało się spodziewać. Ostatecznie za chwilę czekała ich bitwa z nowym, nieznanym wrogiem, który przewyższał ich liczebnością czterokrotnie. Musieli wstać o brzasku, na wypadek gdyby Morgarath chciał zaskoczyć ich atakiem o wschodzie słońca. Ale teraz nie miało sensu, by pozostawali w takim napięciu i gotowości do walki.

– Spokojnie, żołnierze – powiedział uspokajająco Duncan. – Poluzujcie zbroje

i dajcie odpocząć nogom. Oni nie zaatakują jeszcze przez kilka godzin.

Widział ruch w szeregach wroga, gdy wargalowie przynosili jedzenie z kuchni polowych i siadali na ziemi, by je zjeść. Na środku obozu Morgarath i kilku jego sługusów siedzieli spokojnie wokół stołu, do którego przynoszono potrawy i napitki.

– Zjedzcie swój prowiant – polecił żołnierzom Duncan. – Nie ma sensu walczyć z pustym żołądkiem.

Kucharze obozowi, którzy wczoraj wieczorem przygotowali gorący posiłek, zostawili także coś na śniadanie dla żołnierzy: pieczone mięso i podpłomyki. Za oczekującą na wroga armią rozpalono ogniska, a jeden żołnierz na ośmiu – zostali podzieleni na ośmioosobowe grupy – gotował wodę i parzył gorący napój dla swoich towarzyszy.

Duncan wyczuł, że napięcie zaczęło słabnąć, gdy jego podwładni usiedli na wilgotnej trawie, poluzowali paski zbroi, odłożyli na bok ciężkie hełmy i włócznie, a potem zabrali się do jedzenia. Uświadomił sobie, że nie będzie działać na nich uspokajająco widok króla krążącego nieustannie po szańcu za palisadą. Zobaczył, że Arald i David także przyglądają się obozowi wroga poniżej i przywołał ich do siebie.

Odwrócił się do towarzyszącego mu przez cały czas pachołka.

– Przynieś nam śniadanie, Walterze – powiedział cicho, gdy dwaj dowódcy dołączyli do niego.

Walter posłusznie kiwnął głową.

– Tak jest, sir. Czy mam rozstawić stół?

Duncan potrząsnął głową. Chciał, by żołnierze widzieli, że dzieli z nimi posiłek na tych samych warunkach, co oni.

– Myślę, że siedzenie na ziemi mi wystarczy – powiedział. Zwrócił się z uśmiechem do najbliższej grupki żołnierzy: – Jak myślicie? Czy ziemia jest dostatecznie miękka dla królewskiego siedzenia?

Żołnierze roześmiali się. Jeden z nich, posiwiały weteran, wstał i podszedł do miejsca, w którym stali Duncan wraz z dwoma dowódcami. Z teatralną przesadą obejrzał ziemię, odsunął na bok kilka gałązek i kamyków, a potem rozłożył niezbyt czystą chustę i gestem zaprosił króla, by usiadł.

– Proszę bardzo, panie. Waszemu królewskiemu zadkowi powinno być tu wygodnie.

Pozostali żołnierze roześmiali się. Duncan uśmiechnął się do starego żołnierza.

– Jeśli nie, to wieczorem każę cię zakuć w dyby – oznajmił. – Zabraliśmy ze sobą dyby, prawda, sir Davidzie?

– Jestem pewien, że tak, sir – odparł śmiertelnie poważnie David.

Weteran zarechotał i z powrotem zajął miejsce wśród towarzyszy. Trzej dowódcy usiedli nad wykopany rowem, zwieszając do niego nogi i zjedli chleb i mięso dostarczone przez Waltera. Pachołek przyniósł także parujący dzbanek kawy. Duncan zawahał się i spojrzał wokół, by sprawdzić, czy jego żołnierze także mają coś

gorącego do picia. Potem wypił długi łyk.

– Aaaach! – zacmokał z uznaniem. – Nie ma to jak gorąca kawa z samego rana.

– Jak myślisz, panie, kiedy zaatakują? – To pytanie zadał jeden z młodszych żołnierzy, siedzący za nim.

Duncan uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Myślę, że jeszcze trochę im zejdzie. Ich armia nie jest najlepiej zorganizowana ani zdyscyplinowana. Muszą zjeść, sformować szyki, a potem przejść na pozycje. Przypuszczam, że zajmie im to kilka godzin. Prześpij się, jeśli możesz. Ja zamierzam tak zrobić.

Z tymi słowami Duncan wyciągnął ramiona nad głowę, zdjął hełm i położył się na plecach na miękkiej ziemi, przesuwając miecz w taki sposób, żeby na nim nie leżeć. Zamknął oczy i ledwie słyszalnie powiedział do Aralda:

– Miej oko na wszystko. Obudź mnie, gdyby coś się działo.

Arald i David wymienili uśmiechy. Widok króla siedzącego na brzegu rowu, a potem wyciągającego się na plecach i zapadającego w drzemkę uspokoił otaczających ich żołnierzy. Szturchali się nawzajem łokciami, z uśmiechem pokazując sobie odpoczywającego monarchę.

Minęła godzina, a w obozie wargalów nie wydarzyło się niemal nic ciekawego. Wreszcie, gdy słońce wzniosło się wyżej na niebie, usłyszeli dźwięki trąb i zobaczyli, że czarne bestie ociężałe zajmują pozycje w szyku. Potrzebowały na to sporo czasu. Tak jak zauważył Duncan, nie była to najlepiej zdyscyplinowana czy wyszkolona armia. W końcu jednak wargalowie utworzyli cztery szeregi po jakieś pięćdziesiąt osób i zaczęli pomału przesuwać się do przodu.

– Nie rzuca wszystkich do pierwszego ataku – zauważył David.

Duncan otworzył oczy, udał, że ziewa, i usiadł niechętnie. W rzeczywistości nie zdrzemnął się ani na chwilę, a nerwy miał napięte jak postronki, ale nikt by się tego nie domyślił, obserwując go. Wydawał się poirytowany tym, że oddziały Morgaratha postanowiły zakłócić mu drzemkę. Niechętnie wstał i zwrócił się do obserwujących sytuację żołnierzy:

– Zakładajcie broje i zajmujcie pozycje na szańcu. Wygląda na to, że postanowili się ruszyć.

Żołnierze zaczęli zajmować pozycje obronne. W odróżnieniu od wargalów byli dobrze wyszkoleni i zdyscyplinowani, więc znaleźli się na swoich miejscach w ciągu kilku minut.

Arald spojrział w dół i machnął ręką na prawo.

– Lepiej dołączę już do Halta. Musimy zamarkować szarżę kawalerii – powiedział. Ucisnął dłoń pozostałej dwójce i oddalił się, podzwaniając ostrogami. Giermek podprowadził już jego rumaka bojowego do wskazanego wcześniej przez Halta miejsca, gdzie mieli się spotkać. Arald podszedł tam i przywitał się ze zwiadowcą.

Dalej czekało trzydziestu jeźdźców, ustawionych w dwa rzędy.

– Witam, panowie! – zawołał do nich pogodnie Arald. – Gotowi, żeby trochę nastraszyć te kosmate czarne miśki?

Odpowiedział mu chór potwierdzeń. Konni cieszyli się, że będą mieli swoje zadanie do wykonania w czasie bitwy. Wiedzieli, że są zbyt nieliczni, by marnować siły na bezpośredni atak.

– Pamiętajcie – przypomniał Halt. – Nie związujemy ich walką. Przykłusujemy na odległość pięćdziesięciu metrów, a potem zadnę w róg i dam wam sygnał, że macie zawracać. Jasne?

Żołnierze potwierdzili chórem.

Halt obserwował ich przez chwilę, by mieć pewność, że wszyscy zrozumieli jego plan. Nie chciał, by ktoś poddał się impulsowi ekscytacji i zaszarżował na zwarte szeregi wargalów. Wiedział, że żołnierze konni byli podatni na bitewną euforię.

– Dobrze. Nad drugim rowem są dwa pomosty, oznaczone gałązkami wierzby. Widzicie je?

Żołnierze podnieśli się w strzemionach i spojrzeli w dół. Dwa obdarte z kory wierzbowe patyki były wyraźnie widoczne. Zapewnili, że widzą je dobrze.

– W tych miejscach przejedziemy nad rowem. Lewy zastęp pojedzie dalszym pomostem, prawy bliższym. Kiedy znajdziemy się po drugiej stronie, utworzycie rozciągniętą tyralierę za baronem. – Halt wskazał Aralda, który teraz wyglądał naprawdę groźnie w niebiesko-żółtej zbroi. – Później oddaję dowodzenie tobie, sir.

Arald skinął głową.

– Nie możemy po prostu podjechać tam szybko i nadzieć jednego czy dwóch, zanim zawrócimy, prawda? – Wskazał długą włócznię, w którą był uzbrojony.

Halt rzucił mu spojrzenie pełne anielskiej cierpliwości. Ostatecznie Arald był urodzonym jeźdźcem.

Baron wzruszył ramionami.

– Tak myślałem, że nie.

Halt spojrział w dół wzgórza. Szeregi wargalów w końcu się uformowały. Morgarath jechał na białym koniu w poprzek pola, pomiędzy czwartym a ostatnim szeregiem. Wargalowie z pierwszej linii zrobili krok do przodu, unieśli tarcze i wysunęli włócznie oraz miecze. Ruszyli pod górę ociężałym, rozkołysanym krokiem, który mógł wyglądać zabawnie, ale teraz wydawał się złowieszczy.

– Ruszajmy – powiedział Halt i wskoczył na siodło Abelarda.

Poprowadził resztę pod skosem w poprzek wzgórza. Słyszał za sobą podzwanianie uprzęży i głuchy stukot wielu kopyt na miękkiej trawie. Przyspieszył, gdy znaleźli się bliżej dwóch znaczników. Lewy zastęp skręcił w stronę dalszego z nich, a Halt skierował konia w bok, gdy baron Arald poprowadził prawy zastęp do bliższego pomostu.

Kopyta zastukały na balach, gdy dwa zastępy przekraczały rów. Arald kolistym ruchem włóczni nad głową rozkazał konnym utworzyć tyralierę, a potem wskazał na prawo i na lewo. U stóp zbocza Halt usłyszał gardłowy zaśpiew. Wróg ruszył ciężko pod górę. Brodaty zwiadowca wyjechał na przód, trzymając się prawej strony, trochę przed linią konnych, żeby wyraźniej widzieć obserwowanych wargalów.

Arald uniósł włócznię i wskazał w dół zbocza.

– Utworzyć klin! – krzyknął. Jego koń parł naprzód, ciągnąc wodze. Niecierpliwiał się przed starciem z nieprzyjacielem. Nikt mu nie powiedział, że to pozorowany atak. Nie mógł się doczekać szarży na szeregi wroga.

Jeźdźcy poszli w ślady dowódcy, tworząc na zboczu dwie skośne linie w kształcie litery V. Arald i Halt omówili to wcześniej. Zgodzili się, że Arald powinien ustawić formację, jakiej użyłby podczas prawdziwego ataku, zaś klin był najskuteczniejszy.

Nadal posuwali się stępa. Halt spojrzał na zbliżających się wargalów. Maszerowali niezgrabnie i chwiejnie, a od czasu do czasu któryś z nich potykał się i przewracał. Jego towarzysze nie czekali na niego. Stwór z następnego rzędu zajmował jego miejsce, depcząc przy tym po leżącym wargalu, który musiał się podnieść i wrócić do szyku w kolejnym rzędzie.

– Kłusem! – rozkazał Arald, znowu unosząc włócznię nad głowę i powtarzając kolisty ruch.

Brzęk uprzęży i broni, a także stukot kopyt stały się głośniejsze, gdy zastęp w kształcie litery V ruszył szybciej w dół.

Halt przyglądał się uważnie wargalom, a serce aż podskoczyło mu z radości, gdy dostrzegł cień wahania w ich szeregach. To był tylko moment niepewności, ale zwiadowca był pewien, że mu się to nie przywidziało.

– Cwałem! – zabrzmiał głos Aralda, a konnica ruszyła pędem, przechodząc jednocześnie z kłusa w krótki galop.

– Utrzymać pozycje! – krzyknął Arald, ponieważ niektórzy jeźdźcy zaczęli wyprzedzać towarzyszy. Żołnierze pociągnęli wodze i ustawili konie z powrotem w formacji bojowej. Jeźdźcy trzymali włócznie skierowane w górę i czekali na rozkaz ruszenia galopem. Arald miał go wydać w ostatniej chwili, by oszczędzać siły koni. Halt obserwował wargalów, mrużąc oczy w koncentracji.

Tam! Zobaczył wyraźnie, jak na środku pierwszego szeregu pół tuzina czarnych, ociężałych bestii zwolniło i zaczęło powoli cofać się przed pędzącymi na nie końmi.

Pół tuzina stało się tuzinem, aż cały pierwszy szereg złamał szyk, zatrzymując się lub wycofując na szereg idący za nim. Wargalowicze wpadali jedni na drugich i przepychali się, na całej długości pierwszej linii zapanował chaos i zamieszanie.

– To działa – powiedział do siebie Halt szeptem. W tym momencie zobaczył odzianego w czerń mężczyznę jadącego do przodu. Jego koń roztrącał wargalów bez cienia ostrożności. Morgarath znalazł się przed trzecim szeregiem i obrócił konia, by

jechać równolegle do rozbitej i ociągającej się pierwszej linii.

Halt instynktownie wyjął strzałę z kołczanu i założył ją na cięciwę. Potem wzruszył ramionami – wiedział, że Morgarath jest daleko poza zasięgiem strzału. Niechętnie odłożył strzałę na miejsce.

Zobaczył, że wargalowie uspokoili się i zaczęli się znowu posuwać naprzód. Zrozumiał, że Morgarath nakłonił swoich żołnierzy do kontynuowania ataku. Wargalowie mogli się bać koni, ale rozwścieczony Morgarath był o wiele bardziej przerażającą perspektywą. Powoli powrócili do szeregu i zaczęli maszerować pod górę.

Halt uniósł róg i zagrał długą, zniżającą się nutę – sygnał do odwrotu. Zobaczył, że Arald unosi prawą rękę z długą włócznią nad głowę. Zakręcił nią, dając wyraźny sygnał. Konnica zwolniła, Arald obrócił konia niemal w miejscu, zaś jeźdźcy powtórzyli za nim manewr, aż w końcu litera V skierowała się w przeciwną stronę i zaczęła wracać. Gdy zbliżyli się do pomostów, rozdzielili się na dwa zastępy i przejechali na drugą stronę. Zamykający zastęp jeźdźcy zeskoczyli na ziemię i ściągnęli pomosty znad rowów. Potem znowu dosiedli koni i podążyli za towarzyszami, objeżdżając linię umocnień, by zająć pozycję na tyłach armii. Mieli walczyć jako piechota i wspierać każdy odcinek, który będzie tego potrzebować.

Arald zobaczył Halta czekającego przy rowie, więc podjechał do niego i uniósł przyłbicę.

– Nastraszyliśmy ich – powiedział.

Halt potrząsnął jednak głową.

– Tylko do chwili, gdy Morgarath znalazł się między nimi i popędził ich dalej – odparł. – Jeśli zamierzamy to powtórzyć, będziemy musieli wziąć go z zaskoczenia.

Arald obejrzał się za siebie, w dół. Wargalowie odzyskali dyscyplinę i posuwali się miarowo pod górę, jak złowrogi czarny przypływ.

– Mimo wszystko warto to zapamiętać – powiedział. – Lepiej wracajmy na nasze pozycje.

Skierował konia do przejścia w palisadzie i skręcił w prawo, na pozycję dowodzenia na samym środku. Halt odczekał jeszcze chwilę, nadal obserwując niezmordowany marsz wargalów. Nasłuchiwał rytmicznych pomruków ułatwiających im utrzymanie równego kroku, a także grzechotania i brzęczenia ich broni i tarcz.

W końcu skierował Abelarda w lewo i zajął swoją pozycję na prawej flance.

Bitwa, od której mogły zależeć losy królestwa, miała się zaraz zacząć.



Arrgh! Urrgh-urrgh! Urrgh!

Gardłowe głosy nacierających wargalów stawały się coraz głośniejsze. Niektórzy żołnierze za palisadą zaczęli nerwowo się rozglądać. Kilku weteranów warknęło coś gniewnie w odpowiedzi na skandowanie wargalów. Wydawało się, że to dodało otuchy pozostałym, mniej doświadczonym towarzyszom broni.

Jeden weteranów spojrzał z ogniem w oczach na grupkę młodych żołnierzy, stojących za nim i oblizujących wyschnięte wargi jeszcze bardziej wyschniętymi językami.

– Niech podejdą bliżej – powiedział. – Wtedy się z nimi policzymy. Zobaczymy, jak będą skandować, kiedy zostaną nadziani na włócznie.

W różnych miejscach szeregów inni doświadczeni wojownicy przekazywali półgłosem słowa otuchy młodszym członkom armii. Ich zacięta pewność siebie udzielała się nowicjusom, którzy prostowali się i nie odrywali spojrzenia od czarnej linii, powoli wspinającej się pod górę.

Usta były wyschnięte, dłonie wilgotne, ale araluenci żołnierze stali nieustraszeni, gotowi walczyć za swojego króla z bestiami spod ciemnej gwiazdy.

W końcu wargalowie dotarli do zamaskowanego rowu, przykrytego sieciami, zasypanymi gałązkami i trawą. Pierwsi z nich nie zauważyli przeszkody na czas. Kiedy ją dostrzegli i spróbowali się zatrzymać, szereg za nimi wpadł na nich i zepchnął ich do rowu – gdzie czekały zaostrzone kołki.

Chyba ze dwudziestu wargalów wpadło do rowu. Pięciu nadziało się na kołki i zaczęło wrzeszczeć z bólu. Skandowanie umilkło, a równy marsz został zakłócony, ponieważ pozostali próbowali wygramolić się z rowu, popychając szereg za nimi, żeby zrobić sobie miejsce.

Na lewym skrzydle rozległ się dźwięk rogu.

W ułamku sekundy chmura strzał przemknęła ponad polem bitwy. Większość zwiadowców wystrzeliła dwie strzały, jedną za drugą. Crowley zdążył wypuścić trzy. Wszystkie były wycelowane w poszczególnych wargalów, a nie wypuszczone na oślep w masę stworów kłębiących się nad rowem. W pierwszym i drugim szeregu dały się słyszeć okrzyki bólu i zaskoczenia. Co najmniej tuzin stworów upadł na ziemię i już się nie poruszył. Inni zostali ranni i zataczali się teraz gwałtownie, szarpiąc zębami i pazurami okrutne strzały, które utkwily w ich ciałach.

Po prawej stronie czekał oddział Halta. Trzymali strzały w gotowości, ale nie założyli ich jeszcze na cięciwy.

– Spokojnie... – warknął Halt. W końcu zobaczył, że wargalowie zorientowali się, skąd nadlatują śmiertelne groty. Ich małe tarcze uniosły się po prawej stronie, odsłaniając lewą stronę i plecy przed łucznikami Halta.

– Teraz! – wrzasnął i wypuścił trzy żądne krwi strzały szybciej, niż zdążyłby o tym pomyśleć. Jego towarzysze także strzelali, każdy z nich wypuścił po dwie strzały. Cedric próbował dorównać Haltowi i zdążył wystrzelić trzecią, ale zrobił to zbyt pośpiesznie. Pióra zaczepiły o cięciwę, a strzała prześlizgnęła się nad głowami armii wargalów. Przeklął się za własną niecierpliwość.

Teraz każdy ze zwiadowców strzelał we własnym rytmie, wybierając sobie cele. Oczywiście zdarzało się, że kilku wybrało tego samego wargala, więc wiele pokrytych czarnym futrem bestii padało od dwóch czy trzech strzał.

Znowu rozległa się trąbka. Halt usłyszał szorstki głos Wearne'a, wykrzykującego rozkazy z tyłów pozycji obronnych. Potem rozległ się klekot i świsty, gdy dwadzieścia łuków wypuściło strzały wysoko w niebo. Zanim ta fala zdążyła dotrzeć do ziemi, ludzie Wearne'a wypuścili kolejną. W końcu długie strzały z zębatymi grotami zaczęły spadać niemal pionowo na tylne szeregi nacierającej armii. Wargalowie potykali się i upadali lub też chwalili się na nogach, ściskając drzewce strzał wbitych w ich ramiona i torsy. Wpadali na towarzyszy, którzy odpychali ich brutalnie, zostawiając ich własnemu losowi.

Mimo to wargalowie parli naprzód, ignorując własne straty. W tym momencie już niemal trzydziestu spośród nich leżało martwych lub śmiertelnie rannych na polu bitwy. Ale pozostali zwarli szeregi, wypełniając luki, i maszerowali dalej, omijając przeszkody w rowie i wspinając się na jego drugi brzeg. Ich oczy lśniły nienawiścią i furją, koncentrowali się tylko na jednym: dotrzeć do Araluńczyków i atakować, atakować, atakować.

Gdy pierwsi z nich zaczęli wyłazić z rowu po drugiej stronie, do walki włączył się mały oddział Farrela. Sześciu uczniów strzelało spokojnie i celnie. Ich lżejsze łuki nie miały takiej samej siły jak potężne łuki, którymi posługiwali się starsi zwiadowcy, więc strzały często łamały się lub odbijały od tarcz i skórzanych napierśników wargalów. Część z nich jednak dosięgała celu.

Przez cały czas dwa oddziały strzelców na flankach armii wybierały sobie pojedynczych wargalów w nacierających szeregach i zabijały ich na miejscu.

– Więcej strzał! – krzyknął Halt. W ciągu kilku minut opróżnił kołczan. Pacholek podbiegł do niego z płócienną torbą. Oparł ją o drewnianą podporę koło Halta i odsłonił klapę. Halt natychmiast zaczął wyciągać strzały, nakładać je na cięciwę, naciągać łuk i strzelać.

Kolejni wargalowie padali pod tym morderczym deszczem.

Usłyszał, że kilku innych zwiadowców woła o więcej strzał. W zamieszaniu bitewnym nie było czasu na dopasowane strzały. Wszyscy strzelali standardowymi i dostosowywali w miarę możliwości cel. Z tyłu usłyszał świst wielu piór, gdy ludzie Wearne'a po raz kolejny zwolnili cięciwy.

Ale wargalowie nadal nadchodzili, chwiejąc się i skandując, prosto w witający ich grad pocisków. Strzelających zwiadowców mogło być tylko dwudziestu, ale ich talenty łucznicze sprawiały, że ta liczba wydawała się o wiele większa. Wargalowie nigdy wcześniej nie spotkali się z tak śmiertelnie ostrzałem. Plądrując południowo-zachodnie tereny Araluenu, czasem natrafiali na kilku łuczników, ale ich zdyscyplinowania i zasięgu strzałów nie dało się porównać z tym, z czym mieli tutaj do czynienia. Mężczyźni o ponurych twarzach, ubrani w szare peleryny, prowadzili bezustanny, celny ostrzał.

Jednak mimo to wargalowie parli naprzód, ponieważ nie wiedzieli, co innego mogliby zrobić.

Na tym właśnie polegała słabość sformowanej przez Morgaratha armii wargalów. Czarny Lord potrzebował czasu, by wskazać im cele i skierować ich na pozycje wroga. Walczyli zaciekle, by wykonać rozkazy, które dostali, ale nie umieli zareagować, jeśli działo się coś nieprzewidzianego. Ich umysły zaślepił szal bitewny i Morgarathowi trudno było dotrzeć do ich prymitywnej świadomości z nowymi lub zmienionymi rozkazami. Gdy starli się z przeciwnikiem, wypełniali ślepo pierwotne rozkazy i reagowali tylko na najprostsze zmiany.

Mógł skierować ich w jakąś stronę – rozkazać im atakować lub się wycofać. Ale nie mógł zmienić metody ataku. Nie mógł ich nakłonić do wykonania złożonych manewrów taktycznych ani dawać rozkazów warunkowych – jeśli plan A nie zadziała, przejdźcie do planu B. Byli jak broń obuchowa, a ich podstawową techniką był atak frontalny. Gdy ich dowódca polecił im nacierać, robili to, pomimo że Halt, Crowley i pozostali zwiadowcy siali spustoszenie w ich szeregach. Wargalowie otrzymali rozkaz zaatakowania środkowej części araluńskiej armii i będą go wykonywać, dopóki ostatni z nich nie padnie martwy.

Nie potrafili nawet wykazać się inicjatywą i skierować części swoich sił na flanki, gdzie zostali umiejscowieni zwiadowcy. Maszerowali naprzód, skoncentrowani tylko na przerwaniu linii obrony Araluenu i zabiciu króla.

Morgarath z odrazą patrzył, jak dwudziestu zwiadowców rozbija jego atak. Zdążył już stracić w tej bitwie co najmniej stu żołnierzy, a jego siły nie starły się jeszcze z główną armią.

Nie odczuwał żadnego współczucia dla wargalów, którzy umierali za niego. Traktował ich wyłącznie jak narzędzia do wykorzystania. Ale wiedział, że nie może dłużej tracić żołnierzy w takim tempie. Już w tym momencie ponad dziesięć procent jego armii leżało na stoku, martwe lub umierające. Trawa zaczerwieniła się od ich krwi.

Inny dowódca mógłby odwołać swoje siły, wydać rozkaz odwrotu. Ale Morgarath obserwował ich atak i śmierć bez cienia litości. Od linii obrony Araluenu dzieliło ich niecałe dwadzieścia metrów, a została ich setka. Przy odrobinie szczęścia uda im się przedrzeć przez palisadę i zabić Duncana oraz innych dowódców.

Zamknął oczy, skoncentrował się z całej siły i wysłał im myślowy rozkaz.

Zabijać. Zabijać. I dalej zabijać.

Pod wpływem powtórnego rozkazu, wargalowie ruszyli naprzód z nową determinacją, gramoląc się do rowu, a potem wyłażąc z niego, roztrzając po drodze zaostrome kołki, które miały ich spowalniać. Widzieli teraz wroga, a w ich umysłach dźwięczał rozkaz dowódcy. Część z nich zapomniała o dyscyplinie i metodach walki, jakie Morgarath wpajał im przez ostatnie miesiące. Stali się na powrót prymitywnymi, dzikimi bestiami, odrzucili tarcze i broń i zaatakowali obrońców, aby zabić ich potwornymi pazurami i potężnymi żółtymi kłami.

Natrafili na niemożliwy do przejścia rząd stalowych włóczni, które wbiły się w nich, rozrywając ciało, a potem cofnęły się i uderzyły ponownie.

Ci, którzy zdołali się przedrzeć za linię włóczni, stanęli oko w oko z obrońcami uzbrojonymi w tarcze, miecze i topory, których ostrza lśniły w blasku słońca, a potem nagle czerwieniały, gdy dosięgnęły celu.

Teraz jednak walka przestała być aż tak jednostronna. Wargalowie nie mogli wcześniej nic poradzić na śmiertcionośny deszcz strzał, które zdziesiątkowały ich, gdy

wspinali się pod górę. Jednakże w walce wręcz byli przerażającymi wojownikami nieznanymi strachu. Atakowali przeciwnika, nawet gdy byli już umierający, ponieważ wiedzieli tylko jedno – rozkazano im zabijać i dalej zabijać.

Z dwóch setek, które zostały wysłane do tego ataku, pozostało niespełna osiemdziesięciu wargalów. Teraz jednak zaczęli się liczyć w walce, spychając do tyłu i obalając na ziemię żołnierzy Araluenu. Warczenie potężnych bestii wypełniło powietrze. W walce jeden na jednego były silniejsze od większości żołnierzy, z którymi się ścierały, a niedostatki umiejętności nadrabiały brutalną siłą.

Wargalowie znaleźli się teraz za palisadą z zaostrzonych kołków i powoli linia walczących z nimi obrońców zaczęła się cofać, gdy atakowali, warczeli, gryźli i cięli mieczami oraz szponami w szale zaciekłości i nienawiści.

Arald zauważył to jako pierwszy. Zobaczył, że szeregi obrońców słabną, zobaczył narastającą niepewność, gdy wargalowie po prostu nie zamierzali oddawać pola, nie zamierzali umierać. Krew wielu z nich płynęła z ran, które powinny być śmiertelne. Ale mimo to parli naprzód, warcząc, kłapiąc, atakując.

Arald, Duncan i David obserwowali walkę z pagórka tuż za linią frontu, kierując odwody w miejsca, gdzie linii obrony groziło przerwanie. Teraz Arald uświadomił sobie, że nie ma już czasu, by rozkazywać komukolwiek innemu przejście do ataku. Dobył miecza, poprawił tarczę na ramieniu i opuścił przyłbicę. Potem ruszył z pagórka i wpadł w kłębiącą się masę nieprzyjacielskiego wojska.

Jego długi miecz stał się lśniącym kręgiem światła, gdy zamachnął się, a potem ciął i dźgał wargalów, ścinając ich tak, jak kosa ścina zboże. Niektórzy próbowali stawić mu czoło, ale chociaż byli tak zaciekli i umięśnieni, nie stanowili dla Aralda żadnego wyzwania. Był mistrzem wśród rycerzy, silny i mocno zbudowany, a przy tym nauczony wykorzystywać całą przewagę, jaką dawały mu siła i masa. Wbił się pomiędzy wroga, tnąc i rozpychając wargalów. Używał tarczy jako broni, uderzając stalową krawędzią w twarz, szyję i ramiona. Gdy któryś wargal przedostał się zbyt blisko, by dosięgnąć go mieczem lub tarczą, wykorzystywał hełm, by uderzyć przeciwnika i ogłuszyć go. Przez cały czas przerażający miecz unosił się, opadał i wykonywał pchnięcia.

Przez kilka sekund Arald walczył w pojedynkę, otoczony przez czarne bestie. Potem zauważył kątem oka poruszenie i koło niego znalazł się sir David, dzierzący straszliwy dwuręczny topór bojowy, który zgniatał i mordował wargalów, rozcinał ich zbroje, miażdżył kości i odcinał kończyny.

Dwaj rycerze walczyli ramię w ramię, torując sobie drogę wśród szeregów wargalów. Dołączyła do nich trzecia niszczycielska siła – król Duncan przedarł się do nich, a jego miecz nie zatrzymywał się ani na chwilę, gdy ciął i dźgał żołnierzy Morgaratha, kładąc ich trupem.

Widok trzech szlachetnie urodzonych wojowników dziesiątkujących szeregi wargalów wlał nową nadzieję w serca Araluńczyków. A gdy uświadomili sobie, że

wśród atakujących jest sam król, jeden z weteranów, kapral, wydał pozostałym rozkaz:

– Do króla! Do króla! Na pomoc królowi!

Dwudziestu żołnierzy ruszyło naprzód, uderzając na wargalów pod skosem.

Pokryte futrem, przypominające goryle bestie padały i umierały, zaskoczone z dwóch stron. Ale wierne swojej naturze, nie poddawały się do końca. Nie poddawały się strachowi. Morgarath nie pozostawił im takiej możliwości. Skoncentrowany na tym, że może uda im się dosięgnąć i zabić Duncana, Lord Deszczu i Nocy kazał wargalom walczyć do ostatniego.

Dosłownie.

Ostatni z nich poległ od gwałtownego pchnięcia miecza Aralda. Gdy bestia zgięła się i upadła na bok, baron Redmont cofnął się o krok, zachwiał się ze znużenia i uniósł przyłbicę. Wokół niego żołnierze wiwatowali. Patrzyli z podziwem, jak walczy w pojedynkę wśród wargalów. Oparł się teraz na mieczu i rozejrzał się po polu bitwy. Wokół niego ziemia była dosłownie zasłana ciałami wargalów, ale wielu żołnierzy z aralueńskiej armii także zapłaciło najwyższą cenę.

Jednakże straty w siłach Morgaratha były przerażające. W jednym starciu zaryzykował i stracił dwadzieścia procent swoich sił.

Baron Redmont i król spojrzeli na siebie. Twarz, ramiona i ubranie Aralda były pokryte krwią bestii, które zabił. Uśmiechnął się z trudem i popatrzył na otaczające ich pobojuwisko.

– Wydaje mi się, że Morgarath będzie musiał zmienić taktykę – powiedział.





30 ROZDZIAŁ

Gdy obrońcy korzystali z chwili wytchnienia, by zająć się rannymi i umierającymi, zasłane ciałami pole bitwy spowiła śmiertelna cisza.

Wargalowie byli prostolinijnymi stworzeniami, a górujący nad nimi inteligencją Morgarath uwarunkował ich tak, by bez zastrzeżeń wykonywali jego rozkazy. W czasie bitwy kierował nimi szal bojowy. Walczyli bez litości i bez oglądania się na własne straty. Tak jak zauważył Halt, byli gotowi deptać ciała leżących na ziemi towarzyszy, by dopaść przeciwnika. Walczyli tylko z jedną myślą – zabić wrogów, przeciwko którym skierował ich Morgarath.

W przyszłości Morgarath miał dopracować i udoskonalić telepatyczną kontrolę tych tajemniczych istot. W tym momencie jednak jego władza była prosta i pozbawiona subtelności. Jak długo trwała bitwa, tak długo wargalowie reagowali na jego jednoznaczne, bezpośrednie rozkazy – mogli tylko nacierać lub się wycofywać, zabijając dopóki ktoś nie zabije ich.

Kiedy jednak ochłonęli z szalu bojowego, powróciły ich tradycyjne wartości

i zachowania. Byli starożytną rasą, związaną mocnymi więzami plemiennymi. Żyli i rozwijali się z dala od ludzi, bez kontaktu z nimi przez tysiące lat.

Teraz setki z nich zostało zabitych w przeciągu kilku godzin. Ich proste umysły nie potrafiły tego wyrazić jasno, ale wszyscy czuli gorzyc porażki – i to niezwykle silną.

Wszystkie mocno związane ze sobą klany i rodziny w obrębie armii straciły jakichś członków podczas tego strasznego szturm w Ashdown Cut. Wyczuwali te straty – wyczuwali je na najbardziej prymitywnym poziomie. Wraz z poczuciem straty przyszło uczucie nieufności do Czarnego Lorda, który im rozkazywał. Potrzebował wielu godzin, by odzyskać nad nimi kontrolę. Tymczasem wargalowie snuli się po obozowisku zamroczeni żalem. W pustych namiotach popychali i szturchali posłania, na których dawniej spali ich towarzysze. Okazywali żałobę niskimi, gardłowymi jękami.

Ludzie służący w armii Morgaratha, niepewni intencji ani reakcji wargalów na tę porażkę, omijali ich szerokim łukiem. Wcześniej kilku dowódców próbowało zmusić wargalów do zajęcia miejsc w szyku. Reakcją były warknięcia i obnażone kły, które sprawiły, że szybko się wycofali.

Morgarath podejrzliwie przyglądał się swoim potwornym żołnierzom. Wyczuwał, że musi dać im czas na przezwycięzenie uczucia żalu i nieufności do niego jako do dowódcy. Rozkazał swoim ludziom, by nie zbliżali się do namiotów wargalów i zaczęli, aż ich poruszone umysły się uspokoją. Z gorzycą uświadomił sobie, że w czasie następnego ataku musi zmienić taktykę. Nie mógł sobie pozwolić na tracenie żołnierzy w takim tempie. Jeśli zaś będzie się upierał przy atakach frontalnych, ryzykuje całkowitą utratę kontroli nad armią. Lepiej będzie poczekać, pozwolić na żałobę, na pogodzenie się ze stratami, a potem umocnić swoją władzę nad bestiami. Zacznie od życzliwości i zrozumienia, a potem stopniowo odtworzy zacieklą, bezmyślną nienawiść do aralueńskich dowódców – w szczególności do króla.

Wiedział, że na to potrzeba czasu, i przeklinał ten fakt. Ale nie miał innego wyjścia.

Poza tym ten czas pozwalał mu zaplanować nową metodę ataku, która zabezpieczy ich przed śmiertcionośnym deszczem strzał, wypuszczanych przez zwiadowców na jego armię.



Po południu armia Duncana była gotowa do odwrotu z Ashdown Cut. Król nie chciał opóźnić wymarszu, ale musiał pozwolić ludziom odpocząć i przespać się kilka godzin. Chociaż walka trwała dość krótko, wysiłek z nią związany szybko wyczerpał siły żołnierzy.

Tak więc żołnierze wypoczęli, wstali i zjedli suchy prowiant. Dowódcy oddziałów zwoływali swoich ludzi za przygotowanymi wcześniej umocnieniami. Wznoszące się

dno doliny w tym miejscu się wypłaszczało i dzięki temu ten obszar był niewidoczny dla wrogiej armii, obozującej poniżej.

Odnieśli znaczące zwycięstwo i Morgarath najprawdopodobniej nie spodziewał się, że wycofają się z tak dogodnych do obrony pozycji. Dowódcy zgodzili się, że jest niezwykle mało prawdopodobne, by Czarny Lord spróbował drugiego frontального ataku tego samego dnia. Jego armia została zbyt poważnie osłabiona w pierwszym uderzeniu. Nawet ze swojego miejsca na wzniesieniu widzieli, jaki chaos zapanował wśród wargalów. Wydawało się, że są całkowicie zagubieni. Snuli się bez celu między nierównymi rzędami namiotów, a obserwatorzy na wzgórzu słyszeli ich żalosne zawodzenie, którym opłakiwali poległych.

– Podpalić zbocze – rozkazał Duncan.

Northolt wspiął się na kopiec usypany za palisadą. Na obu jej końcach grupki żołnierzy czekały przy dwóch dużych beczkach z olejem. Wsunął palce do ust i gwizdnął przeraźliwie, by zwrócić ich uwagę. Potem zakręcił ramieniem, a żołnierze pochyłili się i przewrócili ciężkie beczki na bok.

W jednej chwili strumienie gęstego, lepkiego oleju zaczęły się wylewać z otworów na czopy na wieku każdej beczki. Spływały, bulgocząc, przez jakiś metr po ubitej ziemi, a potem znalazły końce rowów w kształcie litery V i zaczęły spływać w dół znacznie szybciej.

W końcu, gdy z beczek wypłynęły ostatnie litry, Northolt dał kolejny znak. Dwaj żołnierze na każdym stanowisku mieli w pogotowiu krzesiwa. W ciągu kilku sekund zapłonęły pochodnie. Gdy się dobrze rozpały, wetknęli je w olej na szczycie skośnych rowów.

Ogień wystrzelił w górę, czerwony i gniewny. Towarzyszył mu gęsty czarny dym. Płomienie pomknęły z obu stron w dół zbocza, podpalając po drodze trawę. Dotarły do poprzecznego rowu, przy którym leżały ciała pierwszych poległych w tej bitwie wargalów, i wystrzeliły wyżej, natrafiając na kałużę oleju na dnie. Od płonącego oleju zajęły się sucha trawa i gałęzie użyte do zamaskowania pułapki, a potem trawa i krzewy na zboczu poniżej.

W ciągu kilku minut gwałtowny pożar ogarnął całą szerokość zbocza. Kłęby gęstego, ciemnoszarego dymu wznosiły się w niebo, a płomienie zaczęły się systematycznie przesuwać w dół.

– Chodźmy – powiedział Duncan. Uśmiechnął się ponuro. Tumany dymu i jasne płomienie zasłonią ich odwrót przez przełęcz. Kiedy pożar wygaśnie, będą już od dawna w drodze na Wrzosowiska Hackham, zanim Morgarath się dowie, co się stało.

Northolt zauważył wyraz twarzy Duncana i uniósł brew.

– Czy coś cię rozbawiło, sir?

Duncan spojrział na niego i ponaglił konia, by podjechać bliżej i wygodnie porozmawiać ze zbrojmistrem.

– Po prostu wyobraziłem sobie, jak Morgarath jutro rozkazuje swoim ludziom znowu zaatakować przełęcz i nikogo tu już nie znajduje.

Northolt zastanowił się nad tym ze zmarszczonymi brwiami.

– Miejmy nadzieję, że nie zorientuje się aż do jutra – powiedział. – Nie można wykluczyć, że zaatakuje jeszcze raz dzisiaj.

– Wątpię w to – odparł Duncan. – Morale jego armii całkowicie upadło. – Urwał na chwilę i dodał: – Trudno im się zresztą dziwić.



Dwudziestu zwiadowców połączyło się teraz w zwartą grupę. Jako ostatni opuścili przełęcz zamykającą Ashdown Cut. Mieli stanowić straż tylną, zastawiając pułapki w odpowiednich miejscach, by spowolnić ścigającą armię Morgaratha.

– Niech każda dolina, każde wzgórze i każdy zakręt drogi będzie potencjalnym śmiertelnym zagrożeniem – nakazał im Crowley. – Będziemy uderzać i uciekać, każdy odda po pięć celnych strzałów. Zmusimy Morgaratha, by przyjmował szyk obronny, a potem będziemy uciekać, zanim jego ludzie zdążą nas zaatakować. W ten sposób zaczną się obawiać każdego zakrętu, każdej kępy drzew, każdego miejsca na drodze, gdzie możemy czekać w zasadzce.

Dzięki szybkim i niez mordowanym koniom ryzyko, że uczestnicy zasadzki zostaną schwytani przez siły Morgaratha, było niewielkie. Mieli czekać do ostatniej chwili i wymykać się pościgowi, zyskując nad nim błyskawiczną przewagę.

Pierwszy punkt wybrali w miejscu, gdzie droga wiodła przez gęsty i stary las. Drzewa rosły w odległości dwudziestu metrów od drogi, a ich gęste gałęzie stanowiły idealną kryjówkę dla strzelców.

Wybrali pozycje strzeleckie po obu stronach drogi. Wargalowie będą musieli przechodzić w odległości czterdziestu metrów od ukrytych łuczników. Grupa po lewej zacznie strzelać jako pierwsza, zmuszając wargalów do szukania schronienia po prawej stronie drogi, gdzie znajdują się pod ostrzałem z drugiej flanki. Każdy zwiadowca wypuści pięć strzał, a potem dosiądzie konia i odjedzie galopem. Jeśli jacyś wargalowie lub służący Morgarathowi ludzie spróbują ich ścigać, zwiadowcy zaczekają, aż pościg rozciągnie się na drodze, a potem zatrzymają się i zaczną znowu strzelać.

– Przy odrobinie szczęścia powalimy czterdziestu albo pięćdziesięciu z nich – powiedział Crowley.

W rzeczywistości nie zabili ani jednego. Wargalowie się nie pojawili.

Zaskoczony Crowley wysłał Berwicka i Lewina na zwiady drogą, którą przybyli. Po kilku godzinach dwaj zwiadowcy powrócili na cwałujących koniach, pokonujących

odległość z gwałtownym tętentem kopyt.

– Ciągłe są w obozie w Ashdown Cut – powiedział Berwick zdumionemu Crowleyowi. – Snują się bez celu i wydają te żalosne dźwięki. Nie złożyli namiotów ani nie spakowali taboru. Miną całe godziny, zanim będą gotowi, by podążyć za nami.

– A co z Morgarathem? – zapytał Halt. – Co on robi?

– Siedzi przed swoim namiotem z grupą dowódców i po prostu czeka – odparł Lewin.

Crowley i Halt wymienili zdziwione spojrzenia.

– Na co czeka? – zapytał Halt.

Lewin wzruszył ramionami.

– Kto wie?

Berwick z namysłem potarł podbródek.

– To wygląda, jakby czekał, aż się uspokoją – podsunął.

Halt i Crowley znowu wymienili spojrzenia.

– Nie ma większego sensu, żebyśmy czekali i ich spowalniali – stwierdził Halt. – Sami się już spowolnili.

– Zgadzam się – odparł Crowley. Rozejrzał się i wybrał jeszcze dwóch zwiadowców. – Chase i Bedford, znajdźcie punkt obserwacyjny na tym małym wzgórzu na wschodzie. Wypatrujcie ich i dajcie nam znać, kiedy wyruszą w drogę. – Rozejrzał się po grupie. – Pozostali na konie. Czas, żebyśmy dołączyli do armii.

Zwiadowcy szybko dosiedli koni i ruszyli w drogę w dwóch zastępach. Halt i Crowley oczywiście jechali na czele. Przebyli kilka kilometrów, gdy Crowley spojrzał z ciekawością na przyjaciela. Ciemnobrody Hibernijczyk wydawał się zatopiony w myślach.

– Nie odzywasz się. Coś ci chodzi po głowie? – zapytał Crowley.

Halt wyrwał się z zamyślenia, które go ogarnęło.

– Myślę tylko o tym, jak wargalowie zareagowali na pozorowany atak konnicy Aralda.

Crowley lekko wyjął wargi.

– O ile widziałem ze swojego miejsca, w ogóle nie zwrócili na to uwagi.

Halt potrząsnął jednak głową.

– Ja byłem znacznie bliżej i jestem pewien, że zareagowali. Zawahali się i na moment stracili pewność siebie. Nadal niepokoi ich obecność koni.

– No to co się stało? Nie wahali się zbyt długo.

– Nie. Morgarath znalazł się przy nich niemal natychmiast i szybko przywołał ich do porządku. – Urwał, zastanawiając się intensywnie. Odezwał się cichszym głosem: – Widział, że się zbliżamy. Może udałoby się nam coś na to poradzić.



Drugi raz tego nie spróbuje – powiedział Duncan, a dowódcy zgodnie pokiwali głowami.

– Jeszcze jeden taki atak frontalny i straciłby prawie połowę armii – zauważył lord Northolt. W jego głosie dźwięczała nuta satysfakcji.

– Nie bądźmy zbyt pewni siebie – odezwał się cicho Halt, a wszyscy popatrzyli na niego. Kilku uczestników narady uniosło z zaskoczeniem brwi i spojrzało na króla. Władcy nie lubili gdy ktoś ich nazywał zbyt pewnymi siebie. Ale Duncan patrzył pytająco na zwiadowcę.

– Co masz na myśli, Halt? – zapytał.

Halt zajmował miejsce na końcu stołu w namiocie. Poprawił się, żeby usiąść wygodniej. Wyczuwał, że wszyscy na niego patrzą i jak zawsze, poświęcana mu uwaga sprawiała, że czuł się trochę nieswojo. Jego pewność siebie dodatkowo podkopywała obecność w tej grupie lady Pauline, w zabłoconym i brudnym ubraniu, w którym jechała przez całą noc.

– Chodzi tylko o to – powiedział po krótkiej chwili, kiedy zebrał myśli – że Morgarath nie jest typem, który zaakceptuje taką porażkę i się po prostu podda. Jest inteligentny. Jest bezwzględny. Można się założyć, że wymyśli nową taktykę przeciwko naszym strażom. Dlatego powinniśmy być gotowi, żeby go zaskoczyć.

– Masz jakiś pomysł? – odezwał się baron Arald.

Halt zawahał się, ale zaraz podjął decyzję.

– Możliwe, że mam. Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz.

Grupa dowódców wyszła z namiotu, przepuszczając przodem Duncana. Na zewnątrz stanęli i zaczęli się przyglądać nowym pozycjom obronnym oraz pracom nad ich umocnieniem.

Wrzosowiska Hackham były otwartym terenem, porośniętym sięgającymi kolan krzakami janowca, przetykanego kępami wyższych krzaków. Rozciągały się na szerokość pół kilometra i z obu stron były zamknięte gęstym lasem. Teren wznosił się lekko, a w jego najniższym punkcie rzeka Slipsunder tworzyła wielki zakręt w kształcie litery U. Na zakręcie płynęła szerzej, a woda była płytsza, tworząc bród. Armia Duncana przeprowiła się w tym miejscu poprzedniego dnia. Wokół brodu brzeg rzeki był wilgotny i błotnisty, ale nie stanowił poważniejszej przeszkody. Przed i za zakrętem rzeka chowała się pomiędzy gęstymi drzewami. Była w tych miejscach węższa, ale znacznie głębsza, pełna silnych i zdradliwych prądów. Bród był jedynym miejscem, gdzie dawało się ją przekroczyć.

Armia rozbiła obozowisko we wschodniej części wrzosowiska, gdzie grunt podnosił się stromo, tworząc trawiaste wzgórze. Właśnie rzeźba terenu zdecydowała o tym, że lord Northolt wybrał to miejsce. Umocnienia obronne – znowu rów i palisada – ulokowano w półokręgu, osłaniając trzy strony wzgórza. Czwarta była zabezpieczona gęstymi drzewami. Atakujący musieli pokonać strome zbocza, a następnie rów i kolejny rząd zaostrzonych pali, za którymi czekali na nich obrońcy.

Sześciu mężczyzn i jedna kobieta przez kilka minut przyglądali się terenowi. Potem Halt wskazał w dół.

– Zakładamy, że Morgarath rozbije obóz na drugim brzegu rzeki – rozpoczął. – W ten sposób zabezpieczy się przed atakiem z zaskoczenia z naszej strony. Potem, kiedy będzie gotowy, przejdzie przez rzekę, ustawi wojsko w formacji do szturmowania i zaatakuje wzgórze. – Rozejrzał się po pozostałych. – Czy ktoś uważa inaczej?

Rozległy się pomruki zaprzeczenia, więc Halt mówił dalej.

– Wydaje mi się, że gdybyśmy mogli uderzyć na niego szarżą konnicy, tym razem prawdziwą, kiedy jego wojsko będzie w połowie wzgórza, zdołalibyśmy całkowicie rozbić to natarcie.

David z namysłem zmarszczył brwi.

– Ale wczoraj widzieliśmy, że wargalowie pokonali lęk przed końmi, jeśli w ogóle go odczuwali.

– O, z pewnością go odczuwali. I nie pokonali go, jestem tego pewien. Obserwowałem ich wczoraj. Kiedy Arald zaczął na nich cwałować, pierwszy szereg wyraźnie zareagował. Zatrzymali się i próbowali się wycofać. Przez kilka chwil byli zdezorganizowani i osłabieni. Potem Morgarath podjechał bliżej i uspokoił bestie zarówno groźbą, jak i zachętą.

Crowley z namysłem potarł brodę.

– Bez wątpienia tak to wyglądało.

Halt skinął mu głową.

– Tak właśnie było. Chodzi mi o to, że Morgarath miał mnóstwo czasu, by kazać im wracać do szeregu. Widział, że się zbliżasz – wskazał gestem Aralda – a potem zobaczył, że jego oddziały się wahają, więc ruszył do nich, by dodać im pewności siebie. Kiedy już to zrobił, ruszyli dalej naprzód.

– Dlaczego następnym razem miałyby być inaczej? – zapytał Duncan.

– Ponieważ następnym razem zamierzam zaatakować go od tyłu. Nie zobaczy, że się zbliżamy i nie będzie miał czasu na przywrócenie dyscypliny. To powinno ich zaskoczyć i załamać natarcie. Mam nadzieję, że stracą pewność siebie, a dawny lęk powróci, zanim Morgarath zdąży opanować sytuację. Poza tym... – zawahał się.

– Co poza tym? – zapytał Crowley.

– Cóż, nie zdziwiłbym się, gdyby jego władza nad ich umysłami osłabła po wczorajszej bitwie. Zobaczyli, jak setki ich pobratymców zostały zabite, wypełniając rozkazy. Kiedy patrzyłem wczoraj po południu na jego obozowisko, wydawali się pozbawieni morale i zdezorganizowani, włóczyli się bez celu. Jeśli teraz zaskoczymy ich atakiem od tyłu, na który nie będą przygotowani, może uda nam się skutecznie osłabić jego władzę nad nimi i zmusić go do odwrotu.

– Jak zamierzasz uderzyć na nich od tyłu? – zapytał Duncan.

Halt wskazał równinę u stóp wzgórza.

– Chciałem poprowadzić naszą konnicę przez rzekę i ukryć się wśród drzew po stronie południowej – wyjaśnił. Jednakże od razu dostrzegł słabość tego planu.

Crowley wyraził to na głos, potrząsając głową.

– To zbyt ryzykowne. Zostawicie wyraźne ślady, których nie da się ukryć. To będzie przecież ponad setka jeźdźców na koniach. Nie uda ci się przeprowadzić oddziału tej wielkości po wilgotnym gruncie tak, by nie zostawić widocznych śladów. Skończy się na tym, że zostaniesz odcięty od głównej armii i będziesz musiał się zmierzyć z tysiącem żądnych zemsty wargalów.

– Ośmioma setkami wargalów – poprawił go Halt.

– Niech będzie, że ośmioma setkami – odparł Crowley. – Jeśli to ci poprawi humor.

Halt otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale nic nie powiedział. Rozumiał, że Crowley ma rację.

– Być może – odezwał się z namysłem Duncan – mógłbyś pojechać na północ,

znaleźć inny bród, a potem objechać ich kołem. – Popatrzyl na sir Davida. – Davidzie, mówiłeś, że służyłeś tutaj. Jak dobrze znasz okolicę?

David potrząsnął głową.

– Nie aż tak dobrze, sir. Ale mój syn Gilan zna ją jak własną kieszeń. Będzie wiedział, czy w promieniu jednego dnia jazdy znajdzie się inny bród.

– W takim razie wezwijmy go tutaj – zdecydował Duncan. Powrócił do namiotu, zaś David wysłał pachołka, by odszukał jego syna. Pozostali także weszli do namiotu i ponownie zajęli miejsca.

Halt przyjrzał się chłopcu, który wszedł do namiotu. Gilan był wysoki jak na dwunastolatka i chudy, ale miał w sobie siłę i sprężystość. Rozglądał się z ciekawością i wyraźnie nie był speszony obecnością tak wielu wysokich rangą dowódców. Popatrzyl na zebranych inteligentnym, spokojnym spojrzeniem i przywitał się skinieniem głowy, gdy ojciec go przedstawił.

Miał miecz przewieszony przez prawe ramię i ciężki sztylet przy pasie. Broń dziwnie nie pasowała do jego młodej, poważnej twarzy. Halt w duchu wzruszył ramionami. Tak właśnie wyglądał teraz świat. Młodzi ludzie szybko dorastali.

– Gilanie – odezwał się David – czy znasz jakieś brody na Slipsunder? Najlepiej nie dalej niż dzień jazdy stąd.

Chłopiec zastanowił się nad odpowiedzią. Między brwiami na jego czole pojawiła się lekka zmarszczka. Odpowiedział ostrożnie, nie chcąc jednoznacznie niczego obiecywać.

– Był bród na północy. Znalazłem go kilka lat temu. Ale... – niepewnie rozłożył ręce.

– Ale co? – zapytał spokojnie Halt.

Gilan spojrzal na brodatego zwiadowcę i przyglądał mu się przez kilka sekund.

– Ale od tamtej pory piasek mógł zostać zmyty podczas powodzi w tej okolicy.

– Nie masz dowodów, że tak się stało? – zapytał Halt.

Chłopiec potrząsnął głową.

– Nie. Mówię tylko, że to możliwe.

– Załóżmy, że bród nadal tam jest – odezwał się Duncan. Wskazał mapę pod ścianą namiotu. – Czy możesz nam pokazać to miejsce?

Gilan podszedł do mapy i przyjrzał jej się, znowu z lekkim zmarszczeniem czoła.

W tym momencie przerwał im posłaniec, który zapukał w tyczkę podtrzymującą namiot i wszedł do środka. Spojrzal nerwowo rozszerzonymi oczami na króla i jego doradców. Potem jego wzrok padł na lady Pauline, która przywołała go gestem i spojrzala przepaszająco na króla. Duncan dał jej znak, by sobie nie przeszkadzała. Posłaniec pochylił się do niej i powiedział coś półgłosem. Gdy skończył, lady Pauline znowu popatrzyla na króla.

– Proszę o wybaczenie, panie. Muszę się zająć tą sprawą.

Król znowu gestem udzielił jej pozwolenia, więc wyszła pospiesznie. Wszyscy odwrócili się znowu do Gilana, który cofnął się o krok od mapy.

– Nie mogę niczego na tym pokazać – powiedział wprost.

Halt zmarszczył brwi.

– Nie umiesz czytać mapy? – Uświadomił sobie, że jest zbyt opryskliwy, a Gilan to ostatecznie jeszcze chłopiec. Złagodził ton głosu. – Czy też zapomniałeś, gdzie to jest?

Gilan, niezawstydzony, potrząsnął głową.

– Ani jedno, ani drugie. Ta mapa jest bardzo niedokładna. Nie ma żadnych albo prawie żadnych szczegółów. Nie mógłbym pokazać, gdzie jest bród z dokładnością większą niż dziesięć albo piętnaście kilometrów. – Postukał palcem w odwzorowaną na mapie rzekę w miejscu, gdzie tworzyła serię zygzaków. – Na przykład ten kawałek. Zakładam, że ma oznaczać Wężową Bystrzynę, ale ona nie znajduje się w ogóle w pobliżu tego miejsca. Jest co najmniej pięć kilometrów na północ. Może nawet więcej.

Chłopiec wyjaśniał to z pewnością siebie, a Halt zrozumiał, że Gilan wie, o czym mówi.

– Czyli nie możesz nam pokazać, gdzie jest bród?

Gilan skinął twierdząco głową.

– Nie. – Umilkł na chwilę, spojrzał na ojca i dodał: – Ale mógłbym cię tam zaprowadzić.

– Zaprowadzić? – zapytał Halt. – Pojechałbyś z nami?

Gilan nie odezwał się, skinął tylko głową. Znowu spojrzał na ojca. Halt zrobił to samo.

– Sir Davidzie – powiedział. – Nie jestem przekonany do tego pomysłu. Jeśli pojedzie z nami, narażę go na niebezpieczeństwo. To jeszcze chłopiec... – Kątem oka zobaczył, że twarz Gilana poczerwieniała.

Sir Davis popatrzył na swojego syna, a potem przeniósł wzrok na Halta.

– Jest młody, Halcie, to muszę przyznać. Ale nosi ten miecz nie od parady. Jest ode mnie szybszy i bardziej utalentowany. Potrafi zadbać o siebie.

Halt przygryzł wargę. Myśl o młodych ludziach szybciej dorastających w obecnych czasach wróciła do niego.

– Myślę, że możemy przecież zostawić go, kiedy znajdziemy bród – powiedział z wahaniem. – Albo odesłać go z powrotem.

Gilan prychnął pogardliwie, ale powstrzymał się od komentarza.

Sir David tylko się uśmiechnął.

– Możesz próbować – uznał. – Ale nie oczekuj, że ci się uda.

Halt otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale musiał to odłożyć na później, ponieważ nagle powróciła lady Pauline. Kurierka uśmiechała się szeroko.

– Co się stało, Pauline? – zapytał baron Arald. Ostatecznie kurierka pracowała dla

niego. Jednakże Pauline zwróciła się bezpośrednio do króla.

– Właśnie przybyły dwa oddziały żołnierzy, panie – powiedziała. – Jeden z Norgate, a drugi ze Swinton na zachodzie. Rozeszły się wieści, że Morgarath odwołał swoje bandy i przestał plądrować lenna.

– Ilu żołnierzy? – zapytał natychmiast Duncan.

– W sumie pięćdziesięciu, w tym trzydziestu konnych – powiedziała Pauline. Rozległy się okrzyki zadowolenia. Fortuna przestawała sprzyjać Morgarathowi. Im dłużej to będzie trwało, tym więcej żołnierzy dołączy do armii królewskiej. Duncan podjął decyzję.

– Halt, weź naszych stu dwudziestu konnych i tych trzydziestu przybyłych teraz. Niech Gilan zaprowadzi cię do brodu. Potem wróć tutaj i uderz na Morgaratha, gdy się będzie tego najmniej spodziewał.

Halt skinął głową.

– Tak jest, sir.

Gilan pozwolił sobie na lekki uśmiech triumfu.

Duncan zauważył to i zwrócił się bezpośrednio do niego.

– Gilanie, ty trzymaj się z dala od niebezpieczeństwa i rób to, co ci każe Halt. To nie zabawa.

Gilan spuścił wzrok i mruknął, że rozumie.

Król usiadł wygodniej za stołem, na krześle z wysokim oparciem, i rozejrzał się po namiocie.

– Panowie, i oczywiście ty, Pauline – powiedział – to może być początek końca Morgaratha.



Następnego dnia rano nadal nie było widać armii wargalów. Crowley wysłał kilka dwuosobowych patroli na trakt wiodący do Ashdown Cut. Cofnęli się o piętnaście kilometrów, ale niczego nie zauważyli.

– To może być dobra pora, by wyruszyć z konnicą – powiedział Halt do sir Davida.
– Zakładam, że Gilan może potrzebować czasu na znalezienie brodu. Będzie też lepiej, jeśli Morgarath nie zobaczy, jak stąd odjeżdżamy.

Dlatego też zmobilizowali konnicę – stu dwudziestu jeźdźców, którzy tworzyli ją do tej pory oraz trzydziestu nowych przybyszów. David i Halt dokonali przeglądu ich koni i rynsztunku. Dwaj żołnierze zostali wyłączeni z wyprawy, ponieważ ich konie nie były w najlepszej formie. Jeden lekko kulał, gdy żołnierz go podprowadził bliżej. David przykłęknął i ostrożnie zbadał pęcinę.

– Wydaje się trochę za ciepła – uznał. Gestem przywołał pachołka i wysłał go po wielkiego koniuszego Duncana, Brogana.

Potęźnie zbudowany i umięśniony koniuszy powtórzył badanie Davida i potwierdził

jego diagnozę.

– To zdecydowanie stan zapalny. Może całkiem okuleć, jeśli wyślemy go w dłuższą drogę. – Spojrzał ze złością na pechowego żołnierza. – Nie widziałeś, że coś mu dolega? – zapytał gniewnie.

Żołnierz spuścił głowę.

– Nie chciałem, żeby mnie zostawili – przyznał. – Pomyślałem, że tylko trochę zeszywniał i rozchodzi to.

Brogan przyjrzał się uważnie i ostatecznie doszedł do wniosku, że mu wierzy. Młody żołnierz miał szczerą i prostolinijną twarz, nie wyglądał na kogoś, kto świadomie zaniedbałby swojego wierzchowca.

– Potrzebuje odpoczynku i leczenia – poinformował młodzieńca. – Przyprowadź go po południu do koniowoda. Powiedz aptekarzom, że przysyłam cię z koniem, żeby się nim zajęli.

– Tak jest, sir – odparł młody żołnierz, nadal nie podnosząc wzroku. – A co mam zrobić, gdy on będzie leczony?

– Możesz dołączyć do armii, chłopcze – wtrącił David. – Witamy w piechocie.

Żołnierz powitał tę wiadomość z ponurą twarzą. W jego oczach piechota była ostatnim miejscem, gdzie chciałby się znaleźć. Piechota ruszała do walki na własnych nogach. Konnica jechała. To była ogromna różnica, zarówno prestiżu, jak i wygody.

Brogan okazał się mniej wyrozumiały w przypadku drugiego konia, który nie przeszedł pozytywnie inspekcji. Był to gniady wałach, cierpiący na bardzo bolesne otarcia od siodła – pewny znak, że jeździec nie dbał o niego, jak należy.

Tak jak poprzednio Brogan kazał zaprowadzić konia do koniowoda na leczenie. Sam żołnierz został jednak zdegradowany za niewłaściwe obchodzenie się z wierzchowcem i odesłany do sprzątania nawozu i czyszczenia wojskowych latryn.

Ostatecznie więc wczesnym popołudniem Halt miał do dyspozycji oddział złożony ze stu czterdziestu ośmiu konnych w kolczugach i hełmach z kapturem kolczym, dzierżących okrągłe tarcze. Każdy z nich był uzbrojony w ciężką włócznię, która mogła zostać użyta jako lanca lub rzucana, miecz i ciężki, obusieczny sztylet. Każdy miał także suchy prowiant na trzy dni i dwa bukłaki z wodą. Za siodłami przywiązali zwinięte koce i nieprzemakalne płótno, które można było połączyć z drugim takim samym kawałkiem i utworzyć w ten sposób dwuosobowy namiot. Sir David wyznaczył jako ich dowódcę młodego kapitana imieniem Lorriac.

Gilan pojawił się na miejscu zbiórki pół godziny przed umówioną porą. Pod lnianym kasakiem nosił sięgającą do uda tunikę. Miał prosty, stożkowaty hełm z kapturem kolczym, osłaniającym mu szyję i ramiona. Miecz znalazł się teraz w pochwie przymocowanej do siodła przy lewym kolanie. Miał także okrągłą tarczę – lekką, ale wzmacnianą mosiężnymi paskami, z dużym umbem z tego samego metalu. Chłopiec wydawał się pełen zapału i entuzjazmu wobec czekającego go zadania. Halt przyjrzał

się mu uważnie i ukradkiem, i z zadowoleniem stwierdził, że Gilan wyraźnie nie wątpi w powodzenie powierzonej mu misji.

– Gotów do drogi? – zapytał.

Syn sir Davida z entuzjazmem pokiwał głową. Wskazał linię drzew okalających wrzosowisko.

– Pojedziemy wzdłuż linii lasu na północ. Za jakieś dwadzieścia kilometrów zacznę wypatrywać punktów orientacyjnych. Potem wjedziemy w las i skierujemy się ku rzece.

Halt skinął głową.

– Wydaje się, że wiesz, dokąd jedziemy – skomentował. Wskazał gestem dłoni drzewa. – Prowadź.

Gilan zawahał się. Mógł być pewien swoich umiejętności, ale nie wiedział, czy potrafi wydać rozkaz do jazdy. Obawiał się, że może zostać zignorowany, albo co gorsza, wyśmiany.

Halt ukrył uśmiech i odwrócił się do kapitana dowodzącego oddziałem.

– Ruszamy, Lorriacu.

– Żołnierze, w trzech zastępach... kłusem! – krzyknął kapitan. Wydawał rozkazy pewnym, donośnym i stanowczym głosem. Uniósł opuszczoną rękę, sygnalizując, że należy wykonać rozkaz, a kolumna konnych ruszyła naprzód kłusem. Uprząż brzęczała, a broń szcękąła, gdy skierowali się na północ. Halt, Gilan i Lorriac jechali na przedzie. Gdy oddział mijał miejsce, z którego król Duncan i sir David obserwowali ich odjazd, wszyscy żołnierze zaszalutowali i zwrócili głowy w prawo w momencie, gdy przejeżdżali obok dowódców.

Dwaj dowódcy stali i obserwowali oddział, dopóki nie minęli ich ostatni jeźdźcy. Niewielka konnica w trzech kolumnach jechała pod górę w stronę lasu, aż wreszcie zniknęła za wzgórzem w odległości stu metrów. Jeszcze przez chwilę w powietrzu wisiała chmura kurzu, pokazująca miejsce, w którym przejeżdżali. Potem kurz opadł i po jeźdźcach nie pozostał żaden ślad.

– Mam nadzieję, że twój chłopak wie, co robi – powiedział Duncan.

David spojrzął na króla i zobaczył na jego brodatej twarzy bruzdy pozostawione przez troskę i niepokój.

– Wie – odpowiedział z o wiele większym przekonaniem, niż odczuwał w rzeczywistości.

Wrócili do namiotu Duncana, gdzie słudzy przygotowali skromny posiłek. Zdążyli już do połowy zjeść obowiązkowe podplomyki, zimne mięso i suszone owoce, gdy do namiotu wszedł Crowley.

– Wrócił patrol – oznajmił. – Morgarath jest w drodze.

Wydawało się, że jedzenie nagle straciło smak. Król i sir David wymienili spojrzenia, a potem wstali od stołu. Duncan opróżnił kufel wina z wodą i trzech mężczyźni wyszli na zewnątrz. Skierowali się na szaniec, usypany przez żołnierzy za

ochronnym rowem z palisadą, gdzie powitał ich lord Northolt. Większość żołnierzy także zgromadziła się tam, by popatrzeć. Wieści o zbliżającym się nieprzyjacielu szybko się rozeszły.

Słyszeli szcęk ekwipunku i gardłowe skandowanie wargalów, którzy wymaszerowali na otwartą przestrzeń nad rzeką i rozproszyli się, by rozbić namioty, jak zwykle w nierównych rzędach.

– Nadal zostało ich mnóstwo – zauważył Crowley.

Pozostali nic nie powiedzieli, ale Duncan wskazał na coś.

– Co to może być?

Część wozów w taborze było załadowanych dziwnymi drewnianymi ramami. Każda z nich miała jakieś pięć metrów długości i umocowane na końcach potężne koła. Obserwowali, jak grupy wargalów zaczęły zdejmować te konstrukcje z wozów. Było ich w sumie pięć. Potem podeszli ludzie, którzy umieścili z przodu ram panele zrobione z drągów i przybili je, by trzymały się na miejscu. Każdy panel został dodatkowo wzmocniony krowią skórą. Dźwięk uderzeń młotków niósł się z wiatrem do miejsca, gdzie czekali Aralueńczycy.

– Przenośne barykady – zawyrokował Northolt po kilku minutach. – Będą je toczyć pod górę, a żołnierze ukryją się za nimi. To powinno zmniejszyć skuteczność naszych łuczników.

Crowley pokiwał głową, wyjaśnienia zbrojmistrza sprawiły, że dostrzegł już przeznaczenie tych dziwnych, wydłużonych konstrukcji.

– Ale dlaczego krowie skóry? – zapytał. – One nie stanowią większej przeszkody dla strzał.

Northolt skinął głową, zgadzając się z nim. Potem udzielił dalszych wyjaśnień.

– Namoczą je wodą, zanim wyruszą do bitwy – oznajmił. – To uniemożliwi nam użycie płonących strzał do podpalenia barykad. Morgarath zapożyczył ten pomysł z wież oblężniczych, używanych w oblężeniach zamków.

– Mówiłeś, że nie jest głupcem – wymamrotał Duncan, nie odrywając wzroku od konstrukcji. Były prymitywne, a co za tym idzie, raczej krzywe. Ale mogły skutecznie chronić nacierające oddziały przed strzałami dwudziestu zwiadowców.

– Zaczynam żałować, że mam zawsze rację – odparł Crowley. Popatrzył na słońce, wiszące nisko na zachodzie. – Mimo wszystko nie wydaje mi się, żeby mieli czas na przygotowanie ataku przed zapadnięciem ciemności. Równie dobrze możemy wykorzystać noc na spokojny sen. Będziemy tego potrzebować.

Arald z Redmont dołączył do nich, gdy w obozie rozeszły się wieści o przybyciu Morgaratha. Obejrzał uważnie dziwne barykady, a potem przyjrzał się zboczowi wzgórze i płytkiemu brodowi u jego stóp.

– Może uda nam się zakłócić ich spokojny sen – powiedział z namysłem.

Northolt spojrział na niego zaciekawiony.

– Co masz na myśli?

Arald zastanowił się, zebrał myśli i ostrożnie układał sobie w głowie słowa. W końcu wskazał tabor zaopatrzeniowy, ustawiony po lewej stronie obozowiska wargalów.

– Myślę, że gdybym dzisiaj w nocy wziął dwudziestu ludzi i po cichu przekroczył rzekę, może udałoby nam się zaatakować namioty zaopatrzeniowe Morgaratha i podpalić jego zapasy jedzenia i broni. Potem, kiedy jego uwaga będzie całkowicie odwrócona, Crowleyowi i jego zwiadowcom mogłoby się udać zakraść pomiędzy te barykady i podpalić je. – Spojrzał na dowódcę zwiadowców, który szybko skinął twierdząco głową. Arald mówił dalej. – Potem ty i pozostali zwiadowcy moglibyście szybko przekroczyć rzekę i osłaniać nasz odwrót.

Northolt zacisnął wargi i zastanowił się chwilę. Widział, że Crowley całkowicie popiera ten pomysł. Ale on sam był zbrojmistrzem i jego rolą było zapobieganie stratom w królewskiej armii tak długo, jak to możliwe.

– To ryzykowne – ocenił.

Arald lekceważąco wysunął dolną wargę.

– Jest wojna – odparł. – Na wojnie wszystko jest ryzykowne.

– Pytanie brzmi – stwierdził Duncan – czy potencjalne korzyści są większe od ryzyka. – Nie wydawało się, by zajął stanowisko po którejś ze stron, więc Arald mówił dalej:

– A jaki mamy wybór? – zapytał. – Możemy siedzieć na tyłkach tutaj i patrzeć, jak Morgarath pcha jutro te ulepszone taczki pod górę, aż znajdzie się dostatecznie blisko, by przypuścić szturm.

– W przypadku takich konstrukcji można zawsze zastosować ostrzał stromotorowy... – wtrącił Northolt, ale Crowley potrząsnął głową, zanim zbrojmistrz zdążył dokończyć zdanie.

– Ostrzał stromotorowy nie jest nawet w części tak skuteczny jak bezpośrednie strzały. Jestem też pewien, że będą się chronili trzymanymi nad głową tarczami. Proponuję, żebyśmy przyjęli plan Aralda.

Duncan przyjrzał się Araldowi i Crowleyowi, a potem odwrócił głowę, by spojrzeć na Northolta.

Zbrojmistrz wzruszył ramionami.

– Warto spróbować – przyznał w końcu. – Jeśli Arald i jego ludzie zostaną zauważeni, zawsze mogą wywalczyć sobie drogę odwrotu. A Crowley i zwiadowcy będą pod ręką, żeby ich osłaniać.

Król popatrzył na całą trójkę i zobaczył w ich oczach determinację.

– Dobrze, zrobmy tak – zgodził się. Dodał z udawaną rozpaczą: – No proszę, a ja miałem nadzieję, że sobie dzisiaj spokojnie pośpię.



Oddział Halt jechał na północ równym kłusem. W regularnych odstępach czasu zatrzymywali się i zsiadali, prowadzili konie przez kilka kilometrów, a potem znowu dosiadali wierzchowców i ruszali kłusem.

O trzeciej zatrzymali się i rozsiadali konie, pozwalając im się paść, podczas gdy żołnierze zjedli skromny posiłek. Odpoczywali przez czterdzieści minut. Halt oparł się plecami o pień drzewa. Zauważył, że Gilan krąży bezustannie wśród siedzących żołnierzy, więc przywołał go do siebie.

– Odpocznij – polecił chłopcu.

Gilan z niepokojem potrząsnął głową.

– Powinniśmy jechać dalej – powiedział. – Morgarath może zaatakować, podczas gdy my siedzimy tutaj.

– Wątpię w to – odparł Halt. – Przeprowadzaliśmy kilka razy rekonesans, a kiedy wyjeżdżaliśmy, nie było go nawet widać na horyzoncie. Dlatego mało prawdopodobne jest, by zaatakował, podczas kiedy my „siedzimy tutaj i dłubiemy w nosie”, jak to

ujął.

Gilan zaczerwienił się i odwrócił wzrok.

Halt podniósł się na nogi z lekkim żalem. Pomyślał, że ten pień drzewa był bardzo wygodny. Położył dłoń na ramieniu Gilana.

– W najbliższych dniach czeka nas trudna bitwa. Żołnierze muszą być wtedy w najlepszej formie, a nie zmęczeni pospieszną jazdą w poszukiwaniu brodu – wyjaśnił. – Co ważniejsze, musimy oszczędzać siły koni. Nie mamy luzaków, więc muszą być gotowe i sprawne, kiedy zaszarżujemy na armię Morgaratha. Gdy koń jest wyczerpany, potrzebuje wiele czasu, by w pełni wrócić do sił. Walka to ciężka praca. Dlatego, kiedy uderzymy na armię Morgaratha, chciałbym, żeby to uderzenie było tak mocne, jak to możliwe. A to oznacza, że musimy dbać o to, by konie były wypoczęte i gotowe do bitwy, prawda?

Gilan ponuro skinął głową.

– Rozumiem – powiedział, ale to zabrzmiało tak, jakby był przekonany tylko częściowo. Był jeszcze młody, a powiedzenie „spiesz się powoli” było mu całkowicie obce.

Halt popatrzył na słońce i oszacował, że odpoczywali dostatecznie długo. Dał znak Lorriacowi, więc żołnierze zaczęli znowu siodłać konie. Gilan pierwszy znalazł się w siodle, czekając niecierpliwie, aż reszta żołnierzy ustawi się w zastępie. Jego koń wyraźnie wyczuwał to zniecierpliwienie. Kiedy ruszyli, napał mocno na wodze, tak że chłopiec musiał się namęczyć, żeby zmusić go do wolniejszego kroku.

Przejechali jeszcze kilka kilometrów. Droga prowadziła tu wąskim wąwozem, pomiędzy wysokimi urwiskami, porośniętymi gęstym lasem. Halt zobaczył, że Gilan z zadowoleniem kiwa głową. Najwyraźniej rozpoznawał to miejsce jako jeden z punktów orientacyjnych. Ale przez następne dwa kilometry pewność siebie chłopaka zaczęła słabnąć, a on sam rozglądał się niespokojnie na boki, od czasu do czasu stając w strzemionach, by lepiej widzieć okolicę. Teren znowu się wyrównał, znajdowali się na otwartej przestrzeni, ale ciągle jechali pod górę. Gęsty las został po prawej stronie. Po lewej rozciągały się karłowate krzaki, przetykane gdzieniegdzie kępami drzew. Żadne z nich nie wydawało się stare, najwyższe miały zaledwie pięć metrów wysokości.

Gilan skierował konia obok ścieżki, którą jechali, i po raz kolejny stanął w strzemionach, oglądając się na drogę za nimi. Halt podjechał i dołączył do niego, zaś żołnierze mijali ich, przyglądając się im z lekkim zainteresowaniem. Wiedzieli, że ten młodzik jest ich przewodnikiem i jeden czy dwóch z nich zaczęło komentować jego wyraźnie widoczną niepewność.

– Jakiś problem? – zapytał cicho Halt.

– Wszystko się zmieniło – Gilan spojrzał na niego z rozpaczą. – Nic nie wygląda tak samo! – Głos załamywał mu się od niepewności. Był przeświadczony, że zdoła

doprowadzić oddział prosto do brodu, ale teraz miał wrażenie, że wszystko idzie nie tak.

Halt uniósł uspokajająco dłoń.

– Nie podnoś głosu. Nie pozwól żołnierzom zobaczyć, że nie jesteś pewien, co robisz.

Gilan postarał się trochę uspokoić. Odetchnął kilka razy głęboko, ale potem rozejrzał się wokół i bezradnie rozłożył ręce.

– Kiedy jechaliśmy tamtym wąwozem – machnął ręką w tył – wydawało mi się, że wszystko jest dobrze. Pamiętałem go. Ale teraz nie widzę śladu najważniejszego punktu orientacyjnego. Powinniśmy byli go już zobaczyć.

– Co to takiego było? – zapytał Halt.

– To była podwójna sosna, wyglądająca jak wielkie V – odparł Gilan, z niepokojem znowu słyszalnym w głosie. – Widać ją było z odległości kilometrów. Rosła gdzieś tam... Chyba. – Wskazał na zachód, w stronę młodych drzew, którym wcześniej przyglądał się Halt.

– Ale teraz jej nie ma – powtórzył rozpaczliwie. Miał okropne wyrzuty sumienia, że przyprowadził ich tutaj, odciągając od głównego pola bitwy, a teraz zgubił drogę, a wraz z nim cała konnica. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie konnica miała w zbliżającej się bitwie odegrać kluczową rolę.

– Przeegramy bitwę – jęknął. – I to będzie moja wina.

– Weź się w garść – nakazał szorstko Halt. Gilan był jeszcze chłopcem i Halt widział, że jego pewność siebie osłabła, ale wiedział też, że musi go szybko przywołać do porządku. To nie była pora na miłe słowa. Zwiadowca skierował Abelarda w stronę kępy niskich drzew. – Przyjrzyjmy się temu z bliska. – Odwrócił się do kapitana. – Lorriacu, zatrzymaj oddział.

– Nie ma jej tam – powtórzył Gilan, gdy kolumna jeźdźców się zatrzymała. Konie tupały i prychały, a potem spuściły łby, by poskubać świeżą trawę pod kopytami. – Przecież dobrze wiesz, że zobaczylibyśmy ją, gdyby była. Na litość boską, miała dziesięć metrów wysokości. – Mimo wszystko szturchnął konia i pojechał za Haltem.

Zwiadowca zaczekał, aż chłopiec się z nim zrówna, i odezwał się znowu.

– Drzewa mogą upaść – powiedział. – W szczególności wielkie i stare. Albo spalić się w pożarze lasu. Albo zostać trafione przez piorun.

Dojechali do gęstej kępy młodych drzew, posplatanych dodatkowo pnączami. Halt zatrzymał Abelarda tuż na skraju zarośli i zajrzał pomiędzy splecione gałęzie, które zagradzały im drogę.

– Spójrz tam – polecił. Ukryty w płataninie zieleni sterczał ledwie widoczny stary, rozdwojony pniak. Dawniej musiał stanowić nasadę potężnej sosny, ale jego krawędzie były poczerniałe, co stanowiło znak, że drzewo zostało trafione piorunem.

Kilka kroków dalej zobaczył zwęglone szczątki pnia w kształcie litery V, dawniej

stanowiącego jedność ze sterczącym pniakiem, a teraz leżącego w wysokiej trawie i porośniętego pnączami. Stara kłoda była wyraźnie nadpalona.

– Masz swoją sosnę w kształcie V – powiedział spokojnie Halt. Zobaczył, że na młodej twarzy Gilana odmalowała się ulga.

– Jednak jest. Jednak jest – powtórzył chłopiec, którego pewność siebie gwałtownie powracała. Spojrzał z zapalem w górę, na szczyty wzgórz.

– Czego teraz wypatrujemy? – zapytał Halt.

Gilan wskazał wzniesienie przed nimi.

– Ze wzgórz powinniśmy zobaczyć dwa szczyty górskie na zachodzie. Jeśli ustawimy się tak, by były w jednej linii, wskażą nam drogę do brodu.

Zaczął kłusować pod górę. Halt pozwolił Abelardowi iść w jego ślady.

– Cóż, one przynajmniej nie zostaną powalone przez piorun – mruknął pod nosem.

Dotarli na szczyt wzniesienia i spojrzeli na zachód. Halt natychmiast zobaczył dwa spore wzgórza – ale, jak pomyślał, trudno byłoby nazwać je górami. Najwyraźniej Gilanowi przyszło do głowy to samo.

– Kiedy byłem młodszy, wydawały się wyższe – powiedział.

Halt uśmiechnął się.

– Bardzo często tak bywa. Dawniej myślałem, że mój ojciec jest prawdziwym olbrzymem, a w rzeczywistości był raczej niski. Ale to o tych górach mówiłeś?

– O tak. – Gilan pokiwał stanowczo głową. – Pamiętam ten odsłonięty biały fragment w połowie wysokości bliższej z nich. – Wskazał to miejsce, a Halt dostrzegł białą smugę pomiędzy drzewami na odległym wzgórzu. Doszedł do wniosku, że to zapewne kreda.

– Teraz – ciągnął skoncentrowany Gilan – ustawimy się tak, żeby mieć w jednej linii szczyt pierwszego wzgórz i ten uskoki w kształcie U w drugim... – Przesunął konia, aż znalazł się we właściwej pozycji. – Właśnie w tym kierunku znajduje się bród.

Odwrócił się w siodle, by spojrzeć za siebie i jeszcze raz sprawdzić, czy patrzy wzdłuż linii wyznaczonej przez dwa wzgórza.

– Wjedziemy w las przy tym bardzo ciemnozielonym drzewie. Potem, jeśli będziemy jechać na wschód, dotrzemy do rzeki i do brodu.

Halt przez chwilę przyglądał się chłopakowi. Pomyślał, że jak na tak młody wiek, doskonale radzi sobie w tej sytuacji. Potem obejrzał się kilka razy w jedną i w drugą stronę, zapamiętując ułożenie gór i kierunek. Wiedział, że kiedy znajdą się między drzewami, będzie bardzo łatwo stracić orientację. Miał jednak sposób, by tego uniknąć.

– Ile czasu potrwa, zanim dojedziemy do rzeki? – zapytał.

Gilan zastanowił się nad odpowiedzią.

– Godzinę – powiedział. – Może trochę dłużej.

Halt popatrzył na oddział konnicy, czekający spokojnie u stóp wzgórz, w odległości

stu metrów. Pomyślał, że zajmie to znacznie więcej czasu, zanim prawie stu pięćdziesięciu jeźdźców przedrze się między gęsto rosnącymi drzewami. To oznaczało, że kiedy dotrą do brodu, będzie się już zmierzchać – zakładając, że znajdą go bez dalszych opóźnień. Podjął decyzję.

– Zostawimy tu żołnierzy i pojedziemy dalej sami – zdecydował. – Kiedy znajdziemy bród, wrócimy po nich. Ale nie zakładałbym, że uda nam się przeprowić przez rzekę przed zapadnięciem zmroku.

Zjechał cwałem ze wzgórza i wtajemniczył kapitana Lorriaca w swój plan. Kiedy żołnierze zsiadli z koni i zaczęli im zdejmować siodła, Halt wrócił na wzgórze, do miejsca, w którym czekał Gilan. Razem wjechali między drzewa – Gilan prowadził.

Halt natychmiast uświadomił sobie, że zrobił słusznie, zostawiając żołnierzy. Drzewa rosły tak gęsto, że on i Gilan musieli lawirować pomiędzy nimi, jadąc gęsiego. Sklepienie z gęstych liści niemal nie przepuszczało światła. Wiedział, że za jakąś godzinę zrobi się tu niemal zupełnie ciemno.

– Dawniej była tu ścieżka zrobiona przez dzikie zwierzęta! – zawołał Gilan, objeżdżając trzy rosnące tuż koło siebie drzewa i wracając na poprzedni kurs. Rozpychał podrost i mniejsze krzaki, a runo leśne tratował. Na szczęście dzięki dużemu zwarciu koron drzew pod spodem nie rosło aż tak wiele krzaków. Halt jechał za nim, ale wrodzone wyczucie kierunku podpowiedziało mu, że zbaczają z drogi. Sięgnął do sakwy przy pasie i wyjął kompas – namagnesowaną stalową igłę, osadzoną na cienkiej szpili w mosiężnej oprawie. Końce igły zawsze wskazywały północ i południe. Przytrzymał ją nieruchomo i zobaczył, że skęcili trochę na północny wschód. Przyjrzał się małemu przyrządowi i wskazał właściwy kierunek.

– Tędy – powiedział. – Skręć lekko w prawo.

Gilan posłuchał, spoglądając z ciekawością na trzymany przez Halta w złożonych dłoniach instrument.

– To bardzo przydatne – przyznał.

W taki właśnie sposób jechali przez następną godziną – Halt co jakiś czas zatrzymywał się, by skorygować ich kurs. Co pięć metrów wyciągał sakwę i robił długie nacięcie na drzewie, oznaczając drogę na następny dzień.

W końcu Gilan ściągnął wodze i czekał, aż Halt przedrze się do miejsca, w którym się zatrzymał. Miał zmarszczone czoło.

– Powinniśmy już dojechać do rzeki!

Halt spojrzał na otaczający ich ciemny las.

– Czy podrost był tak gęsty, kiedy tu poprzednio byłeś? – zapytał, a Gilan potrząsnął głową. – Czyli o to chodzi – mówił dalej Halt. – Musimy się przedzierać i co chwila objeżdżać większe drzewa. Nic dziwnego, że zabiera nam to więcej czasu niż kiedyś tobie.

Gilan już chciał coś odpowiedzieć, ale Halt uciszył go, unosząc dłoń. Pochylił się

w siodle i nasłuchiwał, odwrócony w stronę wschodu.

– Posłuchaj – powiedział. – Co to za dźwięk?

Obaj nasłuchiwali. Słyszeli ptaki świergoczące w lesie i od czasu do czasu szelest, gdy drobne zwierzęta przemykały pomiędzy drzewami. Ale usłyszeli także coś jeszcze – melodyjny szmer płynącej wody.

– To rzeka – oznajmił Halt. Bez dalszych narad obaj popędzili konie, kierując się w stronę dźwięku. Po jakichś trzydziestu metrach zobaczyli pomiędzy drzewami lśnienie wody. Halt pomyślał, że skoro ostatnie promienie słońca docierają do jej powierzchni, to oznacza, że w leśnym sklepieniu musi być duża przerwa. To z kolei oznaczało, że rzeka będzie w tym miejscu szeroka.

To zaś zazwyczaj wskazywało na obecność brodu.

Wyjechali pomiędzy drzew na równy, piaszczysty brzeg. Rzeka bulgotała koło nich, poszerzając się do jakichś pięćdziesięciu metrów. Po prawej i lewej zwężała się do piętnastu metrów, prąd pomiędzy brzegami był wartki, zaś woda ciemna i głęboka. Ale w szerszej części ujrzeli piaszczyste dno. Gilan wjechał do rzeki na dziesięć metrów, woda ledwie sięgała do końskiego brzucha. Odwrócił się do Halta i uśmiechnął się szeroko.

– Wiedziałem, że uda mi się go znaleźć! – zawołał.

Halt uniósł brew.

– Jasne, że wiedziałeś.



Gotowi? – zapytał Arald ściszym głosem. Otacza jący go żołnierze odpowiedzieli ochrypłymi szeptami, że są gotowi, więc wskazał kierunek w dół zbocza. – W takim razie ruszamy.

Wyprowadził ich zza palisady, przeszedł przez rów po prowizorycznym pomoście z desek, który miał zostać zabrany, gdy tylko on i jego ludzie go miną. Księżyc zaszedł pół godziny temu, a jedynym źródłem światła był słaby blask gwiazd. Po niebie przemykały z wiatrem lekkie obłoki, rzucając ruchome cienie i utrudniając wypatrzenie poruszającej się małej grupki, która schodziła ze wzgórza.

Za nim jeden z żołnierzy poślizgnął się i upadł w wysoką, miękką trawę, uderzając o ziemię z cichym brzęknięciem miecza w pochwie. Oddział zamarł, czekając, by się upewnić, że nieprzyjaciel niczego nie usłyszał. Ale od obozu wargalów dzieliła ich jeszcze duża odległość i wydawało się, że pozostali niezauważeni.

Po prawej Arald usłyszał pojedyncze pohukiwanie sowy i spojrzął w stronę, skąd dochodził. Na drugim końcu palisady mógł dostrzec niewyraźne sylwetki Crowleya

i jego zwiadowców, którzy wymknęli się z obozowiska i prześlizgnęli się w prawo. Potrząsnął głową z podziwem. Zwiadowcy potrafili doskonale się skradać, więc chociaż wiedział, gdzie są i dokąd zacierają, trudno mu było ich wypatrzeć choćby przelotnie. Od czasu do czasu niewyraźna sylwetka wyłaniała się na moment z wysokiej trawy, ale zaraz z powrotem wtapiała się w otoczenie, wykorzystując poruszające się cienie chmur jako osłonę.

Żałował, że jego grupa nie potrafi się przemieszczać w taki sposób. Z drugiej strony przypomniał sobie, że ich zadaniem było odwrócenie uwagi. Mieli zostać zauważeni przez wroga i odciągnąć go od prawdziwego zagrożenia – zwiadowców zamierzających podpalić ruchome barykady.

Mimo wszystko myślał, że byłoby dobrze, gdyby jego ludzie nie wpadali na siebie nawzajem i nie klęli słumionym szeptem. Byłoby też lepiej, gdyby nie pozwolili broni szczerkać w czasie marszu, a podtrzymującym ją pasom poskrzypywać.

Udało mu się niepostrzeżenie sprowadzić ich ze wzgórza, aż dotarli do linii drzew po lewej stronie. Gdy przyzwyczaili się wreszcie do ukształtowania terenu i braku światła, z zadowoleniem stwierdził, że zaczęli się poruszać ciszej. Od czasu do czasu zatrzymywał ich i gestem kazał kryć się w wysokiej trawie, podczas gdy sam obserwował obóz nieprzyjaciela, wypatrując jakichś oznak tego, że zostali zauważeni.

Kiedy zatrzymali się po raz trzeci, pomyślał, że na razie wszystko idzie dobrze. Nie było żadnej reakcji ze strony wargalów. Widział ich warty pilnujące obozu, ale żaden ze strażników nie wydawał się zaniepokojony. Znowu spojrzął na drugą stronę zbocza, gdzie – jak wiedział – musieli być zwiadowcy. Wydawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch. Być może był to ktoś z ludzi Crowleya. Albo, co bardziej prawdopodobne, cień chmury prześlizgujący się po trawie lub też sama trawa, poruszająca się w podmuchu wiatru.

– Chodźmy – szepnął i ruszyli dalej, kierując się do wschodniego krańca brodu. Po drugiej stronie brzeg tworzył niemal półmetrową pionową skarpe. Dawała ona lepszą osłonę niż łagodnie schodząca do wody plaża w środkowej części brodu.

Dotarli do rzeki, więc Arald znowu uniósł rękę, polecając żołnierzom zatrzymać się. Padli na ziemię i leżeli nieruchomo. Crowley wcześniej tego wieczoru udzielił im instrukcji.

– Kiedy się zatrzymujecie, oprzyjcie się pokusie, by się poruszać. To właśnie ruch zostaje zauważony jako pierwszy. Po prostu leżcie nieruchomo, nawet jeśli wydaje wam się, że zostaliście zauważeni. Istnieje szansa, że nie zostaliście. Ale istnieje ryzyko, że zostaniecie zauważeni, gdy się poruszycie.

Grupa, która udała się na wypad, nie nosiła zbroi ani hełmów, które mogłyby dodatkowo hałasować lub odbijać światło. Każdy żołnierz miał wojskowy pas z mieczem i ciężkim sztyletem po lewej i prawej stronie. Wszyscy byli ubrani w ciemne ubrania – bluzy i spodnie – a na głowach zawiązali czarne chusty.

Nieregularne ciemne plamy maskujące miały sprawić, że także ich twarze nie będą widoczne w świetle gwiazd jako jasne owale lub inne regularne kształty. To również był pomysł Crowleya.

Na skraju brodu, tuż nad wodą rosła gęsta kępa krzewów. W tym właśnie miejscu mieli rozpocząć przeprawę. Arald poczołgał się w tamtą stronę, postępując cicho. Przemieszczanie się w ten sposób było dla niego bardzo niewygodne, ponieważ zawadzał mu brzuch.

Pomyślał, że powinien coś z tym zrobić, a potem w duchu wzruszył ramionami. Powtarzał to od lat, zazwyczaj pod wpływem namów swojej żony, lady Sandry.

Sięgnął w dół i odpiął od pasa pochwę. Obejrzał się i gestem polecił żołnierzom, by zrobili to samo. Nie mógł brodzić przez rzekę z pochwą objającą mu się o nogi. Zamierzał ją trzymać poziomo, nad powierzchnią wody.

Usłyszał ciche szcęknięcia i grzechot, gdy jego podwładni odpinali swoje pochwy. Potem obrócił się na bok i zaczął zanurzać się w spokojnie płynącą w tym miejscu rzekę, podpierając się jedną ręką i kolanami, aż woda stała się głębsza, a potem idąc dalej w kucki. W końcu, gdy rzeka osiągnęła największą w tym miejscu głębokość, wyprostował się i brnął przez powolny prąd wody sięgającej mu do piersi.

Obejrzał się za siebie i zobaczył pozostałe ciemne sylwetki, wchodzące do rzeki. Gdy kolejni żołnierze stawali na piaszczystym dnie, widać już było tylko ich głowy i ramiona. Usłyszał poruszenie na przeciwległym brzegu, a gdy spojrzał w tę stronę, dostrzegł ciemną sylwetkę wartownika, przemierzającego brzeg kołyszącym się krokiem, charakterystycznym dla wargalów. Zamarł i znieruchomiał, uginając kolana, aż niemal dotykał nosem powierzchni wody.

Bestia przeszła obok, prawie nie zwracając uwagi na powierzchnię rzeki. Wydawała ciche, niemal rytmiczne pomruki, jakie zwykle towarzyszyły poruszającym się wargalom. Arald zaczekał, aż wartownik dotarł do końca wyznaczonego mu odcinka i zawrócił w przeciwną stronę. Kiedy tylko go wyminął, baron ruszył dalej. W wodzie czuł się nieprzyjemnie widoczny. Brzeg był teraz oddalony zaledwie o dwadzieścia metrów, a jego kusilo, by się pospieszyć z pokonaniem tej odległości. Stłumił jednak impuls, by tak postąpić; wiedział, że szybkość oznacza hałas. A na robienie hałasu nie mógł sobie pozwolić.

Powoli, niezwykle powoli, brnął dalej przez czarną wodę, chociaż instykt podpowiadał mu, że powinien się podnieść i biec. Spojrzał na zachód, wypatrując jakichś śladów obecności Crowleya i jego małej grupki.

Oczywiście, niczego nie dostrzegł.



Crowley wraz z dziewięcioma zwiadowcami prześlizgnął się do stóp wzgórza bezszelestnie jak wiatr przemykający przez wysokie trawy. Wszyscy potrafili skradać się niesłyszalnie i niepostrzeżenie, więc Crowley nie musiał im udzielać żadnych wskazówek.

Podobnie jak Arald, także zwiadowcy opierali się pokusie szybszego przemieszczania się. Jednakże takie zachowanie było ich drugą naturą, zrodzoną z długoletnich ćwiczeń, a nie czymś, o czym musieli bezustannie pamiętać. Zostawili swoje peleryny – długie płaszcze zbyt przeszkadzałyby im przy przekraczaniu rzeki, a po nasiąknięciu byłyby zbyt hałaśliwe, gdyż ściekałaby z nich woda. Zamiast tego mieli na sobie zwykłe szarobrązowe bluzy i spodnie wsunięte w miękkie buty do pół łydki. Głowy obwiązali ciemnymi chustami i tak samo jak ludzie Aralda umazali twarze w nieregularne smugi i plamy przy użyciu ciemnego barwnika.

Robert i Jurgen nieśli krzesiwo, hubkę i różne palne substancje zawinięte w wodoodporny materiał. Każdy ze zwiadowców był uzbrojony w łuk i strzały, które zostawili na brzegu przed wejściem do wody. Wiedzieli, że będą ich potrzebować, by osłaniać odwrót oddziału Aralda, przepływającego się przez rzekę. Oczywiście, wszyscy mieli po dwie pochwy, z saksą i nożem do rzucania, przypięte mocno na lewym boku.

Gdy Crowley znalazł się na brzegu rzeki, rozejrzał się, by zorientować się w sytuacji. Tego krańca brodu także pilnował wartownik, a trzeci patrolował środkową część przeprawy. Crowley czekał, aż wargal ruszy ociężale w stronę środka brodu, a potem wślizgnął się do wody, początkowo pełzając, potem idąc na czworakach, a wreszcie na ugiętych nogach, w miarę jak woda stawała się coraz głębsza. Za nim weszli do rzeki pozostali. Na brzegu został tylko Leander z łukiem w pogotowiu. Miał za zadanie zająć się wartownikiem, gdy tylko odkryje on obecność grupy Aralda.

Crowley, nie odrywając oczu od wartownika, przekradał się przez wodę. Zatrzymywał się i zanurzał głębiej, gdy bestia znajdowała się w polu widzenia. Nie musiał sprawdzać, czy pozostali postępują identycznie. Wszyscy przeszli tę samą surową szkołę.



Wcześniej tego wieczoru Morgarath wezwał jednego ze swoich poruczników, mężczyznę, który od dziesięciu lat służył mu na Zamku Gorlan. Lord Deszczu i Nocy siedział przed czarnym namiotem i pił wino wypełniające srebrny kufel. Wpatrywał się we wzgórze naprzeciwko, gdzie w ciemnościach nocy lśniły ogniska aralueńskiej armii.

Podwładny zbliżył się ostrożnie, zastanawiając się, czy zrobił coś, co mogło zirytować jego władcę. Lord Morgarath był nieprzewidywalny. Potrafił wpaść w ślepią furję przy najłżejszej prowokacji – albo nie zareagować w ogóle na nic. Warto było zachować jak największą ostrożność, dopóki nie odgadło się, w jakim akurat jest nastroju.

– Wzywałeś mnie, panie? – zapytał uniżenie.

Morgarath nie odpowiadał przez kilkanaście sekund, a gdy się już odezwał, nie patrzył na mężczyznę. Wskazał ruchem kufla aralueński obóz.

– Widzisz tych ludzi, Trask?

Przez moment Trask przypuszczał, że Morgarath naprawdę widzi kogoś na wzgórzu. Potem uświadomił sobie, że ma on na myśli ogólnie armię Duncana. Niepewnie skinął głową, ciągle nie wiedząc, o co chodzi Morgarathowi. Gładki, niski głos nie dostarczał żadnych wskazówek.

– Tak, panie – odpowiedział.

Morgarath znowu nie spieszył się z odpowiedzią. Być może była to celowa gra, by jego podwładni byli nieprzygotowani na jego reakcje i niepewni siebie. A może po prostu zastanawiał się nad czymś. Trask uświadomił sobie, że nie może być niczego pewien.

– Znam tych ludzi – odezwał się w końcu Morgarath. – Duncana. Crowleya. I Halta. Szczególnie Halta. – W jego głosie zabrzmiała nuta najczystszej nienawiści, gdy powtórzył imię hibernijskiego zwiadowcy.

Trask wyczuł, że jakaś odpowiedź jest w tym momencie konieczna.

– Tak, panie – powiedział. Te słowa były tak niezobowiązujące i pozbawione jakiegokolwiek śladu własnego zdania, jak to tylko możliwe.

– To sprytni ludzie – mówił dalej Morgarath. – Bardzo sprytni ludzie. I układają bardzo sprytnie plany.

Trask zawahał się. Kolejne „Tak, panie” nie wydawało się stosowne. Trzymał język za zębami i czekał, co jeszcze powie Morgarath.

– Zobaczyli nasze przenośne barykady. I domyślili się, do czego nam posłużą.

– Tak myślisz, panie? – zapytał Trask z nutą zaskoczenia w głosie. On zastanawiał się nad tymi dziwacznymi konstrukcjami na kołach, aż wreszcie wyjaśniono mu ich przeznaczenie.

Morgarath obdarzył go bazyliżkowym spojrzeniem. Nie należało podawać w wątpliwość opinii byłego barona Gorlanu.

– Tak myślę – odparł spokojnie. Ale w tych prostych słowach kryła się bezpośrednia groźba. *Nie próbuj więcej we mnie wątpić.*

Trask przełknął ślinę, co okazało się trudnym wyzwaniem, ponieważ nagle zaschło mu w gardle. Opuścił wzrok i wbił go w ziemię, zamiast patrzeć na swojego władcę.

Morgarath zauważył ten pokorny gest i skinął głową. Niezwykle lubił trzymać

podwładnych w strachu.

– Tak jak mówiłem, to sprytni ludzie i będą tam siedzieli, knując, wymyślając sposoby zniszczenia moich machin bojowych. W nocy przekradną się na dół, przekroczą rzekę i spróbują je zniszczyć. Mogę to wyczuć.

– Czy mam wystawić na brzegu rzeki podwójne warty, panie? – zapytał Trask.

Morgarath znowu na niego spojrzał. To było typowo bezmyślne rozwiązanie problemu, jakiego mógł się spodziewać po ludziach, którzy mu służyli. Dodatkowo wartownicy mogli zniechęcić potencjalnych sabotażystów. On natomiast widział w tym okazję do pozbycia się kogoś z ludzi, którzy mu się sprzeciwiali. W szczególności zwiadowców, ponieważ spodziewał się, że to oni otrzymają misję zniszczenia barykad. Przy odrobinie szczęścia będzie wśród nich Halt. Albo Crowley. To będzie dobrze wykorzystana noc, jeśli uda mu się zabić lub schwytać któregoś z nich.

– Nie, nie chcę ich zatrzymać. Chcę ich zabić. Pozwolę im przejść przez rzekę, a potem ich zabiję. Weź trzydziestu wargalów i utwórz krąg warty wokół machin. Pozostań w ukryciu, a kiedy pojawią się zwiadowcy, dopuść ich jak najbliżej, a potem odetnij im odwrót do rzeki. I zabij wszystkich.

– Tak jest, panie. Czy trzydziestu wystarczy? Mógłbym wziąć pięćdziesiąt bestii.

Morgarath potrząsnął głową.

– Nie, nie. Będzie ciemno, a jeśli zabierzesz zbyt wielu, będą błądzić po omacku i wpadać na siebie nawzajem. Wątpię, by wysłali więcej niż pół tuzina ludzi, więc trzydziestu to będzie aż nadto. Pamiętaj tylko, by czekać w ukryciu i być gotowym na ich przybycie.

Trask zawahał się, czy zadać następne pytanie, ale wiedział, że nie ma wyboru.

– Panie, skąd będę wiedział, że się zbliżają?

Morgarath uśmiechnął się. Chciał usłyszeć to pytanie, ponieważ pozwalało mu pokazać, że potrafi przechytrzyć wroga. Zależało mu bardzo na reputacji człowieka o przenikliwym umyśle.

– Ponieważ upozorują dywersję, żeby nas odciągnąć od machin – powiedział. – Prawdopodobnie po przeciwnej stronie obozu. Będzie hałaśliwa, doskonale widoczna, a ty na nią nie zareagujesz. Rozumiesz?

– Tak, panie. Rozumiem. – W ostatnim słowie Morgaratha kryła się niewypowiedziana groźba. Niewypowiedziana, ale całkowicie jednoznaczna.

– Kiedy usłyszysz zamieszanie w innym miejscu obozu, miej się na baczności. Pozostań w ukryciu i czekaj na pojawienie się zwiadowców.

Spojrzenie nieruchomych oczu znowu wbiło się w Traska. Mężczyzna chciał spuścić wzrok, ale uświadomił sobie, że jeśli to zrobi, wywoła atak wściekłości Morgaratha. Przełknął znowu ślinę. Zaś Morgarath uśmiechnął się. W jego oczach nie było rozbawienia, ale lekki uśmiech wykrzywił jego wargi, gdy wymówił ostatnie słowa:

– A kiedy się pojawią, zabij ich.



Wartownik znowu się zbliżał, robiąc kolejny ob chód powierzonego mu odcinka. Arald skulił się pod niskim brzegiem rzeki i nasłuchiwał kroków wargala, który podszedł i zatrzymał się bezpośrednio ponad nim. Pozostali żołnierze kucali po bokach Aralda, przyciśnięci plecami do brzegu, tak żeby wartownik ich nie zauważył.

Arald wymacał ciężką pałkę, którą nosił na pasku zaczepionym na szyi. Zastanawiali się nad najlepszym sposobem unieszkodliwienia wartownika tak, by zrobić jak najmniej hałasu. Proponowano nóż, ale za mało wiedzieli o budowie fizycznej wargalów – mogłoby być trudno jednym pchnięciem trafić w życiowy punkt. Można było stłumić krzyki wartownika, zaciskając mu rękę na twarzy i ustach. Jednakże wargalowie byli wyposażeni w potężne kły, więc ten pomysł wydawał się mało atrakcyjny. Nikt nie miałby ochoty zbliżyć ręki do tych wielkich żółtych zębów.

Ostatecznie pałka wydawała się najlepszym rozwiązaniem.

Tym razem, gdy wartownik minął miejsce, gdzie przyczał się Arald, baron wyskoczył gwałtownie na brzeg, unosząc przygotowaną do ciosu pałkę.

Ten ruch narobił oczywiście hałasu, ponieważ woda spływała strumieniami z przemoczonego ubrania Aralda. Wargal zaczął się obracać, jednakże baron miał przewagę dzięki swojej szybkości. Mógł mieć lekką nadwagę, jednakże był doświadczonym wojownikiem, wyszkolonym w zadawaniu błyskawicznych ciosów. Głowa wartownika była dopiero na pół odwrócona w jego stronę, gdy spadła na nią z łomotem pałka, zgniatając płaską skórzaną czapkę i pozbawiając wargala przytomności. Arald zamachnął się do drugiego ciosu, gdyby okazał się potrzebny, ale potężna, kosmata bestia wydała cichy jęk i z głuchym łoskotem upadła na miękką ziemię na brzegu rzeki.

– Idziemy! – rozkazał cicho baron Redmont, a jego ludzie wyłonili się z rzeki, ociekając wodą, i wyszli pospiesznie na brzeg.

Arald poświęcił chwilę na sprawdzenie, gdzie dokładnie są. Wiedzieli, że wozy z zaopatrzeniem znajdują się po ich lewej stronie, ustawione za pierwszym rzędem namiotów. Schował pałkę pod kurtkę, dobył miecza i ruszył szybkim krokiem w tamtą stronę. Żołnierze poszli za nim – ich buty chlupotały, gdy wyciekały z nich resztki wody.

W pierwszej chwili zaniepokoił się, że robią za dużo hałasu. Szybko jednak zorientował się, że wargalowie nie mieli w zwyczaju spać po cichu. Nocną ciszę przerywały pomruki, pojękiwania i urwane skowyty – a od czasu do czasu donośne odgłosy puszcanych gazów. Odrobina kapiącej wody nie robiła żadnej różnicy.

Pochyleni i przygarbieni dotarli na koniec rzędu namiotów i skierowali się do wozów i magazynów z zaopatrzeniem. Arald ostrożnie wybierał drogę. Namioty były rozstawione w nierównych rzędach, a nie w porządnym geometrycznym liniach, jak w obozie wojsk Araluenu, więc cały czas istniało ryzyko, że ktoś może się potknąć o linę naciągową, w ciemności trudną do zauważenia i ominięcia. Odwrócił się do żołnierzy, żeby ich ostrzec.

– Uważajcie na liny namiotów.

Kilku z nich pokiwało głowami. Potem, co było nieuniknione, któryś zaczepił stopą o linę, zamachał gwałtownie rękami i poleciał na namiot zrobiony z czarnej skóry, przewracając go i przygniatając śpiącego w środku wargala.

Wargal wydał pomruk zaskoczenia i zaczął się szamotać, by się wydostać z przewróconego namiotu. Jeden z pozostałych żołnierzy chwycił towarzysza za rękę i pomógł mu się podnieść z zawalonego kłębu czarnej skóry. Wtedy obudzony brutalnie wargal szybkimi ruchami wydostał się z namiotu, wstał i rozejrzał się z wściekłością, zaskoczony i nadal na pół śpiący. Zobaczył przykucnięte wokół ciemne sylwetki mężczyzn i zaczął wydawać ostrzegawcze warknięcia.

Arald rzucił się i przeszył wargala mieczem. Bestia zachwiała się, ściskając ostrze w połowie długości, aż w końcu Arald zdołał je wyrwać. Wtedy przewróciła się z powrotem na zawalony namiot, skrzecząc z bólu.

Wszędzie wokół usłyszeli warkliwe nawoływania innych wargalów. Budzili się, wychodzili ociężale z namiotów i trafiali na miecze małej nieprzyjacielskiej grupki, która wdarła się do ich obozowiska. Namioty magazynowe były odległe zaledwie o kilka metrów, więc Arald wskazał je mieczem.

– Podpalić zapasy! – rozkazał. – Trzech niech zostanie ze mną i pomoże mi ich zatrzymać.

Z tymi słowami ciął kolejnego wargala, który zwałił się na ziemię. Ale coraz więcej bestii wychodziło z namiotów i rozglądało się za źródłem zamieszania. Wreszcie jeden ze służących w armii Morgaratha ludzi zaczął krzyczeć:

– Alarm! Zostaliśmy zaatakowani! Bić na alarm!

W jednej chwili noc wypełniło warczenie i kłapanie wargalów, uzbrojonych lub nieuzbrojonych, rzucających się na oddział Aralda, gdy tylko zauważyli intruzów. Baron zabił kolejno dwóch, jednego za drugim. Żołnierz obok powstrzymał trzeciego.

Namioty magazynowe rozjaśnił blask ognia, gdy ludzie Aralda oblali płótno olejem, a potem za pomocą krzesiwa podpalili łatwopalną ciecz.

Wargalowie poszczekiwali i warczeli, zaniepokojeni, coraz liczniej ściągając w pobliże magazynów. Arald rozejrzał się. Jego ludzie nadal byli w komplecie. Ci, którzy podpalali namioty z zapasami, wrócili już do niego.

– Do rzeki! – krzyknął, ruszając, a żołnierze pobiegli za nim, tupiąc chlupoczącymi butami. Ciemność była ich sprzymierzeńcem, podobnie jak ogromna liczba wargalów, którzy zgromadzili się przy namiotach magazynowych. Zdarzało się wręcz, że wszczynali między sobą bijatki, a większość z nich nie miała pojęcia, skąd wzięli się atakujący ani gdzie zniknęli.

Niebawem jednak dostrzeżono uciekający oddział i potworni żołnierze Morgaratha rzucili się ociężale w pogoń.

Arald obejrzał się i zobaczył, że dwóch wargalów wysforowało się na czoło pościgu i wielkimi susami zbliża się do jego ludzi. Przesunął się w bok, przepuścił podkomendnych i zastąpił drogę wargalom.

Byli uzbrojeni – jeden niósł krótką włócznię, a drugi miecz. Arald odparował cios włóczni, zablokował jej drzewce i szybkim kolistym ruchem ostrza wytrącił broń z dłoni właściciela. Następnie pchnął mieczem zwalistą sylwetkę i poczuł, że ostrze zagłębia się w ciało. Bestia upadła na ziemię z agonialnym skrzekiem.

Drugi wargal zamachnął się szeroko mieczem. Gdyby cios dosięgnął celu, rozplątałby rycerza od ramion do pasa. Ale Arald zrobił unik; poczuł podmuch powietrza, gdy ostrze minęło go o włos, wbijając się w ziemię u jego stóp. Trzasnął ręką w głowę wargala, zanim ten odzyskał równowagę, a gdy bestia się zachwiała, precyzyjnym ruchem podciął jej gardło.

Nie czekał, aż przeciwnik upadnie na ziemię, tylko momentalnie odwrócił się i rzucił w stronę rzeki. Ciemne kształty wyłaniały się z namiotów przed nim, a on ciął

przeciwników z bezwzględną skutecznością, zanim zdążyli się zorientować, że mają do czynienia z wrogiem.

– Do rzeki! – krzyknął, chociaż słyszał już głośny chłopot i uświadomił sobie, że ten rozkaz jest niepotrzebny. Żołnierz przed nim zachwiał się i upadł, trafiony włócznią dokładnie w środek pleców. Rana była śmiertelna, więc Arald nie tracił czasu na sprawdzanie jego stanu. Gnał co sił, słysząc tuż za sobą odgłosy pogoni, aż wreszcie wpadł do rzeki, wznosząc wysoką fontannę wody.



Po przeciwnej stronie obozu kucający w płytkiej wodzie brodu Crowley usłyszał nagle krzyki i zobaczył jaskrawe łuny płomieni, odcinające się od nocnych ciemności. Odwrócił się do Leandra, stąd widocznego tylko jako ciemny kształt skulony na drugim brzegu rzeki, z łukiem w pogotowiu. Crowley zamachał ramieniem.

Leander wstał. Miał już strzałę założoną na cięciwę, więc naciągnął łuk, wycelował i wypuścił ją jednym płynnym ruchem. Strzała trafiła wartownika w sam środek pleców. Wargal wydał niski jęk zaskoczenia i bólu, a potem zwałił się martwy na nadrzeczny piasek.

Crowley natychmiast zerwał się na równe nogi i poprowadził pozostałych zwiadowców do obozu wargalów, w stronę miejsca, gdzie – jak wiedzieli – trzymano przenośne barykady. Gdy zbliżyli się do wysokich, ciężkich konstrukcji, skinął na Roberta i Jurgena. Jurgen krzesał już ogień, sypiąc iskry na nasiąkniętą olejem pochodnię, którą miał ze sobą, i rozdmuchując je, aż stanęła w płomieniach. Robert niósł duży bukłak z olejem, który zdjął z ramienia, gotów rzucić nim w barykady.

W tym momencie w nocnych ciemnościach pojawiły się ciemne kształty, warczące, pomrukujące i skowyczące. Podnosiły się z ukrycia za wozami i namiotami, a także zza samych barykad. Crowley usłyszał głos człowieka wołającego: „Do ataku!” i wyciągnął sakwę, przeklinając sam siebie za to, że zostawił łuk na drugim brzegu.

Jeden z wargalów zaatakował. Crowley prześlizgnął się pod zbyt szerokim cięciem z zamachu i usłyszał świst miecza nad głową. Nie zatrzymując się, zrobił krok naprzód i wbił sakwę w zwaliste ciało. Usłyszał jęk zaskoczenia, a potem bólu, gdy wargal cofnął się chwiejnie, niemalże wyrywając mu przy tym broń z ręki.

Wszędzie wokół siebie słyszał szcęk broni i pomruki oraz powarkiwanie wargalów, którzy czekali w zasadzce na jego grupę. Nie wiedział, ilu jest przeciwników, ale był pewien, że wróg ma nad nimi przewagę liczebną.

Nie było sposobu, by udało im się wykonać misję. Jedyne, co teraz musieli zrobić, to przetrwać i uciec.

– Do rzeki! – krzyknął Crowley. – Odwrót!

Miał nadzieję, że kiedy tylko znajdą się w wodzie, Leander zdoła ich osłonić strzałami. Odparował kolejny cios miecza, ciął wargala w dłoń i zobaczył, że miecz wypada mu z pozbawionych czucia palców. Mimo to bestia rzuciła się na niego, więc musiał pchnięciem saksy przeszyć jej gardło i położyć ją trupem na miejscu.

Zobaczył w tym momencie, że znajdujący się o kilka metrów od niego Robert zakręcił bukłakiem z oliwą nad głową i cisnął nim tak, że zawartość oblała kilku wargalów szykujących się do ataku. Cofnęli się, gdy zostali opryskani olejem, ale zaraz zorientowali się, że ta ciecz jest nieszkodliwa i znów ruszyli przed siebie.

To był błąd. Jurgen cisnął pochodnię w ślad za bukłakiem – upadła pomiędzy wargalami, a łatwopalny płyn natychmiast zajął się ogniem.

Rozległ się syk płomieni i trzy bestie stanęły w ogniu. Czwarty wargal odskoczył z płonąca ręką i dłonią. Zaczął tłumić ogień, warcząc z przerażeniem.

To wystarczyło, by dać zwiadowcom potrzebną szansę ucieczki. Jak jeden mąż odwrócili się i rzucili w stronę rzeki. Wargalowie po chwili wahania ruszyli w ich ślady. Crowley słyszał, jak dowodzący nimi człowiek wykrzykuje rozkazy, ponagłając ich, by ścigali uciekającego nieprzyjaciela.

Rozejrzał się, mrużąc oczy w słabym świetle. Płomienie pochłaniające wargalów nadal jasno płonęły, ale teraz dołączył do nich ohydny smród palącego się futra i zwęglonego mięsa. W końcu dostrzegł dowódcę, stojącego na uboczu z wyciągniętym mieczem i krzyczącego na swoich podkomendnych aż do zachrypięcia.

Crowley wsunął saksę do pochwy i wyciągnął nóż do rzucania. Jego ramię cofnęło się i wystrzeliło naprzód jednym płynnym ruchem, gdy posłał wirujący nóż przez otwartą przestrzeń, dzielącą go od dowódcy wargalów.

– Nie pozwólcie im... – krzyczał mężczyzna, gdy wirujący nóż wyłonił się z ciemności i trafił go w pierś. Zrobił chwiejnie kilka kroków, patrząc nierozumiejąco na rękojęść wystającą z ciała. Ścisnął ją obiema dłońmi, próbując wyciągnąć, ale okazało się, że nie ma na to siły. W tym momencie nogi się pod nim ugięły i upadł na ziemię, kończąc rozkaz ledwie słyszalnym szeptem: – ...uciec.

Crowley brnął już z chlupotem przez płyciznę brodu wraz z pozostałymi zwiadowcami. Wargalowie zawahali się, gdy Trask został zabity, a jego głos ucichł. Nie potrafili sami się organizować podczas bitwy. Gdy pierwsza grupa ścigająca uciekinierów zatrzymała się na brzegu, Leander zaczął strzelać z przeciwległego brzegu rzeki.

– Zwiadowcy! Nie podnoście głów! – krzyknął, a oni nie potrzebowali dalszych ostrzeżeń. Crowley, który przykucnął w wodzie, usłyszał rozdzierający powietrze świst strzał Leandra, przelatujących zaledwie metr nad jego głową. Usłyszał także głuchoe odgłosy, gdy strzały sięgnęły celu. Pierwsi czterej wargalowie padli niemal natychmiast, w odstępnie krótszym niż uderzenie serca. Ci za nimi zawahali się na moment lub dwa, czekając na dalsze rozkazy Traska. Tych kilka sekund ich zgubiło.

Dały one czas Crowleyowi i pierwszym trzem zwiadowcom, by wydostali się na brzeg i złapali swoje łuki. Chmura strzał poleciała ponad rzeką, zabijając lub ciężko raniąc kolejne pół tuzina wrogów.

W zasadzce czekało trzydziestu wargalów. Teraz, w przeciągu kilku minut, została ich niespełna połowa. Pozbawieni dowódcy, krążyli niespokojnie w pobliżu brzegu. Potem, gdy kolejne strzały śmignęły w ciemnościach i zabiły jeszcze dwóch z nich, odwrócili się i pobiegli szukać schronienia przed bezlitosnym ostrzałem.

– Nie idą za nami! – krzyknął Crowley. – Ruszamy wzdłuż brzegu, musimy osłaniać odwrót Aralda i jego ludzi.

Zwiadowcy ruszyli biegiem. Jednakże wcześniej było ich dziewięciu, a zostało tylko ośmiu. Crowley rozglądał się rozpaczliwie, próbując sprawdzić, kogo brakuje, ale w ciemności i ogólnym zamieszaniu nie widział wyraźnie twarzy towarzyszy.

Gdy zbliżyli się do przeciwległego krańca brodu, zobaczyli ciemne sylwetki ludzi Aralda, brnących po pas w wodzie w ich stronę. Ścigały ich ciemne kształty wargalów, którzy w ślad za nimi weszli do rzeki.



Arald uświadomił sobie, że wargalowie za chwilę ich dopadną, więc odwrócił się w sięgającej mu do pasa wodzie twarzą do nieprzyjaciela.

– Zatrzymać ich! – krzyknął do dwóch najbliższych żołnierzy.

Mężczyźni z obnażonymi mieczami wrócili do niego przez wodę. Baron odparował cios wargala na czele pościgu, a potem ciął skosem, niemal odcinając głowę od ciała. Bestia upadła z potężnym pluskiem, a jej krew zabarwiła wodę, która zdawała się czarna w migoczącym blasku ognia oświetlającego okolicę. Towarzysz Aralda odbił cios topora drugiego wargala, więc miecz barona śmignął jak atakująca żmija – szybko i śmiertelnie.

Ale coraz więcej wargalów wchodziło do rzeki i brnęło przez wodę tyralierą, starając się okrążyć trzech mężczyzn osłaniających odwrót swoich towarzyszy.

– Gdzie są ci przekłeci zwiadowcy? – zapytał gniewnie drugi towarzysz Aralda, gdy odparował uderzenie wielkiego, zwalistego wargala i zadał mu rozpaczliwy cios.

Usłyszeli znajomy już świst, gdy liczne strzały pofrunęły nad nimi, kosząc ścigających, jak kosa pszenicę.

Po chwili w rzece nie została ani jedna bestia. Kolejny tuzin wargalów tłoczył się na brzegu, gdzie dopadła ich kolejna fala ostrzału. Pięciu poleciało na ziemię w ciągu niespełna dwóch sekund. Pozostali, w tym momencie nieznajdujący się pod wpływem bitewnego szału, jaki rozpałał w nich Morgarath, cofnęli się o kilka kroków. Potem, gdy zaczęły ich dosięgać kolejne strzały, rzucili się do ucieczki przed bezlitosnymi

grotami.

– Zabierajmy się stąd! – odetchnął z ulgą Arald i mały oddział szybko przebrnął przez wodę do przeciwległego brzegu, a potem wspiął się na wzgórze.



– Straciłem trzech ludzi – powiedział Arald, gdy spotkali się w namiocie Duncana, by omówić rezultaty wypadu.

– A my straciliśmy Jurgena – dodał Crowley ponurym głosem. Nienawidził tracić ludzi, a śmierć zwiadowcy była niemalże nie do pomyślenia. W jego oczach każdy zwiadowca był wart co najmniej pięciu zwykłych żołnierzy.

Duncan popatrzył ze współczuciem w oczach.

– Jak to się stało?

Crowley westchnął ciężko, by dać ujście emocjom.

– On i Robert uratowali nam życie. Wykorzystali olej i pochodnię, by zatrzymać pierwszy atak wargalów, kiedy zostaliśmy wzięci z zaskoczenia. Robert rzucił w nich bukłakiem z olejem, a Jurgen podbiegł z pochodnią, żeby podpalić olej, a wraz z nim wargalów. To dało nam czas potrzebny, by się przegrupować i wycofać. Ale sam wystawił się przy tym na niebezpieczeństwo, a jeden z wargalów cisnął włócznią, która trafiła go w bok.

W namiocie zapanowała ponura cisza. W końcu Crowley odezwał się znowu, z goryczą w głosie:

– Nie byłoby tak źle, gdyby przy tym udało nam się coś osiągnąć. Ale czekali na nas i nie zdołaliśmy się nawet zbliżyć do barykad.

Arald ponuro przytaknął jego słowom.

– Nie udało nam się nawet poważniej uszczuplić ich zapasów – oznajmił. – Morgarath od początku nas przechytrzył. Przewidział, że przyjdziemy, i był na to przygotowany.

Duncan zauważył, że jego dwaj dowódcy mają przygarbione ramiona i wbijają wzrok w ziemię.

– Morgarath nie jest głupcem, to wiemy od dawna – powiedział cicho. – Nie możemy oczekiwać zwycięstwa w każdej bitwie.

Crowley i Arald spojrzeli na króla. W jego oczach ujrzeli stalową determinację.

– Wystarczy, że zwyciężymy w ostatniej.





Halt następnego dnia zarządził wczesną pobudkę, ponieważ chciał do połowy poranka przeprowadzić konnicę przez las i przeprowić się przez rzekę. Śniadanie zjedli pospiesznie przed świtem. W pobliżu nie było nieprzyjaciela, więc Halt pozwolił żołnierzom na rozpalenie ognisk. Nie zrobił tego wyłącznie z bezinteresownej troski o ich wygodę. Ognisko oznaczało, że można było zagotować wodę, zaś zagotowana woda oznaczała kawę. Halt nienawidził zaczynać dnia bez kawy.

Z zadowoleniem wypił łyk z parującego kubka, omawiając plan działania z kapitanem konnicy. Gilan krążył po obozie, pełen nerwowej energii, i nie mógł się doczekać, kiedy będą mogli wyruszyć. Halt pomyślał, że Gilan wiecznie nie może się doczekać, aż zacznie się coś dziać, chociaż nie miało sensu wyruszenie w drogę przed wschodem słońca. W ciemnościach żołnierze będą dezorientowani i niepewni.

– Gilan i ja poprowadzimy naszych do brodu – powiedział do Lorriaca. – Żołnierze powinni jechać gęsiego, drzewa rosną zbyt gęsto, by dało się to inaczej zorganizować. Oznaczyłem szlak na drzewach co jakieś pięć metrów, więc nikt nie powinien się

zgubić.

Lorriac skinął głową, przyjmując słowa Halta do wiadomości.

– Gdzie widzisz miejsce dla mnie?

– Będziesz zamykał zastęp i poganiał ewentualnych maruderów – zdecydował Halt.

– Spodziewam się, że oddział się rozciągnie. Zawsze tak się dzieje, gdy trzeba jechać konno gęsiego, w trudnym terenie.

– To prawda – zgodził się Lorriac. – Ale w miarę jak kolejni jeźdźcy będą przecierać szlak, ci z tyłu powinni mieć trochę łatwiej.

Halt nie wziął tego pod uwagę. Kiedy ponad setka konnych przejedzie wąską, krętą ścieżką, którą on i Gilan dotarli do brodu, leśne zarośla będą stopniowo tratowane, młode drzewka rozpychane, a droga się poszerzy. Ostatnim żołnierzom powinno być znacznie łatwiej manewrować pomiędzy drzewami.

– Mimo wszystko pilnuj ich tempa – polecił.

Lorriac przełknął ostatni kęs śniadania. Wypił łyk z manierki – nie był amatorem kawy – i oddalił się, by wydać rozkazy żołnierzom zwijającymi obóz.

Halt dopił kawę do ostatniego łyka, zastanowił się nad zaparzeniem drugiego kubka i spojrzał na niebo na wschodzie. Słońce zaczęło się wyłaniać znad czubków drzew, więc niechętnie doszedł do wniosku, że nie ma już czasu. Wyrzucił fusy z kubka do ogniska i podszedł do miejsca, gdzie poprzedniego wieczoru on i Gilan rozbili jednoosobowe namioty.

Gilan, który koniecznie chciał się czymś zająć, złożył już namioty i właśnie zwijał je w ciasne rulony, które można było umocować za siodłem. Halt skinął głową w podzięcie.

– Dobra robota – rzucił, a Gilan uśmiechnął się, słysząc pochwałę. Halt pomyślał, że powinien to robić częściej. Przypominał sobie własne dni chłopięce, gdy dobre słowa słyszał niezwykle rzadko, a jego życie zatruwała nienawiść i intrygi snute przez brata bliźniaka. Zwinął posłanie w ciasny rulon i związał go skórzanymi paskami. Ostatniej nocy wykorzystał siodło jako poduszkę. Pstryknął palcami na Abelarda.

Konik posłusznie zbliżył się do zwiadowcy i stał spokojnie, gdy Halt zakładał mu siodło na grzbiet i zaciągał popręg.

– Chciałbym, żeby mój koń tak potrafił – powiedział z zazdrością Gilan. Jego koń wykazywał się skrajną krnąbrnością w chłodnym powietrzu poranka, tańcząc w miejscu, podskakując i odsuwając się na bok, gdy chłopiec starał się go osiodłać. Potem wziął głęboki oddech, żeby wypiąć brzuch, kiedy Gilan zaczął zaciągać popręg. Halt uniósł ostrzegawczo palec. Jeśli Gilan nie zareaguje od razu, koń wypuści powietrze dopiero po zaciągnięciu popręgu i pasek pozostanie luźny. Ale Gilan znał sztuczki swojego wierzchowca.

– Wiem – skinął głową. – Zawsze tego próbuje.

Przyciągnął konia bliżej i mocno szturchnął go kolanem w brzuch, zmuszając do

wypuszczenia zatrzymanego oddechu. Zanim koń zdążył znowu nabrać powietrza, Gilan zaciągnął mocno popręg i zapiął go.

– Mógłby się wreszcie zorientować, że znam tę jego sztuczkę – zauważył.

Halt uśmiechnął się.

– Wszystkie tego próbują.

Gilan uniósł brew.

– Nawet Abelard?

– Teraz już nie. Próbował przez pierwszych kilka tygodni, kiedy go dostałem. Ale jest na tyle mądry, żeby zrozumieć bezsens takiego działania. – Z czułością poklepał konia po aksamitnym nosie. Abelard prychnął na potwierdzenie, wydmuchując chmurę pary.

– Naprawdę chciałbym mieć konia zwiadowcy. – Gilan przyglądał się wytrzymałemu, niedużemu zwierzęciu.

– Musiałbyś najpierw zostać zwiadowcą – oznajmił lekkim tonem Halt. Żartował, ale Gilan potraktował go poważnie.

– Czy to możliwe? – zapytał.

Halt był zaskoczony szybkością jego odpowiedzi.

– Cóż... tak. Oczywiście, że tak – rzekł, niepewny, na ile powinien podsycać to nagle obudzone zainteresowanie. – Musiałbyś się najpierw zgłosić do Crowleya. On oceniłby twoje umiejętności.

– Nie przypuszczam, żeby były z tym jakieś problemy – odparł Gilan. – Ostatecznie mój ojciec jest zbrojmistrzem.

Halt leciutko zmarszczył brwi.

– Kiedy zgłaszasz się, żeby zostać zwiadowcą, nie ma znaczenia, kim jest twój ojciec ani czym się zajmuje. Liczy się to, kim ty jesteś.

Gilan zarumienił się.

– Nie chciałem, żeby to zabrzmiało, jakbym się czuł uprzywilejowany czy coś takiego – wyjaśnił natychmiast. – Albo że mam większe szanse niż ktoś inny z powodu tego, kim jest mój ojciec.

Halt nic nie powiedział. Uśmiechnął się tylko lekko kpiąco i uniósł brew.

Gilan przez chwilę się nie odzywał, aż wreszcie spuścił wzrok.

– Właściwie chyba jednak to miałem na myśli, jeśli się dobrze zastanowić – przyznał.

– Cóż, skoro sam o tym wiesz – odparł Halt, tłumiąc uśmiech. Wskoczył na siodło, a Gilan poszedł w jego ślady. Teraz jednak, gdy ziarno pomysłu zostało zasiane, chłopiec chciał się dowiedzieć więcej.

– Ile lat muszę mieć? – zapytał.

– Wydaje mi się, że większość uczniów ma jakieś piętnaście lat – odparł Halt. – Czyli musisz jeszcze trochę poczekać.

– Aha. Jasne. – Gilan zastanawiał się przez kilka sekund. – Zamierzasz przyjąć ucznia?

Halt wyprostował się w siodle, zaskoczony pytaniem.

– Nie, jeśli będę miał coś do powiedzenia w tej sprawie – mruknął. Szturchnął obcasami Abelarda i podjechał do Lorriaca, który ustawił oddział w trzech zastępach. Gilan przyjechał kilka kroków za Haltem, wyczuwając, że temat jego przyszłości jako zwiadowcy jest na razie zamknięty.

Lorriac skinął głową na powitanie. Kapitan siedział swobodnie w siodle i patrzył na sformowany oddział.

– Gotów? – zapytał. Halt machnął ręką, że może mówić dalej, więc Lorriac podniósł głos, żeby słyszeli go także żołnierze w ostatnim rzędzie.

– Będziemy jechać w pojedynczym zastępie – oznajmił. – Zwiadowca i syn zbrojmistrza wskażą nam drogę.

– On ma na imię Gilan – powiedział cicho Halt. Lorriac urwał na moment i uświadomił sobie, że mówienie o Gilanie „syn zbrojmistrza” może być uwłaczające dla poczucia godności chłopaka. Skinął głową zwiadowcy i poprawił się.

– Zwiadowca i Gilan, nasz przewodnik, wskażą nam drogę. Ruszamy w następującym porządku: najpierw lewy zastęp, potem środkowy, na końcu prawy. Ja będę zamykał oddział. Sierzanci i kaprale, pilnujcie tempa. Nie pozwólcie, żeby żołnierze się ociągali.

Prawy i lewy zastęp Lorriac sformował ze swoich najlepszych i najbardziej godnych zaufania ludzi. Obiboki, potencjalne źródła problemów i typy bezmyślne, obecne w każdej większej grupie, umieścił w zastępie środkowym. W ten sposób tkwili wciśnięci między bardziej godnych zaufania żołnierzy.

– Trzymajcie się blisko jeden drugiego. Nie ociągajcie się. Szlak wyznaczają nacięcia na drzewach co pięć metrów, na wysokości wzroku. – Spojrzał na Halta, by się upewnić, czy to prawidłowa informacja. Zwiadowca potwierdził, że tak jest, więc Lorriac ciągnął: – Chcemy minąć las i przekroczyć bród w ciągu dwóch godzin. Niewykluczone, że armia Morgaratha zaatakuje dzisiaj, więc towarzysze broni będą nas potrzebować. Dlatego jeśli jeździec przed wami porusza się wolniej od was, szturchnijcie jego konia w zad drzewcem włóczni, żeby przyspieszył. Jeśli to nie pomoże, możecie szturchnąć ostrzem włóczni jeźdźca. – W oddziale rozległy się ściszone śmiechy. Lorriac umilkł na chwilę i przyjrzał się twarzom żołnierzy ustawionych w trzech rzędach. – Jakies pytania?

Jeden z konnych uniósł rękę.

– Kiedy dotrzemy do brodu, mamy przekroczyć rzekę, czy czekać na pana kapitana?

Lorriac spojrział na Halta i gestem poprosił go o odpowiedź.

– Gilan przejedzie przez rzekę jako pierwszy – odparł Halt, podnosząc głos. – Żeby sprawdzić, czy nie ma głębszych dziur ani innych przeszkód w brodzie. Ja zaczekam na

naszym brzegu, podczas kiedy wy będziecie się przeprawiać. Po drugiej stronie rzeki jest więcej przestrzeni, aby wygodnie sformować oddział. – Popatrzył na lewy zastęp i zwrócił się do jego sierżanta. – Sierzancie, ty będziesz odpowiadać za ustawienie oddziału w szyku na przeciwległym brzegu. Chcę, żebyśmy wyruszyli dalej, kiedy tylko ostatni jeźdźcy się przeprawią.

Zaczekali jeszcze chwilę, rozglądając się, by sprawdzić, czy któryś z żołnierzy ma jeszcze jakieś pytania. Trzy rzędy twarzy patrzyły na nich. Lorriac uniósł prawą rękę i wskazał las.

– Zwiadowco, Gilanie, prowadźcie.

Halt i Gilan szturchnęli swoje konie piętami w żebra i pocwałowali w stronę lasu. Za sobą słyszeli pobrzękiwanie uprzęży i broni oraz skrzypienie skórzanych siodeł, gdy żołnierze ruszyli w ich ślady długim, pojedynczym rzędem.

Wjechali w półmrok pod drzewami. Nagłe ograniczenie dopływu światła sprawiło, że Gilan na moment się zawahał, ale zaraz zauważył pierwsze z białych nacięć, jakie Halt zrobił w korze drzewa, i jego pewność siebie powróciła. Skierował się w tę stronę, zobaczył drugie oznaczone drzewo odrobinę po prawej i ponaglił konia do dalszego marszu. Halt podążał kilka kroków za nim.

Żołnierze ucichli, kiedy wjechali do lasu, na skręcającą od czasu do czasu ścieżkę, wytyczoną przez ich przewodników. Nie mieli właściwie powodów, by zachowywać milczenie, ale półmrok i bliskość drzew wydawały się zniechęcać do swobodnych rozmów.

Halt obejrzał się przez ramię. Widział pierwszych dziesięciu jeźdźców, ale kręta ścieżka, którą się poruszali, oraz niedostatek światła sprawiały, że trudno mu było dostrzec coś dalej. Słyszał jednak hałas robiony przez konie przedzierające się przez leśny podrost i podzwanianie uprzęży za plecami.

– Trzymajcie się blisko siebie. Nie zatrzymujcie się! – zawołał. Widział, że już teraz pierwsi żołnierze za nim zachowują większe odstępki między sobą niż to konieczne. Zakładał, że podobnie dzieje się w przypadku dalszych jeźdźców. Kiedy wydał rozkaz, usłyszał głosy ponaglące konie i zastęp zagęścił szyki. Niedaleko z tyłu sierżant powtórzył rozkaz Halta.

Halt był teraz zadowolony, że pomyślał o oznakowaniu drzew wzdłuż ścieżki. Korzystanie z kompasu byłoby czasochłonne i niewygodne. Dzięki temu Gilan mógł pewnie jechać od jednego znaku do następnego, wypatrując bezustannie białych śladów na ciemniejszej korze drzew.

Podążali dalej. Słońce pomału wspinało się po niebie, a promienie wpadały pod kątem przez leśne sklepienie. Dzień stał się cieplejszy, a wśród drzew rozśpiewały się ptaki. Halt otarł pot z karku. Gęsto rosnące drzewa nie przepuszczały żadnego wiatru, więc doszedł do wniosku, że niedługo będzie musiał zdjąć pelerynę.

Gilan jechał wciąż przed siebie, kierując się znakami na drzewach, a konny zastęp

zbliżał się w równym tempie do rzeki, skręcając najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, by omijać najgęstsze zarośla. Ostatecznie jednak ścieżka zawsze kierowała się na wschód.

Wyjechali na niewielką polanę, więc Gilan przystanął, rozglądając się po otwartej przestrzeni w poszukiwaniu następnego nacięcia na drzewie. Halt szturchnął Abelarda, by do niego podjechał, i uśmiechnął się zachęcająco.

– Jak ci idzie? – zapytał.

Gilan, skoncentrowany, zmarszczył brwi. Zaraz jednak jego twarz się rozjaśniła, kiedy zobaczył następny znak, i ruszył dalej. Obejrzał się na Halta i uśmiechnął się.

– Dobrze – powiedział. – Niedługo powinniśmy być na miejscu.

Halt uświadomił sobie, że nie musi trzymać się tuż za chłopcem. Gilan bez problemu odnajdował ścieżkę. Skierował Abelarda w bok i pozwolił, by jadący za nim żołnierze wyprzedzili go. Zachowywali zwarty szyk, poszczególnych jeźdźców dzieliło tylko kilka kroków. Większą przerwę zobaczył dopiero wtedy, kiedy – jak uznał – pojawili się pierwsi jeźdźcy ze środkowego zastępu, obiboki i lenie, którzy łatwo tracili koncentrację i pozwalali, by kolumna przed nimi oddalała się.

– Pilnujcie tempa! – zawołał nagle i pierwszych kilku żołnierzy zareagowało, jakby coś ich użądliło. Uświadomił sobie, że owinięty w zielono-szarą pelerynę, siedząc na nieruchomym siwym koniu, wtapiał się w tło i nie mieli pojęcia, że tu jest, dopóki się nie odezwał.

Zaskoczeni żołnierze pognali konie, by zmniejszyć odległość od jeźdźców przed nimi. Halt uśmiechnął się ponuro i nie ruszył się z miejsca. Dziesięciu żołnierzy przejechało obok, a potem znowu pojawiła się luka, ponieważ trzech kolejnych straciło z oczu swoich poprzedników i zboczyło ze ścieżki.

– Obudzić się! – warknął i znów wywołał efekt całkowitego zaskoczenia. – Trzymać się tuż za poprzednim jeźdźcem! Tutaj jest znak! Tutaj! – Przesunął Abelarda o krok, by uniemożliwić im skręcanie na bok, i wskazał następne nacięte drzewo. Jeźdźcy pospiesznie skorygowali trasę i skierowali się we właściwą stronę. Nadal jednak odległość między nimi a poprzednią grupą była za duża.

– Szybciej! – warknął na nich. Pospiesznie wykonali rozkaz, a żołnierze za nimi, słysząc złość w głosie zwiadowcy, nie potrzebowali już poleceń, by iść w ich ślady. Halt patrzył, jak jadą, stopniowo zmniejszając odstęp, i potrząsnął z niezadowoleniem głową.

– Spędzimy w tym przeklętym lesie cały dzień, jeśli się nie pospieszą – powiedział do siebie. Nie sprawdzając nawet, czy to jest konieczne, powtórzył rozkaz. – Pospiesz się! Zmniejszyć odstęp!

Ponaglające głosy jeźdźców i nagłe przyspieszenie ruchu koni odpowiedziały mu, że podjął słuszną decyzję.

Ponieważ Halt popędzał i poganiał środkową część kolumny, a Gilan utrzymywał

dobre tempo na przedzie, udało im się dotrzeć na brzeg rzeki po pełnych dwóch godzinach.

Zanim zwiadowca wrócił na czoło kolumny, po drodze klnąc i karcąc powolnych jeźdźców, których wymijał, Gilan zdążył już przeprowić się przez rzekę i sprawdzić bród. Trzydziestu żołnierzy dołączyło do niego na drugim brzegu, ustawiając się w szyku pod okiem sierżanta, któremu Halt zlecił to zadanie. Tak jak zapowiadał zwiadowca, po drugiej stronie rzeki drzewa rosły o wiele mniej gęsto. Pomiędzy nimi widać było otwartą przestrzeń.

Gilan zostawił na brzegu rzeki żołnierza, który miał udzielać wskazówek. Ostrzegł on Halta, gdy ten polecił Abelardowi wejść do wody.

– W odległości ośmiu metrów od brzegu jest głęboka dziura. Ma strome krawędzie, ale koń powinien sobie poradzić. Po prostu pamiętaj o tym.

Halt skinął głową i pojechał dalej. Żołnierze z tyłu zaczęli chwilę, żeby mu nie przeszkadzać, a potem także wprowadzili konie do rzeki. We wskazanym miejscu woda wokół Abelarda szybko zaczęła się robić głębsza, tak że siodło zniknęło pod powierzchnią. Halt trzymał łuk wysoko nad głową, chroniąc cięciwę od zamoknięcia. Poczł, że Abelard się waha, więc ponaglił go szturchnięciem do dalszego marszu. Koń zaraz znalazł oparcie dla kopyt i pewniej ruszył przed siebie. Dno rzeki zaczęło się znowu podnosić i obaj wynurzyli się z wody, a koń otrząsnął się energicznie.

Halt przejechał na drugą stronę polany do Gilana, który obserwował sytuację z niecierpliwością. Zwiadowca skinął głową z aprobatą.

– Dobra robota, Gilanie. Sporo udało nam się zrobić przed południem.

Chłopiec rozpromienił się, słysząc te słowa. Halt znowu zanotował w myślach, że kilka słów pochwały może zdziałać cuda dla samooceny młodego człowieka. Zsiadł z konia, usiadł na ziemi i zdjął buty, żeby wylać z nich wodę, a potem założył je z powrotem.

Kolejni żołnierze przeprowiali się przez rzekę, a sierżant pilnował szyku. W końcu Halt zobaczył zamykającego zastęp Lorriaca. Żołnierz, któremu Gilan zlecił to zadanie, ostrzegł kapitana o głębokiej dziurze, a potem razem z nim pokonał rzekę. Gdy Lorriac wyjechał na ubity piasek, popatrzył na żołnierzy, ustawionych jak poprzednio w trzech zastępach. Mokre konie parowały w promieniach słońca.

– Wszyscy? – zapytał sierżanta i usłyszał potwierdzającą odpowiedź.

– W takim razie ruszamy dalej, na południe – zdecydował kapitan i pokłusował na czoło kolumny, dając znak pierwszym szeregom, by podążyły za nim.

Ze znajomym już pobrzękiwaniem ekwipunku i upręży oddział zmierzał w dalszą drogę.





Późnym przedpołudniem armia wargalów zaczęła formować szyki na płaskim terenie po drugiej stronie brodu.

Podzielili się na trzy oddziały liczące po stu pięćdziesięciu żołnierzy. Morgarath kierował do bitwy ponad połowę pozostałych mu sił, więc obrońcy na szczycie wzgórza wiedzieli, że będzie to walka do śmierci. Nie zostaną wykorzystane żadne starannie zaplanowane taktyki. To będzie prosty, brutalny atak frontalny. Atak mający przebić się przez ich szczupłe oddziały i wdrzeć za umocnienia obronne.

Dowódcy armii Araluenu obserwowali, jak grupki wargalów podchodzą ociężale do barykad na kołach i taszcza je przez bród. W wodzie, która pozbawiała je części ciężaru, były łatwiejsze do niesienia. Barykady zostały ustawione jedna koło drugiej, z niewielkimi przerwami. W ten sposób tworzyły linię o długości niemal czterdziestu metrów.

W ślad za barykadami przeprowiła się reszta armii. Wargalowie, ustawieni w równym szeregu, zajęli miejsce za barykadami. Ci, którzy wcześniej nieśli maszyny

przez rzekę, teraz podnieśli je znowu i ruszyli pod górę, a za nimi szeregi żołnierzy, gotowych w każdej chwili schronić się za osłonami. Obserwatorzy na szczycie wzgórza słyszeli szarpiące nerwy skandowanie nacierających wargalów.

– Urrgh, urrgh, urrgh-urrgh-urrgh!

Powtarzało się raz za razem, bez żadnych odmian. Crowley musnął palcami strzałę w kołczanie, ale wróg był jeszcze poza zasięgiem.

– Chciałbym, żeby nauczyli się nowej piosenki – powiedział. – Ta mi się już znudziła.

– Z pewnością nie jest zbyt melodyjna – przyznał Arald. – Jak myślicie, po co to robią?

– Prawdopodobnie, żeby równo maszerować. Jest rytmiczna, więc dzięki niej wszyscy ruszają się jednocześnie – powiedział Duncan.

Crowley patrzył zmrużonymi oczami w dół wzgórza. Większość zbocza pokrywała długa trawa, która potrafiła być śliska – chociaż wargalowie, z ciężkimi i pazurzastymi stopami, wyraźnie bez trudu się po niej poruszali. Zauważył już wcześniej mały krzak, wyrastający spomiędzy trawy jakieś sto metrów niżej. Kiedy wargalowie dojdą do tego miejsca, znajdą się w zasięgu strzału. Od krzaka dzieliło ich teraz pięć metrów. Nadal poruszali się w takim samym szyku, a idący bezpośrednio za barykadami pozostawali wyprostowani, z odsłoniętymi głowami i ramionami. Kiedy zrównali się z krzakiem i stratowali go, Crowley nałożył strzałę, uniósł łuk, wycelował i wystrzelił. Usłyszał, że jeszcze dwóch zwiadowców zrobiło to samo i w duchu skarcił się, że nie polecił wszystkim prowadzenia jednoczesnego ostrzału. Jego strzała dosięgła celu, a trafiony wargal zachwiał się i poleciał do tyłu z drzewcem strzały sterczącym mu z gardła.

Wtedy barykady zostały postawione i złączone. Dalej toczyły się na potężnych kołach. Żołnierze ukryci za nimi pochylili się, tak więc byli kompletnie schowani. Skandowany rytm stał się wolniejszy i bardziej staranny, a barykady przemieszczały się teraz powoli, w tempie marszu. Łucznicy pod dowództwem Wearne'a wypuścili chmurę strzał, jednak ich groty odbijały się nieszkodliwie od nasiąkniętych wodą skór, rozpiętych na drewnianych ramach.

– Oszczędzać strzały! – zawołał Crowley.

Wearne powtórzył ten rozkaz swoim ludziom i podbiegł, żeby naradzić się ze zwiadowcą.

– Czy mamy spróbować ostrzału stromotorowego?

Crowley zastanowił się nad tą propozycją ze zmarszczonymi brwiami. Wskazał tylne szeregi atakujących wargalów, którzy wyjęli tarcze i trzymali je nad głowami, by się przed czymś takim zabezpieczyć.

– Oszczędzajcie strzały, dopóki nie znajdą się bliżej – zdecydował. – Prędzej czy później będą musieli się odsłonić.

Sztuka strzelania niemal pionowo w górę i pozwalania, by strzały spadły z powrotem na ziemię z niszczącą prędkością, była trudna. Wszyscy łucznicy ćwiczyli ją, ale zwykle stosowana była wobec nieruchomego celu. Skoro wargalowie posuwali się naprzód, nawet bardzo wolno, to oznaczało, że zasięg zmieniał się przez cały czas, zaś nachylenie zbocza dodatkowo przeszkadzało. Oznaczało to, że strzały spadną nie pionowo na ziemię, co byłoby najskuteczniejsze, ale pod kątem, co sprawi, że najprawdopodobniej ześlizgną się po przechylonych tarczach.

Wearne skinął głową, przyjrzał się nieubłaganie zbliżającej się armii wargalów, a potem wrócił pospiesznie do swoich podwładnych. Crowley zobaczył, że szpara pomiędzy dwoma barykadami poszerzyła się na moment, odsłaniając wargala z tyłu. Uniósł łuk i strzelił. Wargal upadł z wrzaskiem.

– Dobry strzał – odezwał się Arald koło niego.

– Nie mamy dość okazji do takich strzałów – stwierdził z goryczą Crowley. Jego ludzie mogli zabijać przypadkowych wojowników, ale to w niczym nie przypominało śmiertelności deszczu strzał wypuszczonego w Ashdown Cut. Pojedyncze strzały były dla ogromnej armii jak ukłucia szpilką.

Oślonił oczy, wypatrując na wzgórzu Morgaratha. Jeśli nie mogli zabić większej liczby wargalów, być może uda mu się oddać strzał do ich przywódcy i władcy. Przyjrzał się nacierającej armii i w końcu dojrzał Morgaratha po lewej stronie. Dzięki czarnej zbroi i siwemu koniowi powinien się wyróżniać, ale był otoczony grupą jeźdźców niosących długie, trapezowate tarcze. Crowley widział go tylko przelotnie. Miał głowę ponad barierą z tarcz, ale założył zasłaniający całą twarz hełm turniejowy, a nawet łuk zwiadowcy nie mógł wystrzelić strzały, która by go przeszła.

Arald spojrział w tę samą stronę co Crowley.

– Nie jest głupcem – przyznał.

Crowley roześmiał się z goryczą.

– Ogromna szkoda. Tym razem z pewnością nas przechytrzył.

– Miej na niego oko – nakazał Arald. – Może straci czujność.

Ich rozmowę przerwał ostry rozkaz lorda Northolta:

– Pierwszy oddział! Na pozycje!

Rozległ się szcęk zbroi i ekwipunku, gdy czterdziestu żołnierzy ustawiło się na pierwszej linii obrony. Weszli na wysoki do pasa szaniec ponad głębokim rowem i stanęli pomiędzy skierowanymi w dół, zaostrzonymi palami, które miały rozdzielić atakujących. Każdy żołnierz był uzbrojony w ciężką włócznię i trójkątną drewnianą tarczę wzmocnioną pasami metalu. Wszyscy mieli na sobie zbroje – zwykle sięgające do kolan tuniki z utwardzonej skóry z naszytymi mosiężnymi łuskami. Ich żelazne hełmy były proste w kształcie i zaopatrzone w nosal – ochronną płytkę chroniącą nos i twarz przed ciosami. Przy pasach mieli miecze i ciężkie sztylety. Jednakże najskuteczniejszą bronią w pierwszym starciu miały być właśnie włocznie.

– Drugi oddział! Na pozycje!

Kolejnych czterdziestu żołnierzy przeszło do przodu i stanęło za ziemnymi umocnieniami. Mieli zająć miejsce zmęczonych żołnierzy pierwszego oddziału, wykorzystując swoje wypoczęte mięśnie.

Od barykad wroga dzieliło ich teraz trzydzieści metrów, a skandowanie było niemal ogłuszające. Zwierzęcy, obcy dźwięk działał na nerwy ludziom. Dłonie zaciskały się i rozluźniały na drzewcach włóczni, gdy araluency żołnierze czekali w milczeniu.

Crowley wskoczył na umocnienia i przyjrzał się szeregom wroga. Zobaczył kolejnego wargala, który podniósł głowę, by spojrzeć ponad barykadą na nieprzyjaciela. Była to ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu. Strzała Crowleya trafiła go w czoło, poniżej żelaznego stożka na skórzanym hełmie.

W końcu nacierający znaleźli się w odległości zaledwie dziesięciu metrów i zabrzmiał dźwięk rogu. Barykady otwarły się jak bramy, a chowający się za nimi wargalowie ruszyli naprzód, warcząc swoje bojowe okrzyki. Kiedy to zrobili, ludzie Crowleya, czekający na taką okazję, wypuścili grad strzał i dwanaście bestii padło na ziemię. Nie wszystkie były jednak martwe. Co najmniej połowa z nich, niektórzy z kilkoma strzałami tkwiącymi w ciele, wstała chwiejnie i znowu ruszyła w stronę rowu.

Wargalowie chmarą zbiegli na dno rowu i ruszyli dalej. Teraz obrońcy byli już za blisko nich i zwiadowcy nie mogli dalej strzelać z obawy, że trafią swoich ludzi wśród warczącej, kłębiącej się masy nieprzyjaciela.

Żołnierze Duncana dźgali czarne kształty poniżej, a ich włócznie siały prawdziwe spustoszenie. Na moment pierwsza fala wargalów zawahała się przed wejściem do rowu. Zaraz jednak druga fala naparła od tyłu, popychając ich naprzód, chwytając pobratymców i podnosząc ich w górę, by mogli łatwiej wyjść po drugiej stronie rowu. Cięli i siekali włóczniami, mieczami i maczugami, atakując nogi stojących wyżej ludzi. Teraz także obrońcy zaczęli padać, a ich towarzysze odciągali ich do tyłu i zajmowali ich miejsce, jednocześnie wzywając uzdrowicieli, by przyszli zająć się rannymi.

Jeden z wargalów, śmiertelnie ranny, odrzucił miecz oraz tarczę i sięgnął do nogi żołnierza, który właśnie przeszył go włócznią. Uzbrojona w pazury łapa zamknęła się na łydce mężczyzny i chociaż żołnierz starał się rozpaczliwie odepchnąć bestię ciosami włóczni, został wciągnięty, wrzeszczący z przerażenia, do rowu. Wokół zaroilo się kłębówisko pokrytych czarnym futrem ciał, które dźgały go i siekały, aż krzyki ofiary umilkły.

Inny wargal wygramolił się z rowu na szaniec, warcząc z wyzywającą nienawiścią. Został natychmiast nadziany na ostrze włóczni i zepchnięty z powrotem na swoich towarzyszy. Teraz jednak coraz to kolejni wargalowie wydostawali się z rowu, ponaglani i popychani przez pobratymców. Obrońcy starali się ich odeprzeć, ale w ten sposób zostawiali luki w szeregu, co pozwalało następnym przerażającym bestiom

gramolić się po nasypie i przedzierać się do przodu.

Crowley znalazł dobre miejsce, z którego mógł strzelać, i w ciągu pół minuty skosił pół tuzina bestii. Jednakże coraz więcej wargalów zajmowało miejsce towarzyszy i szeregi obrońców powoli zaczynały się przeredzać. Żołnierze zaczęli się cofać. Początkowo ustępowali pola powoli, ale w każdej chwili to przesuwanie się do tyłu mogło się zmienić w powodowany paniką odwrót.

Król Duncan, stojący kilkanaście metrów dalej na usypanym specjalnie kopcu, zobaczył, że szeregi armii się cofają. Uniósł miecz, odwrócił się do Aralda i Davida, stojących koło niego, i wskazał miejsce, gdzie obrońcy byli najbardziej osłabieni.

– Chodźmy! – krzyknął i ruszył przed siebie. Pozostali dwaj wojownicy także dobyli broni i ruszyli za nim, po drodze poprawiając trzymane na ramieniu tarcze.

Duncan uderzył w wargalów jak opancerzony taran. Miecze szczękały nieszkodliwie o jego hełm lub odbijały się od tarczy. Jego własny miecz unosił się i opadał, ciął i wykonywał pchnięcia ze śmiertelną skutecznością, dzięki której kosił niezdarne szeregi nieprzyjacielskie. Tuż za nim, po obu stronach, włączyli się do walki Arald i David. Ich ostrza początkowo lśniły w słońcu wczesnego popołudnia jasno wypolerowanym srebrem, ale po chwili zaczęły się pokrywać plamami czerwieni.

Trzej wybitni wojownicy byli nie do powstrzymania – tnąc, siekając i dźgając torowali sobie drogę przez szeregi wargalów. Ukośne cięcie miecza trafiło Aralda w lewe ramię, rozrywając w tym miejscu kolczugę. Stalowe ogniwa okazały się dostatecznie wytrzymałe, by zapobiec poważniejszym obrażeniom, ale krew sączyła się mu po rękę, mieszając się z krwią zabitych wargalów.

W bojowym zapale nawet tej rany nie zauważył. Wyrósł przed nim wargal, z kłami obnażonymi w gniewnym grymasie, więc Arald uderzył bestię tarczą, używając wzmocnionego umba na jej środku, by zmiażdżyć kości. Masą rozpedzonego ciała wepchnął wargala z powrotem do rowu. Walczył jak opętany szaleństwem, zaś niezwykła szybkość i siła uderzeń jego miecza wycinały ogromne luki w szeregach wargalów.

Styl Davida był bardziej precyzyjny. Brakowało mu wzrostu i potężnej siły Duncana i Aralda, nadrabiał to jednak szybkością, wykonując pchnięcia, wycofując się natychmiast i uderzając w następny cel. Podczas gdy Arald miażdżył, zgniatał i siekał stojących mu na drodze wrogów, David walczył spokojnie i starannie, wypatrując luk w obronie wargalów i uderzając w nie mieczem jak żmija jadowitymi kłami.

I tak jak ataki żmii, jego ciosy były śmiertelne.

Trzej wojownicy, każdy z nich mistrz swojego stylu, załamali impet ataku wargalów i poprowadzili obrońców do kontrnatarcia. Wtedy z punktu obserwacyjnego na pagórku Northolt donośnym głosem wydał rozkaz:

– Drugi oddział! Naprzód!

Drugi oddział, stojący w gotowości za towarzyszami, czekał tylko na tę chwilę.

Wypoczęci żołnierze zaatakowali szeregi wargalów. Teraz to nieprzyjaciel zaczął się cofać, początkowo powoli, ale potem coraz szybciej.

Z lewej strony rozległ się dźwięk rogu i nieprzyjaciel rozpoczął odwrót. Ale to nie była chaotyczna ucieczka. Chwilowo pokonani, wycofali się za barykady i za nimi sformowali szyki na nowo, podczas gdy strzały odbijały się i bębniły o osłony. Potem, znowu na wydany telepatycznie rozkaz Morgaratha, wargalowie wycofali się do stóp wzgórza.

Ponad setka ich towarzyszy leżała martwa albo ciężko ranna, rozciągnięta na umocnieniach lub skłębiona w rowie. Morgarath zapłacił wysoką cenę za ten atak.

Ale śmierć poniosło także czterdziestu trzech obrońców. Zaś kolejnych piętnastu, ciężko rannych, zostało zabranych do namiotów uzdrowicieli.

Nie było mowy o ściganiu wargalów wycofujących się ze wzgórza. Ich oddziały były nadal w stosunkowo dobrej kondycji, zaś ludzie w armii Duncana nie dość że byli wykończeni – to jeszcze ich liczba poważnie zmalała.

Crowley z pustym kołczanem dołączył do pozostałych dowódców, którzy opierali się na mieczach i oddychali ciężko. Wszyscy byli ranni i pokryci krwią wargalów, których udało im się zabić.

Duncan potrząsnął głową ze znużeniem, kiedy obserwował oddziały Morgaratha, schodzące ze wzgórza.

- Nie możemy sobie pozwolić na odparcie kolejnego takiego ataku – ocenił.
- David otarł czoło dłonią, zostawiając na nim smugę krwi, także własnej.
- Niewiele możemy zrobić, żeby go uniknąć – odparł.





Wyczerpani aralueńscy żołnierze upadli na ziemię, tam gdzie stali, i wypijali ostatnie krople letniej wody z manierek. Taka walka pozostawiała człowieka wyjątkowo spragnionym, więc z wdzięcznością powitali służących, którzy roznosili bukłaki z wodą.

Skórzane bukłaki zostały namoczone od zewnątrz, a potem rankiem rozwieszono na gałęziach drzew i wystawiono na działanie wiatru. W miarę, jak parowała woda z zewnętrznej strony skóry, zawartość w środku stawała się chłodniejsza. Przez jakąś ostatnią godzinę żołnierze, gdy mieli okazję przełknąć łyk, pili ciepłą, lekko smakującą skórą wodę ze swoich manierek. Chłodna, świeża woda była bardzo mile widziana.

Inni służący roznosili wśród odpoczywających żołnierzy jedzenie – podpłomyki owinięte suszonym mięsem, ser i pikle.

Jeszcze inni przytrzymywali na biodrach kosze chrupiących, soczystych jabłek, które rozdawali chętnym. Duncan ugryzł z wdzięcznością jabłko i poczuł, jak cierpki sok rozlewa mu się w ustach, gasząc pragnienie i zacierając metaliczny smak bitwy.

– Ktoś miał genialny pomysł – powiedział, patrząc z szacunkiem na lśniący owoc. – Kto to wymyślił?

– Mój służący Chubb – odparł Arald. – To młody kuchmistrz w Redmont.

– Kuchmistrz? Co on robi w armii? – zapytał Duncan.

Arald wzruszył ramionami.

– Chciałem go zostawić, ale potrafi się wykazywać wyjątkowym nieposłuszeństwem.

– I bardzo dobrze! – stwierdził Duncan. Dojadł jabłko i wysał resztę soku z ogryzka, zanim cisnął go na bok. – Może ukradnę ci Chubba, kiedy to się skończy.

Uśmiech Aralda zniknął.

– Możesz spróbować – powiedział z ostrzegawczą nutą w głosie. Duncan uniósł brwi, ale nie odezwał się. Jeden zbuntowany baron na razie mu wystarczał.

– Ktoś nadchodzi! – krzyknął jeden z wartowników, a żołnierze poruszyli się. Niektórzy podnosili się ze znużeniem i sięgali po broń.

Duncan stanął na szanicy i spojrzał na dolinę poniżej.

– Spokojnie! – zawołał. – To tylko jeden człowiek. I niesie flagę pokoju.

Wargalowie wycofali się aż na brzeg rzeki przy brodzie, ustawili tam w gotowości przenośne barykady i usiedli na trawie, by odpocząć i odzyskać siły. Pojedynczy jeździec przepychał się pomiędzy nimi, kierując konia pod górę. Na końcu włóczni miał zatknietą białą flagę, którą machał na boki.

Gdy żołnierze zobaczyli go i usłyszeli słowa Duncana, uspokoili się. Ci, którzy wstali, z ulgą opadli z powrotem na miękką trawę. Duncan wziął miecz z miejsca, w którym go zostawił, wbity w ziemię, gdy wargalowie zaczęli się wycofywać. Teraz wsunął ostrze z powrotem do pochwy i wszedł na szaniec, chociaż ten wysiłek sprawił, że wydał słyszalny jęk. Bolały go wszystkie mięśnie. Liczne powierzchowne rany, jakie odniósł w bitwie, zostały pospiesznie zabandażowane przez sanitariusza, ale pulsowały bólem.

– Dajcie mi coś białego! – zawołał przez ramię. Jeden z żołnierzy podszedł i podał mu biały kasak, zabrany rannemu towarzyszowi, któremu pomagali uzdrowiciele. Król spojrzał na tkaninę i skrzywił się, widząc pokrywającą ją krew i brud. Potem uniósł ją nad głowę i pomachał nią powoli.

Posłaniec Morgaratha zatrzymał się na moment, a potem podjechał jeszcze dwadzieścia metrów pod górę. Był teraz w zasięgu strzału, a Crowley z namysłem pogładził strzałę. Pomyślał, że może Morgarath też podjedzie tak blisko.

– Lord Morgarath proponuje negocjacje! – krzyknął herold, którego głos ledwie do nich docierał.

Duncan wyprostował się, nabrał powietrza w płuca i zagrzmiał w odpowiedzi:

– Powiedz Morgarathowi, żeby się zbliżył! – zawołał, celowo pomijając tytuł.

– Czy uszanujecie flagę pokoju? – krzyknął herold.

Z tyłu, poniżej niego, Duncan usłyszał mamrotanie Crowleya.

– Aż do chwili, kiedy go zastrzelę.

Król spiorunował dowódcę zwiadowców wzrokiem i powiedział kątem ust:

– Dotknij tego łuku, Crowleyu, a osobiście cię usiekę. Nie zhańbisz mojego słowa honoru.

– Jak sobie życzysz, panie – odparł Crowley, ale ton jego głosu brzmiał buntowniczo.

Duncan spojrzął na Aralda.

– Araldzie, pilnuj go, żeby nie zrobił czegoś głupiego.

Arald skinął głową.

– Tak jest, panie. – Wysunął sztylet z pochwy i podszedł bliżej do Crowleya. Zwiadowca poczuł, że szpic broni szturcha go pod żebra. – Bądź rozsądny, Crowleyu – powiedział baron.

Crowley wzruszył ramionami i odłożył łuk na trawę.

– Niech będzie. Ale popełniamy błąd – oznajmił. Pomyślał, że spędził zbyt wiele czasu w towarzystwie Halta.

Herold niepewnie siedział na koniu i czekał na odpowiedź Duncana. Król pospiesznie ją wykrzyknął:

– Powiedz Morgarathowi, że będzie bezpieczny! Uszanujemy białą flagę!

Herold skinął głową i uniósł srebrny gwizdek, który miał na rzemieniu na szyi. Przyłożył go do ust i wydał długi, przenikliwy świst. Spomiędzy szeregów wargalów i ludzi u stóp wzgórza wyłonił się odziany w czerń mężczyzna na białym koniu, który ruszył powoli pod górę.

– I oto nadchodzi – powiedział cicho Crowley.

Biały koń Morgaratha wspinał się równym krokiem pod górę. Ubrany na czarno były baron nie spieszył się, dając przeciwnikom czas, by zastanawiali się nad tym, jakie warunki zamierza zaproponować w negocjacjach. Minął swojego herolda i jechał dalej jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, aż wreszcie zatrzymał konia trzydzieści metrów od linii umocnień. Nadal się nie odzywał. Siedział niewzruszenie, pozwalając, by milczenie się przeciągało, i w ten sposób zmuszał Duncana do rozpoczęcia rozmowy.

Duncan nie zamierzał dawać się wciągać w psychologiczne gierki Morgaratha. Kiedy stanęli naprzeciwko siebie podczas turnieju w Gorlanie, miał już do czynienia z wymownością i słodkimi słowami byłego barona, który potrafił subtelnie naginać prawdę tak, by służyła jego celom.

Teraz po prostu odwrócił się plecami do niego i zszedł z szańca, znikając Morgarathowi z widoku.

– Powiedźcie mi, kiedy będzie miał ochotę pogadać – mruknął do Aralda i Northolta.

Morgarath zaklął. Nie tego się spodziewał. Uniósł się w strzemionach, starając się

wypatrzeć króla. W końcu był zmuszony odezwać się jako pierwszy.

– Duncanie! – zawołał i zaczekał, aż król powoli wróci na ziemny nasyp.

– Masz do mnie jakąś sprawę? – zapytał Duncan. Ten dobór słów nie był przypadkowy. Sugerował, że w tym układzie to Morgarath jest petentem. To był zupełny drobiazg, ale negocjacje składały się z takich drobiazgów, dzięki którym ich uczestnicy starali się zdobywać przewagę.

Czoło Morgaratha zmarszczyło się gniewnie. W przeszłości był przyzwyczajony do tego, że w szermierce słownej górował nad królem. Okazało się, że Duncan szybko się uczył. Postanowił darować sobie małostkowe wywyższanie się i przejść od razu do rzeczy – i dokładnie o to chodziło Duncanowi.

– Zostałeś pokonany! – krzyknął teraz z gniewem wyraźnie dźwięczącym w głosie.

Duncan uśmiechnął się.

– A jednak jestem tutaj. A ty jesteś tam, pode mną – odparł swobodnie.

Morgarath wskazał szeregi wargalów, czekających u stóp wzgórza.

– Mamy przewagę liczebną. Nie pokonasz nas.

– Tak mówisz – odparł Duncan. – A jednak ja jestem nadal wewnątrz tej palisady, a ty i twoi ludzie nadal jesteście na zewnątrz. – Wskazał ciała wargalów, którzy zginęli podczas szturm na wzgórze. Armia Araluenu zabrała oczywiście swoich zabitych i rannych, którzy czekali teraz na pochówek lub byli leczeni za umocnieniami. Nieobecność ich ciał podkreślało to, jak wielu wargalów zginęło.

– Nie przekreślaj moich słów...

Ale Duncan przerwał Morgarathowi i podniósł głos na tyle, by przekrzyczeć dowódcę wrogiej armii.

– Morgaracie, gdy ktoś prosi o negocjacje, zazwyczaj oznacza to, że chce przedstawić jakąś propozycję, a nie rzucać bezpodstawne groźby. Mów, co masz do powiedzenia, lub odejdz.

Znowu zapadła cisza. Morgarath przełknął gniew i pozwolił, by jego oddech się uspokoił. W końcu odezwał się, starannie i spokojnie dobierając słowa.

– Chcę ci zaproponować kapitulację – oznajmił. – To pierwsza i ostatnia taka szansa. Mimo wszystkich twoich wykrętów wiesz, że sytuacja jest beznadziejna. Nie masz dość żołnierzy, by walczyć dalej.

– Szczerze mówiąc – powiedział spokojnie Duncan – lada dzień spodziewamy się posiłków z trzech północnych lenn.

Śmiech Morgaratha brzmiał szorstko i pogardliwie.

– „Lada dzień” to za późno dla ciebie. Nie doczekasz następnego dnia. Chcesz usłyszeć moje warunki, czy też nie?

Duncan wzruszył ramionami. Zapewnienie, że niebawem przybędą posiłki, było bardziej jego pobożnym życzeniem niż pewnym faktem. Lady Pauline przemierzała jak najszybciej sąsiednie lenna w poszukiwaniu pomocy i słyszała zapewnienia o wsparciu

dla sprawy króla. Ale zapewnienia to jedno, a żołnierze to całkiem co innego. Duncan był przeświadczony, że wielu baronów, chociaż nie deklaruje poparcia dla Morgaratha, czeka z decyzją na rozwój wydarzeń tutaj, na wrzosowiskach Hackham.

– Słucham – powiedział, pilnując, by jego ton brzmiał jak najbardziej obojętnie.

– Twoi żołnierze mogą złożyć broń i odejść, powrócić do swoich gospodarstw i wsi. Nie będę ich w żaden sposób zatrzymywać – oznajmił Morgarath. – Daruję życie twoim dowódcom, chociaż oczywiście zostaną wygnani z Araluenu. Nie mogę pozwolić, by szykowali przeciwko mnie kolejny bunt.

Duncan uśmiechnął się bez rozbawienia, zauważając, że Morgarath uznał obecny konflikt zbrojny za bunt przeciwko niemu.

– Moi dowódcy? – zapytał. – Kogo masz na myśli?

Morgarath skinął głową w stronę małej grupki stojącej za Duncanem.

– Arald, David, Northolt i Crowley. Rzecz jasna wszyscy będą musieli złożyć przysięgę, że nigdy nie powrócą i nie spróbują podburzać ludzi przeciwko mnie.

– A co z pozostałymi zwiadowcami? – zapytał Crowley, podchodząc krok do przodu.

Morgarath przyjrzał się mu ze spokojem. Twarz rudowłosego zwiadowcy była zaczerwieniona z gniewu.

– Mogą pozostać w Korpusie Zwiadowców. – Morgarath wzruszył ramionami. – O ile przysięgną mi wierność. Inaczej zostaną wygnani razem z tobą.

– Czy to dotyczy także Halta? – zapytał Crowley.

Morgarath zmrużył oczy i przyjrzał się twarzom mężczyzn stojących na szanćcu.

– A gdzie jest Halt? – zapytał nagle.

Crowley przygryzł wargi i pożałował, że poruszył ten temat.

Arald gładko wtrącił się do rozmowy.

– Jest w namiocie uzdrowiciela. Został ranny podczas nocnego wypadu – powiedział.

Morgarath z satysfakcją skinął głową. Nie miał pojęcia, kto brał udział w nieudanym ataku na jego obóz, ale obecność w tej grupie Halta była do przewidzenia.

– Miejmy nadzieję, że to nic błahego – rzucił z okrutną miną. – Ale obawiam się, że moja propozycja amnestii nie dotyczy Halta. Przysporzył mi zbyt wielu kłopotów. – Odziany w czerń baron żywił wyjątkową nienawiść do Halta. Hibernijczyk odrzucił propozycję dołączenia do jego armii, a potem dołożył wszelkich starań, by pokrzyżować plany Morgaratha, mające na celu przejęcie tronu.

– A co planujesz dla mnie? – zapytał Duncan.

Morgarath przyglądał mu się przez kilka sekund, zanim odpowiedział.

– Wiesz, że nie mogę ci pozwolić żyć, Duncanie – powiedział. – Póki żyjesz, będziesz symbolem dla buntowników. Mogę jednak zagwarantować, że twoja egzekucja będzie tak szybka i bezbolesna, jak to możliwe. – Urwał i lekko wzruszył

ramionami. – Wiesz, że muszę to zrobić.

Duncan powoli pokiwał głową. Niczego innego się nie spodziewał.

– Potrzebuję czasu, by przemyśleć twoją propozycję. – oznajmił.

Morgarath gestem nakazał heroldowi podjechać bliżej. Wyciągnął rękę po trzymaną przez mężczyznę włócznie, a potem pochylił się i wyznaczył nią linię na ziemi. Na końcu linii wbił włócznie.

– Daję ci czas, dopóki cień włócznie nie dotknie tego śladu – powiedział. – To powinno zająć jakieś dwie godziny. Jeśli przyjmiesz moje warunki, zamachaj czerwoną flagą. W przeciwnym razie nie będzie litości. – Gwałtownie obrócił się i ostrogą popędził konia w dół zbocza. Zaskoczony herold pospiesznie poszedł w jego ślady.

Duncan zszedł z szańca.

– Może powinniśmy się nad tym zastanowić. – Popatrzył na swoich towarzyszy. – Nie ma mowy, żebyśmy zdołali go pokonać i nie ma powodu, żebyście wszyscy zginęli.

– On i tak nas pozabija – odparł Crowley, a pozostali dwaj dowódcy półgłosem potwierdzili jego opinię.

Duncan wzruszył ramionami. Mieli rację. Morgarath był kłamcą, oszustem i mordercą. Król nie wierzył w dane przez niego słowo.

– Uważam, że powinniśmy walczyć dalej, sir – odezwał się Northolt. – Nie zostaliśmy jeszcze pokonani. A Halt może się pojawić lada chwila.

Duncan westchnął.

– A tak, Halt. Ciekawe, gdzie go diabli noszą?



Dwie godziny minęły szybko. Wydawało się, że cień włócznie przesuwa się błyskawicznie po ziemi, aż wreszcie zrównał się z wytyczoną linią. Gdy przekroczył płytki rowek pozostawiony przez grot, obrońcy usłyszeli u stóp wzgórza szcęk broni i ekwipunku.

Wargalowie znowu podnieśli przenośne barykady i ruszyli w stronę małej grupki obrońców, kryjących się za palisadą. Tak jak poprzednio, poruszali się w rytm niemelodyjnego skandowania, które Duncan i jego ludzie znali już bardzo dobrze.

– Jak myślisz, ilu ich jest? – zapytał Duncan.

Northolt z namysłem zacisnął wargi.

– Dwustu. Może dwustu pięćdziesięciu.

Duncan westchnął.

– A my mamy dziewięćdziesięciu trzech do walki z nimi.

Wargalowie maszerowali przed siebie, ale obrońcy zobaczyli coś nowego. Pozostali na drugim brzegu wargalowie tworzyli nierówne szeregi i przekraczali bród,

z chlupotem i pluskiem brnąć po pas w wodzie. Gromadzili się i gromadzili, aż w końcu obóz opustoszał i cała armia zaczęła nacierać na wzgórze – w sumie prawie siedem setek. Morgarath kierował do tej ostatniej bitwy wszystkie swoje siły.

Wśród oblężonej armii rozległy się jęki, gdy żołnierze zobaczyli, z jak licznym wrogiem mają do czynienia.

Northolt odwrócił się.

– Cisza! – krzyknął i pomruki umilkły. Pozostało jednak wiszące nad wszystkimi uczucie, że są zgubieni. Widzieli, że ich śmierć wspina się na wzgórze – nieustępliwa, niepowstrzymana, niemożliwa do pokonania.

– Będą się trzymać poza zasięgiem, dopóki pierwsza grupa nie podejdzie dostatecznie blisko – powiedział Duncan. – Potem rozpoczną szturm i pokonają nas samą przewagą liczebną.

Powietrze wypełniało złowrogie skandowanie armii wargalów, wspinających się na wzgórze. Zwiadowcy strzelali, gdy tylko mieli okazję. Ale to zdarzało się rzadko.

– Może powinniśmy przyjąć jego propozycję? – uśmiechnął się Crowley. – Myślicie, że jest już za późno?

Tak jak poprzednio Morgarath trzymał się po lewej stronie, tuż za barykadami, chroniony przez pierścień jeźdźców z tarczami. Z bliskiej odległości poganiał swoje oddziały myślą i wpajał im jedną prostą komendę: zabijać, zabijać i dalej zabijać.

W tym momencie Crowley, nakładający strzałę na cięciwę, znieruchomiał i przyjrzał się uważnie opuszczonemu obozowisku na drugim brzegu rzeki. Z lasu za obozem wyłaniał się długi zastęp jeźdźców, mijających rzędy opuszczonych namiotów. Prowadził ich ubrany w szarą pelerynę zwiadowca na siwym koniku.

– To Halt – powiedział Crowley. – Zdążył na czas.



Poza nielicznymi służącymi – kucharzami, pachołkami i paziami, którzy uciekli do lasu na widok ponurych jeźdźców – obozowisko wargalów było opustoszałe. Znakomita większość jego mieszkańców maszerowała teraz ociężale na wzgórze, w stronę szańca, gdzie czekała na nich armia Duncana.

Halt poprowadził oddział przez puste, nieregularne rzędy namiotów i zatrzymał jeźdźców w dwóch wyciągniętych zastępach na brzegu brodu, żeby naradzić się z Lorriakiem.

– Jak planujesz to rozegrać? – zapytał.

Dowódca konnicy z namysłem zacisnął usta, zastanawiając się nad sytuacją.

– Wjedziemy na wzgórze w trzech klinach po pięćdziesięciu konnych, skierowanych na prawo. Ja poprowadzę pierwszy oddział. Uderzymy od tyłu na szeregi wargalów, wbijemy się w nich i wycofamy. Kiedy zrobimy miejsce, drugi klin uderzy dziesięć metrów na prawo. Także wycofa się zaraz po pierwszym ataku, a potem trzeci klin pójdzie w jego ślady. Kiedy się wycofają, powtórzmy całą operację. – Umilkł na

chwile i spojrzął na zwiadowcę. – To klasyczny manewr. Stale go ćwiczymy.

Halt skinął głową z aprobatą. Najlepszą bronią konnicy była miażdżąca siła szarzy skierowanej przeciwko piechocie. Pęd i masa koni pozwalały wbić się w szeregi nieprzyjaciela, złamać jego szyk i rozproszyć żołnierzy, którzy pojedynczo byli bardziej narażeni na miecze i lance jeźdźców. Ale gdy konni tracili szybkość i impet szarzy, zostawali uwięzieni wśród przepychających się wrogich żołnierzy i ta przewaga zniknęła. Manewr proponowany przez Lorriaca oznaczał, że wargalowowie będą narażeni na ciągłą serię niszczących ataków wzdłuż całej linii.

Halt rozejrzał się. Jeźdźcy ustawili się w długim szeregu nad brzegiem rzeki. Podjechał do nich i zawrócił Abelarda, by pojechać wzdłuż rzędu.

– Żadnych hałasów – tłumaczył. – Żadnych okrzyków. Żadnego rogu. Zachowajcie ciszę tak długo, jak będziecie mogli. Chcemy ich wziąć z zaskoczenia, dzięki temu będziemy mieć największe szanse na wywołanie paniki. Oni są skoncentrowani tylko na bitwie, czekającej ich na szczycie wzgórza.

Twarze żołnierzy obracały się za nim, kiedy koło nich przejeżdżał. Niektórzy kiwali głowami, ale większość tylko zaciskała wargi i pięści, od czasu do czasu patrząc na wzgórze, na nacierającą armię nieprzyjaciela.

Halt obrócił się do Lorriaca, który jechał tuż za nim, i wskazał wzgórze. Kapitan dał sygnał ręką i skierował konia do brodu. Jeźdźcy podążyli za nim, z pluskiem brnąc przez płytką wodę. Nagłe wejście do rzeki spowodowało, że konie zaczęły rzucać łbami, ale nie zatrzymały się. Żołnierze stanęli na drugim brzegu, a wtedy Lorriac przywołał do siebie dwóch starszych sierżantów i wyjaśnił im plan bitwy. Potem podjechał do lewego skrzydła i zawołał półgłosem:

– Pierwszy oddział, za mną. Formacja klina!

Uzpełnił wydany rozkaz gestem dłoni i ruszył naprzód.

Pierwszych pięćdziesięciu konnych ustawiło się za nim, tworząc coraz szerszy klin.

Halt zobaczył, że wszystko jest pod kontrolą, więc pocwałował na lewe skrzydło konnicy. Zobaczył, że Gilan waha się i zastanawia, czy powinien dołączyć do innych jeźdźców.

– Gilan! – zawołał. – Do mnie.

Gilan szturchnął konia i podjechał do Abelarda. Wydawał się lekko rozczarowany.

– Nie będziesz szarżować razem z nimi? – zapytał.

Halt stanowczo potrząsnął głową.

– Nie mam odpowiedniego ekwipunku – powiedział. – I ty także nie. Nasze konie są znacznie mniejsze od pozostałych.

Ponury Gilan musiał przyznać, że Halt powiedział samą prawdę. Większą część miażdżącego uderzenia konnica zawdzięczała temu, że dosiadała wysokich, grubokościstych wierzchowców, które mogły zgnieść wrogów samym swoim ciężarem. Koń Gilana, podobnie jak Abelard, był drobny i zwinny. Żaden z nich nie był tak

masywny jak wierzchowce dosiadane przez żołnierzy. Ponadto koń, który miał brać udział w bitwie, musiał być do tego specjalnie wyszkolony. Jeździec polegał na nim – na tym, że będzie wprowadzać zamieszanie i ranić wrogów, gryząc, kopiąc żelaznymi podkowami i wspinając się na tylne nogi, by uderzyć przednimi kopytami z góry. Wyszkolony i doświadczony koń bojowy był śmiertelnie niebezpieczny dla nieprzyjaciela. Niewyszkolony koń mógł być równie niebezpieczny dla własnego jeźdźcy – mógł wpaść w panikę w hałasie i zamieszaniu bitewnym, stanąć dęba bez ostrzeżenia i zrzucić jeźdźca z grzbietu, zostawiając go bezbronny na pastwę otaczających wrogich żołnierzy.

– Masz rację – przyznał Gilan.

Halt zatrzymał Abelarda w odległości około dziesięciu metrów z boku linii natarcia i jakieś trzydzieści metrów przed szykującymi się oddziałami. Uważnie przyjrzał się formacji. Konie kłusowały, a jeźdźcy ustawiali się w trzy kliny, zgodnie z rozkazem Lorriaca. Każdy klin był skierowany w prawo i pozostawał odrobinę za tym, który go poprzedzał. Halt słyszał brzęczenie uprzęży i grzechotanie broni, a także stukot kopyt tłumiony przez wysoką trawę. Z niepokojem spojrział w górę. Jak na razie siły Morgaratha nie miały pojęcia, że za nimi znajduje się jakiś oddział. Wargalowie maszerowali ciężko pod górę, pierwsze rzędy nadal schylały się za przenośnymi barykadami, a druga fala nacierających była bezpieczna poza zasięgiem łuków obrońców.

Pomyślał, że już lada moment to się zmieni. Rozejrzał się po armii nieprzyjaciela, wypatrując Morgaratha. W końcu go dostrzegł, otoczonego grupką wojowników z tarczami, na prawym skrzydle. Miał pochyloną głowę i koncentrował się na przesyłaniu rozkazów swojej armii.

Wreszcie przenośne barykady zostały rozsunięte na boki i otwarły się jak bramy, wypuszczając pierwszą grupę atakujących wargalów, którzy rzucili się pod górę. Armia Araluenu czekała na nich, a Crowley i pozostali zwiadowcy zasypali szturmujących wargalów gradem śmiertelnych strzał. Halt wiedział, że gdy wargalowie znajdą się przy palisadzie i zetną się z obrońcami, do ataku ruszy przeważająca część armii Morgaratha, by zgnieść przeciwników i zmiażdżyć ich ogromną przewagą liczebną. Popatrzył na Lorriaca i machnął ręką.

– Teraz! – krzyknął. Zobaczył, że kapitan skinął głową, a potem odwrócił się do jadącego za nim trębacza.

Teraz nie trzeba się było już kryć. Teraz przyszedł czas, by zaskoczyć i przerazić wojowników Morgaratha. Zabrzmiał dźwięk rogu, dwa długie sygnały i dwa krótkie. Pierwszy klin ruszył cwałem, a hałas, z jakim jeźdźcy się zbliżali, wzrastał wraz z ich prędkością.

Róg zagrał teraz pojedynczą, długą nutę, a konie przeszły do galopu, z dudniącymi kopytami, rozszerzonymi nozdrzami i skrzypiącą, brzęczącą uprzężą. Jeźdźcy

skierowali włącznie poziomo, tworząc lśniącego jeża ze stali wokół krawędzi klina, aż wreszcie pierwsi z nich wdarli się w tylne szeregi wargalów z ogłuszającym hałasem.

– Trzymaj się przy mnie! – krzyknął Halt do Gilana. Ponaglił Abelarda, jednocześnie nakładając strzałę na cięciwę łuku.

Zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od armii wargalów i zaczął strzelać. Każda strzała dosięgała celu i powalała na ziemię jednego przeciwnika. Jednocześnie oddział Lorriaca wbijał się głęboko w szeregi wroga, dźgając włóczniami, tnąc mieczami, przygniatając wargalów potężną masą koni i roztrzając pokryte czarnym futrem bestie na boki.

Konni pozostawili za sobą głęboką lukę w kształcie litery V wśród atakujących wargalów, a gdy zaczęli zwalniać, róg zagrał znowu i jeźdźcy na czele formacji zawrócili, odwracając klin. Gdy się wycofywali, nadal siekli na obie strony, pozostawiając za sobą zaszlachtowane trupy.

Nie udało im się wyjść z tego bez szwanku. Kilku jeźdźców spadło i zniknęło wśród rozwścieczonych bestii. Jednakże ich towarzysze szybko wypełnili wszystkie luki w formacji. Ludzie Lorriaca wyjechali cwałem na otwartą przestrzeń, a gdy ostatni z nich był już w bezpiecznym miejscu, w armię wargalów wbił się od tyłu drugi klin.

Wargalów – początkowo zaskoczonych, a potem rozwścieczonych nieoczekiwanym atakiem – zaczęło teraz ogarniać nowe uczucie, pierwsze oznaki ich odwiecznego lęku przed końmi. Rozglądali się z przestachem, gubili miejsce w szyku i tracili koncentrację, gdy uderzył w nich drugi klin. To nie wydarzyło się w jednej chwili. Strach jak nowotwór rozprzestrzenił się stopniowo w ich armii, poczynając od wojowników znajdujących się najbliżej jeźdźców i rozchodząc się jak kręgi na wodzie. Niektórzy wargalowie zaczęli zawracać, szukając ucieczki przed straszliwym tętentem kopyt i parszczącymi nozdrzami zwierząt.

Na lewej flance dłoń Halta przemykała od kołczanu do łuku, gdy nakładał strzały, napinał łuk i strzelał, wypuszczając strumień śmiertelnych strzał, które świstały nad polem bitwy. Każda z nich dosięgała celu i albo zabijała, albo raniła jednego z potwornych wojowników.

Drugi klin starł się z wrogiem, zadając pchnięcia włóczniami, tnąc i rąbiąc. Potem wrócili na otwartą przestrzeń, a trzeci klin zaczął powtarzać ich manewr. Dłoń Halta sięgnęła do kołczana i wróciła pusta. Zużył wszystkie strzały.

– Uważaj! – krzyknął ostrzegawczo Gilan załamującym się z napięcia głosem. Halt obrócił się w siodle i zobaczył trzech wargalów odległych zaledwie o kilka metrów, zmierzających ciężko w jego stronę poprzez wysoką trawę. Byli pierwszymi, którzy opuścili karne do tej pory szeregi atakującej armii i przemknęli się na bok. Teraz szukali zemsty na pojedynczym jeźdźcu, którego mieli przed sobą. Jego koń nie rzucał się i nie kopał. Stał spokojnie, podczas gdy jeździec wypuszczał jedną strzałę za drugą, więc wargalowie w prymitywnych umysłach dostrzegli w tym okazję do zabicia go.

Gdy się zbliżyli, Halt odrzucił bezużyteczny łuk i wyciągnął sakwę, ale wiedział, że ma poważne kłopoty. Wargalowie byli uzbrojeni w miecze, a jeden z nich dźwigał topór na długim stylisku. Zbyt późno uświadomił sobie, że powinien być uciekać, ale w ten sposób zostawiłby Gilana samego.

Trącił Abelarda kolanami i nakazał mu się cofnąć kilka kroków, poza zasięg długiego topora i mieczy. Myśl, że naraża swojego konia na ciosy tak niebezpiecznej broni, sprawiła, że zaschło mu w gardle. Wargalowie, zachęceni tym, że koń cofa się przed nimi, zawarczeli z furją, obnażając okrutne poźółkłe kły.

W tym momencie chuda sylwetka pojawiła się pomiędzy Haltem a trzema złowrogimi bestiami. Miecz Gilana zaśnił w słońcu, gdy chłopak zajął miejsce przed wargalami. Halt nabrał powietrza, by na niego krzyknąć, ale uświadomił sobie, że w ten sposób może odwrócić uwagę chłopaka, więc zeskoczył z grzbietu Abelarda, żeby mu pomóc.

Jednakże Gilan nie potrzebował pomocy. Pierwszy wargal machnął w dół mieczem, zadając brutalne cięcie znad głowy. Chłopak zrobił unik w prawo i ciężkie ostrze świsnęło obok niego, mijając go o centymetry i wbijając się w miękką ziemię. Gdy warcząca bestia próbowała je wyrwać, Gilan wybił się z lewej nogi i zanurkował pod ramieniem przeciwnika, wbijając miecz przez skórzany napierśnik głęboko w klatkę piersiową.

Wargal wydał bolesny ryk, zachwiał się i upadł.

Jego towarzysz ruszył niezgrabnie przed siebie, machając śmiertelnościami toporem poziomo i po łuku. Mógł w ten sposób przeciąć Gilana na pół w pasie.

Gdyby go dosięgnął. Młody wojownik dostrzegł nadlatujący topór i na ułamek sekundy przed trafieniem skoczył przed siebie, robiąc przewrót. Ostrze topora przeleciało nieszkodliwie nad nim, a gdy zerwał się na nogi, był już w bezpiecznej odległości, zbyt blisko jak na zasięg takiej broni. Znowu wykonał pchnięcie ostrym jak brzytwa mieczem, trafiając wargala w korpus. Bestia zaskrzeczała upiornie, upadła na kolana i poleciała do przodu.

W ten sposób pozostał tylko jeden przeciwnik. Gilan wyciągnął miecz z ciała drugiego wargala i przyjął postawę obronną. Wargal rzucił się na niego, uderzając szybkimi, gwałtownymi ciosami. Ostrze Gilana parowało je, wydawałoby się, że bez wysiłku. Ponieważ wiedział, że wargal wkłada w te ciosy całą swoją masę i siłę, nie próbował blokować ich bezpośrednio. Starał się je raczej odbijać, pozwalając, by ciężkie ostrze ześlizgiwało się po jego mieczu, nie zadając mocniejszego ciosu, który mógłby mu wyłamać rękę.

Gilan cofnął się o krok, a wargal, ośmielony tym, rzucił się naprzód. W tym momencie dosięgła go saksa Halta, ciśnięta z całą pokaźną siłą zwiadowcy.

Ciężkie ostrze wbiło się w gardło bestii, która cofnęła się chwiejnie, upuściła miecz i bezskutecznie starała się chwycić wbity po rękoność nóż. Wargal wydał charczący

wrzask, a potem nogi się pod nim ugięły i runął w bok, na trawę.

Gilan rozejrzał się, zaskoczony. Był tak skoncentrowany na walce, że zapomniał o obecności Halta. Teraz zobaczył zwiadowcę, stojącego kilka kroków za nim, i uśmiechnął się do niego.

– Dziękuję – powiedział. – Ale już bym go miał.

– Cóż, przepraszam, że przeszkodziłem ci w tej małej przepychance – odezwał się Halt. Był pod sporym wrażeniem umiejętności i szybkości chłopca. – Twój ojciec wspominał, że nieźle sobie radzisz z mieczem.

Gilan wzruszył ramionami.

– Miałem dobrego nauczyciela – stwierdził. Odwrócił się do armii wargalów, szturmującej wzgórze, i wskazał mieczem.

– Popatrz tylko na to! – rzucił.



40

ROZDZIAŁ

Gdy w późniejszych latach Halt wspominał bitwę na wrzosowiskach Hackham, był przeświadczony, że naprawdę zobaczył, jak szeregi wargalów zadrżały.

Trzeci klin konnicy właśnie wbił się w tylne rzędy armii Morgaratha. Pierwszy oddział pod wodzą Lorriaca zataczał łuk, by uderzyć znowu, gdy tylko trzeci oddział się wycofa.

Wargalowie, już zaniepokojeni atakiem konnicy, przestali maszerować pod górę równym, niepowstrzymanym krokiem. Zaczęli się przemieszczać w przypadkowych kierunkach, a ich szyki straciły jakąkolwiek karność. Wpadali na siebie i atakowali własnych towarzyszy. Jeden z nich zaczął się wycofywać w dół zbocza. W jego ślady ruszyli trzej inni. Potem tuzin. Potem całe zbocze pokryło się dziesiątkami wargalów uciekających na oślep przed straszliwymi końmi, ogarniętych na powrót odwiecznym strachem.

Lorriac i jego ludzie cofnęli się na bok, żeby ich przepuścić. Konie stały ze zwieszonymi łbami, ciężko pracując bokami, a ich chrapy rozszerzały się, gdy

oddychały głęboko.

Przy palisadzie i rowie pierwsza fala atakujących wyczuła, że coś jest nie tak. Obejrżeli się i zobaczyli swoich pobratymców w chaotycznym odwrocie, wyczuli panikę i przerażenie w ich umysłach. Morgarath na prawym skrzydle armii starał się zachować nad nimi kontrolę, ale zadanie okazało się niewykonalne. Jego telepatyczne rozkazy utonęły w atawistycznej panice, która ogarnęła wargalów przy spotkaniu z końmi. Uświadomił sobie, że stracił nad nimi władzę, więc zawrócił konia i pogalopował w dół wzgórza, wymijając swoich własnych żołnierzy.

Na szańcu za palisadą Duncan zobaczył, że żołnierze nieprzyjaciela zaczęli się wahać, gdy opuścił ich dowódca. Zrozumiał, że to moment, od którego zależą losy bitwy, i odwrócił się do stojących po jego bokach sir Davida i barona Aralda.

– Chodźmy! – krzyknął i rzucił się naprzód z uniesioną tarczą i mieczem lśniącym w promieniach słońca. Dwaj rycerze w zbrojach poszli w jego ślady i uderzyli na wahających się wargalów. Czterdziestu obrońców – wszyscy, którzy jeszcze nie zostali ranni – ruszyło za nimi, wznosząc okrzyki bojowe. Niektórzy z nich po prostu wrzeszczeli – wydawali płynące z głębi serca nieartykułowane okrzyki triumfu.

Atak wargalów załamał się.

Wielu z nich zginęło podczas pierwszego szturmu. Inni poddali się straszliwemu uczuciu paniki, jakie ogarnęło ich szeregi. W ciągu kilku minut cała armia wroga uciekała ze wzgórza, bez żadnego szyku ani kontroli. Niektórzy potykali się i padali na miękką, wysoką trawę, gdzie byli tratowani przez swoich towarzyszy. Dotarli do rzeki i w fontannach wody przebiegli przez nią, a potem uciekali dalej.

Duncan uniósł miecz i zatrzymał swoich nielicznych żołnierzy. Ze znużeniem potrząsnął głową, patrząc na wycofującą się po zboczach armię. W tym momencie wargalowie zostali rozgromieni i byli przerażeni. Ale nie miał pojęcia, jak długo pozostaną w takim stanie, a zostały ich nadal setki. W każdej chwili Morgarath mógł odzyskać nad nimi kontrolę i znowu zwrócić ich przeciwko armii Araluenu. Gdyby tak się stało, cała zdobyta właśnie przewaga by zniknęła.

– Czy będziemy ich ścigać, panie?

To sir David zadał pytanie, ale baron Arald odpowiedział mu, zanim zdążył to zrobić król.

– Jak? – powiedział. – Nasi ludzie są wyczerpani, a wróg nadal ma przewagę liczebną. Konnica Halta przejechała wczoraj ponad pięćdziesiąt kilometrów, a potem przeprowadziła jedną z najpiękniejszych szarż, jakie w życiu widziałem, w dodatku pod górę. Ich konie są zmęczone. Jeźdźcy wyczerpani.

– Ale... oni uciekają! – David wskazał wargalów poniżej, znajdujących się już w dużej odległości. Wiedza taktyczna podpowiadała, że jeśli wróg złamie szyk i zacznie uciekać, najlepiej jest go ścigać. Nękać go atakami. Nie pozwalać mu odpocząć.

Ale wiedza taktyczna nie brała pod uwagę tego, że twoi żołnierze mogą być wyczerpani, ranni i zdziśiatkowani. Że konnica może być na granicy wytrzymałości. Jeśli teraz zaczną ścigać Morgaratha i jego armię, wargalowie mogą się otrząsnąć i ponownie stanąć do walki. Wtedy zmęczeni żołnierze nie poradzą sobie z odzyskującym ducha bojowego wrogiem.

Gdyby tak się stało, wargalowie mogliby znowu nabrać pewności siebie i szale zwycięstwa mogłyby się przechylić na drugą stronę. Być może nie było to bardzo prawdopodobne. Ale nie było także całkiem wykluczone.

– Ruszymy za nimi jutro – zdecydował Duncan. – Będziemy ich ścigać aż do ich mrocznych deszczowych gór i uwięzimy ich tam.

Popatrzył na dwóch jeźdźców, którzy zbliżali się do stanowiska dowódców. Halt i Gilan zeskoczyli z siodeł. Chłopiec przytulił się do ojca. Halt skinął głową Davidowi.

– Był niezwykle dzielny – powiedział. – Zabił dwóch wargalów, którzy mnie osaczyli.

– Halt zabił trzeciego, zanim zdążyłem sam to zrobić – dodał Gilan, nadal lekko obrażony.

Halt ukrył uśmiech.

– Cóż, już za to przeprosiłem.

Król przerwał tę wymianę zdań, podchodząc, by uściskać brodatego zwiadowcę.

– Dobra robota, Halt. Uratowałeś nas dzisiaj – przyznał.

Halt westchnął.

– Szkoda, że nie dorwaliśmy Morgaratha.

Król spojrział ze wzgórza na armię nieprzyjaciela, uciekającą przez równinę i znikającą za odległym grzbietem wzgórza.

– Dorwiemy go następnym razem – obiecał. – Myślę, że będziemy potrzebować więcej posiłków, zanim znowu się z nim zmierzymy.

Wszędzie wokół żołnierze ściągali hełmy i kolczugi, po czym siadali znużeni na ziemi, nadal nie wierząc, że udało im się zwyciężyć, gdy wszystko wydawało się stracone. Niezmordowany kucharz barona Aralda po raz kolejny rozesał służących, którzy roznosili zimną wodę, jabłka, chleb i mięso.

Crowley przepchnął się przez tłum, by do nich dołączyć. Objął przyjaciela, a potem cofnął się z uśmiechem.

– I co, wybrałeś się na przyjemną przejażdżkę po okolicy, podczas kiedy my tutaj musieliśmy za ciebie walczyć?

Halt spojrział na kołczan Crowleya. Był pusty, podobnie jak jego własny.

– Widzę, że gdzieś zgubiłeś strzały? – zapytał i obaj się roześmiali. Crowley objął Halta ramieniem.

– Chodźmy do pozostałych – pociągnął go. – Nie mogą się doczekać, aż im

opowiesz, co robiłeś.

Halt spojrzął na króla, który gestem dał znać, że obaj zwiadowcy mogą się oddalić. Duncan spojrzął na Northolta.

– Powinniśmy zorganizować apel – powiedział. – Trzeba sprawdzić, ilu żołnierzy nam zostało. Będziemy musieli stanąć do walki najdalej za kilka dni. Potem chciałbym odwiedzić rannych i podziękować im. – Nie powiedział na głos, że czeka ich jeszcze jeden, bardziej ponury obowiązek: pogrzebanie tych, którzy stracili życie w bitwie.

Northolt skinął głową. Wydawało się, że praca dowódcy nigdy się nie kończy. Po bitwie żołnierze mogli odpocząć, ale generałowie musieli dopilnować, by wszyscy byli znowu gotowi do walki, gdy zajdzie taka potrzeba.

Dwaj zwiadowcy oddalili się o kilkanaście kroków, gdy Halt przystanął, żeby się obejrzeć. Spojrzął przenikliwie na Gilana.

– Doskonale się spisałeś, Gilanie. Zawdzięczam ci życie.

Chłopiec zarumienił się na taką pochwałę, szczególnie wygłoszoną w obecności jego ojca i króla. Zanim zdążył odpowiedzieć, Halt znowu się odezwał:

– Jeśli nadal chcesz zostać zwiadowcą, zgłoś się do nas za kilka lat.

Na chłopięcej twarzy Gilana pojawił się szeroki uśmiech. Ojciec spojrzął na niego z zainteresowaniem – po raz pierwszy słyszał, że Gilan chciałby dołączyć do zwiadowców. Chłopiec pokiwał z wdzięcznością głową.

– Tak zrobię, Halcie – odpowiedział.

Halt zdołał powściągnąć uśmiech i zachować kamienną twarz.

– Wstawię się za tobą – obiecał. – Mam pewne wpływy u dowódcy korpusu.

Crowley z zaskoczeniem uniósł brwi.

– Naprawdę? Pierwsze słyszę.

Halt klepnął go w plecy.

– Zawsze o wszystkim dowiadujesz się ostatni – odparł.



Jak się okazało, armia w kolejnych dniach musiała wielokrotnie stawać do walki w serii trudnych potyczek z wycofującą się armią wargalów. Gdy Morgarathowi udało się oddalić na dostateczną odległość od sił Duncana, zdołał odzyskać częściową kontrolę nad swoimi żołnierzami, chociaż minęły całe lata, zanim udało mu się uzyskać całkowitą władzę nad nimi, taką, jaką miał na początku tej kampanii.

Podczas gdy Morgarath powracał w Góry Deszczu i Nocy z większą częścią armii, poszczególne oddziały wargalów urządzały zasadzki i przypuszczały ataki zaskoczenia na armię królewską, która zawzięcie ścigała zbuntowanego barona.

Armia króla Duncana stoczyła pół tuzina potyczek, które miały na celu spowolnienie

jej i danie Morgarathowi czas na ucieczkę. Crowley wysyłał swoich ludzi na zwiady i zbierał raporty. Przyszedł wreszcie dzień, gdy do obozu przyjechał zmęczony, pokryty kurzem Kerrigan.

– Dotarł do Wąwozu Trzech Kroków – odraportował, a dowódcy zgromadzeni w namiocie Duncana wydali zgodnie gniewne okrzyki.

– Tam go nie dosięgniemy – stwierdził z goryczą Northolt.

Król skinął głową.

– Przyjdzie czas i na niego – powiedział. – Na razie mamy setkę wargalów obozujących kilka kilometrów stąd. Jutro musimy z nimi walczyć.

– To już ostatnie oddziały, które zostawił, by osłaniały jego odwrót – zauważył Crowley. – Po jutrzejszym dniu pozbędziemy się ich.

– A później będziemy musieli skierować odpowiednie siły, by zatrzymać Morgaratha w górach – dodał Northolt.

Duncan skinął głową i uśmiechnął się.

– Zostawię to w twoich odpowiedzialnych rękach, Northolcie – powiedział. – Po jutrzejszej bitwie wracam do Zamku Araluen. Mam córkę, którą chciałbym lepiej poznać.



W Zamku Redmont był już późny wieczór. Jedno za drugim okna ciemniały, gdy mieszkańcy udawali się na spoczynek. Ale gdzieś światło nadal się paliło.

Halt i lady Pauline siedzieli w wygodnych fotelach w jednej z komnat jej apartamentów. Na podłodze między nimi stał duży kosz z niemowlęciem owiniętym w koce. Spod tego przykrycia widać było żywe brązowe oczy, przyglądające się im na zmianę, gdy rozmawiali półgłosem.

– Jego ojciec ocalił ci życie? – zapytała Pauline.

Halt skinął głową.

– Bez cienia wątpliwości. To była ostatnia potyczka z wargalami, na południe od wrzosowisk Hackham. Zostałem przewrócony na ziemię i myślałem, że już po mnie. Naprawdę niewiele brakowało, żeby było po mnie. Wtedy on się pojawił.

Spojrzenie oczu zwiadowcy stało się nieobecne, gdy wspominał ten dzień. Pauline nic nie powiedziała. Po trau-matycznym wydarzeniu, takim jak to, człowiek często potrzebował się wygadać – opowiedzieć, co zaszło, pozbyć się obezwładniającego

strachu, który sprawiał, że człowiek stawał się bezradny i bezbronny.

– Skoczył nade mną, uzbrojony tylko we włócznię i odparł ich atak. Kiedy jeden z nich złamał włócznię przy ostrzu, on używał drzewca jak bojowego drąga, ogłuszając ich i roztrącając na prawo i lewo. W końcu zdołał wyrwać któremuś miecz i znowu zaatakował. – Halt potrząsnął głową na to wspomnienie. – Weź pod uwagę, że nie był szkolony w walce mieczem. Był zwykłym żołnierzem, jak się potem okazało, sierżantem. Byłem ogłuszony i nie widziałem wyraźnie, ale wydaje mi się, że zabił z tuzin z nich, zanim w końcu sam został powalony. Wtedy już dotarli do nas inni żołnierze i odparli wargalów. Ale oni już się wycofywali, nawet gdy Daniel już upadł.

– Daniel? Tak miał na imię? – zapytała Pauline.

– Tak. Zdążył mi to jeszcze powiedzieć. Kazał mi też przysiąc, że znajdę tego małego i jego matkę i sprawdzę, czy są bezpieczni. Oczywiście obiecałem mu, że to zrobię. Wtedy umarł.

– Co się stało z matką? – spytała Pauline.

Halt westchnął ciężko.

– Potrzebowałem kilku dni, by dowiedzieć się, gdzie mieszkają. Kiedy w końcu znalazłem ich gospodarstwo, właśnie została zaatakowana przez dwóch mężczyzn podających się za towarzyszy broni Daniela. Najwyraźniej specjalizowali się w rabowaniu domów żołnierzy, którzy zginęli w bitwie. Wywiązała się walka, jeden z nich zdołał mnie przewrócić, a drugi zamierzał mnie dźgnąć. Wtedy matka rzuciła się na niego i dzięki temu zdołałem się obronić. – Jego twarz wykrzywił ponury grymas, gdy przypomniał sobie to zajście. – Ale zabił ją, zanim zdążyłem go powstrzymać. Umierając, powiedziała mi, jak ma na imię ten mały: Will.

Oboje umilkli, patrząc na malutkiego chłopca w koszyku. Tak jak poprzednio bystre brązowe oczy spoglądały na nich na zmianę i obserwowały ich. Pauline wyciągnęła rękę, by dotknąć buzi dziecka. Natychmiast spod koców wyłoniła się malutka piąstka i chwyciła ją za palec wskazujący. Dziecko uśmiechnęło się i zaczęło radośnie gaworzyć.

– Pogodny malec – powiedziała Pauline, potrząsając ręką. Dziecko przytrzymało jej palec mocno i nie zamierzało go wypuszczać. Uśmiech malucha stał się jeszcze szerszy.

– Rzeczywiście – przyznał Halt. – Nie miałem z nim żadnych problemów podczas podróży tutaj. – Umilkł i znowu westchnął. – Pytanie brzmi, co mam dalej z nim zrobić?

– Trudno ci będzie zajmować się dzieckiem – zauważyła Pauline. – Cały czas wyjeżdżasz.

– Wiem – odparł ponuro. – Zresztą nawet gdybym mógł to zrobić, nie wiem, czy dla niego rzeczywiście będzie dobrze, jeśli będzie ze mną kojarzony.

Uniosła brwi w milczącym pytaniu, więc Halt wyjaśnił, o co mu chodzi:

– Wiesz sama, co ludzie myślą o zwiadowcach. Ufają nam do pewnego stopnia, ale

patrzą na nas podejrzliwie. Niektórzy nawet uważają nas za czarowników. Najczęściej po prostu się nas boją.

Pauline leciutko wyduła wargi.

– Ja się nie boję. Ani też nikt z ludzi tutaj, w Redmont.

– Na pewno nie baron, rycerze i ich damy – przyznał Halt. – Ale prości ludzie zdecydowanie starają się trzymać od nas z daleka. Ludzie na wsiach rozmawiają z nami chętnie tylko wtedy, kiedy nas potrzebują.

– Rzeczywiście, może tak być – stwierdziła Pauline. – Pamiętaj jednak, że zwiadowcy sami się postarali, żeby tak ich traktowano. To schlebia waszej potrzebie tajemniczości.

– Wiem o tym. Ale nie chciałbym, żeby Will, dorastając, musiał się zmagać z takimi uprzedzeniami. *Patrzajcie, to dziecko zwiadowcy* – powiedział, nieźle naśladując wiejski sposób mówienia. – *Omijajcie go z daleka. Nie należy im ufać.*

– Przyznaję, że to może być problem – stwierdziła Pauline i znowu zapadła cisza. Kurierka zmarszczyła brwi podejrzliwie. – Nie liczysz chyba, że ja się nim zajmę zamiast ciebie, prawda?

Halt uniósł z zaskoczeniem ręce, odrzucając ten pomysł.

– Wielki Boże, a skąd! Masz swoją pracę i wyjeżdżasz niemal tak samo często jak ja. Czasem nawet częściej.

Pauline odprężyła się, a z jej twarzy zniknął wyraz podejrzliwości. Znowu poruszyła palcem, ale dziecko stanowczo odmówiło wypuszczenia jej. Uśmiechnęła się do niego. W ciepłym uścisku na jej palcu było coś z czarującego zaufania.

– A może sierociniec? – zaproponowała w końcu. – Baron otworzył go dla sierot, których rodzice zginęli, służąc królestwu. Będzie tam dobrze traktowany, zostanie wykształcony i wyszkolony. W przyszłości będzie mógł sam wybrać drogę życiową.

Halt pokiwał powoli głową, zanim jeszcze skończyła mówić.

– Zastanawiałem się nad tym.

Pauline ujęła jego dłoń w swoją.

– To doskonałe rozwiązanie – powiedziała. – To szczęśliwe miejsce, a dzieci są tam kochane i otoczone opieką. Arald ma na wszystko oko i osobiście interesuje się dziećmi, podobnie jak lady Sandra.

Halt z namysłem pogładził brodę.

– Nie powinni się dowiedzieć, że to ja go przywiozłem – myślał na głos. – Ludzie nie mogą wiedzieć o jego powiązaniach ze mną, bo inaczej będą na niego krzywo patrzeć.

Pauline skinęła głową.

– Rozumiem. Musisz go tam zostawić anonimowo. – Wstała i podeszła do niedużego stolika przy oknie. Poszukała w szufladach i wyjęła kawałek czystego papieru, a potem wyjęła pióro z kałamarza i zastanowiła się nad właściwym doбором słów.

Halt delikatnie wyjął jej pióro z ręki i zaczął szybko pisać, jednocześnie wypowiadając słowa na głos:

– *Jego matka umarła przy porodzie.* – Spojrzał na Pauline. – To oczywiście nie jest prawda.

Zastanowiła się nad tym, ale machnęła ręką.

– Masz rację, ale prawdziwe okoliczności jej śmierci są zbyt skomplikowane. Ludzie zaczną zadawać pytania i mogą odkryć, że masz związek z tą sprawą.

– To prawda – przyznał powoli. Pisał jeszcze przez chwilę. – *Jego ojciec zginął jako bohater* – powiedział cicho, zapisując te słowa. – *Proszę, zaopiekujcie się nim. Na imię ma Will.* – Zważył w dłoni kartkę papieru, a potem umieścił ją w koszyku, bezpiecznie zatknął ją za koc w nogach, z dala od ciekawskich małych rączek Willa.

– To chyba będzie właściwa decyzja – uznał. – Oczywiście kiedy będzie starszy, będę miał na niego oko.

Pauline uśmiechnęła się i w końcu zdołała uwolnić swój palec.

– Kto wie, może pewnego dnia wyszkolisz go nawet na zwiadowcę.

Jednakże Halt potrząsnął głową.

– Nie ja. Nie jestem typem nauczyciela. Nie mam do tego cierpliwości.

– Może sam siebie zaskoczysz – podsunęła.

Halt wstał i podszedł do okna. Widział, że zamek jest pogrążony w ciemnościach, a na dziedzińcu nie ma żywej duszy. Trzypiętrowy budynek, w którym mieścił się sierociniec, wznosił się naprzeciwko apartamentów Pauline. Nad frontowymi drzwiami paliła się lampa oliwna, ale reszta pomieszczeń była ciemna.

– Właściwie mogę go tam zabrać od razu – zauważył. – Dopóki nie ma nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć.

Podniósł koszyk i skierował się do drzwi. Pauline uniosła rękę, by go zatrzymać.

– Sprawdź, czy nie ma nikogo na korytarzu. – Podeszła do drzwi, ale zatrzymała się jeszcze koło Halta i uśmiechnęła się do małej buzi na poduszce.

– To ciekawe, prawda? – powiedziała. – Przetrwaliśmy tyle śmierci i zniszczenia, a jednak on tu jest, całkowicie nowe życie.

– Tak samo jak córka króla, Cassandra – dodał Halt.

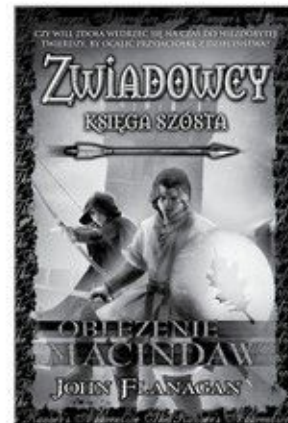
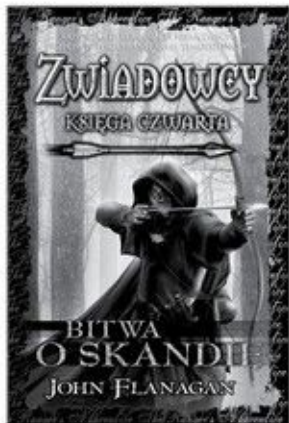
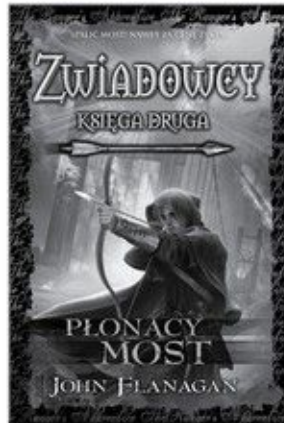
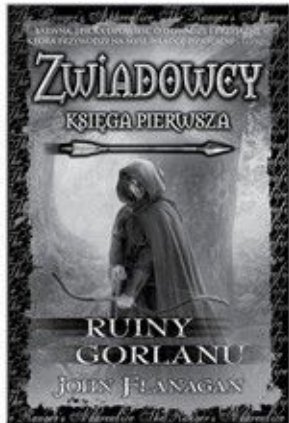
Pauline skinęła głową.

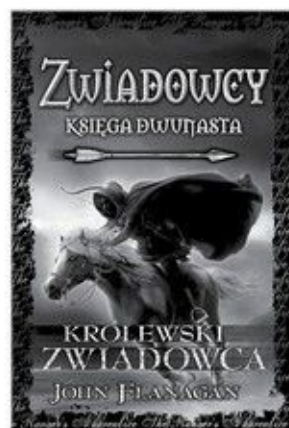
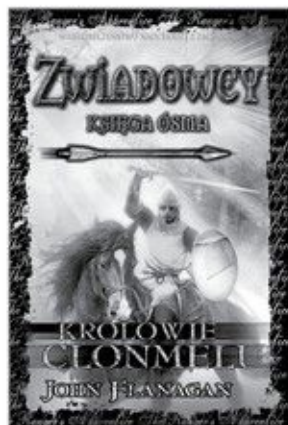
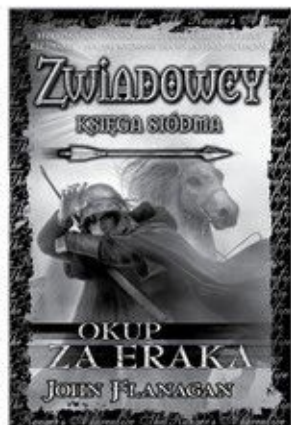
– Tak. Życie wiecznie się odradza, nieprawdaż? – Roześmiała się cicho. – Ciekawe, czy on i księżniczka kiedykolwiek się spotkają?

Halt potrząsnął głową.

– Księżniczka i osierocony syn wieśniaka? Jak to by miało być możliwe?

ZWIADOWCY w twardej oprawie





SZUKAJ W KSIĘGARNIACH

